

Michael Cordy

Gen Zbrodni

(The Crime Code)

Przełożył Paweł Martin

*Moim rodzicom,
Betty i Johnowi Cordym*

Bezwątpienia istnieje gen wspólny dla wszystkich przestępców. Poznaliśmy cały jego łańcuch DNA. Jest to gen przenoszony przez męski chromosom Y. Większość przestępców to mężczyźni: gen odpowiedzialny za przestępczość został odkryty! Rzecz jasna, nikt nie zaproponował, aby genetyka zajęła się tym problemem.

Steve Jones, profesor genetyki, Kolegium Uniwersytetu Londyńskiego

PROLOG

*Zakład karny San Quentin, Kalifornia
Środa, 29 października 2008, godz. 3.11*

To nie jego ból nie pozwalał mu zasnąć. To nie jego strach zraszał mu skórę lepkiem potem i po raz dziesiąty tej nocy kazał zrywać się z mokrej pościeli, zmuszając do oddania moczu. I to nie jego cierpienie nakazywało mu odebrać sobie życie po siedmiu latach w celi śmierci.

To ich ból zmuszał go do tego. Ich strach, ich cierpienie.

Coś się w nim zmieniło. Nie wiedział, co to było ani dlaczego tak się stało. Zdawał sobie jednak sprawę z doniosłości i nieodwracalności zmiany.

W ciągu pięćdziesięciu sześciu lat swojej egzystencji Karl Axelman odebrał życie wielu ludziom, jednak nigdy nie pomyślał o odebraniu życia sobie. Nigdy nie czuł się przytłoczony swoją przeszłością. Rozkoszował się swymi dokonaniem, przywołując dzięki fotograficznej pamięci wszystkie szczegóły dotyczące dziewcząt, które gwałcił, torturował i mordował dla przyjemności. Teraz jednak twarze jego ofiar pojawiały się nieproszone, by dręczyć go dniami i nocami. Po raz pierwszy w życiu czuł ich ból, ich strach, rozumiał ich cierpienie.

Wrócił na prycę w swojej długiej na trzy i szerokiej na półtora metra celi we wschodnim bloku więzienia San Quentin. Wpatrywał się w mrugającą lampę na korytarzu. Światło nie przynosiło mu ulgi, wzmagało jedynie cierpienie, potęgując otaczającą go ciemność.

Usiadł i rozejrzał się po celi będącej teraz całym jego światem. Nierdzewna umywalka, toaleta w kącie, równy stos starannie ułożonych gazet na półce nad metalowym łóżkiem. Odwrócił się i po raz kolejny przyjrzał się poduszce. Pożółkłe płótno znaczyły srebrzyste nitki. Jego gęste włosy, choć z wiekiem przyprószone siwizną, zawsze symbolizowały jego siłę. Teraz jednak wypadały garściami. Jego przystojną twarz, której niegdyś używał jako przynęty, pokrywały teraz ropiejące pryszcze, jakich nie powstydziliby się nastolatek. Jednak gdy mocno splótł lepkie dłonie, a bicie serca zagłuszyło dochodzące z sąsiednich cel rozpaczliwe jęki, przestawał dbać o te fizyczne niedogodności.

Czuł suchość w ustach i przyprawiający o palpacje serca niepokój, jakiego nie doświadczył nigdy wcześniej. Niechciane obrazy bezbronnych ciał atakowały jego umysł, wzbudzając w nim dobrze mu znane pragnienie dominacji i poniżania. Nagłej erekcji towarzyszył jednak dreszcz odrazy. Poczucie winy dławilo w gardle.

Drżącymi dłońmi sięgnął po leżący na półeczce nad pryczą „San Francisco Examiner”. Półka ugięła się pod ciężarem gazet. Na jednym jej końcu leżało pudełko po butach. Wiedza o tym, co dzieje się na zewnątrz, zawsze dawała Axelmanowi poczucie władzy, złudzenie, że ma jakiś wpływ na wydarzenia. Do czasu.

Rozłożył gazetę, pomijając nagłówki o sytuacji w Iraku i ostatnie sondaże dotyczące pierwszej w historii kobiety, która za tydzień miała walczyć o fotel prezydencki. To już go nie interesowało. I tak nie będzie go wówczas wśród żywych. Została mu do załatwienia tylko

jedna sprawa.

Otworzył gazetę na trzeciej stronie i przyjrzał się fotografii przedstawiającej mężczyznę wynoszącego późną nocą z cmentarza nagą dziewczynę okrytą jego marynarką. Nagłówek głosił: „FBI ratuje ofiarę numer cztery”. Axelman przyjrzał się mężczyźnie. Potem sięgnął po pudełko z przedmiotami osobistymi, które pozwolono mu trzymać w celi. Na wierzchu sterty listów i innych drobiazgów leżało stare, wyblakłe zdjęcie. Mrużąc oczy w migoczącym świetle, porównał wyblakłą fotografię ze zdjęciem w gazecie, jak to robił mnóstwo razy wcześniej. W końcu przeczytał artykuł, po raz kolejny zwracając uwagę na wiek i nazwisko.

Westchnął. Miał pewność, że się nie myli. Jeśli jednak nawet był w błędzie, to i tak po raz pierwszy wyzna wszystko temu agentowi. Kiedyś delektował się wodzeniem policji za nos i przedłużaniem cierpienia rodziny, zachowując dla siebie miejsce ukrycia ciał. Teraz jednak ich ból stał się jego bólem i nie pozwalał mu dłużej trzymać tych informacji w sekrecie. Jego przyszły rozmówca może jakoś wykorzysta jego wiedzę.

Nasłuchując kroków nadchodzących strażników, Axelman powoli odłożył zdjęcie i gazetę. Ukląkł na ziemi i podniósł jeden z rogów łóżka. Włożył dwa palce w wydrążoną podstawę nogi i wydobyl metalową sprzączkę od paska, przymocowaną tam gumą do żucia. Ze sprzączki usunięto szpilę, pozostawiając kanciastą ramę.

Osiemnaście miesięcy temu nabył sprzączkę za sześć paczek papierosów. Pamiętał, z jaką satysfakcją współwięzień, który mu ją sprzedał, upychał po kieszeniach paczki marlboro. Bez szpili sprzączka była bezużyteczna i nieszkodliwa. Jednak z czasem Axelman naostrzył jeden z jej brzegów o betonową podłogę, żelazne łóżko i kraty celi, uzyskując coś w rodzaju noża. Początkowo ostrzenie sprzączki było sposobem na zabicie czasu, aktem buntu. Teraz jednak nabrało nowego znaczenia.

Siedząc na łóżku, przejechał kciukiem po ostrej krawędzi. Na ostrzu pojawiła się krew. Jego atroficzne jądra mimowolnie schowały się w ciele. Przez sekundę Axelman miał ochotę poczekać na kata. Wybawienie cudzą ręką byłoby znacznie łatwiejsze. Nie chodziło jednak tylko o wybawienie. Pozostawała kwestia kary. On sam musiał usunąć to źródło mrocznych żądz.

Kołysał się na krawędzi łóżka. Wiedział, że sen nie nadejdzie, a jeśli nawet, to i tak nie przyniesie ukojenia. Po raz kolejny dotknął ostrza, które w dziwny sposób dodało mu otuchy. Niedługo wzejdzie słońce, a potem wypowiedzi się agentowi FBI. Nie mógł zrobić nic więcej, by odnaleźć spokój. Po tym wszystkim przyjdzie czas na ostatni akt. Mniejsza o to, czy zostanie zbawiony, czy potępiony, przynajmniej skończą się jego tortury.

Część pierwsza

PROJEKT SUMIENIE

Łeb mu pękał i chciałby już wracać. A jednak wciąż wyczekiwał na cmentarzu, pod osłoną niskiej sosenki. Mokra kora oszałamiała zapachem niczym perfumy. Dochodziła druga w nocy. Dwóch funkcjonariuszy z Departamentu Policji San Francisco odjechało już godzinę temu. Po trzech dniach patrolowania okolicy odwołano ich do innego zadania. Mieli wrócić rankiem, ale wiadomo, że tak naprawdę stracili nadzieję. Obawiali się, że uznana za zaginioną czternastoletnia Tammy Lewis skończyła tak, jak pozostała trójka. Agent specjalny Luke Decker też powinien już sobie pójść. W końcu występował tu jedynie w charakterze doradcy, a na jego biurku w Quantico piętrzyły się już inne sprawy.

Ale Decker nie zamierzał jeszcze odejść. W głębi duszy wiedział, że morderca wróci tu nocą. Że przyniesie ze sobą dziewczynę – może nawet żywą.

Nocne powietrze chłodziło mu twarz. Przez sosnowe gałęzie nad jego głową spoglądał w dół rogaty księżyc. Katolicki cmentarz Bramy Niebios, położony dwadzieścia siedem kilometrów od San Francisco i czternaście od Oakland, pogrążony był w milczącym bezruchu. Nawet nad pobliską międzystanową autostradą numer 80 zaległa cisza.

Z kieszeni płaszcza wydobyl noktowizor, by raz jeszcze odczytać napis na oddalonym o jakieś dwadzieścia metrów nagrobku:

Sally Anne Jennings

Odeszła 3 sierpnia 2008

Żyła 15 lat

Zabrano Cię nam zbyt wcześnie,
ale spotkamy się znów w lepszym świecie

Decker zacisnął zęby. Przypomniiał sobie zdjęcia z miejsca zbrodni. Zmaltretowane ciało Sally Anne musi być ostatnią ofiarą mordercy.

W ciszy rozległ się zgrzyt żwiru pod kołami samochodu. Decker zwrócił się w prawo. W samą porę, by dostrzec, jak furgonetka z pizzerii Domino zajeżdża na opustoszały cmentarny parking. Na czoło Deckera wystąpiły krople potu. Znał profil psychologiczny zabójcy. Sam go opracował. Furgonetka z pizzerii pasuje jak ulał. Puls mu przyśpieszył. Znow miał rację – ale jakoś nie odczuwał satysfakcji. Pozostawało zmęczenie i niejasny niepokój, że tak dobrze zna umysł mordercy.

Ciszę nocy przeciął nagły krzyk dobiegający z furgonetki. Szybko ucichł, stłumiony, jednak Decker aż skulił się w sobie, jakby sam odczuwał jej ból i przerażenie. Sięgnął po komórkę i wybrał numer alarmowy.

Szeptem poinformował dyżurnego, że zjawił się podejrzanym. Zażądał wsparcia.

– Wysłałam dwa radiowozy. Będą za dziesięć minut – obiecał zaspanym głosem detektyw po drugiej stronie.

Otworzyły się tylne drzwi furgonetki. Wysiadł z niej dobrze zbudowany, rudowłosy

młody mężczyzna w czarnym T-shircie. Wywlekł z wnętrza coś białego i rzucił na żwir. Decker zdał sobie sprawę z tego, że dziesięć minut to o wiele za długo. Biały tobolek poruszył się. Zanim jeszcze Decker sięgnął po noktowizor, wiedział już, że jest to naga dziewczyna. Tammy Lewis. Zakneblowana, skrępowana, z oczyma rozszerzonymi przerażeniem. Młody mężczyzna musiał być silny. Z łatwością zarzucił ją sobie na ramię i poniósł na cmentarz.

Decker sięgnął po pistolet. Odbezpieczył broń. Od pięciu lat co rok wygrywał zawody strzeleckie FBI w Quantico, posługując się półautomatycznym SIG-iem. Nie cierpiał jednak używania broni podczas prawdziwej akcji. Dla niego oznaczało to porażkę. Świadczyło o tym, że zawiodło wszystko inne. Ale teraz nie miał wyboru. Jeśli czegoś zaraz nie zrobi, facet zanieśie Tammy Lewis na grób Sally Anne, złoży ją na płycie nagrobnej i brutalnie zgwałci. Kiedy już zaspokoi swe żądze, zabije ją i zbecześci ciało. Decker po prostu to wiedział. Miał tę absolutną, przyprawiającą o mdłości pewność, jakby był już świadkiem tej zbrodni.

Odczekał, aż napastnik ułoży Tammy na grobie i zacznie rozwiązywać jej nogi, po czym zaszedł go od tyłu. Pozostało mu do przebycia nieco ponad dwa metry, gdy dostrzegł w dłoni mężczyzny błysk noża.

– FBI! – zawołał. W nocnej ciszy jego głos zabrzmiał dziwnie obco. – Rzuć broń, ręce do góry, odsuń się od niej!

Kłęczący nad swą ofiarą rudzielec obejrzał się przez ramię. Na jego pociągłej twarzy malowały się zaskoczenie i niepewność.

– Ale już! – rozkazał Decker. Jednak mężczyzna nie porzucił noża. Odwrócił się i uniósł go wysoko w górę z rykiem wściekłości. A potem nóż, niczym ostrze gilotyny, zaczął opadać, mierząc w dziewczynę...

– Obrona wzywa na świadka doktor Kathryn Kerr.

Na dźwięk jej imienia Luke Decker momentalnie ocknął się, przestając rozmyślać o wydarzeniach na cmentarzu sprzed dziewięciu tygodni. Znajdował się w dusznej sali Sądu Apelacyjnego San Francisco. Zegar nad ławą sędziowską pokazywał dziesiątą siedem. Na zawieszonym pod spodem kalendarzu widniała data: środa, 29 października 2008. W wygłuszonej dębową boazerią sali sądowej słyszało się każdy dźwięk. Mimo to Decker pomyślał, że się przesłyszał.

Co, do diabła, robi tu Kathy Kerr?

Decker zamrugał zielonymi oczami, powracając do rzeczywistości. Ręką przejechał po blond szczecinie na głowie. Poprawił się na krześle i rozejrzał po sali. Sędzia, łysy mężczyzna z boleśnie wykrzywioną twarzą, zasiadał u szczytu sali. Naprzeciw niego, po prawej i lewej stronie, znajdowały się miejsca dla przedstawicieli oskarżenia i obrony. Decker siedział po stronie oskarżenia, tuż za prokuratorem okręgowym. Nie był to formalny proces, więc znajdująca się za jego plecami galeria dla publiczności była niemal pusta. Siedziało tam tylko kilku młodych dziennikarzy. Nie zjawili się krewni zamordowanych dziewcząt. Decker pomyślał z satysfakcją, że i tak nie byłoby między nimi nikogo z bliskich Tammy Lewis. Przynajmniej ją udało się uratować.

Tuż po prawej miał Wayne'a Tice'a. Rudowłosy morderca zajął miejsce u boku swego adwokata. Prawa ręka zabójcy wciąż spoczywała na temblaku – pamiątka po strzale Deckera. Tice przechwycił jego spojrzenie i błysnął krzywymi zębiskami w zimnym, nieprzyjemnym uśmiechu. Decker całkowicie to zignorował. Człowieka, którego aresztował, uznano za winnego zarzucanych mu zbrodni i skazano na karę śmierci niemal miesiąc temu. Obecne przesłuchanie było tylko próbą złagodzenia kary. Obrona liczyła, że sędzia da skazanemu szansę rehabilitacji. Prokurator okręgowy poprosił Deckera, jako psychologa FBI, dzięki któremu schwytano Tice'a, o opisanie jego stanu psychicznego i dopilnowanie, żeby facet nie odzyskał wolności.

A tymczasem na pomoc Tice'owi przybyła Kathy Kerr, której nie widział od ponad dziesięciu lat.

Patrzył, jak zajmuje miejsce dla świadka i zostaje zaprzysiężona. Gapił się na nią jak sroka w gnat. Podczas gdy ona zdawała się całkiem ignorować jego obecność. Wyszczupiała, pozbyła się okularów – z pewnością zamieniła je na soczewki kontaktowe – a jej granatowy kostium był znacznie bardziej elegancki niż dżinsy i T-shirt, ulubiony strój z czasów studiów na Harvardzie.

– Proszę podać swoje imię, nazwisko, zawód i kwalifikacje – zażądał obrońca Tice'a, Ricardo Latona.

Kathy odruchowo uniosła dłoń, chcąc przyczesać ciemne, błyszczące włosy, po czym przypomniała sobie, że zaplotła je w warkocz. Bez wątplenia chciała w ten sposób wyglądać bardziej poważnie. Widać, wiele osób wciąż nie doceniało jej potencjału intelektualnego, kryjącego się za fasadą szerokiego uśmiechu i celtyckiej urody – jasnej skóry z piegami i błękitnych oczu.

– Nazywam się Kathryn Kerr. Jestem pracownikiem naukowym, prowadzę badania z zakresu genetyki behawioralnej na Uniwersytecie Stanforda. Uzyskałam magisterium z mikrobiologii na uniwersytecie w Cambridge i doktorat z genetyki behawioralnej na Harvardzie.

Nadal po jej wymowie można się było zorientować, że pochodzi z Edynburga. Pod wieloma względami Kathy Kerr zupełnie się nie zmieniła. Decker zastanawiał się, czy to samo mogłaby powiedzieć o nim. Nie dawała mu spokoju kwestia, czy swojego panieńskiego nazwiska używa z przyczyn zawodowych; czy też nadal nie wyszła za mąż.

– Czy mogłaby pani pokrótce streścić, na czym polega pani praca? – zapytał obrońca.

– Specjalizuję się w badaniu genetycznego podłoża zachowań kryminalnych i społecznych. Z wyjątkiem zajęć dydaktycznych większość mojej pracy badawczej na Uniwersytecie Stanforda sponsoruje firma biotechnologiczna Viro-Vector Solutions oraz FBI.

Dla Deckera była to spora niespodzianka. Nie miał pojęcia, że wróciła z Anglii, a tym bardziej, że współpracowała z Biurem. Ciekawe, od jak dawna była w Stanfordinie.

– Zdaję sobie sprawę, że wiele aspektów pani pracy dla FBI objętych jest tajemnicą zawodową ciągnął Latona. – Ale czy nie jest prawdą, że między innymi chodzi tu o identyfikację genetycznych czynników zachowań przestępczych?

– Owszem.

I wówczas jej wzrok po raz pierwszy napotkał wzrok Luke'a. Próbował wyczytać coś z jej błękitnych oczu, ale tym razem zawiódł go zmysł obserwacji. Choć nie miał pojęcia, że pracowała nad odkryciem genetycznych korzeni zbrodni, to o samym projekcie słyszał. Bo też kto o nim nie słyszał! W końcu dominacja cech dziedzicznych nad nabytymi stała się nową religią FBI. Zasadę, że kryminalista jest się od urodzenia, nie z wyboru, wyznawała teraz cała góra, zwłaszcza Madeline Naylor, pierwsza kobieta na stanowisku dyrektora Biura w całej jego długiej historii.

Decker zawsze był przeciwnego zdania. Doświadczenie mówiło mu, że zarówno przestępców, jak i ich ofiary kształtowało środowisko. A doświadczenie miał wcale niemałe. Trzydziestopięcioletni Decker był jednym z najmłodszych w historii szefów wydziału nauk behawioralnych w akademii FBI w Quantico.

Wydział ten był niegdyś dumą Biura. O jego dokonaniach kręcono w Hollywood kasowe filmy. Jego ludzie pomagali policji w zwalczaniu seryjnych morderstw, zamachów bombowych i innych pozornie pozbawionych motywu przestępstw, opracowując profile psychologiczne potencjalnych sprawców w oparciu o metodykę dokonywanych przez nich zbrodni.

Jednak nowe władze zepchnęły wydział behawioralny do swobodnego getta. Teraz wszystkie fundusze pompowano w fizjologię zamiast w psychologię. Mózg kryminalisty okazał się znacznie bardziej interesujący niż jego umysł. Analizowanie wyników tomografii mózgu, poziomu adrenaliny, przewodnictwa skóry, rytmu fal *theta* czy neuroprzekazników serotoniny postrzegano jako przyszłość walki z przestępczością. Jej ukoronowaniem miały się stać odkrycia genetyki.

Już miesiąc temu ta nowa ideologia skłoniła Deckera do złożenia rezygnacji i przyjęcia posady wykładowcy psychologii kryminalnej w Berkeley. Odsłużył swoje na linii frontu. Teraz więcej osiągnie, ucząc innych. Nie wspominając już o tym, że dziesięć lat wnikania w umysły najbardziej zbrodniczych zabójców odcisnęło na nim swoje piętno. Nagła śmierć matki półtora roku temu uświadomiła mu ponadto, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat nie poświęcał zbyt wiele czasu ani jej, ani dziadkowi. Niby to mieszkając w Waszyngtonie, podróżował po całym kraju, nigdzie nie zagrzewając miejsca. Czas powrócić na Zachodnie Wybrzeże, póki jeszcze żyje dziadek, i doprowadzić do porządku własne życie, zamiast ratować cały świat.

McCloud, zastępca dyrektora FBI, odrzucił jego rezygnację, prosząc, by jeszcze to sobie przemyślał. Jednak każdy mijający dzień utwierdzał Deckera w jego postanowieniu. Wybrał już nawet swego następcę. Kiedy zakończy tę sprawę i przesłucha Karla Axelmana w San Quentin dzisiejszego popołudnia, wróci do Quantico i oznajmi McCloudowi, że jego decyzja jest ostateczna.

– Dziękuję, że zgodziła się pani dziś tu przyjść, doktor Kerr – rozpromienił się adwokat, Ricardo Latona, krępy człowieczek z rzednącymi ciemnymi włosami. – Powodem, dla którego zwróciliśmy się do Wysokiego Sądu o to przesłuchanie i poprosiliśmy doktor Kerr o złożenie zeznań, jest fakt, że już najwyższa pora zmienić nasze podejście do przestępczości. Wszystkie badania jasno wykazują, iż to biologia jest kluczowym faktorem przestępczości, w połączeniu z czynnikami społecznymi, kulturowymi i ekonomicznymi. Rodzi to niezwykle

istotne pytania. Czy jeśli mamy do czynienia z osobnikiem biologicznie predysponowanym do zbrodni, powinniśmy go karać, czy raczej mu pomóc? Jeśli jest chory, czy ośmielimy się go leczyć? A może mamy poczucie, że terapia odbiera nam możliwość wymierzenia kary? Czy nasze społeczeństwo dorosło już do tego, żeby przestać wyłącznie karać?

Decker patrzył, jak Latona robi efektowną pauzę i odwraca się do Tice'a, który uprowadził i zamordował trzy dziewczyny, zabiłby też czwartą, gdyby mu nie przeszkodzono.

– Wayne Tice z pewnością uczynił wiele złego – podjął Latona swym miękkim, przekonującym głosem. – Nikt nie zaprzecza, że słusznie skazano go za straszne zbrodnie. Jednak zamierzamy tu wykazać, iż jego uczynki były wynikiem dziedzicznych czynników biochemicznych, nad którymi nie mógł zapanować, a które humanitarne społeczeństwo powinno leczyć, nie zaś karać śmiercią.

Decker jęknął z rezygnacją. Nie był zwolennikiem kary śmierci, zależało mu tylko na tym, by odizolować niebezpiecznych ludzi. Jednak pomysł, że to wyłącznie geny odpowiedzialne są za zbrodnie, stanowił zaprzeczenie całej jego piętnastoletniej pracy. Przestępcy już i tak mieli wystarczająco wiele wymówek, pozwalających im uniknąć odpowiedzialności za swe czyny. Nie trzeba mieszać do tego ich rodziców.

– Doktor Kerr – ciągnął tymczasem Latona – czy mogłaby pani przedstawić kluczowe dowody, że to biologia jest decydującym czynnikiem warunkującym gwałtowne zachowania i zbrodnie?

Kathy Kerr odchrząknęła, by po krótkiej pauzie odpowiedzieć na zadane pytanie.

– Zaczniemy od kilku podstawowych faktów. Po pierwsze, czynniki biologiczne to tylko jeden z kilku wzajemnie powiązanych aspektów: również kulturowych, społecznych i ekonomicznych, które leżą u podłoża zbrodni popełnianych ze szczególnym okrucieństwem. Jednak im więcej się o nich dowiadujemy, tym bardziej utwierdzamy się w przekonaniu o ich wadze. Po drugie, najistotniejszym spośród czynników biologicznych jest płeć. Jak świat długi i szeroki, to mężczyźni popełniają ponad dziewięćdziesiąt procent zbrodni ze szczególnym okrucieństwem.

Decker wrócił wspomnieniami do ich studiów na Harvardzie, dziewięć lat temu. Jego doktorat z psychologii kryminalnej, dotyczący wykorzystania wzorców zachowania do zdiagnozowania stanu umysłu sprawcy i ustalenia prawdopodobieństwa popełnienia przezeń kolejnego przestępstwa, zyskał spore uznanie. Jednak praca doktorska Kathy Kerr z zakresu genetyki behawioralnej, zatytułowana *Dlaczego mężczyźni popełniają 90% wszystkich przestępstw ze szczególnym okrucieństwem* była tak przełomowa, że została opublikowana w „Nature”, jednym z najbardziej prestiżowych magazynów naukowych. Nie zgadzał się z jej wnioskami, ale musiał przyznać, że praca nosiła znamiona geniuszu.

Tymczasem Kathy coraz bardziej się rozkręcała. W końcu to był jej konik.

– Mózg mężczyzny różni się od mózgu kobiety. Zrozumienie tych różnic ma zasadnicze znaczenie dla zrozumienia mężczyzn predysponowanych do przestępczości. Mózgiem steruje mieszanka chemicznych neuroprzekaźników i hormonów. Najpierw omówię neuroprzekaźniki. Są to chemiczne transmittery sterujące przepływem impulsów elektrycznych w sieci komórek nerwowych. Umożliwiają komunikację między złożonymi

sieciami neuronowymi w mózgu. Wpływają one na nasze myśli i zachowania. Istnieją cztery podstawowe neuroprzekaźniki. Trzy z nich, dopamina, adrenalina i epinefryna, są bardzo podobne. Napędzają one mózg, stymulując wiele spośród emocjonalnych i fizycznych impulsów, takich jak instynkt walki czy ucieczki. Czwartym neuroprzekaźnikiem jest serotonina. Jest to swego rodzaju hamulec – kluczowy inhibitor modyfikujący nasze zachowanie. Ściśle rzecz ujmując, jej zadaniem jest łączenie impulsywnej części mózgu z bardziej spokojną korą mózgową. Mówiąc najprościej, bez serotoniny nie mielibyśmy ani sumienia, ani zahamowań. Podczas gdy neuroprzekaźniki odpowiadają za prowokowanie konkretnych zachowań, hormony wpływają na szerokie spektrum zachowawcze, choć interakcja między nimi jest niezwykle złożona. Im wyższy poziom androgenów, zwłaszcza testosteronu, tym wyższy poziom męskiej agresji, a niższy empatii – czyli możliwości zrozumienia doznań innych osób.

Tu wtrącił się Latona dotąd milcząco potakujący.

– Tak więc w zasadzie mózg mężczyzny jest bardziej ukierunkowany na agresję, impulsywność i przestępstwa niż mózg kobiety. Nie znaczy to jednak, że wszyscy mężczyźni to kryminaliści.

– Oczywiście, że nie – odparła Kathy z krzywym uśmiechem. – Przestępcy dopuszczający się zbrodni ze szczególnym okrucieństwem stanowią znikomy odsetek mężczyzn, dalece wykraczający poza normy zachowania. W ich przypadku te naturalne różnice nasiliły się w przesadny sposób. Istnieje cała gama testów fizjologicznych, które pozwalają na ich rzetelną ocenę. I tak na przykład możemy zmierzyć poziom monoaminooksydazy we krwi. To enzym spełniający funkcję markera serotoniny. Możemy też monitorować poziom aktywności mózgu poprzez użycie tomografii i elektroencefalogramów...

– No dobrze – wszedł jej w słowo Latona. – Zatem przestępcy różnią się pod względem fizjologicznym. Ale jak się ma do tego genetyka?

– Najnowszy wynalazek, jakim jest genoskop, umożliwia naukowcom odczytywanie całej sekwencji instrukcji genetycznych organizmu – wyjaśniła genetyczka. – Dzięki badaniom nad agresją ssaków naczelnych zidentyfikowaliśmy siedemnaście kluczowych genów, kodujących wytwarzanie newralgicznych hormonów i neuroprzekaźników u naczelnych płci męskiej, w tym ludzi. Te współzależne geny determinują zachowania agresywne u mężczyzn. Na podstawie parametrów propagatora – swego rodzaju „poziomu głośności” danego genu możemy stwierdzić, jak ten gen będzie podawał swoje instrukcje. Możemy na przykład przewidzieć niebezpiecznie niski poziom serotoniny lub wysoki testosteronu, studiując układ genów. Odkryliśmy, że chociaż sekwencja genów każdego z nas zmienia się w zależności od określonych bodźców, to podstawowa jej wersja jest u każdego inna. Jeśli potraktujemy kluczowe siedemnaście genów jak karty, to każdemu człowiekowi przypada nieco inne rozdanie.

– Czy to prawda, że choć badania prowadzono początkowo na małpach, ich wyniki mają również zastosowanie do ludzi? – dopytywał się Latona.

– Owszem, moje najnowsze badania w dużej mierze to potwierdzają.

– Tak więc geny człowieka decydują o tym, czy stanie się przestępcą?

– Do pewnego stopnia tak. Chciałabym jednak jeszcze raz podkreślić to, o czym mówiłam wcześniej. Czynniki środowiskowe, społeczne i kulturowe również odgrywają rolę. Jednakże kluczowe jest to, że ludzie różnią się od zwierząt. Posiadamy wszak świadomość. Oznacza to, iż jesteśmy świadomi konsekwencji swoich czynów. Tak więc bez względu na genetyczne predyspozycje wolna wola odgrywa istotną rolę w dokonywaniu przez nas wyborów. Z pewnością jednak niektórym mężczyznom, bez względu na inne czynniki, trudniej będzie zachowywać się w sposób, jakiego oczekuje od nich społeczeństwo. Geny, które odziedziczyli po swych rodzicach, ograniczają im możliwość wyboru.

Decker uśmiechnął się pod nosem. Nie da się ukryć, mówiła przekonująco. Zawsze dobrze wypadła jako nauczyciela. Potrafiła prosto przedstawić nawet najbardziej złożony problem. Dla niej świat był jedną wielką łamigłówką którą, przy odpowiednim wysiłku umysłowym, można było rozłożyć na czynniki pierwsze, by odkryć jedną dominującą regułę, która wyjaśniała wszystko. Całość nie była dla niej niczym więcej, jak tylko sumą części składowych. I tu się właśnie zasadniczo różnili. Dla niego całość istniała sama w sobie. Nigdy nie pojmował, jak istotę ludzką można zredukować do kilku linijek kodu... czy też spirali DNA. Tego ostatniego lata w Harvardzie, Kathy Kerr i Decker byli kochankami, większość czasu spędzali na ożywionych dyskusjach. Jedynie w łóżku obywano się bez kłótni. Pomyślał o tych kilku związkach, w które zaangażował się przez ostatnie dziewięć lat. Zdał sobie naraz sprawę, że pomimo tych tarć żaden z nich nie odcisnął mu się w pamięci równie mocno, jak te letnie miesiące spędzone z Kathy.

– Zna pani historię rodziny Wayne’a Tice’a, prawda, doktor Kerr? – zapytał prawnik, umieszczając na sztalugach w zasięgu wzroku sędziego dużą planszę. Sieć połączonych liniami nazwisk tworzyła drzewo genealogiczne.

– Tak – potwierdziła. – Dlatego właśnie zgodziłam się zaangażować w tę sprawę.

Luke wiedział, czego się spodziewać. On też przestudiował drzewo genealogiczne Tice’ów. Latona wyjaśniał, iż cztery pokolenia mężczyzn z rodziny Tice’ów przejawiały, z dwoma tylko wyjątkami, zbrodnicze skłonności. Wszyscy oni znani byli z agresywności. Nikt z ich rodzinnego miasteczka nie uznałby żadnego Tice’a za dobrą partię dla swojej córki.

Widok planszy zdenerwował Beckera. Czy Tice mógł na coś narzekać? Chyba tylko na to, że matka zbyt dominowała w rodzinie, a przy odnoszącym sukcesy bracie czuł się nieudacznikiem; Tice’owi powodziło się całkiem nieźle. Decker oddałby wszystko, żeby mieć pełną rodzinę... żeby znać swojego ojca.

Jego ojciec, biegle znający rosyjski, kapitan Richard Decker był śledczym marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych w najgorszym okresie Zimnej Wojny. Jako dziecko Decker często wyobrażał sobie, jak ojciec przesłuchuje jakiegoś sowieckiego admirała, żeby uratować świat. Matka zawsze go zapewniała, że swoją zdolność zagładania w umysły innych ludzi, tak niezwykłą i niepokojącą, musiał odziedziczyć po swym ojcu. Jednak to nie sowieci zabili jego ojca. Zrobił to jakiś bandzior na ulicy San Francisco. Między innymi z tej przyczyny Decker wstąpił do FBI – chciał walczyć z przestępczością szerzącą się na ulicach.

Tymczasem adwokat zwrócił się ponownie do Kathy.

– Doktor Kerr, czy poddała pani testom mojego klienta i jego najbliższych żyjących

krewnych?

– Owszem – odparła. – Zeskanowałam geny Wayne’a Tice’a. Przeprowadziłam również serię dodatkowych testów. Sprawdziłam poziom serotoniny, testosteronu i adrenaliny. Zrobiłam mu też tomografię, aby sprawdzić aktywność płata czołowego mózgu. Wyniki plasują Tice’a w górnych pięciu procentach mężczyzn ze skłonnościami do przemocy. Badania jego krewnych płci męskiej dały podobne rezultaty, choć nie aż tak alarmujące.

– Czy można zatem powiedzieć, że zarówno on, jak i większość mężczyzn w jego rodzinie posiadają taką kombinację genów, która predysponuje ich do agresywnych zachowań i przestępstw?

– Tak, ale...

– A więc Wayne Tice tańczy, jak mu jego geny zagrają?

– Tak – przyznała z wahaniem Kathy.

Latona uśmiechnął się z tryumfem i zwrócił się do sędziego:

– Tak więc, Wysoki Sądzie, Wayne Tice urodził się z takim zestawem genów, że po prostu musiał popełnić morderstwo.

– Tego nie powiedziałam! – zaprotestowała Kathy. – Mówiłam tylko o skłonnościach. Nic więcej. Ostatecznie to do danej osoby należy decyzja...

– Przepraszam, Wysoki Sądzie – poprawił się adwokat, nim sędzia zdążył zareagować. – Był zatem predysponowany do tego, by popełnić zbrodnię. Chodzi mi jednak o to, jak można karać Wayne’a Tice’a za jego czyny? Powinien się nim zająć psychiatra nie kat. Robił to, bo taki się urodził. – Latona zwrócił się na powrót do Kathy Kerr. – Jak można skazywać człowieka na śmierć za to tylko, że robił, co kazała mu natura?

Odpowiedziawszy na pytania Latony i prokuratora okręgowego, Kathy Kerr powróciła na miejsce. Zadowolona, że ma już to za sobą wreszcie się odprężyła. Z wyjątkiem wykładów, nie lubiła wystąpień publicznych, a już zwłaszcza w sądzie, gdzie jej słowa można było przekreślić tak, by służyły określonym celom. Latona próbował wykorzystać jej zeznania, by zdjąć z Tice'a odpowiedzialność za jego zbrodnię. Zgodziła się zeznawać tylko dlatego, że Tice doskonale nadałby się do badań, gdyby Viro-Vector uzyskał zgodę FDA na rozpoczęcie prób klinicznych w ramach drugiego etapu projektu Sumienie. Kathy nie podobał się pomysł, żeby Tice dzięki jej teorii wymigał się od odpowiedzialności za swe czyny.

Była jeszcze inna przyczyna, dla której nie czuła się zbyt pewnie jako świadek. Wiedziała wcześniej, że spotka tu Luke'a Deckera.

Kiedy patrzyła teraz, jak zajmuje miejsce dla świadka, gdzie sama niedawno siedziała, z zaskoczeniem dostrzegła, jak bardzo się zmienił. Jeśli chodzi o wygląd, był taki, jakim go zapamiętała. Owszem, zmężniał, obciął na krótko blond włosy, a rysy twarzy zrobiły się bardziej wyraziste, jednak z przenikliwych zielonych oczu biła ta sama wrażliwość i inteligencja. Różnił się sposobem bycia. Roztaczał wokół siebie jakąś aurę władczości. Kroczył pewnym krokiem. Ze zwierzyny przeistoczył się w myśliwego.

Tak jak większość Amerykanów, miała okazję oglądać w mediach zdjęcie Deckera, wynoszącego Tammy Lewis z cmentarza. Od razu rozpoznała ten wyraz twarzy. Pamiętała go sprzed lat, gdy budził się z koszmarne snu o trzeciej nad ranem.

Wówczas byli jeszcze kochankami. Poznała Luke'a Deckera w harwardzkiej bibliotece. Wpadła na niego, a on upuścił na podłogę trzymane w rękach książki. Każda z nich dotyczyła mrocznej strony ludzkiej natury – od biografii Jeffreya Dahmera i Teda Bundy'ego po podręczniki kryminalistyki behawioralnej. Kiedy przeprosiła, z powrotem wziął stos książek, żartując, jak ciężka bywa lektura do poduszki.

Już wtedy odrzucała awanse mężczyzn, nie chcąc odrywać się od pracy. Mimo to poczuła rozczarowanie, gdy łagodne zielone oczy Deckera spoczęły na niej na chwilę, a potem ruszył dalej w swoją stronę. Nie zamierzał korzystać z okazji. Musiała wziąć sprawy w swoje ręce. Wyjąkała, że pomoże mu nieść książki w ramach przeprosin.

– Jeśli masz ochotę – odpowiedział, wzruszając ramionami. Jego nonszalancja sfrustrowała ją, ale też zafascynowała.

Nie potrafili osiągnąć porozumienia w żadnej dyskusji, jednak już po dwóch tygodniach poszli ze sobą do łóżka. W tych krótkich, magicznych chwilach zgadzali się idealnie. W końcu stali się niemal nierozłączni, ale on i tak nie otworzył się całkowicie. Jedynie wówczas, gdy w środku nocy siadał wyprostowany w łóżku, zlany zimnym potem, z oczami szeroko rozwartymi przerażeniem, Kathy na moment mogła zajrzeć w jego duszę. Zaczynał wtedy mówić, jakby zwracając się do niewidzialnego rozmówcy. W głosie dało się słyszeć gniew: „Chciałeś mieć poczucie kontroli, prawda? Dlatego to zrobiłeś. Nie chciałeś tak naprawdę, by umarły. Chciałeś tylko mieć niewolnice, które spełnią każdą twą zachciankę”. Jakby

rozwiązywał w podświadomości jakąś dręczącą go zagadkę. Z początku próbowała go uspokajać, potem jednak zdała sobie sprawę, że przez cały czas spał. Rankiem nic z tego nie pamiętał. Wiedział tylko, że rozwikłał zagadkę, która od dłuższego czasu nie dawała mu spokoju. Dopiero po wielu tygodniach zrozumiała, iż posiadał zdolność rozumienia męskich żądź dalece wykraczającą poza to, co zazwyczaj nazywamy doświadczeniem. Zdolność, która go prześladowała.

Jego matka mawiała, że intuicję ma po ojcu. Kathy wiedziała jednak, iż jest to coś więcej niż tylko intuicja. Decker bał się, że jest w jakiś sposób naznaczony.

Będąc jeszcze na Harvardzie, śledził najważniejsze sprawy w kraju i udzielał konsultacji miejscowej policji, a nawet FBI. Zawsze czuła, iż kieruje nim jakaś wewnętrzna siła. Coś, czego nie mogła nawet pojąć.

Mogła znieść ich kłótnie i to, że nie mogli zgodzić się w niczym, a już zwłaszcza w kwestii poglądów na pochodzenie zbrodni. Najtrudniej było jej zdzierżyć tę jego powściągliwość. Nie potrafił się odprężyć. Nigdy nie opuszczał gardy. Stale się pilnował. Mimo swej niezależności, Kathy chciała być komuś potrzebna.

Teraz jednak, kiedy patrzyła, jak Luke odpowiada na pytania prokuratora, przyłapała się na tym, że zastanawia się, jakby to było, gdyby spotkali się w innym czasie.

Po powrocie z Cambridge często słyszała o nim, przy okazji współpracy z FBI. Ale za każdym razem, gdy podejmowała nieśmiałą próbę skontaktowania się z nim, okazywało się, że akurat go nie ma. Podróżował po całym kraju, pomagając w rozwiązywaniu zagadek kryminalnych lub ucząc policjantów, jak sporządzać profile przestępców. Mimo że nowa dyrekcja polegała raczej na naukach ścisłych i biologii, agent specjalny Luke Decker stale udowodniał, że jest niezastąpiony, gdy przychodziło do rozwiązywania naprawdę trudnych spraw. Słyszała, że jego współpracownicy nazywali go „Nieludzkim Lukiem” – ze względu na jego zdolności. Mogła mieć jedynie nadzieję, że polując na ludzkie demony, Luke znalazł wreszcie wytchnienie od tych, które kłębiły się w jego głowie.

– Nie wiem, czy Tice’a należy stracić, czy też nie – usłyszała głos Deckera. Mówił spokojnie, ale słycać było, że jest zły. – To nie moja sprawa. Moim zadaniem jest tylko dopilnować, by nie znalazł się z powrotem na wolności, ani teraz, ani nigdy.

Mimo wszystkich jego wad, mimo jego braku wiary w genetykę, jedno w Deckerze podziwiała ponad wszystko: tę niemal naiwną prawość.

Kiedy jednak Latona wziął się do przepytывania świadka, szybko zdał sobie sprawę, że nie ma do czynienia z naiwniakiem.

– Z pewnością jednak po wysłuchaniu doktor Kerr musi pan się zgodzić, iż Tice potrzebuje pomocy – zapytał. – Że jest genetycznie zaprogramowany, by robić to, co robił?

Decker uśmiechnął się szeroko, rozbrajająco, jakby chciał powiedzieć: „Chyba nie sądzicie, że jakkolwiek rozsądny człowiek w to uwierzy?” A potem odwrócił się ku niej.

– Doktor Kerr i ja mamy rozbieżne poglądy co do względnej istotności predyspozycji genetycznych. Geny mogą oczywiście odgrywać pewną rolę, jednak są tylko jednym z wielu czynników. Faktycznie, uważam, że pański klient potrzebuje pomocy, ale jestem też przekonany, że zawsze będzie niebezpieczny, bez względu na to, jaką terapię przejdzie.

Pozwolę sobie powiedzieć co nieco o tym, jak stał się on takim człowiekiem. – Decker odwrócił się do Tice’a, nie przestając się jednak uśmiechać. W uśmiechu tym kryło się szczere współczucie. Po raz pierwszy stojąc przed obliczem sądu, Tice stracił pewność siebie. Bezczelny uśmieszek zamarł mu na ustach. – Wayne Tice ma obecnie dwadzieścia jeden lat – podjął Decker. – Do czasu aresztowania mieszkał z rodzicami. Jego starszy brat, Jerry, odnosi sukcesy jako kierownik dużej firmy ubezpieczeniowej. Jerry uczęszczał na UCLA. Zmieniał dziewczyny jak rękawiczki. Ostatnio się ustatkował. Ma piękną żonę. Oboje rodzice zawsze rozpieszczali Jerry’ego. Wayne’owi powtarzali, by zbyt wiele nie oczekiwał od życia. Matka stale mu przypominała, że nie jest ani tak inteligentny, ani przystojny, jak jego brat.

Decker zwrócił się teraz bezpośrednio do Tice’a. Rozmawiał z nim jak zaufany przyjaciel. W jego głosie nie znać było dezaprobaty czy krytyki.

– Twoje pierwsze doświadczenia z dziewczynami nie były miłe, prawda, Wayne? Widziały tylko twoje krzywe zęby, piegi i rude włosy...

– Przepraszam, agencie Decker – wtrącił Latona, naraz tracąc rezon – ale nie sądzę, by takie pytania skierowane do oskarżonego...

Decker nie spuszczał wzroku z Tice’a. Nic go teraz nie obchodził Latona. Liczyła się tylko więź z zabójcą. Nie przestawał doń mówić.

– Byłeś nieśmiały. Chciałeś, żeby cię polubiły, ale one śmiały się z ciebie, prawda?

Tice całkiem stracił pewność siebie.

– Wysoki Sądzie – wtrącił się znów Latona. – Ten sposób zadawania pytań jest skandaliczny!

Sędzia zmierzył wzrokiem Tice’a i Deckera, nim odpowiedział:

– To nie proces, mecenasie. To tylko przesłuchanie. Chcę usłyszeć, dokąd nas zaprowadzi.

– Dlatego każdego dnia chodziłeś na siłownię – ciągnął Decker. – Chciałeś być coraz silniejszy. Ile teraz wyciskasz? Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt kilogramów?

– Dziewięćdziesiąt – odparł bezwiednie Tice.

Decker uniósł w zdumieniu brwi.

– To więcej niż ja, a jestem prawie o dziesięć centymetrów wyższy od ciebie.

Tice uśmiechnął się zadowolony.

– Poza tym trenujesz sztuki walki, prawda, Wayne? Karate?

– Tak.

– Jaki masz pas?

– Czarny.

Decker uśmiechnął się, jak człowiek dumny z młodszego brata.

– Ja sam doszedłem ledwo do brązowego.

Kathy widziała, jak Latona zrywa się, by zaprotestować, jednak sędzia usadził go niecierpliwym machnięciem ręki, z zainteresowaniem obserwując tę wymianę zdań.

– Musiało cię strasznie wnerwiać, że osiągnąłeś to wszystko, a matka dalej cię miała za frajera – dodał Decker. – Ja bym się wkurzył.

Tice nic na to nie odrzekł. Patrzył tylko na Deckera tak, jakby po raz pierwszy ktoś na

tym cholernym świecie rozumiał jego parszywy los.

– Jednak ty kochałeś swoją matkę – ciągnął Decker. – Nie mogłeś się na niej odegrać. Pomyślałeś więc, że dasz nauczkę jednej z dziewczyn. Jednej z tych ślicznotek, które się z ciebie nabijały. Pewnego dnia dziewczyna w tym samym wieku, co te, które szydziły z ciebie w szkole, przyszła do pizzerii, gdzie pracowałeś. Była miła, ale wiedziałeś, że tylko z ciebie drwi. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że dorosłeś, że zmężniałeś. Wyciskałeś dziewięćdziesiąt. Miałeś czarny pas karate. Ale ona wciąż cię ignorowała, jak jakiegoś mięczaka.

Tice pobladł. Patrzył na Deckera z szeroko otwartymi oczyma.

– Mam rację?

Tice z trudem się powstrzymał, żeby nie kiwnąć głową.

– Zabicie jej i tej drugiej było przyjemne, prawda? Miałeś, co chciałeś: kontrolę nad sytuacją. Pokazałeś im, że nie jesteś jakimś tam frajerem. Nauczyłeś szacunku... a potem zabiłeś. Ale trzecia dziewczyna była inna. Kiedy ją zabiłeś, zakryłeś jej twarz. Żałowałeś tego, co zrobiłeś Sally Anne Jennings, prawda? Bo ona cię lubiła. Przychodziła do ciebie do pizzerii i rozmawiała... naprawdę z tobą rozmawiała! Jakbyś był normalnym gościem. Mam rację?

Kathy widziała, jak Tice nerwowo przelyka ślinę. Tym razem zdecydowanie skinął głową.

– A jednak i tak ją zabiłeś. Wziąłeś jej uprzejmość za coś innego, zacząłeś się przystawiać, a kiedy się przestraszyła, zabiłeś ją. Tym razem było ci przykro, więc zakryłeś jej twarz. Próbowałeś o niej zapomnieć. Bezskutecznie. Kiedy więc napatoczyła się kolejna dziewczyna, Tammy Lewis, postanowiłeś, że zabierzesz ją na grób Sally Anne. Chciałeś pokazać Sally Anne, że nie ma nad tobą żadnej władzy. – Decker pokręcił ze smutkiem głową. – Ale ja już na ciebie czekałem. Jeśli jest to dla ciebie jakąś pociechą, Wayne, to i tak by nic nie pomogło. Nadal byłoby ci przykro z powodu zabicia Sally Anne, nieważne, ile jeszcze dziewcząt zgwałciłbyś i zabił na jej nagrobku. Prawdę mówiąc, byłoby coraz gorzej.

Tice siedział bezwładnie na krześle, kręcąc się. Reszta audytorium była w nie mniejszym szoku.

– Tu nie chodzi o genetykę – podjął Decker, zwracając się tym razem do sędziego. Wskazał ręką planszę z drzewem genealogicznym Tice'a. – Przecież brat Tice'a to pod wieloma względami przykładowy obywatel. Mówimy tu o mężczyźnie, którego zaprogramowały nie geny, lecz różne sygnały dotyczące seksu, przemocy, niedocenienia i miłości, jakie wysyłali mu zarówno rodzina, jak i rówieśnicy. Tice'a, jak nas wszystkich, ukształtowała jego przeszłość. Jednak ostateczny wybór należał do niego i na nim spoczywa też odpowiedzialność. Tice jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Zasmakował w sprawowaniu kontroli nad kobietami, których nie mógłby zdobyć w normalny sposób. Istnieje niezwykle wysokie prawdopodobieństwo, że w przyszłości powróci do swych nawyków. To nie kwestia genów. Tu chodzi o to, co ma w głowie.

Kathy widziała po minie sędziego, że nie ma szans na zmianę wyroku. Wkrótce po tym, jak Decker wrócił na miejsce, sędzia surowym głosem potwierdził jej obawy, ogłaszając, iż

apelacja Tice'a została odrzucona. Miał teraz wrócić do celi śmierci, by oczekiwać na egzekucję. Kathy nie była zwolenniczką kary śmierci – tak jak w ogóle nie była zwolenniczką zabijania. Dążyła do jednego celu – opracowania sposobu zmodyfikowania genów odpowiadających za skłonność do przemocy, by całkiem ją wyeliminować, niczym ospę. Tice byłby dobrym obiektem do prób klinicznych, w przypadku zatwierdzenia projektu Sumienie przez FDA. Doktor Alice Prince, jej sponsor z Viro Vectora, była przekonana, że zgoda FDA to zwykła formalność.

Kathy patrzyła, jak Luke podnosi się z miejsca, wymienia uścisk dłoni z prokuratorem, po czym rusza w jej stronę. Wstała, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Nagle zaczęła się denerwować. Przypomniała sobie, jak się rozstawali, gdy odprowadzał ją na lotnisko. Jak oboje bez przekonania obiecywali sobie, że pozostaną w kontakcie – wiedząc, że to już koniec. Pocałunek na pożegnanie i ani znaku życia przez dziewięć lat.

– Kathy, co za niespodzianka! Naprawdę się cieszę. – Wyciągnął rękę na powitanie.

– Ja też – odparła z uśmiechem. Z bliska wyglądał na zmęczonego. – Wiedziałam, że tu będziesz. Ale nie spodziewałam się, że spotkamy się ponownie na sali sądowej. A już z pewnością nie po przeciwnych stronach w sprawie o morderstwo.

– A ja myślałem, że zawsze byliśmy po przeciwnych stronach – odparł z uśmiechem Decker.

– Może i tak – zgodziła się, czując dawną irytację. – W każdym razie dziś wygrałeś. Kolejny złoczyńca zapakowany do celi śmierci.

Jego oczy rozbliły się na moment, jakby miał zamiar oponować. Potem jednak wzruszył ramionami z pozorną obojętnością.

– Świetnie wyglądasz, Kathy. Co robisz w Stanach? Myślałem, że jesteś w Anglii.

– Byłam. Prawie rok, ale potem dostałam grant z Viro Vectora. Mogłam przyjechać na Uniwersytet Stanforda i kontynuować swoje badania.

– Więc jesteś w Stanach od ośmiu lat? – Zachmurzył się.

– Kilkakrotnie próbowałam się z tobą skontaktować – zapewniła pospiesznie. – Ale nigdy cię nie było, kiedy dzwoniłam.

– No tak, byłem zajęty. Aż nazbyt zajęty. Co cię zatem sprowadziło do nas? Co z tą wspaniałą ofertą z Cambridge, z powodu której wróciłaś do Wielkiej Brytanii?

– Była wspaniała z akademickiego punktu widzenia. A tu przywiodły mnie względy praktyczne. Nieograniczone fundusze, dostęp do zasobów czołowej firmy biotechnologicznej i możliwość pobierania nauk od samej Alice Prince. Do tego współpraca twoich kolegów z FBI. Współpracuję bezpośrednio z dyrektorem Naylor. Już sam dostęp do federalnej bazy danych o DNA wystarczył, by mnie przekonać... – Nie chciała się popisywać, ale tak jakoś wyszło. – Może pójdziemy gdzieś na drinka? – zaproponowała nagle, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. – Pogadamy o starych czasach...

Decker zerknął na zegarek.

– Chciałbym... ale nie teraz. Nie mogę. Mam widzenie ze skazanym na śmierć mordercą.

– Takiej wymówki jeszcze nie słyszałam – podsumowała z uśmiechem Kathy.

Decker odwzajemnił uśmiech – i w tym momencie jakby odmłodził. Znow miała przed

sobą chłopaka, którego znała z Harvardu.

– Przykro mi, że tak wyszło. Wierz mi, wolałbym pójść z tobą na drinka. Ale nie mogę. Wieczorem też nie: muszę odwiedzić dziadka. A jutro wracam do Waszyngtonu. – Sięgnął do kieszeni marynarki, wydobył wizytówkę i napisał coś na odwrocie. – Słuchaj, w przyszłości zamierzam częściej wpadać do San Francisco. Masz tu adres dziadka w dzielnicy Marina, to nasz dom rodzinny. Zadzwoń. A umówimy się, kiedy wpadnę następnym razem. Chociaż ty pewnie masz teraz własny dom... męża, dzieci...

Kathy spojrzała mu prosto w oczy, jednak nic nie mogła z nich wyczytać.

– Za bardzo byłam zajęta, by wyjść za mąż, Luke – powiedziała. Przez ostatnie lata tylko trzy razy była poważniej zaangażowana, ale i te związki można pominąć milczeniem. Nie narzekała na brak powodzenia, ale ci, z którymi od czasu do czasu umawiała się na randki, nie potrafili jej zainteresować. W efekcie od trzynastu miesięcy i trzech tygodni żyła w celibacie.

Sięgnęła do kieszeni żakietu i wręczyła Deckerowi swoją wizytówkę.

– Znajdziesz mnie pod tym numerem, jak znów będziesz w mieście.

– Dzięki – odparł.

Pomyślała, że pewnie się nie zobaczą przez kolejne dziewięć lat. Z zaskoczeniem stwierdziła, jak bardzo ją to smuci. Ucisnęła jego dłoń.

– Do widzenia, Luke. Mam nadzieję, że ten twój morderca z celi śmierci powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Bagdad, Irak
Środa, 29 października, godz. 17.13

Jalahowi Chatibowi pot zalewał oczy. Jego stan nie miał jednak zbyt wiele wspólnego z duchotą pozbawionego okien pomieszczenia w piwnicy pod koszarami bagdadzkiego obozu wojskowego Al Tadzi.

– Na co czekasz? Zastrzel ich! – zasyczał mu w ucho kapitan. Chatib oparł dłoń na przedramieniu drugiej ręki i wymierzył ciężki pistolet w najbliższego z czterech mężczyzn klęczących przed nim na podłodze.

Czterech mężczyzn – wojskowych, jak on – ujęto dwie noce temu podczas próby dezercji. Większość żołnierzy ekscytowała się pogłoskami o wymarszu na południe w celu zajęcia Kuwejtu. W końcu należeli do Dywizji Pancernej Korpusu Północnego elitarnej Gwardii Republikańskiej. To ich niezwyciężone czołgi miały poprowadzić natarcie. Jednak tych czterech tchórzy wybrało dezercję. Nie z jakichś tam oddziałów z poboru, ale z dobrze odżywionej i przeszkolonej 10 Brygady. Dranie zasługiwali na śmierć. Kula w łeb to wręcz nadmiar łaski.

Nie dość tego. Chatib znał obu mężczyzn i szczerze ich nienawidził. Kiedy wstąpił do wojska, zamienili jego życie w piekło. Teraz jednak, kiedy miał okazję ich zabić, nie potrafił pociągnąć za spust.

Nie rozumiał, dlaczego.

Chatib uwielbiał służbę wojskową. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż wykonywanie rozkazów. Pochodził z przedmieść Tikritu i był mechanikiem. Dwa lata temu został przyłapany jako członek gangu podczas nieudanego napadu. Miał do wyboru – więzienie albo wojsko. Dywizja pancerna pozwoliła mu wreszcie znaleźć miejsce w życiu. Tydzień temu przeszedł szczyptę. Wyruszał na wojnę. Miał być bohaterem. Czemu więc teraz nie potrafił usłuchać rozkazu swego kapitana?

Obaj mężczyźni patrzyli teraz wprost na niego, jakby wiedzieli, że coś jest nie tak.

– Zastrzel ich – wysyczał kapitan, niemal dotykając ustami ucha Chatiba.

– Panie kapitanie, my ich zastrzelimy – wyszeptał Ali Keram, jeden z pięciu pozostałych żołnierzy stojących w głębi pomieszczenia.

– Nie – odparł kapitan. Twarz mu poczerwieniała z wściekłości. Wyszarpnął z kabury rewolwer i przyłożył lufę do skroni Chatiba. – Wydałem rozkaz szeregowemu Chatibowi i to on go wykona. Jeśli nie, zastrzelę jak psa.

Chatib otarł pot z twarzy rękawem tuniki. Szorstki materiał podrażnił krosty na policzkach.

Czuł zamęt w głowie. Zeszłej nocy przyśnili mu się ludzie, których okradał w przeszłości. Naigrawali się, wypominali grzeszki z przeszłości. Czuł się rozdarty, nie wiedział, co się z nim dzieje. W ciągu ostatnich kilku dni dręczyły go to napady wściekłości, to depresji

wywołanej poczuciem winy. Próbował ukrywać te wahania nastroju, ale teraz doszło do tego, że nawet nie chciał ruszać na wojnę. Potrafił chyba zrozumieć tych parszywych dezertów!

Stał tak w tej ponurej piwnicy, spoglądał na brudne ściany, mierzył z pistoletu w skazańców, ale nie mógł pociągnąć za spust. Lufa rewolweru kapitana wpijała się w skroń Chatiba, a on zamknął mimowolnie oczy i obojętnie czekał na strzał. W tym momencie śmierć zdała mu się jedyną ucieczką od psychicznych katuszy.

Salah Chatib upuścił broń, która ze szczękiem upadła na kamienną posadzkę.

Nie słyszał już, jak kapitan wydaje rozkaz pozostałym żołnierzom, nie widział, jak występują do przodu. Strzały rozległy się ogłuszającym echem w małym pomieszczeniu. Otworzył oczy i ujrzał ciała dezertów leżące na ziemi. Kolejne czerwone plamy krwi splamiły kamienną podłogę.

Z pełną ulgi obojętnością Chatib wsłuchał się w odgłos wystrzału z broni kapitana. Potem pocisk przeszył jego mózg i nie słyszał już nic.

*Zakład karny w San Quentin
Tego samego dnia, godz. 15.19*

Jadąc z sądu przez most Golden Gate, Luke Decker wyłączył radio samochodowe. Rzygać mu chciało na myśl o kolejnych wiadomościach o kryzysie w Iraku i zaplanowanych na przyszły tydzień wyborach prezydenckich. Już i tak wiedział, że zagłosuje na Pamelę Weiss. Chyba nie narobi większego bajzlu niż jej poprzednicy płci męskiej. Poprawił na nosie okulary i zerknął przez boczne okno na zatokę. Jasnoblękitne niebo łączyło się z turkusowym morzem, mieniącym się refleksami popołudniowego słońca, po którym płynęła armada jachtów i łodzi. Ta scena przywodziła mu na myśl dzieciństwo. Pamiętał, jak matka z dziadkiem zabierali go na Coit Tower, by stamtąd oglądać Pacyfik. Wpatrywał się w dal i wyobrażał sobie, jak jego bohaterski ojciec, którego nigdy nie poznał, macha do niego z mostku wielkiego okrętu wojennego, zawijającego do portu po kolejnej tajnej misji.

Decker dorastał nad Zatoką. Tu były jego korzenie. I wciąż istniały: dziadek, kilku przyjaciół z czasów nauki w Berkeley... sprzed wyjazdu na Harvard, sprzed pochłaniającej cały wolny czas pracy w FBI. Pewien był, że dobrze robi, porzucając duszną atmosferę Biura i wracając tu, by wykładać na Berkeley. A może odnowić znajomość z Kathy Kerr? Skoro już los chciał, by się spotkali... Tak... Tego mu tylko brakowało teraz, gdy wreszcie zaczął porządkować swoje życie. Powrotu Kathy Kerr. Niekończących się kłótni i wiecznej szamotaniny.

Zjechał z mostu i znalazł się w hrabstwie Marin. Rzucił okiem na otwartą teczkę, leżącą obok na fotelu. Z kolorowej fotografii na wierzchu sterty dokumentów spoglądała na niego twarz przystojniaka – wysoko osadzone kości policzkowe, zielone oczy, lekka opalenizna. Gęste siwe włosy starannie przycięte i wystylizowane. Wygląd wpływowego polityka, wziętego lekarza czy charyzmatycznego biznesmena.

Jednak pozory mylą. Karl Axelman był mordercą, przy którym Wayne Tice to zwykły szczeniak.

Media ochrzciły go mianem „Kolekcjonera”. Axelman był jedynym seryjnym zabójcą historii Stanów Zjednoczonych, którego skazano na śmierć bez znalezienia ciał ofiar. Axelman przez trzydzieści lat pracował jako ceniony majster budowlany, nim aresztowano go siedem lat temu pod zarzutem zamordowania co najmniej dwunastu nastolatk.

W pomieszczeniu ukrytym w jednej ze ścian jego domu w San Jose znaleziono dwanaście starannie oznaczonych pudełek. Na każdym napisane był imię i nazwisko dziewczyny, jej wzrost i waga oraz miejsce porwania. Wewnątrz znajdowały się ubrania, jakie nosiły w momencie porwania, rzeczy osobiste oraz taśmy magnetofonowe. Z taśm można było usłyszeć, jak Axelman daje każdej z ofiar minutę na wyjaśnienie, czemu powinien ją oszczędzić. Nie wolno im było się zawahać, powtarzać ani płakać, błagając o darowanie życia. Wyglądało na to, że prośby nic nie dały. Żadnej z dziewcząt nigdy już nie ujrzano.

Decker nie był osobiście zaangażowany w sprawę, czytał jednak akta i zdążył wyrobić sobie własną opinię. Pięćdziesięciokilkuletni Axelman nie utracił swych umiejętności manipulacji. Należał do doskonale zorganizowanych zabójców. Swą technikę doskonalił przez lata. Najprawdopodobniej przez większość życia łamał prawo – począwszy od molestowania, poprzez gwałty popełniane ze szczególnym okrucieństwem, aż po morderstwa. W ciągu dwudziestu lat uprowadził dwanaście nastolatk. Przerwy między kolejnymi porwaniami wynosiły mniej więcej półtora roku. Decker mógł na podstawie tego wnioskować, że każde uprowadzenie zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, zaś wyszukiwanie ofiar i wyczekiwanie na dogodny moment podniecało Axelmana w równym stopniu, co sam akt napaści, porwania i zabójstwa. Fakt, że nigdy nie odnaleziono ciał, oznaczał, iż Axelman przechowywał je gdzieś, gdzie mógł je stale odwiedzać. To pozwalało mu przez dłuższy czas tłumić mordercze skłonności.

Karla Axelmana nigdy by nie złapano, gdyby nie to, że siedem lat temu jego džip cherokee miał stłuczkę na Bay Bridge. Kalifornijska drogówka odkryła w odtwarzaczu jego samochodu taśmę, z której rozlegał się głos jednej z dziewcząt, błagający o darowanie życia. Najwidoczniej Axelman słuchał taśmy dla przyjemności, na zmianę z hitami The Carpenters i balladami Leonarda Cohena, jadąc z domu na plac budowy, gdzie wówczas pracował. Decker zgadywał, iż było to kolejne trofeum – tak jak popakowane w pudełka rzeczy osobiste ofiar – pozwalające zabójcy na nowo przeżywać swe zbrodnie.

Po aresztowaniu Axelmana FBI przeszukało jego dom, znajdując w końcu dwanaście pudełek. Koledzy Deckera z kryminalistyki nie mogli sobie wymarzyć lepszych dowodów winy. Jednak mimo nalegań, gróźb i prośb Karl Axelman nigdy nie wyjawiał im, gdzie znajdują się ciała. „Nie martwcie się – mówił z mrozącym krew w żyłach uśmiechem. – Ciała są w idealnym stanie. I takimi pozostaną”.

Nawet po tym, jak skazano go na śmierć, nie wykazał skruchy ani najmniejszej chęci wyjawienia, jak zginęły ofiary, co zrobił z ich ciałami. Trzykrotnie przesłuchiwali go różni agenci – jak dotąd bez rezultatu.

Tak więc, zbliżając się do żółtych murów zakładu karnego San Quentin, Decker nie miał złudzeń co do swych szans. Jednak musiał spróbować. Mogła to być ostatnia po temu okazja. Przez ostatnie siedem lat Axelmanowi udawało się jakoś odwlekać randkę z katem w

niedawno przywróconej do użytku komorze gazowej. Kilkakrotne apelacje zaowocowały odroczeniem egzekucji. Decker zerknął do akt. Datę stracenia skazańca wyznaczono na jutro, na czwartek, trzydziestego października. Mimo to istniało co najmniej pięćdziesiąt procent szans, że znów się wywinie.

Zostawił samochód na parkingu dla odwiedzających, cały czas zastanawiając się, dlaczego Axelman poprosił, by przesłuchującym był właśnie on. Dlaczego wymienił go z nazwiska. Pewnie chodziło o zaangażowanie w sprawę Tice'a. Czasem tak się zdarza po rozwikłaniu głośniejszej sprawy.

Zdjął marynarkę i krawat, podwinął rękawy. Nie chciał, przesłuchując skazańca oczekującego na wykonanie wyroku, wyglądać jak urzędnik. Zebrał materiały, wrzucił do teczki i zamknął w bagażniku. Wziął ze sobą tylko pióro, papier i dyktafon, po czym ruszył ku bramie więzienia.

W związku z niedawnymi zmianami zabezpieczeń San Quentin, jak większość więzień stanowych, podwoiło liczbę strażników. Decker dawniej często tu bywał i znał z widzenia ludzi przy bramie, gdzie składał w depozycie broń i okazywał oznakę. Nikt nie zadał sobie trudu, by spytać o cel wizyty – kazano mu tylko przejść przez wykrywacz metali i rentgen. Jeden ze strażników, czarny wielkolud w starannie odprasowanym uniformie, niejaki Clarence Pitt, wprowadził go na teren więzienia. Eskorta nie była konieczna. Decker dobrze wiedział, dokąd zmierza. Poprosił o oddzielny pokój widzeń, z którego zawsze korzystał, przesłuchując skazańców.

– Oglądałeś mecz, Decker? – spytał Clarence Pitt, kiedy szli przez blok przystosowawczy, gdzie umieszczano nowo przybyłych skazanych na śmierć. – Czterdziestki dziewiątki znów przerżnęły.

Decker się roześmiał. W dzieciństwie był ich zagorzałym kibicem.

– A czegoś się spodziewał? Kiedy to ostatni raz wygrali?

Pitt pokręcił głową i zmarszczył brwi. Wyglądał na szczerze zasmuconego.

– Trzeba mieć nadzieję – odrzekł, po czym zatopił się we własnych myślach.

– A żebyś wiedział – wymruczał Decker, rozglądając się dokoła. Nienawidził takich miejsc, a z upływem czasu ta nienawiść narastała. Zawsze, kiedy je odwiedzał, czuł wszechobecny charakterystyczny odór – gorzką mieszankę środków dezynfekcyjnych, zastalego powietrza, potu... i rozpachy. Kiedy zbliżali się do bloku północnego, gdzie wznosił się zielony komin komory gazowej, wypluwający toksyczne opary w błękit nieba, Luke wbił wzrok w swoje buty. Humor poprawił mu się na moment, gdy przypomniał sobie, że to jego ostatnia wizyta w celi śmierci.

Wreszcie dotarli do pokoju widzeń. Pitt zatrzymał się przy zamkniętych stalowych drzwiach, by przepuścić Deckera.

– Czeka w środku. Jest z nim jego adwokat – poinformował. – Znasz procedurę. Jakbyś mnie potrzebował, będę na zewnątrz.

– Dzięki, Clarence.

W myśli powtórzył sobie kluczowe kwestie, które chciał poruszyć w rozmowie z Axelmanem. Przypomniał sobie strategię, jaką zamierzał obrać. Wziął głęboki oddech,

upewniając się, że jest spokojny i panuje nad sytuacją po czym otworzył drzwi.

Niewiele rzeczy było w stanie go zaskoczyć. Jednak widok Karla Axelmana, siedzącego z rękoma przykutymi do stalowego stołu na środku pokoju, zaszokował go. Jeszcze bardziej zdumiał go jednak wyraz twarzy Axelmana.

Decker natychmiast zwrócił się do adwokata skazańca, chcąc odzyskać opanowanie. Prawnik przedstawił się jako Tad Rosenblum. Był to pulchny jegomość o twarzy cherubinka, z brązowymi loczkami, siwiejącymi na skroniach.

– Panie Decker – odezwał się – chcę, by było jasne, iż mój klient zgodził się na rozmowę z panem wbrew moim wyraźnym instrukcjom. Datę egzekucji wyznaczono na jutro. Apelacja wpłynęła już do gubernatora. Mój klient znajduje się w stanie wielkiego wzburzenia, zakłócającego racjonalne myślenie. Jeśli dojdę do wniosku, że rozmowa z panem jeszcze pogarsza jego stan, natychmiast przerwę to przesłuchanie. Czy wyrażam się jasno?

Decker wolno skinął głową. Nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić Rosenblumowi, że to jego klient prosił o widzenie z nim, nie na odwrót. Nie powiedział też, że jeśli poczuje, iż Axelman marnuje jego czas, sam przerwie rozmowę.

– Panie Rosenblum – rzekł – odniosłem wrażenie, że pański klient chciał ze mną porozmawiać na osobności.

Rosenblum zmarszczył brwi. Decker widział, jak drży mu szczęka.

– Dobrze, poczekam na zewnątrz – wydusił wreszcie.

Decker zwrócił się na powrót do Axelmana. Starał się, by jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Nie było to jednak łatwe. Axelman nie przypominał już przystojniaka ze zdjęcia. Gęste dawniej włosy wypadały całymi garściami. Spod spodu prześwitywał różowy skalp. Skórę pokrywały wypryski. Twarz świadczyła o długotrwałym braku snu. Oczy miał nabiegłe krwią, pod oczami worki. Jednak Deckera najbardziej wyprowadzał z równowagi sposób, w jaki wpatrywały się w niego te oczy. Axelman sprawiał wrażenie zahipnotyzowanego widokiem Luke'a. Studiował go niczym unikalny antyk, w którego autentyczność trudno uwierzyć.

Decker zasiadł przy stole, twarzą w twarz z zabójcą.

– Karl, nazywam się Luke Decker. Jestem szefem sekcji behawioralnej na akademii FBI w Quantico, w stanie Wirginia. Chciałeś ze mną o czymś porozmawiać.

Axelmann tylko patrzył na niego w milczeniu. Rosenblum miał rację. Nie zachowywał się racjonalnie. Nie był tym samym człowiekiem, o którym czytał Decker. Axelman miał mieć serce z lodu i obsesję na punkcie kontrolowania się. Decker spodziewał się aroganta, który będzie udawał, iż zdradzi miejsce pochówku ofiar, po to tylko, by w ostatniej chwili wyśmiać go. Jednak siedzący przed nim mężczyzna wyglądał tak, jakby był na granicy załamania nerwowego. Czyżby zbliżająca się egzekucja wstrząsnęła nim wreszcie? A może to tylko kolejna sztuczka?

Decker uśmiechnął się do Axelmana, jakby był on pacjentem, nie kryminalistą.

– Karl – odezwał się przyjaźnie, lekkim tonem – chcesz mi coś powiedzieć? O czymś ze mną porozmawiać?

Przez sekundę myślał, że Axelman coś powie. Zabójca pochylił się do przodu, a Decker

instynktownie zrobił to samo. Jednak Axelman pokręcił głową i wydał z siebie cichy jęk, jakby toczył wewnętrzną walkę.

– Nie mogę ci powiedzieć – wyszeptał, łapiąc się oburącz za głowę.

Decker zmarszczył brwi. On też bił się z myślami. Doświadczenie podsuwało mu, że przesłuchiwany chce go wystawić do wiatru, jak trzech poprzednich agentów. Widział jednak, że najwyraźniej coś go trapi.

– Czemu nie możesz? – spytał spokojnie.

– Nie mogę! – krzyknął naraz Axelman. – Myślałem, że mogę. Ale, kurwa, nie mogę!

Zaczął trząść się cały. Głowę ukrył w dłoniach, jakby chciał ją zmiażdżyć. Najpierw nie mógł przestać gapić się na Deckera, teraz nie potrafił spojrzeć mu w oczy.

Decker wolno wstał od stołu. Widział już wcześniej, jak zabójcy udają szaleństwo, manipulując rozmówcą. Wielu robiło to w sposób doskonały, a jednak potrafił ich przejrzeć. Tym razem było inaczej.

– Jeśli nie masz mi nic do powiedzenia, mogę wyjść – oświadczył spokojnie.

Axelman zerwał się z miejsca, robiąc krok ku niemu mimo krępujących go kajdanek.

– Nie! – zawołał w panice.

– No to porozmawiaj ze mną. Po co mam zostawać, skoro nic nie mówisz?

– Nie mogę! – znów krzyknął Axelman. Zbyt głośno. Decker usłyszał za plecami odgłos odsuwanej rygli. Skazaniec albo całkiem postradał zmysły, albo odgrywał całkiem przekonująco szopkę. Tak czy inaczej, Luke nie był zbyt rozczarowany faktem, że nadopiekuńczy adwokat Axelmana wkracza, by przerwać przesłuchanie.

Jednak instynkt podpowiedział mu, by podjąć ostatnią próbę. Ruszając ku drzwiom, zobaczył, że ktoś z zewnątrz przekręca już klamkę.

– Wychodzę, Karl – oświadczył spokojnie. – Wyjaśnij mi jedno, nim sobie pójdę. Czemu nie możesz mi powiedzieć? W czym tkwi problem?

Axelman opadł z powrotem na krzesło, ostatecznie pokonany. Jednocześnie powiedział cicho coś tak niewiarygodnego, że Decker uznał, że się przesłyszał.

Podszedł z powrotem do mordercy.

– Co takiego? Co mówiłeś?

Axelman siedział nieruchomo niczym posąg, z opuszczonymi ramionami, z opuszczoną głową. Kropla potu skapnęła mu z czubka nosa na stół. Decker słyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi, jednak zanim Rosenblum zdołał dostać się do środka, Decker złapał za klamkę i całym ciałem naparł na drzwi, żeby nie dało się ich otworzyć.

I wówczas Axelman powtórzył to, co mówił wcześniej.

Choć zabójca wyszeptał te cztery słowa, Decker usłyszał każde z nich tak wyraźnie, jakby wykrzyczano mu je do ucha...

– Luke, jestem twoim ojcem.

Siedziba Viro-Vector Solutions, Palo Alto, Kalifornia
Środa, 29 października, godz. 15.47

Doktor Alice Prince była tego dnia bardziej zajęta niż zwykle. Poprawiła okrągłe okulary o grubych szklach i zaczesła do tyłu ciemne, kędzierzawe włosy, tu i ówdzie przyprószone siwizną. Krzywo zapięty biały kitel sprawiał, że prawe ramię wydawało się dłuższe. Kiedy kroczyła pod wielką kopułą holu i skinieniem głowy odwzajemniała pozdrowienia licznych członków personelu, kilku z nich zatrzymało się, by zwrócić uwagę swojej szefowej na ten defekt ubioru. Wszyscy czynili to z uśmiechem pełnym szacunku i troski, jakby zdarzało się to nie pierwszy raz. Alice dziękowała każdemu i szła dalej. Jej głowę zaprzętały ważniejsze sprawy. Nadszedł czas sfinalizowania projektu, nad którym pracowała od lat. Teraz, gdy teoria miała wkrótce stać się praktyką, zaczęła dostrzegać wszystkie drobiazgi, które mogły pokrzyżować sprawę w ostatniej chwili. Przede wszystkim starała się nie zapomnieć daty egzekucji Karla Axelmana.

Pięćdziesięciojednoletnia dzisiaj Alice Prince założyła Viro-Vector Solutions w 1987 roku, dwa dni przed swoimi trzydziestymi urodzinami. Dwadzieścia jeden lat później jej przedsiębiorstwo było już trzecią co do wielkości firmą biotechnologiczną na świecie i najbardziej znaną w branży na Zachodnim Wybrzeżu. Centralę Viro-Vectora zlokalizowano na południe od Palo Alto, między San Francisco i San Jose. Na należących do firmy rozległych terenach znajdowała się gigantyczna kryształowa kopuła, trzy niezależne stumetrowe hale produkcyjne, lądowisko dla helikopterów, kompleks sportowy oraz parking. Terenu sąsiadującego z parkiem i klubem Bellevue Golf and Country strzegło stalowe ogrodzenie z czułymi skanerami i systemem alarmowym. Kryształowa kopuła, podobnie jak reszta kompleksu, była tak zwanym inteligentnym budynkiem, zaprojektowanym przez słynnego brytyjskiego inżyniera architekta Sir Simona Canninga. Kopuła przypominała lądujący statek kosmiczny, zwłaszcza w nocy, gdy wewnętrzne lampy rozświetlały zbudowaną w znacznej mierze ze szkła konstrukcję. Wszyscy w Viro-Vector ze zwali ją jednak „górami lodową”, bowiem widoczna część budynku, mieszcząca biura handlowe, administrację i superkomputer Titania, stanowiła jedynie niewielką część całej budowli. Znacznie większą stanowiły podziemia, kryjące rozległe labirynty korytarzy i laboratoria biologiczne.

Doktor Alice Prince zmierzała właśnie do podziemnych laboratoriów. Skorzystała z jednego z trzech wyjść z holu na parterze kopuły, pokonała długi korytarz i minęła białe drzwi po lewej. Nad napisem TITANIA widniało ostrzeżenie NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Temperatura w sąsiadującej z nimi części korytarza była odczuwalnie niższa. Chłodnia, bo tak nazywali to pomieszczenie, mieściła potężny, oparty na białkach biokomputer firmy Viro-Vector. Titania była sztuczną inteligencją, nadzorującą i koordynującą pracę wszystkich inteligentnych budynków oraz większość funkcji

korporacyjnych Viro-Vectora, od przechwytywania i obróbki danych po planowanie produkcji, przygotowywanie list płac i kontrolę bezpieczeństwa.

Alice dotarła do końca korytarza, zatrzymała się przed żółtymi drzwiami oznaczonymi dużym czarnym symbolem zagrożenia biologicznego i przyłożyła dłoń do znajdującego się na nich czytnika. Titania rozpoznała jej profil DNA i przyznała jej dostęp do kompleksu laboratoriów biologicznych. Za żółtymi drzwiami znajdował się mały przedsionek z terminalem komputerowym i drukarką. Dwie pracownice w białych kitlach przywitały Alice, na co ona odpowiedziała uśmiechem. Żałowała, że nie ma lepszej pamięci do imion, pamiętała bowiem tylko ich twarze. Stamtąd udała się do kolejnego przejścia wymagającego weryfikacji tożsamości. Drzwi otworzyły się z sykiem, ukazując stację przejściową z kabinami prysznicowymi i szafkami na ubrania. Rozebrała się i stanęła pod natryskiem, po czym włożyła zieloną odzież medyczną i gogle ochronne. Weszła do jednej z dwóch żółtych wind z dużymi czarnymi znakami ostrzegawczymi na drzwiach.

W windzie znajdował się tylko jeden oznaczony gwiazdką przycisk. Kiedy go nacisnęła, drzwi windy zamknęły się i poczuła, jak szybkoieżna kabina zjeżdża piętnaście metrów pod ziemię, do głównego kompleksu. Gdy drzwi się otworzyły, gogle ochroniły jej oczy przed światłem ultrafioletowym z korytarza izolacyjnego. Promieniowanie miało za zadanie niszczyć wirusy. Korytarz kończył się wejściem do podziemnego systemu pięciu koncentrycznych kręgów, tworzących kompleks laboratoriów bezpieczeństwa biologicznego firmy Viro-Vector .

Budowlę wzniesiono zgodnie z najsurowszymi wymogami federalnymi. Miała wytrzymać trzęsienie ziemi i bezpośrednie uderzenie każdej głowicy bojowej. Chodziło nie tyle o zabezpieczenie tego, co znajdowało się w środku, ile o pewność, że nic nie wymknie się na zewnątrz. Koncentryczny kompleks oparto na modelu rosyjskim. W każdym z hermetycznych kręgów o szklanych ścianach panowało ciśnienie tym niższe, im bliżej centrum dany krąg się znajdował. Ewentualne uszkodzenie szklanej ściany spowodowałoby zassanie powietrza do środka, a nie wypchnięcie go na zewnątrz struktury.

Każdy krąg wyznaczał strefę odpowiadającą jednemu ze sklasyfikowanych czterech poziomów wirusów. Wirusy poziomu pierwszego, na przykład grypy, przechowywano i badano w zewnętrznym kręgu. Wirusy poziomu drugiego i trzeciego, jak HIV czy żółtaczka, badano w dwóch kręgach bliżej centrum. Wejście tam wymagało już dodatkowych szczepień i ubrań ochronnych. Wirusy poziomu czwartego, tak zwane czynniki agresywne o wskaźniku śmiertelności do dziewięćdziesięciu procent, typu Ebola czy Marburg znajdowały się w przedostatniej strefie, w której wymagane były pełne skafandry ochronne. Nawet w instytucjach takich jak USAMRIID* [United States Army Medical Research Institute of Infectious Diseases – Instytut Medyczny Badań Chorób Zakaźnych Armii Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.)] w Fort Detrick w stanie Maryland czy Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom w Atlancie, uprawnionych do przechowywania wysoce zakaźnych czynników, nie istniało bardziej niebezpieczne miejsce niż laboratorium bezpieczeństwa biologicznego poziomu czwartego, zwane „Gorącą Strefą”.

W Viro-Vectorze znajdowało się jednak miejsce o znacznie wyższym poziomie

zagrożenia. Centralny krąg był obiektem poziomu piątego. Alice stanęła przed hermetycznymi drzwiami z wypisanym czerwonymi, wysokimi na dwadzieścia centymetrów literami ostrzeżeniem: „Zagrożenie biologiczne, poziom pierwszy”. Ponownie przyłożyła dłoń do czytnika DNA i przeszła przez drzwi. Idąc szklanym korytarzem, z obu stron widziała laboratoria poziomu pierwszego. W obszernych pomieszczeniach pracowało wielu odzianych w białe kitle wirusologów. Większość pracy na wirusach była zautomatyzowana. W kącie po prawej stronie stały ogromne chłodziarki z nierdzewnej stali, z firmową kolekcją próbek bakteriofagów. Alice Prince była z nich niezwykle dumna.

Viro-Vector szczycił się największym zbiorem próbek bakteriofagów znanych ludzkości. Te nibywirusy żywiły się bakteriami, takimi jak *Mycobacterium*, *Staphylococcus* czy *Enterococcus*. Każdy fag przypisany był do konkretnej bakterii, żerował na określonej odmianie i murował z nią tak, że bakteria nie była w stanie wykształcić nań odporności. W połowie lat dziewięćdziesiątych, w czasach, gdy potęga technologii bakteriofagowej była podważana przez potentatów farmaceutycznych, wciąż próbujących sprzedać coraz mniej skuteczne antybiotyki, Alice Prince dostrzegła swoją szansę.

Jej firma kupiła dostęp do założonej w czasach sowieckich wielkiej kolekcji bakteriofagów w Tbilisi w Gruzji. Po skopiowaniu i powiększeniu kolekcji Viro-Vector dysponował teraz próbkami wirusów zdolnych pokonać większość znanych bakterii. Ponieważ od 2000 roku wiele zachodnich placówek medycznych bezskutecznie zmagало się z odpornymi na antybiotyki superzarazkami, takimi jak odporny na metycylinę *Staphylococcus aureus* i niepoddający się wankomycynie *Enterococcus*, produkty jej firmy zaczęto stosować do odkażania sal operacyjnych. Dziś lotniska oraz wiele dworców kolejowych i portów używa kupionych od Viro-Vectora bakteriofagowych systemów odkażania powietrza w tunelach ładunkowych i rozładunkowych jako swego rodzaju antywirusowych celników, by ograniczyć ryzyko przemieszczania się po świecie zabójczych bakterii wraz z ich nosicielami. Bakteriofagi stały się głównym źródłem dochodu Viro-Vectora i znacznie przyczyniły się do rozwoju firmy.

Patrząc wprost przed siebie, Alice przeszła do hermetycznych drzwi prowadzących do poziomu drugiego i trzeciego. Tutaj laboratoria były mniejsze, a większość personelu nosiła maski. Opuściła poziom trzeci i znalazła się w strefie przygotowawczo-dekontaminacyjnej, z chemicznymi prysznicami odkażającymi, stanowiskami dezynfekcyjnymi i kolejnym rzędem szafek. Podeszła do swojej i wyjęła z niej niebieski kombinezon ochronny z napisem ALICE PRINCE na plecach. Upewniła się, że nie jest uszkodzony, włożyła go i udała się ku drzwiom do poziomu czwartego. Trzymając nieruchomo głowę, zeskanowała przez szkło maski tęczówkę oka. Potwierdziwszy w ten sposób swą tożsamość, weszła do śluzy. Gdy tylko zamknęły się pierwsze drzwi, otworzyły się kolejne i Alice znalazła się w szklanym korytarzu, biegnącym przez poziom czwarty. Była w samym centrum kompleksu biolaboratoriów. Po prawej stronie miała drzwi do laboratoriów poziomu czwartego. Przez szybę widziała naukowców ubranych podobnie do niej. Po lewej znajdowały się kolejne żółte drzwi windy. Szyb prowadził jeszcze dwa poziomy w dół, do bogato wyposażonego szpitala poziomu czwartego, pod którym znajdowała się kostnica. Z żadnego z tych dwóch obiektów

nie korzystano zbyt często, ale należało być przygotowanym na każdą ewentualność.

Doktor Prince zbliżała się do serca kompleksu, do drzwi z czerwonym napisem POZIOM PIĄTY. Po raz ostatni zatrzymała się na skanowanie tęczówki i zaczęła na otwarcie drzwi i dostęp do miejsca, które większość personelu Viro-Vectora z przekąsem nazywała Łonem.

Łono było jednym z najniebezpieczniejszych miejsc na ziemi. Na idealnie uprzątniętych blatach lśniła aparatura badawcza, a w narożniku stał blisko dwumetrowy genoskop – czarne, przypominające kształtem łabędzia urządzenie, które potrafiło rozkodować cały genom organizmu na podstawie zaledwie jednej komórki ciała. Z antypoślizgowymi białymi płytkami na podłodze, nieskazitelnymi blatami ze stali nierdzewnej, zamrażarkami i ścianami ze zbrojonego szkła pokój wyglądał zupełnie niegroźnie. Pomimo kojącej czystości człowiek nie był tu panem. Tutaj królowały wirusy. Najmniejsze uszkodzenie w skafandrze mogło oznaczać krótką wizytę w szpitalu poziomu czwartego, skąd groziło przeniesienie o piętro niżej, do kostnicy.

Kiedy jednak Prince weszła do Łona i usłyszała syk zamykających się za nią drzwi, poczuła się bezpieczniej niż na zewnątrz. Zwykle towarzyszył jej asystent, ale dziś chciała mieć całe pomieszczenie dla siebie. Miejsce zaklasyfikowano do piątego poziomu zagrożenia biologicznego, bowiem nie tylko badano tutaj zjawiska naturalne, ale i próbowano w nie ingerować. Bawiąc się w to, należało liczyć się z ryzykiem stworzenia jeszcze bardziej śmiertelnościowego szczepu.

Łono było miejscem, gdzie Prince wraz ze swym zespołem genetycznie modyfikowała i tworzyła nowe wirusy – nośniki materiału genetycznego, żyjące tylko po to, by znaleźć nosiciela i się rozmnożyć. Gdy wirus znajdzie żywiciela z nieodpornymi komórkami, wchodzi do jednej z nich i, niczym kukułka zajmująca wróble gniazdo, niszczy istniejący kod genetyczny, zastępując go swoim własnym. Następnie komórka z nowym DNA ulega podziałowi i wirus rozprzestrzenia się w organizmie.

Właściwość ta sprawia, że wirus idealnie nadaje się na nośnik terapii genetycznej – technologii dystrybucji zmodyfikowanych genów w uszkodzonych komórkach pacjenta. Prince i jej zespół potrafili unieszkodliwiać wirusy przez wyodrębnianie ich materiału genetycznego.

Następnie mogli wprowadzać do wirusa leczniczy kod DNA i tworzyć wiriony mierzące w zaatakowane rakiem czy mukowiscydozą komórki i modyfikujące ich uszkodzone geny. Produkcja wirionów stanowiła fundament działalności Viro-Vectora. Alice Prince rozkręciła firmę dzięki umiejętności zamieniania śmiertelnie niebezpiecznych wirusów w genetycznie zmodyfikowane „magiczne pociski” – najbardziej spektakularne lekarstwa w nowoczesnej medycynie. Dzięki wirionom potrafiła modyfikować ludzkie geny – poprawiać genetyczne dziedzictwo, z którym człowiek się rodził.

Viro-Vector odnosił sukcesy dzięki badaniom nad wirusowym kodem DNA. Firma rzadko pracowała nad leczniczymi genami ludzkimi, częściej nad wirionami przeznaczonymi do aplikowania pacjentowi. Zespół Prince wiedział o wirusach więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Nawet Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom w Atlancie i USAMRIID nierzadko korzystały z ich konsultacji. Wymiana personelu pomiędzy instytucjami ułatwiała

przekazywanie wiedzy.

Alice Prince znajdowała spokój w tej świątyni nauki, odizolowana od napięć świata zewnętrznego. Gdy umieszczała zabójczego filowirusa pod mikroskopem elektronowym, podziwiając jego włókniste piękno, niemal udawało jej się zapomnieć o tym, że dziesięć lat temu straciła Libby, swą jedyną córkę, czy o tym, że została porzucona przez męża. Spoglądając na kolekcję wirusów, miała poczucie bezpieczeństwa i panowania nad sytuacją. Każda z cennych fiolek działała na nią jak cudowny balsam.

Probówki w chłodziarce były powkładane w stojaki oznaczone etykietami z kodami paskowymi: FILO WIRUS EBOLA, WERSJA 3, HYBRYDA RETROWIRUSA HIV, ADENOVIRUS 5: TERAPIA GENETYCZNA NA ANEMIE SIERPOWATĄ.

Czarny stojak na dnie lodówki zawierał dwadzieścia niższych, grubszych fiolek. Każdą z nich oznaczono kodem Pentagonu. Wszystkie zawierały utworzone genetycznie wiriony do walki ze znanymi rodzajami broni biologicznej. „Biotarcza numer 7” uodparniała na węglika, a „Biotarcza numer 13” na większość znanych patogenów reowirusowych. Viro-Vector sprzedawał szczepionki wielu mocarstwom – zarówno sprzymierzonym z Ameryką jak i wrogim. Sklasyfikowane jako leki, nie podlegały nawet najbardziej rygorystycznym sankcjom.

Przesunęła dłonią po fiolkach. Pobrząkiwanie szkła zabrzmiało jak muzyka. Tutaj, w Łonie, mogła całkowicie zmieniać niektóre rzeczy, zło obracać w dobro. Tworzyć porządek z chaosu dla całego tego nieuporządkowanego świata zewnętrznego.

Z cichym westchnięciem powróciła do swych zajęć. Podeszła do małego czarnego sejfu stojącego w rogu obok genoskopu. Na przedniej ścianie widniał duży czerwony napis LENICA 101. Schyliła się i za pomocą klawiatury wprowadziła kod. Gdy drzwiczki się otworzyły, w chłodzonym wnętrzu ukazała się taca z pięcioma probówkami wielkości dużego cygara. Dwie z nich były zrobione z czerwonego szkła, trzy z zielonego. Czerwone fiołki oznaczono etykietami WIRION SUMIENIA, WERSJA 1.0 i WIRION SUMIENIA, WERSJA 1.9. Trzy zielone fiołki nosiły oznaczenie SPIRALA ZBRODNI (FAZA I – TEST TELOMEROWY), SPIRALA ZBRODNI (FAZA 2) i SPIRALA ZBRODNI (FAZA 3).

Położyła tacę na blacie obok jednego z trzech terminali i tak obróciła czerwone fiołki, aby widzieć ich kody paskowe. Podniosła czytnik i zeskanowała kody Wirionu Sumienia 1.0 i Wirionu Sumienia 1.9. Spojrzała na monitor po lewej stronie i porównała oba preparaty. Wysłała dokument do drukarki na parterze. Różnice między Wersją 1.0 a 1.9 były znikome, z pewnością zbyt nikłe, by zawracać głowę FDA* [Food and Drug Administration – Agencja ds. Żywności i Leków (przyp. tłum.)]. Miała nadzieję, że doktor Kathy Kerr zgodzi się z nią.

Spojrzała na zielone fiołki. Były znacznie ważniejsze niż wiriony projektu Sumienie. Kathy Kerr nic o nich nie wiedziała. Alice zeskanowała etykietę SPIRALA ZBRODNI (FAZA I – PRÓBA TELOMEROWA). Spojrzała na monitor komputera. Jej uwagę przykuło sześć nazwisk pod nagłówkiem SAN QUENTIN. Obok nazwisk pięciu młodszych mężczyzn widniały niedawne daty każda inna – oraz numery raportów z sekcji zwłok, te same nazwiska były zaznaczone haczykami w pierwszej kolumnie od prawej. Jak na razie wszystkie daty zgadzały się z prognozami Titanii. Jedynie szóste nazwisko pozostawało bez daty: Karl Axelman.

Alice Prince wzięła głęboki oddech. Data wyświetlona w kolumnie z lewej strony podpowiadała, że czas Axelmana miał nadejść lada dzień. Titania przyspieszyła termin wysyłki fazy drugiej do Iraku na spotkanie wiszącego w powietrzu kryzysu. Oczywiście Prince zakładała, iż faza pierwsza się powiedzie. Nie mogli przejść do fazy trzeciej, jeśli pierwsza lub druga okaże się fiaskiem. Jej niepokój pogłębił też telefon z sierocińca w Cartamenie. To pewnie tylko fałszywy alarm. Na pewno zaraz go odwołają. Jednak nieustannie zaprzętało to jej głowę. Projekt Sumienie będzie wystarczająco trudnym problemem. Być może Spirala Zbrodni okaże się zbyt ambitna, zbyt ryzykowna, cokolwiek by Madeline Naylor mówiła.

Serce Alice niemal przestało bić, gdy rozległ się przenikliwy pisk. Odruchowo sprawdziła, czy nie rozdarła skafandra. Uświadomiwszy sobie, iż był to jedynie sygnał otwarcia drzwi, odetchnęła z ulgą i przyrzekła sobie, że każe go zmienić. Za bardzo przypominał alarm uszkodzenia skafandra ochronnego. Odwróciła się i usłyszała syk powoli otwierających się hermetycznych drzwi laboratorium. A przecież wyraźnie powiedziała, że przez najbliższą godzinę chce tu być sama.

Poirytowana, wyłączyła komputer i sięgnęła po stelaż z kolorowymi fiolkami. W tym momencie do Łona weszła postać w niebieskim skafandrze. Za szybą maski Alice ujrzała uśmiechniętą, podekscytowaną twarz Kathy Kerr. Wzrok Kathy na moment zatrzymał się na fiolkach, nim Alice zdążyła je ukryć.

– Alice, właśnie się dowiedziałam. Czy to nie wspaniałe? – powiedziała Kathy.

Alice uśmiechnęła się, pozwalając Kathy się wygadać.

– FDA zatwierdziła wszystkie testy bezpieczeństwa wersji dziewiątej „Sumienia”. Wreszcie możemy zacząć testować jego skuteczność na przestępcach. Cudownie, prawda?

Alice Prince skinęła głową.

– Tak, tak, wyśmienicie – skwitowała szybko i odwróciła się, by włożyć stelaż do sejfu. Kathy Kerr była ostatnią osobą której Alice chciałaby pokazać próbówki. Doktor Kerr miała tu stały dostęp, ale pracowała nieco dalej, na Uniwersytecie Stanforda.

– Posłuchaj, Kathy, jestem teraz zajęta. Prawdę mówiąc, chciałam tu pobyć sama.

– Przepraszam, Alice. – Uśmiech Kathy zgasł. Wyglądała na zmieszaną. – Nie wiedziałam.

Alice zamknęła sejf. Wraz z dźwiękiem zatraskującego się zamka odwróciła się do Kathy.

– Nie szkodzi. To dobra wiadomość. Jutro przyjeżdża Madeline Naylor. Wtedy to uczymy, dobrze?

Kathy spojrzała na nią, najwyraźniej zawiedziona brakiem entuzjazmu z jej strony.

– Dobrze. Do zobaczenia, Alice – odparła cicho i wyszła. Kiedy tylko drzwi się za nią zamknęły, rozległ się pisk z głośnika.

– Pani doktor, mam połączenie z dyrektorem Naylor na bezpiecznej linii – oznajmił głos z interkomu.

– Dziękuję – odparła.

– Alice, jesteś tam? Możesz rozmawiać? – usłyszała donośny głos dyrektora FBI. Bez

trudu wyobraziła sobie Madeline Naylor siedzącą w swoim biurze na piątym piętrze Hoover Building w Waszyngtonie, bębniącą o blat biurka wypielęgnowanymi paznokciami w kolorze Chanel Rouge Noir. Alice ciągle bawiła myśl, że chuderlawa dwunastolatka o niezwykle jasnych włosach i ciemnych oczach, którą znała ze szkolnej ławy, teraz zarządza najpotężniejszą agencją porządku publicznego w świecie.

– Tak Madeline, jestem sama. Przyjedziesz?

– Oczywiście.

– Dostałaś mojego maila? Mamy akceptację FDA na kontynuowanie „Sumienia”.

– Wreszcie. Wiesz, że Pamela robi się coraz bardziej marudna. Wieczorem ma debatę telewizyjną, a na piątek chce mieć gotowe oświadczenie na temat „Sumienia”. No, ale lepiej późno niż wcale.

Do piątku zostały tylko dwa dni. Za mniej niż czterdzieści osiem godzin pierwszy etap ich pracy zostanie upubliczniony. Czasu było wystarczająco dużo, by wzbudzić zainteresowanie wyborców i mediów, a jednocześnie zbyt mało, by republikańscy przeciwnicy Pameli zdążyli zareagować przed wyborami zaplanowanymi na przyszły wtorek.

– Nadal jednak martwię się o Spirale Zbrodni – powiedziała Alice. – Szczepionka Biotarcza została wysłana do Iraku wcześniej z powodu pogłębiającego się kryzysu, ale mamy problem w sierocińcu, a sytuacja z testami w San Quentin...

– Przestań się zamartwiać, Alice. Dlatego dzwonię. Też mam pewne wieści.

– Tak?

– San Quentin. Stało się dokładnie tak, jak przewidziała Titania – wyjaśniała Madeline łagodniejszym już tonem. – Bądź spokojna o Spirale Zbrodni, Alice. Zobaczysz, okaże się, że Cartamena to fałszywy alarm. Zgoda FDA na kontynuację „Sumienia” jest teraz najważniejsza. Dobra robota. Spieszę się na spotkanie, będę za kilka godzin.

– Do zobaczenia – pożegnała się Alice. Głośnik umilkł. Może Madeline miała rację. Zwykle się nie myliła. Zgoda FDA na rozpoczęcie drugiej fazy „Sumienia” była niezbędna, aby Pamela Weiss mogła wygłosić swoje przedwyborcze oświadczenie. I wyglądało na to, że jest ono coraz istotniejsze, ponieważ ostatnie sondaże wyborcze wykazywały znaczną przewagę Republikanów. Zgoda FDA na rozpoczęcie testów była czystą formalnością. Pod przykrywką projektu Sumienie Alice Prince i Madeline Naylor od ponad ośmiu lat potajemnie testowały genetyczną terapię modyfikującą zachowanie na niczego niepodważających skazańcach.

*Sierociniec dla chłopców Cartamena, Meksyk
Środa, 29 października, godz. 17.23*

Doktor Victoria Valdez westchnęła, patrząc na ciało małego chłopca spoczywające na noszach. Za ledwie trzynastoletni Fernando był jednym z jej ulubieńców. Odważny i pewny siebie chudzielec o wielkich ciemnych oczach miał talent do piłki nożnej. Był zdecydowanie zbyt młody, by umrzeć na wylew. Rozejrzała się po nieskazitelnie czystej klinice wybudowanej przy sierocińcu. Jego śmierć była szczególnie wstrząsająca, gdyż dzieci umierały tutaj niezwykle rzadko.

Cartamena, sierociniec dla chłopców, położony pięćdziesiąt kilometrów na południe od stolicy Meksyku, był w bardzo dobrej sytuacji finansowej. Dużą część kosztów jego utrzymania i wszystkie wydatki na leczenie pokrywał mało znany amerykański fundusz charytatywny Nowy Początek. Fundusz przysyłał pieniądze od jakichś dziewięciu lat i zastrzegł sobie, że nie chce żadnego rozgłosu. Valdez wiedziała, że Nowy Początek to fasada spółki Viro-Vector Solutions z Kalifornii, ale skoro tak duża firma chciała bezinteresownie pomagać dzieciom, należało się tylko cieszyć.

Sama doktor Alice Prince od czasu do czasu odwiedzała sierociniec i poświęcała więcej uwagi wybranym dzieciom. Jeśli któryś z nich miał poważny problem, przekraczający kompetencje i doświadczenie doktor Valdez, doktor Prince zapewniała opiekę specjalistów. Valdez uważała, że jej sierocińcowi naprawdę się poszczęściło. Chłopcy mieli lepszą opiekę niż w jakiegokolwiek innej tego rodzaju placówce. W ciągu ostatnich dziewięciu lat zdarzyło się jednak siedem przypadków śmiertelnych, o których w Meksyku było głośno. Wszystkie zgony były tak samo nagłe i niewyjaśnione jak śmierć Fernanda. Ostatnio wypadały mu włosy, ale mogło to być na skutek braku witamin. Trądzik na twarzy był rzeczą zupełnie normalną u chłopca w jego wieku. Kładąc się spać wczoraj wieczorem, czuł się dobrze, a dziś rano już nie żył.

Zgodnie z procedurą natychmiast zadzwoniła do Nowego Początku – fundacja prosiła, by informować ich o wszystkich wypadkach śmiertelnych. Połączono ją z samą doktor Prince, której Victoria opowiedziała o śmierci chłopca, o wylewie, jako prawdopodobnej przyczynie zgonu. Victoria była wzruszona troską Alice. Zaskoczyło ją jednak pytanie: „Czy Fernando osiągnął dojrzałość płciową?” Powiedziała, że musi to sprawdzić, i odwiesiła słuchawkę. W sierocińcu zajmowano się chłopcami tylko do osiągnięcia dojrzałości, potem odsyłano ich do innych domów lub znajdowano im pracę. Zasady były surowe, Nowy Początek nalegał, by ich przestrzegać, mimo to Victoria uznała pytanie doktor Prince za co najmniej dziwne. Chłopak nie żyje. Jakie ma znaczenie, czy mógł przebywać w sierocińcu, czy nie?

Spoglądając na nagie zwłoki, znów pokręciła głową. Podeszła do ściany, podniosła słuchawkę i wybrała numer doktor Prince.

– Tak, osiągnął dojrzałość – odpowiedziała na pytanie Amerykanki – ale całkiem

niedawno.

Zmarszczyła czoło, słysząc westchnienie ulgi. Reakcja Prince była całkiem nie na miejscu.

*Marina District, San Francisco, Kalifornia,
godz. 18.47*

Luke Decker uspokoił się dopiero wtedy, gdy zatrzymał samochód przed dużym wiktoriańskim domem swojego dziadka w dzielnicy Marina w San Francisco. Przez kilka ostatnich godzin jeździł po mieście bez celu. Zastanawiał się nawet, czy nie zadzwonić do starego kumpla z Berkeley, dziennikarza Hanka Butchera, zamieszkałego w Sausalito.

Wciąż chodziło mu po głowie to, co powiedział Axelman. Decker próbował go wypytać, ale facet znów zaczął wrzeszczeć, po czym zamarł w bezruchu i Rosenblum przerwał przesłuchanie.

Przecież to nie mogło być prawdą. Axelman albo był obłąkany, albo bawił się tak dla zabicia czasu. Jednak bez względu na to, jak bardzo Decker próbował zapomnieć o tym, co usłyszał, słowa zabójcy wciąż wywoływały w nim niepokój.

Przed osiemnastoma miesiącami, gdy zmarła jego matka, pracował równocześnie nad sześcioma szczególnie makabrycznymi sprawami. Był w Buffalo w stanie Nowy Jork, gdy jego dziadek, Matty Rheiman, zadzwonił z wiadomością. Matka odeszła nagle, a jej ostatnie słowa brzmiały: „Chciałabym przed śmiercią zobaczyć mojego syna”. Dopiero gdy nazajutrz w kostnicy dotknął jej zimnej twarzy, dotarło do niego, jak bardzo się spóźnił. Tak pogrążył się w pracy, że nie znalazł dla niej czasu przez prawie dziewięć miesięcy. Poczucie winy ciążyło mu po dziś dzień niczym kula u nogi.

Jego dziadek nie wytrzymał wówczas i go zwymyślał.

– Co z tobą, Luke? Matka cię potrzebowała, a ty jej nie odwiedziłeś. Jakbyś wolał spędzać czas na uganianiu się za mordercami.

Jego słowa trafiły w sedno. Deckera przerażało to, że tak chętnie wcielał się w osobowości morderców. Czy dlatego rozumiał zło tkwiące w innych, ponieważ sam je w sobie nosił? Takie myśli, wraz z fizycznym przemęczeniem i poczuciem winy, doprowadziły go do załamania. Musiał poddać się terapii. Odbił wiele sesji z miłą panią doktor Sarah Quirke. Wcześniej wierzył, że między nim a tymi, na których polował, istnieje przepaść, że zło, które ścigał w innych, było odległe od niego.

Za młodu wypytywał matkę o swoje fascynacje ciemną stroną. Ona jednak uspokajała go, zapewniała, że jest zupełnie normalny, tak jak jego ojciec. Dlatego właśnie kapitan Richard Decker był takim dobrym śledczym. Wiedział, jakie pytania zadać wrogowi, bo myślał tak, jak on.

Ale jeśli Richard Decker nie był jego ojcem? Jeśli jego dar rozumienia ciemnej strony natury ludzkiej pochodził z innego źródła?

Decker starał się odrzucić te dręczące myśli. Wciąż myślał o Wayne Tisie i jego drzewie genealogicznym. Przypomniawszy sobie, jak sztychował z Kathy, wyśmiewał jej teorię dziedziczenia

zła.

Wysiadł z samochodu i podszedł do domu. Zastanawiał się, czy nie powinien był wcześniej zadzwonić, uprzedzić dziadka, że przyjedzie. Lubił jednak obserwować reakcję dziadka, niemal dziecięcą radość na jego widok. Dziadek wydawał się zachwycony tym, że po śmierci matki Decker częściej go odwiedzał.

Zbliżając się do frontowych drzwi, usłyszał dobiegające z pokoju na górze dźwięki muzyki. Decker wyobraził sobie dziadka stojącego ze skrzypcami opartymi o ramię; z sękatymi, ukształtowanymi przez lata grania palcami owiniętymi wokół instrumentu. Oczami wyobraźni widział otwarte na oścież duże okna, wpuszczające bryzę znad zatoki.

Pchnął drzwi, które rzadko zamykano na klucz, i wszedł do obszernego holu. Rhoda, gosposia i opiekunka Matty'ego, powitała go z salonu. Była tęgą kobietą z szerokim uśmiechem i towarzyszyła Matty'emu nieprzerwanie od śmierci jego żony przed dwunastoma laty.

– Luke, cóż za miła niespodzianka. – Ucieszyła się i podeszła, żeby go uściskać. – Jest na górze – szepnęła, puszczając porozumiewawczo oko. – Daj mi swoje rzeczy.

– Dzięki, Rhoda. Miło cię widzieć.

Decker wręczył jej swą starą torbę i poszedł na górę. Mahoniowe poręcze były świeżo wypolerowane, a zapach tego domu przypominał mu dzieciństwo. Wychował się tu pod okiem matki i jej rodziców. Spędził tu pół życia i za każdym razem, gdy przekraczał drzwi, czuł, że wraca do domu. Ze środkowej antresoli przeszedł do dużego pokoju muzycznego. W rogu stało pianino, obok niego pusty otwarty futerał na skrzypce. Wysłuzony saksofon Luke'a stał oparty o wysoki regał pełen kaset, płyt kompaktowych i staroświeckich płyt winylowych.

Na pianinie, obok metronomu, stały fotografie dziadka. Większość zdjęć zrobiono w Davies Hall, gdzie odrzucając propozycję angażu z najlepszych orkiestr na świecie, grał w filharmonii San Francisco. Inne zdjęcia przedstawiały Matty'ego w Hollywood Bowl czy w London's Royal Albert Hall z Yehudim Menuhinem. Oczywiście znajdowało się tam też jego słynne zdjęcie, na którym obejmuje Isaaca Sterna na scenie Carnegie Hall. Obok siała fotografia wysokiego blondyna i drobnej brunetki – Richarda i Rachel Deckerów, rodziców Luke'a. Ubrany w mundur marynarki mężczyzna miał krótko przystryżone włosy. Podobnie jak Luke.

Tak, jak sobie wyobrażał, dziadek stał przy dużym oknie wychodzącym na zatokę, ze skrzypcami wciśniętymi pod brodę, z Brutusem, swoim psem przewodnikiem u stóp. Odrobinę zmalął, a na głowie została mu ledwie resztką włosów. Jednak Matty Rheiman wciąż grał, jakby od tego zależało jego życie. Kiedyś tak właśnie było.

Dziadek Deckera spędził lata wczesnej młodości w obozie koncentracyjnym Buchenwald, gdzie podczas II wojny światowej większość jego rodziny zginęła w komorach gazowych. Został oślepiiony przez nazistowskiego lekarza, który eksperymentując, wstrzyknął niebieski barwnik w jego brązowe tęczówki. Zmieniając ich kolor, chciał przemienić Żyda w Aryjczyka. Dziadka ocalił tylko jego niezwykły talent muzyczny. Żona komendanta, Use Koch, chciała, by utalentowany kilkunastoletni skrzypek zabawiał gości w ich willi na terenie obozu.

– Cześć, dziadku – przywitał się Decker i podszedł, by go uściskać. Gdy objął wątle ramiona Matty’ego, uświadomił sobie, że w grudniu skończy osiemdziesiąt jeden lat.

Dziadek odwrócił się i z uśmiechem skierował martwe, nienaturalnie błękitne oczy ku Deckerowi.

– Cześć, Luke. – Ostrożnie ułożył skrzypce na pianinie. – Popatrz, kto nas odwiedził, Brutusie – rzekł, ściskając Deckera. Luke poczuł na dłoni miękkie, ciepły język Brutusa. Pies stanął na tylnych łapach i rozszczękał się, dołączając do ceremonii powitalnej.

– Siadaj, Luke. – Dziadek gestem zaprosił go na stojącą obok sofę. – Jak długo zostaniesz tym razem?

– Tylko do jutra. Potem muszę wracać do Quantico. Ale wiesz, dziadziu, myślę o przeprowadzce tutaj.

– Naprawdę? – zapytał Matty niedowierzającym tonem. – Co, mają cię już dość w Wirginii?

– Nie, myślę o ostatecznym pożegnaniu z Biurem. – Decker opowiedział mu o propozycji z Berkeley i o tym, że chciałby tu wrócić, uporządkować swoje życie.

– Najwyższy czas – skomentował Matty z szerokim uśmiechem, zdradzającym zaskoczenie. – Możesz tu zamieszkać. To przecież twój dom.

Decker się uśmiechnął. Nagle poczuł nieodpartą chęć, by zapytać go o to, co usłyszał od Axelmana. Nim jednak zdążył otworzyć usta, rozległ się dzwonek do drzwi.

Oczy Matty’ego rozbłysły.

– To pewnie Joey. Przychodzi na lekcje gry na skrzypcach. Moglibyśmy pograć razem.

– Joey Barzini? – jęknął Decker. – Wciąż się z nim zadajesz? – Matty udzielał lekcji muzyki ojcu chrzestnemu jednej z najpotężniejszych rodzin mafijnych na Zachodnim Wybrzeżu. Barzini pozornie prowadził legalne interesy, a w ciągu ostatnich dziesięciu lat co roku uroczyście ofiarowywał milion dolarów orkiestrze symfonicznej San Francisco.

Ostatnio sześćdziesięcioletni mafioso i osiemdziesięcioletni skrzypek niespodziewanie się zaprzyjaźnili. Może dlatego Matty czuł się tak spokojnie, zostawiając drzwi i okna otwarte. Nikt nie włamywałby się do domu, w którym mieszka kumpel Joeya Barzini.

– Dlaczego jeszcze się z nim spotykasz, dziadku? I po co go tu zapraszasz? Nie lubię, jak zadajesz się z bandziorami.

Matty zmarszczył brwi.

– To mój przyjaciel i lubię, jak mnie odwiedza. A to, że pochodzi z rodziny mafijnej, nie oznacza, że jest bandziorem.

– Jak się masz, Matty? – ze schodów dobiegł niski głos.

– W porządku, Joey. Chodź na górę.

Decker pokręcił głową.

– Miłej lekcji, dziadku. Idę zrobić sobie drinka.

– Zostań.

Decker położył mu dłoń na ramieniu.

– Dziadku, przyjechałem by spędzić czas z tobą, nie z Joeyem Barzinim. Nie martw się. Niedługo wrócę.

Decker właściwie nie był zły na dziadka za to, iż brata się z Barzinim. Nie był nawet zły, że nie może porozmawiać o Axelmanie. Prawdę powiedziawszy, ulżyło mu, że nie musi budzić tej śpiącej bestii. Najbardziej był zły na siebie, że nie potrafił zapomnieć o głupiej gadaninie Axelmana.

Na schodach minął postawnego faceta w garniturze. Futerał ze skrzypcami wyglądał w jego rękach jak zabawka. Miał kruczoczarne włosy i najciemniejsze oczy, jakie Luke kiedykolwiek widział. Wyglądał na nie więcej niż czterdzieści pięć lat.

Spotkali się po raz pierwszy. Wymienili ukłony.

– Pański dziadek to niezwykły człowiek – powiedział Barzini.

– Niewątpliwie – odparł Decker. – Życzę udanej lekcji.

Na zewnątrz Decker odetchnął głęboko wieczornym powietrzem i podszedł do samochodu. Mógłby spotkać się z Kathy Kerr i spróbować nadrobić stracony czas. Szybko jednak odrzucił tę myśl. Zadzwoń do Hanka Butchera czy kogokolwiek, kto będzie w pobliżu, i umów się na piwo. Dobrze mu to zrobi.

Wsiadł do samochodu i odjechał w kierunku centrum. Nie widział, jak białe bmw zatrzymuje się przed domem Matty'ego. Oczywiście nie widział też, jak adwokat Axelmana, Tad Rosenblum, wysiada z auta i puka do drzwi Matty'ego. W prawej ręce trzymał kopertę zaadresowaną niewprawną ręką do agenta specjalnego Luke'a Deckera.

Mendoza Drive, trzy kilometry od Uniwersytetu Stanforda
Środa, 29 października, godz. 21.12

W ogóle nie zainteresowała się tą wiadomością – powiedziała doktor Kathy Kerr, popijając herbatę Earl Gray. – Po niemal dziewięciu latach harówki wreszcie dostaliśmy pozwolenie FDA na testy skuteczności Fazy Drugiej. Dowiedliśmy, że Wektor Dziewiąty jest bezpieczny. W końcu dostaliśmy zielone światło, żeby sprawdzić, czy projekt Sumienie faktycznie działa u szczególnie okrutnych przestępców. Ale czy wielka doktor Alice Prince cieszy się? Jak jasna cholera... Kiedy do niej weszłam, szybko schowała te swoje drogocenne fiolki do sejfu. Może i jest geniuszem, ale czasami popada w paranoję. – Kathy przyjrzała się z uśmiechem swemu słuchaczowi. – Nie masz pojęcia, o czym mówię, prawda, Rocky?

Jakby na potwierdzenie jej słów wielki szympan przechylił głowę i zaczął drapać się po brodzie. Potem obrócił się w kierunku mrugającego telewizora, stojącego na schodku obok jego klatki, z przedłużaczem ciągnącym się przez całe podwórko aż do domu.

Była chłodna noc. Kathy siedziała obok klatki Rocky'ego na schodkach prowadzących do jej ogródka przy Mendoza Drive – wyboistej drodze niezbyt zasługującej na tę szumną nazwę. Dom Kathy, otoczony lasami i polami, stał na samym jej końcu. Najbliższych sąsiadów miała kilka kilometrów dalej – co było jak najbardziej wskazane ze względu na hałaśliwość Rocky'ego.

Prawie półtorametrowej wysokości Rocky był imponującym okazem szympana. Gdyby zechciał, mógłby rozszarpać człowieka. Był jednym z pierwszych naczelnych w projekcie Sumienie. W laboratorium Kathy w Centrum Badań Medycznych Uniwersytetu Stanforda trzymano do ośmiu małp naraz. Kiedy zaczęto badania na ludziach zgłaszających się ochotniczo, zwierzęta zostały przeniesione do okolicznych ogrodów zoologicznych.

Rocky był już na to za stary. Ze względu na jego wkład w badania Kathy czuła się zobowiązana do zaopiekowania się nim. W tym celu, pod okiem dozorca z ogrodu zoologicznego Charlesa Paddocka, zbudowała na podwórku swojego domu małą małpiarnię. Rocky odegrał znaczącą rolę w jej badaniach nad siedemnastoma genami odpowiedzialnymi za agresywne zachowanie.

Ten szympan w młodym wieku wykazywał nadzwyczaj wysoki poziom agresji. Omal nie zabił jednej z małp. Jednak kiedy poddano go terapii genowej, wykorzystując serum z genów niniejszego i spokojniejszego szympana bonobo, zachowanie Rocky'ego uległo zmianie. Przyspieszyło to prace nad projektem Sumienie, zaś reedukowany zabijaka stawał się agresywny jedynie wtedy, gdy wyczuwał, że Kathy grozi niebezpieczeństwo. Poza tym był łagodny niczym przysłowiowy baranek.

Kathy postawiła do połowy opróżniony kubek herbaty na ziemi, obok telefonu komórkowego i teczki. Po porannym przesłuchaniu w sprawie Tice'a wróciła do swojego

laboratorium przy Pasteur Drive na Uniwersytecie Stanforda. Natychmiast zapomniała o Luke'u Beckerze, kiedy otrzymała faks z FDA, przyznający jej zgodę na testy z wirionem na przestępcach, którzy zgłosili się na ochotnika. Uśmiechnięta podzieliła się wiadomością z dwojgiem swoich asystentów, Frankiem Whittakerem i Karen Stein, oraz z grupą techników laboratoryjnych. Kiedy jednak pośpieszyła do Viro-Vectora, aby podzielić się dobrą wiadomością z Alice Prince, jej chłodna reakcja odebrała Kathy pewność siebie. Mimo to zaprosiła Franka i Karen wraz z technikami do restauracji, po czym odwozła ich na lotnisko w San Francisco.

Nie pożałowała im tej sześciotygodniowej wyprawy do Konga. Sama pomogła im załatwić sponsora z Viro-Vectora. Na czas ich nieobecności Alice Prince załatwiła dwóch wykwalifikowanych zastępców z Viro-Vectora. Frank i Karen pracowali z Kathy od samego początku projektu. Byli też jej najbliższymi przyjaciółmi w Kalifornii. Spojrzawszy w czyste nocne niebo, Kathy zobaczyła przelatujący ponad jej głową samolot. Za kilka godzin ich samolot poleci w tym samym kierunku.

Sięgnęła do aktówki i wyciągnęła teczkę, którą przygotowała na jutrzejsze spotkanie z Alice Prince i dyrektorem Naylor. Spojrzała na tytuł: PROJEKT SUMIENIE – KOLEJNE ETAPY. Poczowała dreszcz podniecenia.

Czy projekt Sumienie faktycznie sprawdzi się? Chwilami Alice Prince bywała dziwna, jednak Kathy wiele się od niej nauczyła w ciągu ostatnich dziewięciu lat, które wyznaczyły kierunek rozwoju terapii genowej i technologii wirionowej. I chociaż jej druga główna sponsorka, Madeline Naylor z FBI, miała obsesję na punkcie zachowania tajemnicy, jej wskazówki również okazywały się przydatne.

Kathy wstała ze schodka i poklepała przez pręty Rocky'ego. Podniosła aktówkę, otworzyła drzwiczki i przeszła na tył klatki. Pochyliła się nad starym kufrem, przymocowanym do drewnianej podłogi. Wyciągnęła z kieszeni klucz, otworzyła nim zamek i podniosła wieko skrzyni. Sięgnęła do aktówki, wydobyla z niej płytę CD i kopię dokumentów, które przygotowała na jutrzejsze spotkanie z Madeline Naylor, po czym włożyła je do kufra. Umieściła płytę w plastikowym pudełku obok trzydziestu innych dysków. Dokumenty położyła na stos tekturowych teczek.

Prócz nielicznych prywatnych zdjęć i pamiątek kufer zawierał kopie wszystkich ważnych dokumentów, dzienników oraz wykresów postępu projektu Sumienie. Stanowiło to jej zapis kariery zawodowej; dowód na to, czego dokonała w swoim życiu. Kufer traktowała jak sejf. Żaden złodziej nie wpadłby na myśl, żeby szukać czegokolwiek w takim miejscu, a jeśli nawet, to bałby się Rocky'ego.

W skrzyni znajdowały się świadectwa wszystkich jej porażek i zwycięstw. Początkowo istniało pewne ryzyko, że serum zwiększa ryzyko rozwoju raka jąder u testowanych naczelnych i ich pierwotnych płci męskiej. Mimo że prawdopodobieństwo takie było znikome, czterokrotnie zmieniali ilość składników, dostosowując je stopniowo, póki całkowicie nie wyeliminowano niebezpieczeństwa. Kiedy pojawiły się kolejne problemy, całą procedurę powtarzano. Niczego nie pozostawiano przypadkowi. Kathy była mile zaskoczona entuzjazmem, jaki wobec jej dokładności przejawiały sponsorki z FBI i Viro-Vectora.

„Niczego nie pomiń – przypominała Alice Prince, jak zwykle z dyskretnym uśmiechem. – Dostaniesz tyle pieniędzy, ile ci będzie trzeba. Dopilnuj tylko, żeby konfrontacja z FDA zakończyła się pomyślnie”. Taka cierpliwość była prawdziwą rzadkością. Wynagradzała wszelkie niedogodności.

Po dziewięciu próbach stworzono wirion, który został dopuszczony przez FDA do testów na ludziach. Kathy czekały oczywiście jeszcze całe lata prób, zanim będzie mogła dowieść, że serum przynosi rezultaty u agresywnych przestępców. Optymizmem napawała ją świadomość tego, że od początku prac musiała dokonać jedynie niewielkich zmian w formule. Ponadto dane genomów niebezpiecznych kryminalistów pochodzące z bazy DNA FBI pozwoliły jej na udoskonalenie składników.

Wychodząc z klatki i zamykając za sobą drzwi, Kathy spostrzegła na ekranie telewizora kobietę. Stała za pulpitem, ubrana w granatowy kostium, który podkreślał jej smukłą sylwetkę. Gubernator Pamela Weiss była już po pięćdziesiątce, jednak w blasku fleszy wciąż wyglądała świetnie. Lśniące kasztanowe włosy, ostrzyżone na pazia, przyprószone były delikatną siwizną. Idealna figura opierała się upływowi czasu bez użycia skalpela. Jej wzrost i przenikliwe, niebieskie oczy sprawiały wrażenie, jakby spoglądała z ekranu wprost na Kathy. Ta kobieta miała charyzmę. Kathy usiadła ponownie na schodkach. Obróciła ku sobie ekran odbiornika, by lepiej widzieć, po czym podkręciła głośność.

Nie interesowała się polityką, jednak od czasu uzyskania amerykańskiego obywatelstwa coraz większą ciekawość budziły w niej nadchodzące wybory. Poza tym fascynował ją widok kobiety kandydującej z ramienia demokratów, która miała wielkie szanse zostać prezydentem. Pamela Weiss wydawała się nadzwyczajną osobą.

W przeciwieństwie do Pameli jej przeciwnik, siwy, sztywny republikanin senator George Tilson, miał banalny wygląd aktora brazylijskiego serialu. Był jednak generałem, osiemnaście lat temu uczestniczył w operacji „Pustynna Burza”. W obliczu narastającego kryzysu w Iraku prowadził w sondażach trzynastoma punktami. Pomimo całego uroku Pameli Weiss republikanie byli na dobrej drodze do przejęcia władzy po demokratycznym prezydencie, Bobie Burbanku, ustępującym ze stanowiska w przyszły wtorek.

Kathy nigdy nie oglądała politycznych debat. Były dla niej zbyt nudne. Jednak Weiss interesowała ją. Kandydaci stali naprzeciw siebie, za pulpitemi, które stanowiły jedyną dekorację. Prowadzący, znany prezenter wiadomości Doug Strather, zajął miejsce między nimi a liczną publicznością zgromadzoną w studiu. Debatę trwała już jakiś czas, jednak zgodnie z tym, co mówił komentator, nie poruszono jeszcze najważniejszych tematów.

– Senatorze Tilson, czy sądzi pan, że płeć prezydenta Stanów Zjednoczonych ma znaczenie? – zagadnął Doug Strather kandydata republikanów.

Tilson obdarzył uśmiechem Weiss, następnie uśmiechnął się do kamery, jakby przepraszając za niedorzeczność pytania.

– W zasadzie nie mam nic przeciwko kobiecie kandydującej na stanowisko prezydenta – odparł – jednak w obliczu ponownego ataku Iraku na Kuwejt, rosnącego apetytu Chin i niepokojów w Korei Północnej świat potrzebuje silnych, doświadczonych przywódców. Nie twierdzę, iż moje doświadczenie zdobyte w trakcie wojny w Zatoce czyni mnie lepszym

kandydatem na prezydenta niż gubernator Weiss, jednak nie stać nas teraz na eksperymenty. Weiss pokręciła głową.

– Z pewnością, senatorze Tilson, nie stać nas teraz na powtarzanie błędów przeszłości. Szczególnie, że ludzkość ma do dyspozycji broń jądrową i biologiczną. Zgadzam się, że kobiety mają zwykle mniejsze doświadczenie w prowadzeniu wojen, ale tylko dlatego, że niezwykle rzadko je rozpoczynałyśmy. – Urwała, by pozwolić publiczności wyśmiać się do woli. – Jak wiadomo, kobiety częściej niosą pokój, niż wywołują konflikty. Szczerze mówiąc, nie sędzę, by istniało coś takiego jak dobra wojna czy zły pokój. Oczywiście w razie konieczności kobiety potrafią użyć siły, żeby zakończyć rozpoczęte wojny. Margaret Thatcher, pierwsza kobieta na stanowisku premiera Wielkiej Brytanii, dowiodła tego, prowadząc skuteczną wojnę o Falklandy, tysiące kilometrów od kraju. Umocniła też prezydenta Busha w podjęciu decyzji przed „Pustynną Burzą”. A przecież ten niezdecydowany George Bush był zarówno mężczyzną, jak i republikaninem.

– A więc sądzi pani, gubernator Weiss, że płeć nie ma znaczenia? – dociekał Strather.

– Oczywiście, że nie. Jak powiedział senator Tilson, Ameryka potrzebuje teraz silnego przywódcy. Niezależnie od tego, czy będzie to mężczyzna, czy kobieta, czarny czy biały. Ale w wypadku kolejnej wojny światowej wolałabym widzieć w roli prezydenta kobietę niechętną konfliktom zbrojnym niż starego wojskowego chcącego coś sobie udowodnić. A jeśli chodzi o doświadczenie w rządzeniu państwem, to z pewnością dziewięć lat, które spędziłam na stanowisku gubernatora Kalifornii, nie jest bez znaczenia. Czymś takim senator Tilson nie może się pochwalić. Nie należy też zapominać, że cieszę się poparciem obecnego prezydenta, który kończy kadencję. Zamierzam budować nasz kraj, czerpiąc z jego osiągnięć i wprowadzając do administracji młodych działaczy, zarówno kobiety jak i mężczyzn.

– Obecna administracja jest fatalna rzucił Tilson. – Wiceprezydent Smith stał się pośmiewiskiem. Komentarzami na temat ONZ i ostatnim skandalem obyczajowym podważył swoją wiarygodność i osłabił pozycję samego prezydenta. Ważniejszy jest tu jednak temat przestępczości. Liczba zbrodni rośnie w zastraszającym tempie na terenie całego kraju.

Czyżby gubernator Weiss i tę tendencję uznawała za wartą podtrzymania?

– Oczywiście, że nie. Zawsze można coś ulepszyć. Jeśli jednak przyjrzałyby się pan, senatorze, dokładniej temu zagadnieniu, zauważyłby pan, że w mojej Kalifornii dokonaliśmy pewnego postępu. Przestępczość spadła, szczególnie w takich miejscach jak Los Angeles.

– To prawda – zgodził się Doug Strather. – Czy może pani wytłumaczyć, w jaki sposób Kalifornia odwróciła ten trend w ciągu ostatnich pięciu lat?

– To jasne, że zwiększenie liczby więzień i wprowadzenie kary śmierci przyczynia się do redukcji przestępczości. Im szybciej staniemy się bardziej bezwzględni dla przestępców, tym szybciej zwiększy się bezpieczeństwo każdego obywatela, takiego jak ja czy pani – wtrącił pośpiesznie Tilson.

Część publiczności zaczęła oklaskiwać tę pustą retorykę. Weiss zaśmiała się tylko i pokręciła głową.

– Nie jest to prawda. W Teksasie, gdzie obecnie rządzi republikański gubernator, a program zero tolerancji wprowadzono w każdym większym mieście, dokonuje się najwięcej

egzekucji. Poza krajami islamskimi nigdzie nie ma tak surowych praw i nie egzekwuje się ich tak chętnie jak w Teksasie. Co miesiąc zostaje tam straconych dziesięć osób. To się jednak całkowicie nie sprawdza. Teksas zajmuje drugie po Michigan miejsce pod względem liczby popełnianych przestępstw. Setki razy udowodniano, że większa liczba więzień i kara śmierci nie przynoszą rezultatów. Musimy zredukować liczbę przestępstw poprzez wpłynięcie na potencjalnych sprawców zbrodni. Badania w Filadelfii oraz wiele innych tego typu wykazały, że ponad siedemdziesiąt procent zabójstw, gwałtów oraz napadów popełnia grupa zaledwie sześciu procent mężczyzn. Jeśli moglibyśmy dotrzeć do tych sześciu procent i ich powstrzymać, znacząco zmniejszylibyśmy przestępczość. Poza wymiernymi korzyściami społecznymi zyskamy też pod względem finansowym. Jeśli zmniejszymy przestępczość o jeden procent, zaoszczędzimy państwu jeden koma dwa miliarda dolarów. Naprawdę warto.

– Ale jak zamierza pani to zrobić? Jak zredukować przestępczość? Ponowne zbliżenie na Weiss.

– Po pierwsze, musimy przestać patrzeć na zbrodnię jak na zewnętrznego wroga, którego należy pokonać. Trzeba to sobie jasno powiedzieć, że zbrodnie popełniane ze szczególnym okrucieństwem są głównie domeną mężczyzn. W naszym kraju mężczyźni dziewięciokrotnie częściej niż kobiety popełniają morderstwo, siedemdziesięcioośmiokrotnie częściej popełniają gwałt, dziesięciokrotnie częściej dokonują napadów z użyciem broni i prawie sześciokrotnie częściej napadów kwalifikowanych. Wynika z tego, iż amerykańscy mężczyźni dziesięciokrotnie częściej niż kobiety dokonują okrutnych zbrodni. Stanowią ponad dziewięćdziesiąt procent wszystkich zbrodniarzy. Do tego większość reform systemu penitencjarnego została wymyślona i wprowadzona w życie przez mężczyzn. Walczą oni zatem przeciw sobie samym, a takiej walki nikt wygrać nie może.

Kathy Kerr jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ekran. Pamela Weiss cytowała jej własne badania, posługiwała się jej własnymi argumentami.

– Uważa pani, że jako kobieta jest pani lepiej przygotowana do walki z przestępczością?
– zapytał Strather.

– Oczywiście, że nie. Moja płeć nie ma tu znaczenia. Szczególnie jeśli chodzi o zwalczanie przestępczości. Walka ze zbrodnią? To złe określenie. Znacznie lepiej byłoby, gdybyśmy myśleli o terapii przestępczości. Należałoby zdiagnozować jej prawdziwe przyczyny, a potem poszukać metod zapobiegania i leczenia, jak w przypadku każdej innej choroby.

– Ciągle jednak pozostaje pytanie: jak?

– Należy przyjrzeć się dokładniej nie tylko czynnikom społecznym, ale również innym. Musimy wyjść poza socjologię i zwrócić się ku naukom ścisłym, takim jak biologia czy genetyka.

Kathy Kerr nie wierzyła własnym uszom.

– To niedorzeczne. – Tilson parsknął śmiechem. – Nawet pani gubernator musiała słyszeć o niepowodzeniu badań nad podwójnym chromosomem Y pod koniec lat sześćdziesiątych. Naukowcy uwierzyli wtedy, że mężczyźni posiadający dodatkowy chromosom Y są bardziej skłonni do agresywnego zachowania. Później jednak całą teorię obalono. Jedyнным sposobem

na...

– Słyszałam o tych badaniach – wtrąciła Weiss. – My jednak potrzebujemy dowodu, nie teorii. Nie istnieją żadne przekonujące dowody na to, że konwencjonalne metody zapobiegania przestępstwom czy karania faktycznie działają. Wszystko wskazuje raczej na to, że całkowicie zawodzą. Nadszedł czas na zmiany.

Doug Strather poprawił okulary.

– Pani gubernator, w mediach wiele się mówi na temat biologicznego czynnika sprawczego szczególnie brutalnych zbrodni. Czy chce pani powiedzieć, że dzięki sukcesom w Kalifornii...

– To śmieszne – wtrącił Tilson. – Ona działa na rzecz administracji, której skończyły się pomysły i która za pomocą sztuczek stara się utrzymać przy władzy. Najpierw demokraci grają kartą feminizmu, wystawiając kobietę jako kandydata na prezydenta, chociaż może to zagrozić bezpieczeństwu państwa. Teraz zaś próbują przypisać sobie zasługi jednego, jedyne go stanu w całym przesiąkniętym złem kraju. To jest niedorzeczne, żeby nie powiedzieć niegodziwe. Jeśli nie posiadała ona jakiejś tajemnej wiedzy na temat leczenia przestępczości, niech lepiej trzyma język za zębami.

– Słyszała pani? – zapytał z uśmiechem Strather. – Sądzę, że teraz powinna pani przejść od słów do czynów.

W tym momencie kamera pokazała w zbliżeniu twarz Pameli Weiss. Wyglądała na całkowicie opanowaną. Uśmiechnęła się szeroko.

– Powiem tylko tyle, że wybory odbędą się za niecały tydzień. Mam jeszcze czas na działania. Mogę państwa o tym zapewnić.

Kathy oderwała wzrok od telewizora i odwróciła się do Rocky'ego.

– Słyszałeś?

Rocky parsknął głośno i zaczął się czochoać.

Sięgnęła po komórkę. Chciała z kimś o tym porozmawiać. Karen i Frank byli daleko, dlatego postanowiła zadzwonić do Alice Prince. Po chwili jednak przypomniała sobie jej chłodną reakcję na zgodę FDA. Postanowiła poczekać do ich jutrzejszego spotkania. Nie miała możliwości skontaktowania się z dyrektorem Naylor. Pomyślała o rodzicach, którzy zostali w Szkocji, w tym czasie byli jednak na wakacjach. Zwykle jeździła z nimi, ale w tym roku zrezygnowała z urlopu ze względu na oczekiwaną decyzję FDA. Zresztą różnica czasu wykluczała wszelkie telefony do Wielkiej Brytanii, a tym samym rozmowę z jej najlepszą przyjaciółką z Edynburga. Nagle poczuła chęć zadzwonienia do jedynej osoby, która nigdy nie popierała jej pracy. Chciała wiedzieć, co pomyśli o wypowiedzi Weiss.

Sięgnęła do torby i wydobyla jego wizytówkę. Nim odczytała numer, zrozumiała, jak głupim pomysłem byłby taki telefon. Pokręciła głową i odłożyła wizytówkę z powrotem. Minęły lata, ona i Luke Decker nie mają już ze sobą nic wspólnego.

*Komora egzekucyjna San Quentin
Czwartek, 30 października, godz. 7.00*

Dyrektor FBI stała w całkowitym bezruchu w jednym z dwóch dźwiękoszczelnych pomieszczeń z widokiem na odnowioną komorę egzekucyjną San Quentin. Mierząca sto siedemdziesiąt pięć centymetrów Madeline Naylor była całe pięć centymetrów wyższa od stojącego u jej boku strażnika. Dobrze skrojony grafitowy garnitur podkreślał jej żyłastą figurę. Białe jak śnieg włosy zaczesana do tyłu i związała na karku, odsłaniając wysokie czoło wieńczące twarz tak bladą że niemal przezroczystą niczym macica perłowa – z wyjątkiem pociągniętych tuszem rzęs, okalających ciemnobrązowe oczy. Monochromatyczną monotonię jej wyglądu zakłócała jedynie sinawa czerwień cienkiej linii ust.

Dyrektor Naylor przybyła, by przekonać się, iż nie wystąpią żadne nieprzewidziane przeszkody. Osobiście dopilnowała, by pani gubernator podpisała zgodę na egzekucję. Odrzucenie wszelkich prób apelacji było czystą formalnością w przypadku mającego tak fatalną sławę zbrodniarza, w dodatku tuż przed wyborami. Miała tylko nadzieję, że Alice Prince raczy się wreszcie zjawić. Nie cierpiała, gdy ktoś się spóźniał.

Wyczulonym powonieniem wyczuwała ohydny smród potu, przenikający całe to miejsce. Nie takiego świeżego, jak po wysiłku fizycznym, po biegu na świeżym powietrzu, lecz cierpki odór adrenaliny i strachu. Nawet Neil Tarrant, stojący u jej boku strażnik, wydzieliał tę woń potu, która przebijała się przez zapach płynu po goleniu. Nie cierpiała tego zapachu. Charakteryzował najbardziej prymitywną stronę męskiej natury. Zerknęła przez hermetyczny iluminator z kuloodpornego szkła na ciasną komorę egzekucyjną.

A potem spojrzała w głąb korytarza, omijając wzrokiem salę dla publiczności, gdzie siedzieli krewni ofiar, w oczekiwaniu, by sprawiedliwości stało się zadość. Strażnicy wlekli skazańca ku hermetycznej kapsule. Nieczęsto widywała tak bladych ludzi. Skazaniec nie stawiał oporu ani nie okazywał żadnych uczuć.

– Co za farsa! Co za cholerna farsa! – wymamrotał pod nosem strażnik. Tarrant, który bez drgnienia powieki przyglądał się dziesiątkom, jeśli nie setkom egzekucji w tej hermetycznej stalowej kapsule, nagle uznał ten przypadek za szokujący. Cóż za ironia!

– To konieczne – powiedziała Naylor, obserwując jednocześnie, jak strażnicy otwierają kapsułę i wpychają bezwładnego skazańca na stojące wewnątrz krzesło. – Chyba rozumiesz, prawda? Musieliśmy doprowadzić to do końca, by odwrócić uwagę od pięciu pozostałych. Gdyby ktoś zaczął dopatrywać się w tym jakiegoś schematu, mielibyśmy się z pyszna. Zwłaszcza ty.

Tarrant nie śmiał na nią spojrzeć. Potarł porastający szczecinę podbródek i pokręcił głową.

– To błąd. Nie cierpię, gdy ktoś zrzuca na mnie swój bajzel.

– W tym właśnie rzecz, że teraz to twój bajzel. Może nie wiesz wszystkiego, ale po tych

wszystkich latach nie wyprzesz się współdziału. Jasne?

Tarrant niechętnie wzruszył ramionami. Twarz Naylor stężała. Znała swoje mocne strony. Dzięki błyskotliwemu umysłowi i żelaznej woli pokonała barierę męskiej dominacji w jednej z najbardziej zmaskulinizowanych instytucji, błyskawicznie robiąc karierę w FBI. Opuściła je na siedem lat, piastując w tym czasie stanowisko prokuratora federalnego i sędziego okręgowego, by wreszcie osiem lat temu zostać pierwszą kobietą dyrektorem w historii Biura. Madeline Francine Naylor nie zamierzała pozwolić, by wszedł jej w paradę jakiś upierdliwy strażnik.

– Tarrant – odezwała się lodowatym tonem – zdajesz sobie oczywiście sprawę, że do wyborów prezydenckich pozostał zaledwie tydzień. I że zaangażowaliśmy się, co dotyczy także ciebie, w sprawę, która może wpłynąć na ich wynik. W sprawę, nad którą pracujemy od lat – i to nie bez sukcesów. Kilka nadzwyczaj wpływowych osób zainwestowało w nią zbyt wiele sił i środków, abyśmy teraz mogli je zawieść. Ten, jak to nazywasz, błąd nie zagrozi naszym planom. Nieważne, kto go popełnił. Nikt, a już na pewno nie ty, nie zagrozi sprawie, kiedy cel jest niemal na wyciągnięcie ręki. Mowy nie ma. Jasno się wyrażam?

Strażnik gapił się na nią w milczeniu, bezmyślnie bawiąc się krawatem. Wyglądał na przerażonego. Doskonale. Dyrektor Naylor lubiła, gdy mężczyźni się jej bali. Łatwiej ich wtedy kontrolować.

Wreszcie Tarrant skinął potakująco głową.

– No i dobrze – podsumowała Naylor. W tym momencie zjawiała się Alice Prince w eskorcie innego strażnika. – Czy mogę pomówić chwilę z doktor Prince na osobności?

Tak naprawdę nie prosiła wcale o pozwolenie. Nie czekała nawet na odpowiedź. Odwróciła się ku drzwiom, patrząc na nadchodzącą Alice Prince. Zmieszana jak zwykle Alice przepraszała właśnie za spóźnienie eskortującego ją strażnika.

Wiecznie przepraszająca, że żyje, w niezgrabnej granatowej garsonce, z przedwcześnie posiwiałymi włosami i ogromnymi okularami przyjaciółka Madeline wyglądała na nieśmiałą bibliotekarkę lub zagubioną nauczycielkę z podstawówki, a nie na jedną z najwybitniejszych przedstawiolek współczesnej nauki. Jedynie chłodne szare oczy doktor Prince zdradzały jej niezwykłą inteligencję i pasję naukową.

Madeline Naylor znała Alice Prince od dziecka. Razem chodziły do szkoły podstawowej, a potem do college'u Vassara. Traktowała Alice jak młodszą siostrę. Przyjaciółka zastępowała jej rodzinę. Była jej bliższa nawet niż Pamela Weiss, ich wspólna przyjaciółka z czasów Vassara – obecna gubernator Kalifornii, ubiegająca się o najwyższy urząd w kraju.

– Przepraszam za spóźnienie, Madeline.

– Nie szkodzi – ucięła, obejmując ją. – Chodź tu do mnie. Mamy cały pokój dla siebie; możemy swobodnie porozmawiać – dodała z uśmiechem. – Nie denerwuj się. Wszystko będzie OK. Czy przez te lata choć raz cię zawiodłam?

Alice odpowiedziała uśmiechem.

– Nie. Tylko że im bardziej zbliżamy się do wdrożenia Spirali Zbrodni, tym bardziej obawiam się, że coś pójdzie nie tak. To jest takie... zbyt realne. To mnie przeraża, Madeline.

Może jednak powinnyśmy...

Naylor znów się uśmiechnęła. Wiedziała, jak bardzo Alice nie cierpiała tych scen.

– Spójrz, wszystko przebiega zgodnie z harmonogramem – odrzekła, wskazując mężczyznę przypiętego do krzesła w komorze gazowej.

– Owszem – przytaknęła Alice. – Titania pomyliła się o kilka godzin, ale nie bardziej niż w przypadku młodszych skazańców. Test został przeprowadzony w pośpiechu, ale potwierdził założenia fazy trzeciej: Spirali Zbrodni. Poza tym właśnie się dowiedziałam, że alarm z sierocińcem był fałszywy.

– Doskonale. Jak już będziemy mieć za sobą te przykre sprawy, możesz zapomnieć o Spirali Zbrodni. Niech Titania zajmie się planowaniem. Ty skup się na projekcie Sumienie. Cały dzień pod to ustawiłam. Naszym głównym zadaniem jest zapewnić dobry humor Pameli. Szef jej kampanii dał nam dziś godzinę na wprowadzenie jej w szczegóły piątkowego obwieszczenia. Kiedy już stąd wyjdziemy, wrócimy do Viro-Vectora, żeby dopilnować, by wszystko było dopięte na ostatni guzik przed jej przybyciem. A jak tam z Kathy Kerr? Będzie trzymać buzię na kłódkę w sprawie kompromisu z FDA, kiedy się o nim dowie?

– Tak. Jestem pewna, że nie będzie z nią problemów.

Madeline Naylor pokiwała w zamyśleniu głową. Wcale nie była taka pewna.

– Odizolowałaś ją, jak się umawialiśmy?

– Tak. Jej dwoje najbliższych współpracowników wysłałam w teren – do Afryki, a wszystkie istotne pliki przeniosłam do innego katalogu w Titanii.

– Co z wydrukami?

– Może ma jakieś w Stanfordzie. Ludzie Jacksona pewnie już je usunęli.

William Jackson był zastępcą dyrektora FBI. Podlegał bezpośrednio Naylor. Ten potężny Murzyn, o wysoko osadzonych kościach policzkowych, przeszywającym spojrzeniem i charakterystycznym nosowym głosem, miał do swojej dyspozycji zespół czterech agentów specjalnych, których zadaniem było pomagać jej w załatwianiu delikatnych spraw i informować z wyprzedzeniem o wszystkim, co się działo w biurze. Takie prawo nad prawem.

– Madeline – zaproponowała Alice – czy to naprawdę konieczne? Kathy jest w porządku. Współpraca leży w jej interesie.

– Może i tak – odrzekła niechętnie Naylor. Rozumiała lojalność Alice. Wszak to praca naukowa Kathy Kerr zainspirowała dziewięć lat temu jej przyjaciółkę, pozwalając uporać się z załamaniem nerwowym po tym, jak porwano jej córkę, Libby, a mąż porzucił ją, by „rozpocząć nowe życie” u boku młodziutkiej sekretareczki. – Tak czy siak, zobaczymy się z Kathy przed spotkaniem z Pamelą – podjęła. – Przekonamy się, na ile chętna jest do współpracy. Nie możemy sobie teraz pozwolić na *votum separatum*.

Alice skinęła milcząco głową, nerwowo bawiąc się zawieszonym na szyi medalionem o niezwykłym kształcie. Oprawna w platynę szklana łąza wielkości kciuka zawierała poruszający się przy dotknięciu płyn.

Naylor na powrót skupiła swą uwagę na więźniu. Strażnicy z kamiennymi twarzami wykonywali rutynowe przygotowania. Alice Prince odwróciła wzrok, nie mogąc znieść makabrycznego widowiska.

Naylor nie miała takich oporów. Wiedziała wszystko o Karlu Axelmanie. Zapoznała się z jego aktami. Nie miał żadnej rodziny. Dlatego właśnie, wraz z pięcioma innymi skazanymi na śmierć, został wybrany do pierwszych prób klinicznych Spirali Zbrodni. Większość ofiar Axelmana miała około szesnastu lat – niewiele więcej niż córka Alice w momencie zniknięcia przed dziesięcioma laty. Naylor była matką chrzestną Libby. Kiedy FBI – jej FBI – nie potrafiło odnaleźć porywacza, potraktowała to jako osobistą zniewagę. Przez jakiś czas sądziła, że może to Axelman, jednak brak rzeczy osobistych Libby między trofeami mordercy świadczył na niekorzyść tej hipotezy.

Jeśli ktokolwiek zasługiwał na śmierć, był to z pewnością Karl Axelman. Naylor nie miała co do tego cienia wątpliwości. Jednak mężczyźni jego pokroju zasługiwali na coś więcej niż wymierzenie sprawiedliwości. Zasłużyli sobie na karę. Zemstę. Kiedy więc zamknięto drzwi do komory gazowej, a strażnik dwukrotnie skinął głową, dając sygnał do wypuszczenia zabójczego gazu, poczuła się oszukana. W przeciwieństwie do swych ofiar męczyczna, na którego spoglądała, nie czuł strachu ani bólu.

Karl Axelman był już martwy. Zmarł jedenaście godzin wcześniej.

Naylor mogła czuć się usatysfakcjonowana tym, w jaki sposób odebrał sobie życie. Zeszłej nocy wepchnął sobie do ust prześcieradło, by nie usłyszano jęków bólu. Lekarz więzienny oceniał, że mimo potwornych ran, jakie sobie zadał, wykrwawienie się na śmierć zajęło Axelmanowi co najmniej trzy godziny. Nie było tu mowy o żadnym błędzie, wbrew temu, co sądził Tarrant. Czas zgonu i sposób, w jaki umarł Axelman, dokładnie odpowiadały ich planom.

Martwiło ją tylko to, iż wczoraj przesłuchiwał Axelmana doświadczony agent FBI. Poprosiła swego zastępcę, McClouda, by informował ją na bieżąco o ewentualnych rewelacjach Axelmana, jednak nie sądziła, by tym razem mógł wyjawić cokolwiek interesującego.

Patrząc, jak gaz wypełnia komorę, dyrektor Naylor żałowała, iż nie mogła być świadkiem agonii Axelmana. To, czego dowiedziały się dzięki jego śmierci i to, co planowały, nieco poprawiało jej humor. Karl Axelman umknął karzącej ręce sprawiedliwości. I teraz tylko Bóg może ukarać zmarłego.

Będą inni, pocieszyła się w myślach. Wielu innych.

Chłodnia, Viro-Vector Solutions, Palo Alto
Czwartek, 30 października, godz. 9.11

Gdyby Titania mogła coś czuć, niewątpliwie miałaby satysfakcję po uaktualnieniu statusu obu projektów: Sumienia i Spirali Zbrodni.

Titanię przechowywano w Chłodni, sterylnym pomieszczeniu w sercu kopuły Viro-Vectora w Palo Alto. Umieszczony w czterometrowym sześcianie ze stali i szkła komputer był chłodzony płaszczem powietrznym. Przewody wentylacyjne, wtłaczające sterylne powietrze o temperaturze ośmiu stopni Celsjusza, emitowały rytmiczny dźwięk, sprawiający wrażenie, jakby Titania oddychała. Każdy wchodzący do tej strefy inżynier z obsługi musiał przejść przez strumień antystatycznego powietrza, by usunąć z siebie kurz, a następnie włożyć na siebie biały kombinezon, pokrowce na buty, siatkę na włosy i maskę.

Superkomputer był owocem ery genetyki, kiedy to potrzeba sekwencjonowania ludzkiego genomu skłoniła programistów i twórców sprzętu do wzmożenia wysiłków. Przełom nastąpił zaledwie kilka miesięcy przed końcem tysiąclecia, kiedy korporacja Genius z Cambridge w stanie Massachusetts wynalazła genoskop. W tym przełomowym sekwenserze genów zrezygnowano z elektronicznych bramek w procesorze, zastępując je białkową bakteriorodopsyną wrażliwą na światło. Zaowocowało to tysiąckrotnym zwiększeniem prędkości obliczeniowej, podczas gdy wcześniej sukcesem było coroczne jej podwojenie. Titania była jednym z najpotężniejszych biosuperkomputerów z nowej generacji „żywych” maszyn.

Titania kontrolowała mnóstwo projektów w obrębie Viro-Vectora. Jej programy obejmowały przygotowywanie list płac, kontrolę stanów magazynowych, konserwację i ochronę budynków, zamówienia surowców, planowanie produkcji i dystrybucji. Kontrolowała też przepływ danych między dziesięcioma firmowymi genoskopami. W swojej bazie danych miała zapisy kodu DNA wszystkich pracowników i współpracowników Viro-Vectora oraz sekwencje genów wszystkich znanych wirusów i genetycznie stworzonych wirionów, które powstały lub nad którymi pracowano w firmie.

Zarówno Sumieniem, jak i Spirala Zbrodni zarządzał program zawarty w pakiecie aplikacji do zarządzania projektami. Aplikacje te kontrolowały terminarze i raporty dotyczące wszystkich projektów prowadzonych przez firmę. Były one automatycznie uaktualniane propozycjami składanymi menedżerom, które zrodziły się podczas nieustannych podróży Titanii po infostradzie. Choć Titania fizycznie znajdowała się w Viro-Vectorze, była wszechobecna w cyberprzestrzeni. Używała wielu mechanizmów wyszukiwania i, jeśli zachodziła taka potrzeba, wykradała istotne dane. Jej misją było wyszukiwanie jak największej liczby danych i przekształcanie ich w użyteczne informacje. Dzięki swojej wszechobecności maksymalnie zwiększała powodzenie każdego z projektów, czy to przez wypuszczenie nowego produktu, uporanie się z organami ustawodawczymi, czy to przez

dobór nowego menu w firmowym bufecie.

Aktualnie niewielka część jej ogromnej sieci neuronowej koncentrowała się na programie Spirala Zbrodni, najbardziej złożonym i najlepiej zabezpieczonym systemie, jaki miała pod kontrolą. W pierwszej kolejności Titania wyświetliła dane pokrewnego projektu Sumienie, choć projekt był niemal ukończony. Dla Titanii Sumienie zawsze miało dwa cele. Jednym z nich było przygotowanie się poprzez tworzenie wirionów do nieporównywalnie bardziej złożonego projektu Spirala Zbrodni. Drugi cel to pomoc Pameli Weiss w wygraniu wyborów prezydenckich, co było nie mniej istotne dla Spirali Zbrodni. Cofając się wstecz, Titania odnotowała kluczowe daty projektu Sumienie.

PROJEKT SUMIENIE: ZARZĄDZANIE

PODSUMOWANIE

30/10/2008, godz. 09.00

V I Próby skuteczności na przestępcach (niezatwierdzone przez FDA)	10/02/2001 do dzisiaj
V 9 Zakończenie optymalizacji wirionu	10/12/2004
V 9 Rozpoczęcie prób na ludziach przez FDA	06/01/2005
V 9 Zatwierdzenie przez FDA	29/10/2008
Deklaracja Zapobiegania Przestępczości	31/10/2008
Wybór Pameli Weiss na prezydenta	04/11/2008

Titania nie mogła zrobić już nic więcej. Opóźniony termin zatwierdzenia przez FDA wersji 9 nie był idealny, lecz w obliczu zbliżającego się piątkowego oświadczenia i wyborów w przyszły wtorek projekt Sumienie niemalże spełnił swoje zadanie. Nie mogła już bardziej przyczynić się do zmiany wyniku wyborów, prócz zarejestrowania go po ich zakończeniu. Titania przeszła zatem do Spirali Zbrodni.

PROJEKT SPIRALA ZBRODNI: ZARZĄDZANIE

PODSUMOWANIE

30/10/2008, godz. 09.00

Faza pierwsza: testy telomerowe	
Rozpoczęcie testów na pacjentach w San Quentin	02/09/2008
Likwidacja ostatniego pacjenta SQ6	29/10/2008
Rozpoczęcie testów na pacjencie w Cartamenie	11/02/2005
Potwierdzenie dojrzałości płciowej pacjenta C78	30/10/2008
Faza druga: próby kontrolowane	
Wysłka Biotarczy, partia W233456H	10/10/2008
Elektroniczne potwierdzenie aktywacji Biotarczy	23/10/2008

Testy telomerowe fazy pierwszej zakończyły się pełnym sukcesem wraz z samobójstwem szóstego i ostatniego pacjenta z San Quentin niecałe dwadzieścia cztery godziny temu i potwierdzeniem, że incydent w Cartamenie był fałszywym alarmem. Jednakże pogłębiający się kryzys w Iraku wymusił przyspieszenie kontrolowanych testów fazy drugiej, zanim bez ryzyka będzie można przejść do fazy trzeciej. Titania przeszukiwała Internet, śledząc rozwój wypadków w Iraku.

Jedna z definicji inteligencji mówi, że jest to umiejętność dostrzegania prawidłowości w pozornie przypadkowych danych. Jeśli tak, to Titania była geniuszem. Logując się do baz danych w bagdadzkich szpitalach i do irackich systemów wojskowych, składając równocześnie na pierwszy rzut oka niezwiązane ze sobą wycinki prasowe z Reutersa, CNN, BBC i innych agencji prasowych, Titania nieustannie poszukiwała jakiegoś wzoru, prawidłowości. Jednak było na to zbyt wcześnie. Raporty, których szukała, wypłyną dopiero za kilka dni. Mimo wszystko obecna faza druga była rozpoczęta i przebiegała zgodnie z planem.

Dopiero teraz Titania przyjrzała się fazie trzeciej, najbardziej złożonemu etapowi, którego rozwój przewidzieć było znacznie trudniej.

Ponieważ faza trzecia jeszcze się nie rozpoczęła, a faza druga była w trakcie, komputer mógł tylko potwierdzić harmonogramy dostaw do Heathrow systemów oczyszczania powietrza opartych na modyfikowanych bakteriofagach. Po potwierdzeniu dostaw na miejsce, komputer pozostawił bez zmian prognozy zamówień i ostatecznie odłożył zakończenie projektu Spirala Zbrodni na jakieś trzy lata. Oczywiście, jeśli w tym czasie nic się nie zmieni.

Gdy Titania skompilowała raporty projektów Sumienie i Spirala Zbrodni dla dwójki ludzi ze złotym poziomem dostępu, przewody wentylacyjne biokomputera przez krótką chwilę jakby głośniejszym dmuchnęły powietrzem. Zabrzmiało to niczym westchnienie ulgi.

*Zakład penitencjarny San Quentin
Czwartek, 30 października, godz. 9.25*

Jadąc do San Quentin po raz drugi w ciągu dwóch dni. Luke Decker nie przestawał myśleć o liście od Axelmana.

Tego ranka obudził się późno w swej starej sypialni w domu Matty'ego. Od razu otworzył szeroko oczy, jak wtedy, gdy był jeszcze dzieckiem, patrząc na promienie słoneczne, sięgające spod zasłon, przez wypolerowaną podłogę, ku jego łóżku. Przez moment poczuł się znów jak dziecko. Dopiero kiedy obrócił się na drugi bok, tępy ból głowy przypomniał mu, że jest niezbyt mądrym dorosłym, który wypił o butelkę budweisera za dużo, siedząc zeszłej nocy z Hankiem Butcherem.

Butcher, wzięty dziennikarz, pisał głównie dla magazynów typu „Vanity Fair”. W naturalny sposób wyczuwał aktualne trendy. Wyrobił sobie markę krótkimi, a celnymi komentarzami aktualnych wydarzeń. Był też świetnym kompanem. Znał wszystkie plotki i ploteczki, które w żaden sposób nie dotyczyły kwestii związanych z życiem Deckera. Udało mu się przegnać myśli o Axelmanie z umysłu przyjaciela.

Cóż jednak z tego, skoro przy śniadaniu Matty podał Deckerowi zapieczętowaną kopertę, którą doręczył adwokat Axelmana. Wątpliwości powróciły ze zdwojoną siłą. Decker odczytał ręcznie spisane wyznanie mordercy. Na jego twarzy malowała się rosnąca groza. Nie uszło to uwagi Matty'ego. Jednak gdy dziadek spytał, co się stało, Decker zbył go milczeniem. To, co Axelman napisał o matce i ojcu Deckera, było tak nedorzeczne, tak straszne, że nie poważyłby się powiedzieć o tym Matty'emu... a co dopiero spytać go o to. Chyba że nie miałby innego wyjścia.

W liście szczegółowo wyjaśniono, czemu Axelman nie mógł wczoraj rozmawiać z Deckerem i dlaczego uważał się za jego ojca. Znajdowało się tutaj także to, czego Axelman nie chciał ujawnić podczas spotkania – informacje o miejscu ukrycia ciał dwunastu uprowadzonych dziewcząt. Sprawę komplikował dodatkowo fakt, iż Axelman przyznawał się również do zamordowania trzynastej osoby. Twierdził jednocześnie, że rodzice ostatniej dziewczyny, sami o tym nie wiedząc, znają dokładną lokalizację wszystkich ciał.

I właśnie te ostatnie odkrycia oznaczały, że Decker nie mógł po prostu zignorować tego obrzydliwego listu, wyrzucić w cholerę. Obowiązek zawodowy nakazywał mu sprawdzić informacje i podzielić się nimi z FBI. Ale jeszcze nie teraz, dopóki wyglądało to na kiepski dowcip Axelmana. Nie ma po co tego nagłasniać. Najpierw przekona się, o co w tym wszystkim chodzi.

Z początku chciał udać się do biura terenowego FBI w San Francisco i skorzystać z komputera, by sprawdzić dane trzynastej ofiary. Potem jednak przypomniał sobie, że choć Rosenblum wniósł kolejną apelację, egzekucję Axelmana zaplanowano na dziś. Trzeba było się spieszyć. Skierował się do San Quentin.

Mrużąc oczy w jasnym słońcu, zajechał na parking dla odwiedzających więźniów. Kiedy zgasił silnik, zawibrowała jego komórka. Dzwonił zastępca dyrektora.

– Luke? Tu Bill McCloud. Słyszałem, że nieźle ci wczoraj poszło z Ticem.

– Już nikogo więcej nie zabije, jeśli o to ci chodzi.

– I to mi starczy.

Decker lubił wicedyrektora Billa McClouda. Wyluzowany Teksasczyk stanowił kontrast z zimnym absolutyzmem Naylor. McCloud sam niegdyś pracował w wydziale behawioralnym. Prowadził usilną kampanię na rzecz utrzymania jego budżetu i pozycji w strukturach Biura. Nie mógł sobie pozwolić na utratę Deckera. Dlatego właśnie nie chciał podpisać jego rezygnacji.

– A jak udało się spotkanie z Axelmanem? Przyboczny Jackson poinformował o tym dyrektor Naylor. Z jakiegoś powodu interesuje ją, co też takiego odkryłeś. – McCloud zawsze nazywał zastępcę dyrektora Williama Jacksona „przybocznym”. Nic dziwnego. Z tego, co Decker wiedział, Jackson nie pełnił w FBI żadnej innej funkcji poza szpiegowaniem dla dyrektor Naylor i odwalaniem za nią brudnej roboty. W Biurze wszyscy go nienawidzili i wszyscy się go bali. – Może jednak docenia twój sławny talent do psychoanalizy.

Decker nie wiedział, co powiedzieć. List ciążył mu w kieszeni marynarki.

– Zakładam, że nic ci się nie udało z niego wydobyć? – zagadnął McCloud, nim Decker miał szansę się odezwać. Pytanie było retoryczne, McCloud nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. No i świetnie. – Nie przejmuj się, Luke. Gość był zimny jak lód. Jeden z najgorszych. Nie wiedział nawet, co to skrucha.

– Mówisz o nim w czasie przeszłym, Bill. Myślałem, że złożył apelację.

– Odrzuconą przez panią gubernator. Stracono go kilka godzin temu. A właściwie, co teraz porabiasz?

Decker odetchnął głęboko i opadł na siedzenie. Skoro Axelman już nie żył, istniał tylko jeden sposób, by sprawdzić wiarygodność jego opowieści. Poza tym czuł nieodpartą potrzebę ponownego ujżenia zabójcy.

– Słuchaj, Bill – rzekł – muszę sprawdzić parę rzeczy. Nie będzie mnie przez jakiś czas.

McCloud westchnął.

– Nie zamierzasz chyba wrócić do Berkeley, co? – zapytał podejrzliwie. – Biuro cię potrzebuje, chłopcze. Nie wąż się o tym zapomnieć.

Decker nie miał teraz zamiaru poruszać tego tematu.

– Będę się kontaktował przez tutejsze biuro terenowe – powiedział i się rozłączył. Zadzwoił do Quantico, by poinformować swój zespół, że nie będzie go przez kilka dni. Schował telefon, wysiadł z wozu i ruszył ku bramie więzienia, w myślach porządkując nieliczne znane mu fakty.

Axelman był klasycznym przykładem socjopaty – opanowanego, skupionego na sobie, próżnego. Nie był zdolny do okazania współczucia swym ofiarom, nie żałował swych czynów. Zamordował dwanaście dziewcząt. Sprawiało mu przyjemność utrzymywanie w tajemnicy miejsca ukrycia ich ciał. Każdy test psychologiczny wykazywał, iż Axelman nie boi się śmierci ani żadnej innej kary.

Jednak wczoraj człowiek ten wyglądał jak wrak. Zachowywał się jak ktoś całkiem inny. Histeryzował. Przepelniały go wstyd i poczucie winy. Zeszłej nocy dostarczył za pośrednictwem swego adwokata zapieczętowany list, w którym wyjaśniał Deckerowi ze szczegółami, dlaczego zdecydował się mu wszystko wyznać. Potem następowala spowiedź. Nie dość, że przyznał się, gdzie pogrzebał dwanaście ciał, to jeszcze poinformował o istnieniu trzynastego.

Teraz człowiek ów nie żył, a odpowiedzi na wszelkie pytania zabrał ze sobą do grobu.

Decker zmierzał do okienka wartowni przy bramie głównej. Czuł się rozdarty. Próbował zrozumieć, jak facet niezdolny do odczuwania skruchy mógł naraz wyznać wszystko pod ciężarem przytłaczającego go poczucia winy. Jednak jeszcze bardziej zastanawiało go, dlaczego Axelman upierał się, że jest jego ojcem. Decker musiał teraz dowieść, że to nieprawda.

Przy bramie znów spotkał Clarence'a Pitta. Strażnik sprawiał wrażenie znudzonego.

– Hej, Decker, co tu znów robisz? Widzę, że przenosicie tu centralę FBI. Dziś odwiedziła nas wasza szefowa.

– Była tu dyrektor Naylor? Po co?

– Pojęcia nie mam. Chyba chciała sobie popatrzeć, jak ten Axelman wybiera się na spotkanie ze Stwórcą.

Decker zmarszczył brwi, ale przemilczał. Przyglądanie się egzekucjom seryjnych morderców nie leżało w zwyczaju dyrektor FBI.

– Właśnie po to tu jestem, Clarence. Muszę zobaczyć zwłoki Axelmana.

Pitt zerknął na ekran komputerowy po prawej i się skrzywił.

– Nie pozwalają go ruszać. Masz zezwolenie?

– Daj spokój, Clarence, nie zmuszaj mnie do papierkowej roboty. Chcę tylko zerknąć na zwłoki. Przecież wczoraj widziałem go żywego. Co za różnica, jeśli dziś popatrzę sobie na trupa? Pięć minut. To wszystko, o co proszę.

Pitt podał się jeszcze przez chwilę, a potem wyciągnął z szuflady biurka formularz, który wręczył Deckerowi.

– Podpisz tutaj. W razie czego, to tobie skopią dupę.

Pitt przekazał posterunek innemu strażnikowi i poprowadził Deckera przez całe więzienie, aż do budynku szpitala. Schodząc cztery piętra schodami w dół, a potem idąc wykładanym białymi kafelkami korytarzem do kostnicy, Decker słyszał odległe krzyki pacjentów, stukot obcasów po kaflach podłogi i szelest nakrochmalonego munduru Pitta.

Minęli łukowato sklepione przejście. Strażnik wskazał dwuskrzydłowe drzwi wahadłowe.

– To tutaj – oznajmił, otwierając je na oścież. W Deckera uderzyła fala cuchnącego chemikaliami zimnego powietrza. Duży biały pokój. Kafelki na podłodze i do dwóch trzecich wysokości ścian. Na środku dwa stoły sekcyjne ze stali nierdzewnej. Z boku pusty wózek na zwłoki. W przeciwległą ścianę wmontowano trzy zlewy. Część ściany po lewej zajmowały stalowe szuflady. Chuderlawy facet w poplamionym kitlu stał obok, zmywając podłogę mopem. Pitt podszedł i przedstawił mu Deckera.

– Steve, ten pan to agent specjalny Decker. Z FBI. Chce zobaczyć trupa Axelmana. –

Oznajmił Deckerowi, że wróci za pięć minut, i wyszedł.

Nonszalancko, niczym sprzedawca w supermarkecie w dziale mrożonek, Steve poczłapał do rzędu szuflad na zwłoki i otworzył numer 7. Wysunięta szuflada pełniła funkcję stołu sekcyjnego. Zwłoki leżały na plecach, niedbale okryte płótnem.

Steve uniósł etykietkę przyczepioną obok głowy trupa i odczytał z niej znudzonym tonem:

– Poddany egzekucji w czwartek, trzydziestego października, o siódmej dwadzieścia trzy. Przyczyna śmierci: uduszenie gazem. – Steve zerknął na zegarek. – Właśnie sprzątam. Co jeszcze chce pan wiedzieć?

Decker nie przestawał wpatrywać się w zarys okrytego całunem trupa.

– Nic więcej.

– Dobra, to zostawiam pana z tym kolesiem. Niech się pan pośpieszy. Wkrótce go skremują.

Kiedy tylko ucichły kroki Steve'a, Decker zabrał się do pracy, usiłując zachować profesjonalny dystans. Wziął głęboki oddech i odstłonił twarz zmarłego.

Luke widział już w życiu wiele trupów. Rzadko jednak były tak blade. Twarz mężczyzny nabrała niebieskawego odcienia spleśniałego sera. Luke przyjrzał się bliżej obliczu Axelmana. Im bardziej się przypatrywał, tym bardziej dostrzegał podobieństwo do siebie. Wydatne kości policzkowe, szerokie czoło... Uniósł powiekę Axelmana. Zamglona tęczówka była zielona, jak jego własna. Zsunął całun jeszcze bardziej. Ujął dłoń trupa, by porównać powykręcane, zimne palce z własnymi. Ale pewność mógł uzyskać tylko w jeden sposób.

Ostrożnie wyrwał trzy włosy z głowy umarłego, pilnując przy tym, by nie uszkodzić mieszków. Kiedy tak patrzył na gołe placki na głowie, nie mógł się nadziwić, jak człowiek w tak krótkim czasie może stracić tyle włosów. Umieścił zdobycz w plastikowej torebce na dowody rzeczowe i znów przyjrzał się twarzy Axelmana. Tym razem zwrócił szczególną uwagę na nienaturalnie bladą, poznaczoną trądzikiem skórę. Jej biel przypominała mu oglądane przezeń ofiary, które wykrwawiły się na śmierć.

Chciał to już mieć za sobą. Zdarł z ciała całun. Z grymasem niedowierzania i obrzydzenia przyjrzał się z bliska poszarpanej ranie pod szarym penisem, leżącym bezwładnie na lewym udzie mężczyzny.

Brakowało moszny. Odcięto ją jakimś tępym narzędziem. Wygląd rany wskazywał, że stało się to za życia. Była jednak wciąż świeża. Na włosach po wewnętrznej stronie uda Axelmana zakrzepły kropelki krwi. Decker przyjrzał się jeszcze dokładniej, studiując charakter siniaków, ran ciętych i kąt, pod jakim zostały zadane.

Nieraz zdarzało się, że więźnia kastrowali dyszący żądzą zemsty kumple. Ale jak mogli go dorwać w celi śmierci? Wydawało się to całkiem nieprawdopodobne. Decker nie wierzył też, by mogli zrobić to strażnicy. Spróbował odtworzyć kąt, pod jakim zadano rany. I naraz spłynęło nań mrozące krew w żyłach olśnienie.

Karl Axelman sam sobie zgotował ten los.

Nie do pojęcia. To nie były już jakieś sztuczki. Czemu seryjny zabójca, znany z braku współczucia, sam się wykastrował? Co mogło go skłonić do tak drastycznego czynu?

Decker posłyszał zbliżające się kroki. Zdusił w sobie uczucie odrazy i zebrał jeszcze dwa płatki zakrzepłej krwi z wewnętrznej strony uda Axelmana. Włosy wystarczą do testu na ojcostwo, jednak krew powie mu jeszcze więcej. Wzdrygnął się mimowolnie, gdy palce dotknęły woskowatego ciała zimnego trupa. Pośpiesznie schował skrzepy do tej samej torebki, co włosy i całość ukrył w kieszeni.

Kiedy powrócił Steve, Decker zagadnął go o ranę. Pracownik kostnicy wzruszył bezmyślnie ramionami, naciągając płótno na twarz Axelmana.

– Tak go tu przywieźli. Zdziwiłby się pan, co przytrafia się tym gościom, zanim trafiają do komory. Ja tylko się nimi zajmuję, jak jest już po wszystkim.

– A jak często trafiają tu z odciętymi jajami?

– Jak dla mnie, to za rzadko – odparł Steve, przyglądając się podejrzliwie Deckerowi. Decker znał to spojrzenie. Widział ten wyraz na twarzach niezliczonych świadków. Znaczyło to: „Nie mam nic wspólnego z całym tym gównem i nie chcę mieć. Daruj sobie te głupie pytania”. Steve uśmiechnął się krzywo, dając do zrozumienia Deckerowi, żeby się odpieprzył. – Zaraz zjawi się naczelnik, żeby być obecny przy kremacji... a może i przy sekcji zwłok. Niech się pan go spyta, co się stało z jajami.

– W porządku – odrzekł z uśmiechem Decker. Nie zamierzał tłumaczyć się przed naczelnikiem, po co tu przyszedł. Zresztą miał to, czego szukał. – Dzięki za pomoc – dodał. – Już się napatrzyłem.

Nerwowo rozglądając się na boki, Pitt odprowadził go do bramy. Decker niespiesznie podszedł do wypożyczonego samochodu, próbując zebrać myśli. Działo się tu coś dziwnego. Ale co? Tymczasem postanowił skupić się na tym, co najbardziej się liczyło: sprawdzeniu prawdziwości listownych wyznań Axelmana. Zwłaszcza przyznania się mordercy do tego, że był jego ojcem, oraz rewelacji dotyczących miejsca ukrycia ciał – w tym trzynastej ofiary.

Decker obejrzał sobie pod światłem plastikowy woreczek z płatkami zakrzepłej krwi i trzema włosami. Następnie z kieszeni marynarki wydobyl kolejną torebkę na dowody rzeczowe i wyrwał dwa włosy z własnej głowy, znów uważając, by ich nie uszkodzić. Umieścił je w pustej torebce. Każdą z torebek włożył do innej kieszeni. Co teraz?

Musiał zapewnić sobie dyskrecję podczas testów. Nie mógł do tego mieszać nikogo z Biura. Pozostawała mu tylko jedna możliwość. Ktoś godny zaufania i mieszkający w pobliżu. Jednak myśl o zaangażowaniu w sprawę właśnie jej sprawiła, że aż się wzdrygnął.

Sięgnął po portfel. Szybko odnalazł potrzebną wizytówkę. Sprawdzał adres i wszedł do samochodu. Nie miał wyboru. Musiał poprosić ją o pomoc. Ale wcale to mu nie poprawiło samopoczucia.

Wiedział bowiem, że Kathy Kerr uzna ten nagły przejaw zaufania, jakim obdarza jej genetyczne sztuczki, za swe moralne zwycięstwo.

*Obóz Al Tadzi, Bagdad, Irak
Tego samego dnia, godz. 16.17*

Przebywający w bagdadzkich barakach Korpusu Północnego Gwardii Republikańskiej

doktor Udaj Aziz miał powody do zmartwień. Im bardziej przyglądał się trupowi leżącemu na koszarowej pryczy, tym bardziej nie mógł uwolnić się od ponurych myśli. Było niedobrze. Bardzo niedobrze.

Pogładził sumiaste wąsy i otaksował wzrokiem stojącego przed nim pułkownika Alego Saadiego. Oficer – silny, barczysty i brzuchaty mężczyzna, z krzaczastymi brwiami – świdrował wzrokiem trupa. Przez chwilę Azizowi zdawało się, że kopnie martwego żołnierza.

– To czwarty w ciągu dwóch dni – powiedział Aziz, przeglądając dokumentację medyczną szeregowego Dżafara Hammadiego. Próbował znaleźć racjonalną przyczynę tego, że cieszący się doskonałym zdrowiem dwudziestoczterolatek miał nagle wylew krwi do mózgu. – I to jeśli nie liczyć samobójstw i egzekucji Chatiba.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdził pułkownik. – Na nic się nie skarżał żadnemu ze swych zwierzchników.

– Może miał zbyt dużo pracy?

– Ciężko harował, żeby go przeniesiono na południe, ale przecież nie ciężej niż inni.

Doktor Aziz podrapał się w głowę. Znow przyjrzał się trupowi. Jeśli nie liczyć trądziku i utraty włosów, nie było się do czego przyczepić. Po pierwszych niewyjaśnionych zgonach dwa dni temu zlecił przeprowadzenie sekcji zwłok. Większość ofiar zmarła z powodu wylewu krwi do mózgu lub popełniła samobójstwo. Wszystkie były w doskonałej kondycji fizycznej, a w przeszłości nie miały żadnych problemów natury psychicznej. Jednak wyniki badań ich krwi ujawniały podobne odchylenia od normy. Wszystkie one wskazywały na jedno możliwe wyjaśnienie – zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę utratę włosów i trądzik – jednak, by mieć pewność, musiał wykonać dalsze testy.

– Musimy się dowiedzieć, co się dzieje – mruknął.

– Racja – przytaknął pułkownik. – I to jak najszybciej. Ludzie zaczynają już o tym gadać. Jeśli dojdzie to do uszu głównodowodzącego tuż przed planowaną ofensywą, zażąda wyjaśnień.

– Rozumiem. – Aziz znow pogładził wąsy. Nie odpowiadał za samobójstwa i egzekucje, ale czemu musiało się to zdarzyć akurat teraz?

Jako starszy lekarz wojskowy żył całkiem dobrze. Wojsku, a zwłaszcza Gwardii Republikańskiej, nie brakowało niczego. Jeśli nie liczyć zwykłego ryzyka, jakie niesie ze sobą wojna, stan zdrowia jego ludzi nie przysparzał mu kłopotów. Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy Aziz spędzał długie godziny nad papierkową robotą, organizując szpitale polowe i szczepienia setek tysięcy żołnierzy z myślą o planowanej ofensywie kuwejckiej. A teraz, jakby nie dość było dotychczasowych problemów, pojawiło się jeszcze to...

– Jest pan pewien – podjął po chwili lekarz – że ci ludzie nie brali żadnych niedozwolonych środków?

– Ja im z pewnością niczego nie przepisywałem – warknął z chmurną miną pułkownik. – A w ogóle to o jakich środkach mowa?

Aziz przyjrzał mu się bacznie, próbując wywnioskować, czy mówi prawdę. Nie byłby to pierwszy przypadek testowania przez oficerów narkotyków na swoich żołnierzach z myślą o poprawie skuteczności bojowej. Nic dziwnego, zwłaszcza w obliczu zbliżającej się ofensywy.

Aziz wzruszył ramionami, nie spuszczać jednak wzroku z pułkownika.

– Mówię o sterydach anabolicznych. Zażywają je niektórzy sportowcy, żeby osiągać lepsze wyniki.

Pułkownik pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Myśli pan, że ci żołnierze przyjmowali sterydy? I dlatego umarli?

– Jeszcze nie wiem – odparł Aziz, zamykając wytrzeszczone, nabiegłe krwią oczy zmarłego. – Ale wkrótce się dowiem.

*Uniwersytet Stanforda, Kalifornia
Czwartek, 30 października, godz. 12.53*

Kathy Kerr dwukrotnie sprawdziła swoją propozycję. Nie chciała żadnych niespodzianek w ostatniej chwili.

Cały poranek przygotowywała się do spotkania z Madeline Naylor i Alice Prince. Spacerując po swym biurze w laboratorium na Uniwersytecie Stanforda, po raz kolejny czytała przytoczone przez siebie argumenty za kontynuowaniem projektu Sumienie. Jakkolwiek na to spojrzeć, każdy był sensowny. Budżet odzwierciedlał ich potrzeby; wyznaczone ramy czasowe zapowiadały wiele pracy, były jednak realistyczne. Spojrzała na dokument z tysiącem nazwisk więźniów, których wybrała z bazy DNA należącej do FBI. Zapisując każde z nazwisk, starała się zapamiętać ich kartoteki. Próbowała przewidzieć powody, dla których Madeline Naylor mogłaby sprzeciwić się ich udziałowi w projekcie.

Musi zapytać o wystąpienie Pameli Weiss z poprzedniego wieczora. Chciała też wiedzieć, czy doktor Prince lub dyrektor Naylor wiedzą coś na temat jej planów dotyczących wykorzystania biologii i genetyki w terapii przestępczości.

Siedząc za biurkiem, Kathy obserwowała, jak dwaj technicy laboratoryjni czyszczą inkubatory i wkładają zabrudzone szalki Petriego i naczynia do autoklawu. Nikogo prócz nich nie było w laboratorium. Zastępcy Franka i Karen mieli pojawić się w przyszłym tygodniu; nie sprawiało to jednak szczególnego kłopotu, gdyż przed rozpoczęciem kolejnego etapu w laboratorium nie było zbyt wiele do roboty.

Nagle ktoś gwałtownie otworzył drzwi do laboratorium. Kathy się wzdrygnęła. Przez chwilę sądziła, że to dyrektor FBI i doktor Alice Prince przybyły przed czasem na umówione spotkanie. Dzięki Bogu była przygotowana.

Nie była to jednak ani Madeline Naylor, ani Alice Prince. Tego gościa się nie spodziewała.

Wysoki mężczyzna o blond włosach wszedł niepewnym krokiem do laboratorium. Kathy zobaczyła, jak rozmawia z jednym z techników, a ten wskazuje jej biuro. Mogła tylko stać i patrzeć przez rolety, jak Luke Decker zbliża się do jej drzwi i w nie puka.

– Wejdz – powiedziała. Żałowała, że tego dnia nie założyła do pracy szkieł kontaktowych, tylko stare okulary.

Luke wydawał się zdenerwowany. Uśmiechał się, lecz usta miał zaciśnięte, a w jego wzroku czaiła się nieufność.

– Cześć, Kathy – przywitał się. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw tej niezapowiedzianej wizycie?

– Oczywiście, że nie – odparła z uśmiechem.

– Imponujące urządzenie – rzucił, wskazując na sprzęt laboratoryjny.

– Dziękuję – odparła, odkładając dokumenty dotyczące nadchodzącego spotkania. – Co

cię sprowadza w te strony?

Spoważniał. Podeszedł do drzwi, by je zamknąć.

– Szczerze mówiąc, potrzebuję przysługi... i dyskrecji. Masz chwilkę?

– Jasne. Za pół godziny pojawi się tu dyrektor Naylor, ale do tej pory mam czas.

Na wzmiankę o dyrektor FBI Luke zmarszczył brwi – Coś poważnego?

– Mamy zgodę FDA na kontynuowane dużego projektu, nad którym właśnie pracujemy.

Dyrektor chce przedyskutować kolejne etapy.

– To wspaniale – odparł. – Gratulacje. – Jednak na jego twarzy ciągle znać było napięcie.

– Czy coś się stało? – spytała Kathy.

– Powiedzmy, że nie chcę, by to, o czym powiem, rozeszło się po całym FBI. Jeszcze nie teraz.

Kathy kiwnęła głową. Coraz bardziej zaciekawiona przyglądała się Deckerowi.

– Nie martw się, nic nikomu nie powiem. No więc o co chodzi?

Decker zamilkł. Wydawało się, że zastanawia się, ile może jej powiedzieć. Sięgnąwszy do kieszeni marynarki, wyciągnął niewielką plastikową torebkę. Potem z bocznej kieszeni wydobył kolejną.

– A więc... Chciałbym porównać DNA z włosów z tej torebki z tym, co jest w drugiej.

– Porównać?

Otworzył jedną z torebek, ukazując trzy siwe włosy i dwa skrzepy krwi.

– Chciałbym wiedzieć, czy istnieje między nimi jakiś związek.

Zmrużyła oczy.

– Związek? Czy pochodzą z tej samej rodziny, tak? Brat i siostra, ojciec i córka, coś w tym stylu?

– Właśnie o to mi chodzi.

Kathy wzięła torebkę i przyjrzała się uważnie włosom i skrzepom ciemnej krwi. Położyła ją delikatnie na biurku. Sięgnęła po drugą torebkę. Spojrzała na umieszczone w niej blond włosy.

– Mam nadzieję, że powiesz mi, o co w tym chodzi?

– Wolałbym nie mówić.

Po minie Deckera poznała, że niechętnie prosi ją o pomoc. W ten sposób przyznawał jej rację, że zrozumiawszy geny, zrozumie się wszystko. Przez ułamek sekundy poczuła chęć zwrócenia mu uwagi, że ucieka się do pomocy technologii, z której kiedyś otwarcie szydził. Patrząc na niego, rozumiała, jak wielkie to miało znaczenie i jak ważna była praca, której poświęciła swoje życie.

– Dobra, spróbuję – odpowiedziała tylko.

– Jak długo to potrwa? – zapytał, spoglądając na zegarek. Teraz, kiedy powiedział już wszystko, co było do powiedzenia, wydawało się, że chce jak najszybciej opuścić jej biuro.

– Jak długo? Dawniej używaliśmy metody dot biot albo wykonywaliśmy analizę RFLP, żeby wyizolować sekcje DNA świadczące o genetycznym podobieństwie pomiędzy danymi osobami. Wyniki dostałbyś za dwa tygodnie.

Jego twarz posmutniała.

Kathy wskazała na czarny, przypominający łabędzia genoskop, stojący w głównym laboratorium. Podniosła pierwszą torebkę.

– Jednak za pomocą tamtego urządzenia – podjęła – możemy bez trudu odczytać około dziewiętnastu tysięcy genów z próbek, które przyniosłeś w pierwszej torebce, po czym porównać je z tym, co znajduje się w drugiej. Zostaw to i zadzwoń za parę godzin. Powinnam wtedy już mieć ostateczne wyniki.

Decker skinął głową. Na jego twarzy odmalowała się ulga pomieszana z przerażeniem.

– Luke, wyglądasz tak, jakbyś wcale nie chciał znać odpowiedzi.

Wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

– Powiedzmy, że muszę to wiedzieć.

Dokładnie o trzynastej trzydzieści przyjechała dyrektor Naylor w towarzystwie Alice Prince.

Chwilę wcześniej Kathy Kerr przekazała tajemnicze próbki przyniesione przez Deckera technikom laboratoryjnym. Mieli je przeskanować w sekwencerze genoskopu i zanalizować pod względem zbieżności rodzinnej. Nie mogła się nadziwić, dlaczego Decker właśnie ją poprosił o przeprowadzenie badania i dlaczego tak bardzo chciał uniknąć kontaktu z FBI.

Zwykle surowa dyrektor uśmiechała się. Wyglądała elegancko w czarnym spodniem. Jej białe włosy były nieskazitelnie wymodelowane. Doktor Prince włożyła bezkształtny granatowy żakiet i spódnicę. Wydawała się dziwnie niespokojna.

Alice Prince powiedziała Kathy, że FBI i Viro-Vector zwiększyły jej budżet o kolejne pięć milionów dolarów rocznie. Pewna suma zostanie też przelana na specjalne konto projektu na jej wyłączny użytek.

– Oczywiście – dodała z szerokim uśmiechem Naylor – może pani zażądać dla siebie takiej pensji, jaką uzna pani za stosowną.

Kathy oniemiała. Narzuciła sobie wielkie ograniczenia budżetowe, a te pieniądze całkowicie wystarczały na pokrycie kosztów badań, nawet je przekraczały. Zwłaszcza że Viro-Vector i tak dotował większość sprzętu laboratoryjnego, z jakiego korzystała na uniwersytecie. Dzięki dodatkowym funduszom mogła zatrudnić więcej osób. Przyspieszyć pracę.

– Nie wiem, co powiedzieć. Jest pani bardzo hojna. Prawdę mówiąc, to więcej, niż mi potrzeba.

– Nonsens – odparła Naylor. – Pierwsza zasada pozyskiwania dotacji mówi, że budżet nigdy nie jest zbyt duży. – W uśmiechu szeroko rozchyliła wargi, aż ukazały się ząbki. Kathy rzadko widywała dyrektorkę uśmiechniętą. Jej twarz wydawała się nienaturalna. Niepokoiła bardziej niż jej zwyczajna surowa mina.

Naylor wstała z krzesła stojącego przy owalnym stole konferencyjnym, siadła obok Kathy i pochyliła się w jej kierunku.

– Poza tym – ciągnęła – zasługuje pani na te dodatkowe fundusze. Chcemy pokazać, jak bardzo doceniamy wszystko to, co pani osiągnęła.

Chociaż schlebiali to Kathy, poczuła się zakłopotana. Sięgnęła po swoje notatki, leżące

na stole.

– Dziękuję. Naprawdę, jestem niezwykle wdzięczna. Teraz jednak chodzi mi przede wszystkim o to, by wyraziła pani zgodę na wprowadzenie w życie kolejnych etapów projektu.

– Kathy poczekała, aż Naylor zajmie swoje miejsce, po czym wręczyła jej i doktor Alice po teczce. Sama otworzyła własny egzemplarz. – Prócz zarysu poszczególnych etapów, ich uzasadnienia, problemów finansowych, ustalonych celów i ram czasowych dokumenty te zawierają listę obiektów, na których chciałabym testować Sumienie, wersję 9, za ich zgodą rzecz jasna. I oczywiście za zgodą pani.

Naylor nie spojrzała nawet na dokumenty, które podsunęła jej Kathy. Alice Prince przechyliła głowę, jakby przyglądając się jakiemuś punktowi nad głową Kathy.

– Co byś powiedziała – odezwała się wreszcie – gdybyśmy oznajmiły, że możemy pominąć następne osiem czy dziesięć lat twoich badań?

Kathy nie zrozumiała doktor Prince. Spojrzała najpierw na Alice, potem na Naylor.

– Co panie mają na myśli? Przyspieszenie testów na przestępcach?

Naylor skinęła powoli głową. Uśmiech znikł z jej twarzy. Nie mrugając oczyma, przyglądała się wnikliwie Kathy, jak wąż obserwujący swoją ofiarę.

Kathy wzruszyła ramionami.

– Byłoby wspaniale, gdyby nie zepsuło to wiarygodności wyników. O jakim przyspieszeniu mówimy?

Ciemne oczy przyglądały się jej jeszcze wnikliwiej. Kathy miała wrażenie, że poddaje się ją testowi, ocenia się jej reakcje.

– Powiedzmy, że nie chodzi tu o przyspieszenie testów – powiedziała Naylor – lecz ich pominięcie.

– Przecież musimy je wykonać, żeby mieć pewność, że to działa.

– A jeśli już je przeprowadzono? – wtrąciła się Alice.

– Ależ to niemożliwe, takie rzeczy wymagają lat.

Dyrektorka skinęła głową, a na jej cienkich ustach pojawił się uśmiezek nieobecny w jej oczach.

– Dokładnie osiem – potwierdziła.

Kathy wpatrywała się w Naylor. Czy z niej kpi?

– Pani dyrektor, nie rozumiem. Proszę mi powiedzieć, że pani żartuje. Dyrektorka FBI przestała się uśmiechać.

Kathy spojrzała na Alice, ta jednak wbiła wzrok w blat stołu.

– Prowadziliście potajemne testy w ramach naszego projektu, mojego projektu?!

– To nie takie proste, jak się wydaje – odparła Naylor. – Bez naszej wiedzy grupa nadmiernie ambitnych ludzi z FBI i naukowców z Viro-Vectora odkryła istnienie Sumienia i rozpoczęła sekretne, bezprawne próby. Oczywiście wszyscy w to zaangażowani zostaną surowo ukarani. Ważniejsze jednak jest to, że testy się powiodły.

Niedowierzenie na kilka sekund dosłownie sparaliżowało Kathy. Kiedy uświadomiła sobie, że wszystko jest prawdą, złość wzięła górę. Odepchnęła krzesło od stołu i wstała.

– Kim są ci ludzie? – zapytała. – Dlaczego nic wcześniej nie wiedzieliśmy?

Naylor rozsiadła się wygodnie na krześle, podczas gdy Alice wierciła się na swoim.

– Teraz nie ma to już znaczenia – odparła dyrektor FBI. – Ale, droga Kathy, słyszałaś z pewnością o malejącym poziomie przestępczości w Kalifornii, prawda?

Kathy była wściekła. Wbiła sobie paznokcie w dłoń. Oczywiście wiedziała o zmniejszającej się przestępczości w stanie. Dziennikarze mieli wiele teorii na ten temat. Szczególnie teraz dużo o tym mówiono, kiedy odpowiedzialna za poprawę bezpieczeństwa pani gubernator startowała w wyborach prezydenckich.

– A więc – kontynuowała dyrektor Naylor – ma to bezpośredni związek z testowaniem pani teorii na najokrutniejszych zbrodniarzach. – Naylor podniosła teczkę z dokumentami Kathy. – Ludzie, którzy przeprowadzili testy, nie zrobili nic więcej poza tym, co pani planowała. Co więcej, część przestępców z pani listy otrzymała już serum. W sumie powinna pani uznać to za dobrą wiadomość. Pani teorie zostały potwierdzone w praktyce. Zaoszczędzono pani dziesięć lat pracy.

Kathy wyciągnęła rękę, chwytając teczkę, którą wcześniej podała Naylor.

– Czyli była to jedna wielka strata czasu? Zapracowywaliśmy się na śmierć dla czegoś takiego. Jak to możliwe, że testy rozpoczęły się osiem lat temu? Bezpieczne serum, zatwierdzone przez FDA, stworzono zaledwie cztery lata temu.

Naylor milczała.

Kathy poczuła się okropnie, kiedy zrozumiała, co się stało. Wszystkie badania poszły na marne.

– Boże! – krzyknęła. – Użyli pierwotnego serum? Jezu, założę się, że ludzie stanowiący obiekty nie byli nawet ochotnikami.

– Nie, nie byli. Ale też nie można powiedzieć, że po zbrodniach, których się dopuścili, mieli jakikolwiek wybór poza krzesłem elektrycznym i dożywociem. Może nie byli świadomi przeprowadzanych na nich testów, jednak prawie wszyscy wynieśli z nich jakieś korzyści. Proszę wziąć pod uwagę jedną rzecz. Nikt nie ucierpiał w trakcie testów. Serum podano szesnastu tysiącom skazanych i nie tylko zadziałało, ale okazało się całkowicie bezpieczne.

– Skąd, do cholery, może to pani wiedzieć? Efekty zwykle pojawiają się wiele lat po zastosowaniu. Boże, nasze własne badania wskazywały, że pierwszy wirion przyczyniał się do rozwoju raka jąder i prostaty. Nie tylko u badanych, ale również u ich dzieci. Chłopcy, którzy rodzą się z rakiem jąder...

Alice Prince pokręciła głową.

– Kathy, widziałam twoje wcześniejsze raporty. Ryzyko nigdy nie zostało potwierdzone. Sprawdziłam to.

– Alice, jak możesz mówić coś takiego? Dobrze wiesz, że zostało potwierdzone.

– No dobrze, ale odsetek był naprawdę niewielki. Daj spokój, Kathy. Różnica pomiędzy pierwszym wirionem a ostatnią wersją jest nieistotna.

– Nieistotna? Jakim prawem tak mówisz?!

Alice wyglądała na podenerwowaną. Spojrzała ku Naylor. Nienawidziła jakichkolwiek sprzeczek.

– Alice, poczekaj na mnie na zewnątrz – powiedziała dyrektor Naylor. – Pozwól, że ja się

tym zajęmę.

Alice zamilkła i, nieco zawstydzona, ale z widoczną na twarzy ulgą, wstała od stołu i wyszła.

Naylor natychmiast przeszła do rzeczy.

– Droga Kathy, te niewielkie różnice są istotne tylko dla uzyskania zgody FDA. Zareczam, że nie mają żadnego znaczenia z punktu widzenia bezpieczeństwa. Zaoszczędzone pieniądze i uratowane życie wielu obywateli tego stanu równoważą każde ryzyko związane z kuracją. Poza tym po przedwyborczym oświadczeniu Pameli wszystkie kolejne kuracje będą przeprowadzane przy użyciu wersji 9 zatwierdzonej przez FDA.

– Po jakim oświadczeniu? – zapytała Kathy.

Nie wierzyła własnym uszom.

– W ten piątek Pamela Weiss...

– Czy chodzi o to, o czym Weiss mówiła podczas wczorajszej debaty w telewizji?

– Tak – potwierdziła Naylor – i o tym właśnie chcemy teraz porozmawiać. Kiedy dowiedzieliśmy się o sukcesie nieautoryzowanych testów i zgodzie FDA na wersję 9, zdecydowaliśmy wykorzystać to na korzyść projektu. Skandal opóźni Sumienie o dziesięciolecie, podczas gdy odważne, wizjonerskie oświadczenie, może nie tylko uratować projekt, ale również zwiększyć jego ogólną akceptację – tłumaczyła Naylor. – Z całkowitym poparciem prezydenta Burbanka Pamela Weiss weźmie na siebie odpowiedzialność za pomyślne wyniki testów na zbrodniarzach, tym samym ucinając wszelkie spekulacje na temat malejącej przestępczości w Kalifornii. Ogłosi również swoją propozycję dotyczącą leczenia skazanych zbrodniarzy w całym kraju zgodną z zatwierdzoną przez FDA wersją Sumienia. Powie naszemu narodowi, że jeśli ją wybiorą, zagwarantuje im zmniejszenie liczby przestępstw.

Co ważniejsze, Alice, która, tak samo jak pani, jest przerażona nielegalnymi testami, zaproponowała, aby to pani wyrażono uznanie za udane próby – ciągnęła dyrektor. – Proszę o tym pomyśleć, Kathy. Będzie pani sławna. Nie wykluczam Nagrody Nobla. Jednak, co ważniejsze, z pełnym prezydenckim poparciem zrealizuje pani marzenie swojego życia o leku na przestępczość szybciej, niż mogłaby to pani sobie wyobrazić.

I mowa tu nie tylko o naszym kraju, ale o całym świecie. Ważne jednak jest, aby nikt nie miał wątpliwości, że testy przeprowadzane przez kilka ostatnich lat zostały zatwierdzone przez FDA. Chociaż wiemy, że testy były bezpieczne, musimy udawać, że wiedzieliśmy o tym od początku. Pamela Weiss musi być postrzegana jako odważna wizjonerka, świadomie podejmująca ryzyko. Nikt nie może uznać jej za osobę nieodpowiedzialną, stwarzającą zagrożenie – podsumowała Naylor.

Kathy nie wierzyła własnym uszom. Podeszła do biurka i pochyliła się nad nim.

– Ależ ona jest nieodpowiedzialna, naraża ludzi na niebezpieczeństwo – zaoponowała.

Naylor wyglądała na wściekłą.

– Nasza przyszła pani prezydent nie jest świadoma niewielkich różnic pomiędzy wersjami 1 i 9. Pamela Weiss sądzi, że FDA zatwierdziło lek przetestowany podczas nielegalnych prób klinicznych. I tak już musi zostać.

– Nie możecie mi tego zrobić. To nieetyczne. Chcecie, żebym kłamała na temat pracy, której poświęciłam całe swoje życie?

– Oczywiście, że nie. Cały projekt opiera się na pani pracy. Nielegalne testy mogły zrujnować wszystko, nad czym pani pracowała. Teraz jednak jest okazja, żeby wykorzystać je dla dobra ludzkości.

Kathy usiadła na biurku i pokręciła głową. Jeszcze kilka minut temu wydawało się jej, że ma przed sobą świetlaną przyszłość, pełną wyzwań, o której ona sama decyduje. Teraz pozbawiono ją wszelkich marzeń.

– Jednak to jest kłamstwo – zaproponowała – a ja nie jestem pewna, czy potrafię sobie z nim poradzić.

– Kathy, musi pani myśleć logicznie. Wybór jest naprawdę prosty. Może pani przyjąć do wiadomości to, co się stało, i naprawić świat. Lub potępić to, bo złamano pani zasady i narażono niewielki odsetek skazanych zbrodniarzy na ryzyko choroby. Jeśli zdecyduje się pani na to pierwsze, osiągnie pani wszystko, łącznie z marzeniami o spokojniejszym świecie. Jeśli na to drugie, zniszczy pani wszelkie nadzieje na zrealizowanie naszych planów.

– Tak nie można. Czy pani tego nie widzi? – zapytała Kathy. Z emocji zaschło jej w gardle. – Chce pani, żebym popełniła przestępstwo, zwalczając je?

Naylor wstała powoli. Powiedziała spokojnym, zdecydowanym głosem:

– Co się stało, już się nie odstanie. Pozostaje pytanie, co zrobimy teraz? Będziemy kontynuować pani pracę, czy pozwolimy zniszczyć jej wyniki? Proszę o tym pomyśleć. To bardzo ważne. Muszę poznać pani decyzję jeszcze przed szóstą wieczór. Rozumiemy się?

Kathy się nie odzywała. Ta cała sytuacja przyprawiała ją o ból głowy. Jeśli postąpi zgodnie ze swoimi przekonaniem, zaprzepaści dzieło swojego życia. Jeśli jednak odstąpi od swych zasad, jej marzenia zostaną zrealizowane w niezwykle krótkim czasie. Diabelska alternatywa.

– Osiemnasta. Czy to jasne? – zapytała ponownie Madeline z twarzą kompletnie pozbawioną uczuć, sięgając do klamki.

– Nie, do cholery, nie – burknęła Kathy. – Nic już nie jest jasne.

Alice Prince wierciła się na fotelu, czekając w samochodzie na parkingu. Czuła się jak tchórz po wyjściu z biura, jednak w głębi duszy cieszyła się, że zostawiła sprawę w rękach Madeline. Alice zbyt wiele zawdzięczała Kathy. Okłamywanie jej było niezwykle trudnym zadaniem. A Madeline wcale się tego nie bała. Ona niczego się nie bała.

Alice pamiętała dzień, w którym poznała Madeline. Zapamiętała go tak dobrze, jakby to było wczoraj. Przyjechała do Szkoły Świętego Józefa w Baddington, mieście w północnej części stanu Nowy Jork. Tak poważnie wyglądającej dziewczynki Alice nigdy nie widziała.

Madeline miała zaledwie trzynaście lat, kiedy dyrektor przyprowadził ją do klasy Alice w połowie jesienno-zimowego semestru. Jej wojowniczo nastroszone włosy były białe jak śnieg. Ciemne oczy buntowniczo spoglądały z owalnej twarzy. Wszystkie inne dzieci naśmiewały się z Madeline. Nie dość, że wyglądała dziwnie, to jeszcze mieszkała z babcią, świrniętą panią Preston. Była to surowa, starsza pani z popadającego w ruinę domu przy Oxford Street,

niedaleko domu rodzinnego Alice.

Nikt wówczas nie wiedział, że matka porzuciła Madeline, kiedy była jeszcze malutka, a ojciec, policjant, został zastrzelony na jej oczach dwa tygodnie wcześniej. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że to w wyniku szoku włosy Madeline stały się całkowicie białe. Inne dzieci nieustannie jej dokuczały, co początkowo nawet odpowiadało Alice – przynajmniej ona miała wreszcie spokój.

Kiedy jednak bliźniacy Tyndale'owie, najwięksi i najsilniejsi z klasy, zaczepili Madeline na boisku, Alice zaczęła jej współczuć. Do momentu, w którym Madeline rzuciła się na nich jak dzika kotka, drapiąc i tłukąc tak długo, aż zwiali. Kiedy było po wszystkim, Alice podniosła z ziemi torbę i książki, które chłopcy wyrwali Madeline z rąk.

– Cześć, jestem Alice – oznajmiła. – Jak ci się mieszka w domu świrniętej pani Preston? Czy to prawda, że zakopuje trupy pod podłogą?

Otrzeptyjąc się z kurzu, Madeline wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – oparła. – Chodźmy zobaczyć.

Alice wciąż uwielbiała Madeline i ciągle się jej bała. Miała nadzieję, że nie zrobi ona krzywdy Kathy.

Wychodząc na zalany słońcem parking Uniwersytetu Stanforda, Naylor nie czuła rozczarowania po odbytym spotkaniu. Odczuwała niemal masochistyczną przyjemność na myśl o walecznej postawie Kathy Kerr. To ułatwiło jej podjęcie decyzji.

Naylor kłamała na temat osób odpowiedzialnych za nielegalne testy projektu Sumienie. Chciała poznać, co myśli o tym Kerr. Udawała niewiniątko, by dać jej do zrozumienia, że stoją po tej samej stronie i obie muszą jak najlepiej wykorzystać zaistniałą sytuację. Jednak Kerr nie odpowiadało takie pragmatyczne podejście. Sprzeciwiła się w imię zasad. Naylor dobrze wiedziała, że nie można tu polegać na osobach z zasadami. Bez względu na to, co powie w trakcie spotkania o osiemnastej, Kerr stanowi zbyt duże zagrożenie. Może nie tylko zagrozić Sumieniu, ale wzbudzić podejrzenia u Pameli Weiss, kiedy zostanie wcielona w życie Spirala Zbrodni. Ta niewiadoma musi zostać usunięta z równania. I to jak najszybciej.

Podchodząc do swojego służbowego samochodu, spostrzegła siedzącą na tylnym siedzeniu swego mercedesa przyjaciółkę. Kierowca posłusznie czekał na swoim miejscu. Kiedy Alice zauważyła podchodzącą Naylor, wyskoczyła z samochodu i ruszyła w jej kierunku.

– Jak się udało? – zagadnęła.

– Przecież widziałaś. Kerr nie ma zamiaru nas słuchać.

– Naprawdę?

– Nie martw się tym, Ali. Próbowałam wszystkiego, ale ona jest nieugięta.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że jestem.

– To co teraz zrobimy?

– Nie przejmuj się, wszystkim się zajmę.

– Chyba nie masz zamiaru zrobić jej krzywdy? – spytała Alice drżącym głosem.

– Oczywiście, że nie. Dopilnuję tylko, żeby poczekała sobie w jakimś bezpiecznym miejscu aż do zakończenia wyborów. Nie ma czym się przejmować. – Rozejrzała się po parkingu w poszukiwaniu Jacksona. Powinien się już zjawić. – Wszystko będzie wyglądało, jakby zrobiła sobie krótkie wakacje. To już ustalone.

Obie zamilkły.

– Jeśli nie ma innego sposobu... – Alice wyglądała na nieprzekonaną.

– Nie ma. Uwierz mi. Tak czy owak, powinniśmy przygotować się do spotkania z Pamela.

Kiedy Naylor ruszyła w stronę służbowego samochodu, wyszło jej naprzeciw dwóch ostrzyżonych najeża agentów w jednakowych czarnych garniturach. Wyższy otworzył drzwi. Zanim jednak wsiadła, ujrzała, jak na parking wjeżdżają dwa kolejne wozy i zatrzymują się jeden obok drugiego. Pierwszym był szary chrysler. Dobrze zbudowany, przystojny Murzyn o przenikliwym wzroku siedział na miejscu pasażera. Miejsce za kierownicą zajmował mężczyzna o pociągłej, chudej twarzy. W drugim, identycznym samochodzie siedziały trzy osoby.

To była jedna z tych cech, które tak lubiła u swojego zastępcy, Williama Jacksona – był zawsze tam, gdzie go potrzebowała. Jackson pracował z nią od lat. Jego wydział tworzyli dobrze zmotywowani agenci, którym niegdyś groziło zwolnienie dyscyplinarne. A wtedy na długo trafiliby za kraty. Oddalono zarzuty dzięki Naylor, która zdobyła w ten sposób bezwzględnie lojalnych pracowników. Za pośrednictwem Jacksona informowali ją o sytuacji w biurze i zajmowali się wszystkimi problemami, nie mieszając jej do tego.

Jackson i jego ludzie nie wysiedli z samochodów.

– Banion, daj mi telefon – powiedziała Naylor do otwierającego jej drzwi agenta.

Kiedy tylko wsiadła do samochodu, a agent zamknął za nią drzwi, podano jej komórkę. Wybrała numer. Widziała, jak William Jackson sięga po swój telefon.

– Jackson – odezwał się charakterystycznym niskim, nosowym głosem.

– Chcę, żebyś osobiście się tym zajął. Nie zapomnij, że tylko doktor Peters ma o tym wiedzieć. Nie mieszaj w to nikogo więcej. – Urwała, wpatrując się w surowe oczy po drugiej stronie parkingu. – I pamiętaj, nie zawieź mnie.

*Biuro terenowe FBI, przedmieścia San Francisco
Czwartek, 30 października, godz. 13.56*

Luke Decker siedział przy jednym z biurków przeznaczonych dla gości i próbował nie myśleć o teście przeprowadzonym przez Kathy Kerr. Aby się czymś zająć, podłączył laptopa do stacji dokującej i zabrał się za sprawdzanie trzynastej ofiary z listu Axelmana.

Najpierw odczytał raz jeszcze odnoszącą się do niej część listu:

... Ostatnia, trzynasta dziewczynka rozpoznała miejsce, gdzie pozostawiłem je wszystkie. Powiedziała mi, że rodzice zabierali ją tam, żeby się bawiła. Wylot mojego tunelu zasłania jedno z wielu drzew, jednak ona miała dla niego nazwę. Razem z mamą nazywały je Wężowym Drzewem. Znajduje się w lesie, w pobliżu ich domu. Skontaktuj się z rodzicami dziewczynki. Znają to miejsce. Tam właśnie znajdziesz ciała – wszystkich trzynaście ciał.

Nie idź tam jednak od razu. Chcę, abyś najpierw zwrócił się do rodziców ostatniej ofiary. Przeproś ich w moim imieniu. Wkrótce umrę, a dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Ta wiedza mnie zabija. Jedno, co mi daje siłę, to fakt, iż z mojego zła zrodziło się coś dobrego. Zrodziłeś się ty. Może jako mój syn pomożesz mi odpokutować za moje zbrodnie...

Decker rzucił list na biurko, jak coś nieczystego. Nienawidził samej myśli, że miałby jakoś pomóc Axelmanowi w odkupieniu jego win. Wrócił do komputera. Przeszukał bazę danych FBI, wpisując imię i nazwisko ofiary oraz datę uprowadzenia, podaną w liście. Następnie wydrukował znalezione akta.

Faktycznie, dziewczynkę o tym samym imieniu i nazwisku uprowadzono w dniu podanym w liście Axelmana. Nigdy też nie odnaleziono jej ciała. Jednakże o jej zaginięciu bez wątplenia donosiły gazety, niczego więc to nie dowodziło. Decker mógł złożyć wizytę rodzinie dziewczynki i spytać o drzewo. A jeśli to jednak podpucha Axelmana – sprytna, okrutna próba zadania bólu nawet po śmierci? Decker nie chciał w czymś takim uczestniczyć. Przeczytał wszystkie dostępne informacje o ofierze i jej rodzinie, a następnie przestudiował zdjęcia dołączone do akt sprawy. Jedną z najsmutniejszych konsekwencji charakteru pracy Deckera był fakt, że ilekroć widział na ulicy młodą dziewczynę, podświadomie oszacowywał jej stopień zagrożenia. Ubiór, wiek, wygląd, makijaż, sposób bycia, osobowość – wszystko to odgrywało swą rolę. Zaznajomienie się z ofiarą było równie ważne jak zaznajomienie się z mordercą. Dziewczyna z fotografii znajdowała się w grupie wysokiego ryzyka, jeśli wziąć pod uwagę kogoś takiego, jak Axelman. Była młoda, ładna i niewinna. Może Axelman mówił prawdę o swej trzynastej ofierze? Czemu jednak nie znaleziono jej przedmiotów osobistych w jednym z pudełek w jego domu?

Decker, korzystając z wyszukiwarki internetowej, znalazł strony dotyczące obszaru, na

którym mieszkała rodzina trzynastej ofiary. Wybrał serwis komunalny Los Altos Verdes. Stronę główną serwisu ozdabiała zdjęcie strzelistych drzew w lesie niczym z listu Axelmana.

*Los Altos Verdes, góry San Bruno, okolice zatoki San Francisco
Godzinę później*

Dziesięć kilometrów od Palo Alto Luke Decker zatrzymał wypożyczonego forda na polance z widokiem na jeden z wartych miliony dolarów domów w luksusowym osiedlu Los Altos Verdes. Stał oparty o samochód i podziwiał widok.

Z Internetu dowiedział się, że trzydzieści lat temu osiedle zbudowano na terenie należącym niegdyś do prywatnego zoo. Mimo malowniczego otoczenia ogród zbankrutował i właściciele musieli go sprzedać firmie handlującej nieruchomościami, która wybudowała tam dziesięć ekskluzywnych posiadłości, dodatkowo zalesiając teren. Miejsce było czarujące, jednak perspektywa odwiedzin w widzianym z góry domu nie sprawiała Deckerowi przyjemności. Dlatego że właśnie tam mieszkała trzynasta ofiara.

Wziął głęboki oddech i rozejrzał się po okolicy. W Internecie nie znalazł najmniejszej wzmianki o żadnym Wężowym Drzewie. Jeśli faktycznie istniało, to nazwy tej używała jedynie rodzina ofiary. Przyglądając się dębom, jodłom i drzewom laurowym, Decker doszedł do wniosku, że nigdy nie rozwikła zagadki bez pomocy tych ludzi. Jeśli Axelman faktycznie mówił prawdę...

Jeśli mówił prawdę...

Sam pomyślał, że Axelman mógł mówić prawdę w którymkolwiek miejscu swego listu, mroził mu krew w żyłach.

Zerknął na zegarek, wrócił do samochodu i sięgnął po pozostawioną na siedzeniu komórkę. Wybrał numer Kathy. Czekał, aż podniesie słuchawkę. Serce biło mu jak młotem. Niemal czuł, jak cichy las wsłuchuje się w jego tętno.

Telefon zadzwonił pięciokrotnie, nim odebrała. Z każdym dzwonkiem przygotowywał się na to, co usłyszy. Na najgorsze wieści.

– Kathy Kerr – w głosie dawało się słyszeć napięcie.

– Cześć, Kathy, mówi Luke. Masz już te wyniki?

Cisza.

– Kathy? Jesteś tam?

– Przepraszam, Luke. Tak, jestem. – Z głosu dało się jednak wyczuć, że myślami znajduje się całkiem gdzie indziej. – Tak, tak, próbki. Zaraz po nie pójde. Na pewno są już gotowe.

Jej brak pewności siebie wcale nie poprawił mu nastroju. Gdy odezwała się ponownie, zdawała się jednak znacznie bardziej skoncentrowana. Słyszał, jak uderza palcami w klawiaturę.

– Luke, jestem teraz w pomieszczeniu genoskopu. Przeglądam wyniki i...

– Tak? O co chodzi?

– Poczekaj, chcę coś jeszcze sprawdzić.

Wyczuł zdumienie w jej głosie. Jeśli jego serce wcześniej biło szybko, to teraz dosłownie

galopowało w oczekiwaniu.

– No i co? – dopytywał się niecierpliwie.

– Luke, czy to sprawa oficjalna? – spytała.

– O co ci chodzi?

– Próbkami z jednej z torebek, które mi przekazałeś, odpowiadają pozycji z bazy danych DNA FBI. To morderca z celi śmierci. Co tu jest grane, Luke?

– Zaufaj mi, Kathy. Lepiej, żebyś tego nie wiedziała. Powiedz mi tylko, czy między tymi próbkami istnieje jakiś związek?

– Luke, tu się dzieje coś dziwnego...

– Jakbym nie wiedział! – krzyknął do telefonu. – Jest jakiś cholerny związek, czy nie?!

Ciężkie westchnienie. Przez jedną przyprawiającą o palpitację serca sekundę myślał, że odłoży słuchawkę. Wreszcie jednak się odezwała. W jej głosie znać było napięcie.

– Tak – wydawało się, że niechętnie ujawnia wyniki. – Według genoskopu próbki pochodzą z tej samej rodziny. To ojciec i syn.

Decker poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Oparł się bezsilnie o samochód. Słyszał, jak palce dawnej kochanki nadal uderzają o klawiaturę.

– Ale Luke – dodała nagłym głosem – mam tu coś bardzo dziwnego. Musimy porozmawiać. Natychmiast.

Jednak on już nie słuchał. Przerwał połączenie, wyłączył telefon i wrzucił komórkę do samochodu, jak coś skażonego. Lecz to nie telefon był skażony. To on sam. Poczucił, jak zbiera mu się na wymioty. Przed oczami przepływały mu litery trzymanego w dłoni listu, jakby drażniąc się z nim.

Prosiłem o widzenie z Tobą, ponieważ z jakiegoś powodu nagle poczułem żal za wszystko zło, które wyrządziłem. Pomyślałem, że jeśli Ci wszystko wyznam – Tobie, mojemu synowi – pomożesz mi to wyprostować. Ale kiedy Cię dziś zobaczyłem, nie mogłem Ci tego powiedzieć. Wyglądałaś jak mój ojciec. Był surowym człowiekiem. Bardzo religijnym. Poczuliśmy się zawstydzony.

Już wiele miesięcy temu odgadłem, że jesteś moim synem. Wiem to, odkąd zobaczyłem twoje zdjęcie w „Examinerze”, jak wynosisz jakąś dziewczynkę z cmentarza. Twoja twarz na zdjęciu wyglądała dokładnie tak, jak twarz mego ojca, gdy był w twoim wieku. Przypomniałem sobie nazwisko. Mam dobrą pamięć. Zbyt dobrą. Chciałbym zapomnieć wszystko to, co uczyniłem. Kiedyś zgwałciłem kobietę w pobliżu Union Square w San Francisco. Data odpowiada Twojemu wiekowi. Wiem, jak się nazywała, ponieważ nagle zjawiał się tam jej mąż. Był jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek zabiłem. W gazetach napisali, że był to kapitan Decker z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Nie wspomnieli jednak nic o tym, że kobietę zgwałcono...

Decker przysiadł na ziemi, opierając się plecami o samochód. Oddychał głęboko. Kiedy uniósł wzrok, zdało mu się, że czubki drzew tańczą wokół. Ta karuzela na tle nieba przyprawiała go o zawrót głowy. Nie dość, że był synem Axelmana, to jeszcze zabił on

człowieka, którego Decker przez całe życie wielbił, uważając za swego ojca. Jego jestestwo stało pod znakiem zapytania. Wszystko to, na czym się opierał w życiu, zostało bezpowrotnie zniszczone. Zwątpił nawet w sensowność swej pracy. Jeśli Kathy Kerr i dyrektor Naylor miały rację, jeśli ludzi można było utożsamić z ich genami, to kim był on sam?

Wstał, włożył list z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki i spojrzął na położony u jego stóp dom. Przenikało go uczucie grobowego chłodu. Wsiadł do samochodu. Zerknął na nowy szpadel i latarkę, które zakupił po drodze, umieszczone na tylnym siedzeniu.

Zapalił silnik i zawrócił forda. Gdy popatrzył w lusterko, na sekundę stanął mu przed oczami Karl Axelman.

Siedząc w swoim uniwersyteckim laboratorium, Kathy Kerr wpatrywała się zaszokowana w monitor genoskopu. Co takiego kombinował Luke Decker?

Po spotkaniu z Madeline Naylor Kathy była tak wściekła, że nie mogła się skupić na niczym innym. Kiedy się trochę uspokoiła, spróbowała przemyśleć konsekwencje ostatnich wydarzeń. Co zyska przez ujawnienie nielegalnych testów? Podważy skuteczność wersji 9, dla której uzyskała już pozwolenie. Nie wspominając już o szkodzie, którą może wyrządzić samej sobie. Udział w projekcie Sumienie zepsuje jej reputację. Będzie mogła pożegnać się z marzeniami o realizacji swoich planów leczenia przestępców.

To, co zobaczyła na ekranie monitora, sprawiło jednak, że zapomniała o swych zmartwieniach. Kiedy przyglądała się wzorowi DNA z próbek krwi przyniesionych przez Luke'a, porównując je z pasującym wzorem z bazy DNA FBI, jej złość ustąpiła, zmrożona przerażeniem.

Genom mordercy, znanego jako Karl Axelman, uległ nieznacznej zmianie.

Przełączyła się na kontrolę głosową, poleciła genoskopowi przeszukać DNA Axelmana w chromosomie 1. Kiedy błysnęło światełko na szyi czarnego łabędzia, rozległo się ciche buczenie i odezwał się melodyjny, męski głos:

– Gen receptora 5-HT1D α obiektu wymusza wzmożoną produkcję serotoniny. Trzysta procent wyższą od poziomu podstawowego.

Kathy nabrała powietrza w płuca.

– Przejdź do chromosomu 9.

Obraz stał się nieostry, by po chwili wyostrzyć się ponownie, ukazując podwójną helisę. Obok kolorowego obrazu pojawiło się okno z trzyliterowymi kodonami: CGA ACT TGA. Każdy kodon odpowiada pojedynczemu aminokwasowi, zaś kolejność aminokwasów decyduje o układzie genów, które z kolei sterują produkcją proteiny. Część wielobarwnej helisy była podświetlona, a ciąg kodonów wskazywał daną część struktury DNA skracającej się w dół ekranu.

– Obecność genetycznych nieprawidłowości – oznajmił głos z urządzenia. – Gen β -hydroksylazy dopaminy wymusza wzmożoną produkcję dopaminy. Poziom podstawowy przekroczony o czterysta procent. Efekt wzmożony przez nadmierny rozrost genu receptora dopaminy.

Kiedy Kathy kazała genoskopowi wyszukać podobnie wzmożoną aktywność genów w genomie Axelmana, odkryła, że wszystkie zmiany umiejscowione są w siedemnastu kluczowych genach, na których skupiały się jej badania. Karl Axelman przeszedł terapię genową, która miała zmodyfikować jego zachowanie. Nie była to jednak wersja 9 programu terapii genowej Kathy. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie wyglądało to na terapię.

Zatwierdzona przez FDA wersja 9 była stworzonym genetycznie wirionem, przynoszącym geny kontrolujące nadmierną agresję i wytwarzające emocjonalne czynniki hamujące przemoc. Redukowała kluczowe czynniki wywołujące agresję u pacjenta, włączając receptor dopaminy, noradrenaliny oraz testosteron. Wzmacniała aktywność czynników hamujących impulsywne zachowanie, takich jak gen odpowiadający za produkcję serotoniny 5-HT1D α .

Jednak zmodyfikowany profil psychologiczny Axelmana dowodził, że wszystkie jego hormony i neurotransmitery zostały uaktywnione w sposób wręcz niewyobrażalny. Zamiast go uspokajać, terapia taka spowodowałaby implozję osobowości Karla Axelmana, z jednej strony zwiększając agresję, z drugiej zaś obarczając go niepokojem i poczuciem winy. Kathy nigdy nie widziała choćby w połowie tak wysokich wskaźników. To tak, jakby jadąc ferrari, jednocześnie dociskać do dechy pedału gazu i hamulec. Prędej czy później zarżnie się silnik.

Weszła w menu PACT genoskopu i wcisnęła Z, szukając możliwych zagrożeń.

– Podaj skutki manipulacji genetycznej tego typu – zażądała.

– W osiemdziesięciu siedmiu procentach możliwość raka prostaty po osiemdziesiątce. Zmieniony genom wykazuje niedopuszczalny poziom stresu i podniecenia. Długość życia obiektu zmniejszona do kilku dni. Możliwe przyczyny zgonu: wylew krwi do mózgu, atak serca, wybór własny.

– Co rozumiesz przez wybór własny?

– Samobójstwo – odparł obojętnie głos urzędnika.

Dłonie Kathy zaczęły drżeć, kiedy zaczęła pojmować możliwe konsekwencje. Czy Axelmana poddano nielegalnym testom? Z pewnością był jednym z pierwszych kandydatów. W jednej chwili wszystko wydało się znacznie poważniejsze niż jakieś gierki z zezwoleniami FDA.

Sięgnęła po telefon i wykręciła numer Luke'a. Jego komórka była jednak wyłączona. Naprawdę musiała z nim o tym porozmawiać. Może wiedział o wszystkim, co tu się wyprawia? Może dlatego bał się oficjalnej procedury i kontaktu z laboratorium FBI?

Włożyła pen drive'a do genoskopu. Przegrała pliki z genomem Karla Axelmana z katalogu DNA i z tym zmodyfikowanym, pochodzącym z próbki krwi, którą przyniósł Decker.

Wyciągnęła pen drive'a z genoskopu, przeszła przez główne laboratorium, mijając dwóch asystentów zajętych opróżnianiem autoklawu. Weszła do biura. Zamknęła drzwi i podeszła do swojego biurka. Włączyła komputer, otwierając katalogi zawierające archiwum Sumienia. Chciała sprawdzić, czy nie przeoczyła niczego w pierwotnym wirionie, co mogłoby spowodować u Axelmana tak dalece posuniętą mutację genów. Przesunęła kursor i kliknęła na folder „Zezwolenie FDA: Archiwum testów klinicznych”.

Na ekranie wyświetlił się komunikat: „Folder niedostępny. Dokonaj autoryzacji”.

Jeszcze kilka godzin wcześniej miała otwarty dostęp do danych... jej danych. Kathy stłumiła w sobie rosnący niepokój. Spojrzała nerwowo na pracujących w laboratorium techników. Wiedziała, że żadnemu z nich nie może w pełni zaufać. Jezu, gdyby Karen i Frank nie siedzieli teraz gdzieś w Kongu...

Zachowując spokój, weszła na tyły laboratorium, gdzie stały dwie duże szafki na akta. Mimo że większość dokumentów istniała jedynie w formie elektronicznej, część pisemnych raportów i wniosków o dopuszczenie do badań klinicznych przechowywano w postaci drukowanej. Otworzywszy środkową szufladę szafki stojącej po lewej, spojrzała na niebieską teczkę opisaną jako TESTY PROJEKTU SUMIENIE”. Wydawała jej się o wiele cieńsza, niż pamiętała. Ponownie poczuła strach. Drżącymi dłońmi otworzyła teczkę. Na widok pliku dokumentów związanych z wersją 9, zatwierdzoną przez FDA, odetchnęła, karcąc się w duchu za głupie myśli. Przejrzała teczkę w poszukiwaniu dokumentów pierwotnego serum, użytego w trakcie nielegalnych prób. Nie było po nich śladu.

Przerażenie powróciło ze zdwojoną siłą. Co się tu dzieje? Ktoś próbował ją uciszyć i odizolować.

– Warren, wiesz może, co stało się z tymi dokumentami? – zwróciła się do jednego z techników laboratoryjnych, ustawiającego czyste ampułki obok autoklawu.

Odstawił naczynia i pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, nie dotykałem ich od wielu dni.

Kathy przyglądała się mu przez chwilę. Czy któryś z techników zabrał dokumenty na rozkaz dyrektora Naylor? A może ktoś włamał się tu nocą i je wyniósł? Zadrzała. Cała sytuacja wymykała się jej z rąk.

– W porządku – odparła. – Musiałam zostawić je w domu. Najspokojniejszym krokiem, na jaki mogła się teraz zdobyć, wróciła do swojego pokoju i usiadła za biurkiem. Działo się coś, czego nie mogła zrozumieć. Po rozmowie z dyrektorem Naylor nie wiedziała, do kogo się zwrócić. Z pewnością nie do Alice Prince. Istniała tylko jedna osoba, która mogła jej wytłumaczyć, co się dzieje, której, pomimo wszystko, ciągle ufała.

Pośpiesznie nakreśliła kilka słów do Deckera. Kiedy skończyła, wyciągnęła z biurka małą, brązową kopertę, do której włożyła kartkę i pen drive’a z genotypem Axelmana. Kopertę zaadresowała na jego nazwisko i dom Matty’ego Rheimana w dzielnicy Marina w San Francisco. Był to adres, który Decker zapisał na odwrocie swoje wizytówki. Przykleiła znaczek, rozglądając się, czy nikt jej nie obserwuje przez szklaną ścianę biura, i ostrożnie włożyła kopertę do głębokiej kieszeni białego laboratoryjnego fartucha.

Wyszła z biura, przeszła przez laboratorium w kierunku wahadłowych drzwi, prowadzących na zewnętrzny korytarz. Skierowała się w stronę toalet. Zanim tam doszła, zawróciła, skracając sobie drogę przez sekcję biologiczną do recepcji Centrum Badań Medycznych. Uśmiechnęła się do kobiety za kontuarem, wolnym krokiem podeszła do dużych skrzynek pocztowych przytwierdzonych do ściany, ukradkiem wyciągnęła kopertę z kieszeni, po czym wrzuciła do jednej ze szczelin. Odeszła. Teraz, bez względu na to, co się stanie, jej jedyny dowód był bezpieczny, nawet gdyby mieli przeszukać wszystkie należące do niej pliki na twardym dysku komputera, zrobić jej rewizję osobistą.

Kiedy wróciła do biura, z podręcznej torby wyciągnęła pogniecioną mapę samochodową San Francisco. Jeśli nie dodzwoni się do Luke’a, to zabierze z domu parę rzeczy, pojedzie do domu jego dziadka i tam na niego zaczeka. Szybko odnalazła i zaznaczyła ulicę, przy której mieszkał Matty Rheiman, po czym schowała mapę do torby. Zdjęła laboratoryjny fartuch,

wzięła laptopa i torebkę, po czym wyszła z biura.

Na parkingu wsiadła do swojego starego volkswagena, uruchomiła silnik i opuściła uniwersytecki kampus. Poczła się lepiej, kiedy wyjechała z Palo Alto. Wjeżdżając w Mendoza Drive, minęła szarego chryslera, zaparkowanego na drodze w pobliżu domu jej sąsiadów. W oddali dostrzegła swój dom. Na widok znajomego otoczenia Kathy zaczęła się zastanawiać, czy jej postępowanie nie było zbyt pochopne. Zaparkowała samochód, wyciągnęła telefon i wybrała po raz kolejny numer Luke'a. Tym razem nagrała się na pocztę głosową. Tłumacząc swoje obawy, uprzedziła go o swoim przyjeździe do domu jego dziadka i o konieczności niezwłocznej rozmowy. Wypowiedzenie tego na głos pozwoliło jej spojrzeć na całą sprawę z innej perspektywy. Wskoczyła z samochodu i przebiegła przez trawnik w stronę zdobionych w meksykańskim stylu drewnianych drzwi. Wsuwając klucz w zamek drzwi swojego domu, poczuła spokój.

Nie byłaby tak spokojna, gdyby zauważyła, jak z zaparkowanego dwieście metrów dalej chryslera wysiada trzech mężczyzn. Albo gdyby dostrzegła identyczny samochód, zatrzymujący się tuż za pierwszym, z kierowcą o twarzy przypominającej pysk łasicy. Tak czy inaczej, cały spokój uleciał, kiedy weszła do domu i ujrzała ciemną twarz z wpatrzonymi w nią błyszczącymi oczami. Serce jej zamarło.

Mężczyzna wymierzył w nią trzymany w jednej dłoni pistolet. W drugiej miał strzykawkę. Kathy prawą rękę trzymała w torbie, wkładając do niej klucze od domu.

– Czego chcesz? – spytała, próbując zachować spokój. Palcami wymacała komórkę i nacisnęła przycisk wybierający ostatni numer.

– Chcę, żebyś się trochę uspokoiła – odparł mężczyzna głębokim, nosowym głosem.

Nie wierzyła własnym uszom. Pomimo panicznego strachu, czuła wściekłość.

– Dlaczego?! To przez projekt Sumienie, tak?! Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

– Uprzedzono mnie tylko, że jesteś troszkę zestresowana i możesz powiedzieć rzeczy, których będziesz potem żałować. – Podszedł bliżej. – Zabierzemy cię gdzieś, gdzie będziesz się mogła uspokoić, w ustronne, ciche miejsce.

– Trzymaj tę igłę z daleka ode mnie, draniu! – krzyknęła, wycofując się pod drzwi. Jednak trzech kolejnych mężczyzn zastąpiło jej drogę. Dwóch z nich przytrzymało Kathy, ten zaś, którego spotkała jako pierwszego, podszedł do niej ze strzykawką. Czwarty przyłożył jej do ust szmatę śmierdzącą zatęchłą wodą. Wrywając się z całych sił, poczuła, jak igła przebija skórę jej ramienia. Dłoń cały czas trzymała w torbie, przyciskając klawisz ponownego wyboru numeru. Miała nadzieję, że połączy się z Deckerem.

Powróciwszy ze spotkania z Kathy Kerr, doktor Alice Prince czuła się spokojniej, przeglądając z Madeline Naylor dane na ekranach prezentacyjnych w centrum obliczeniowym Viro-Vectora. Duże pomieszczenie kontrolne sąsiadowało z dokładnie strzeżoną komorą Titanii. Pokój wypełniały monitory, drukarki, mikrofony, głośniki i klawiatury – wszelkie możliwe media, umożliwiające Titanii komunikację ze swoimi ludzkimi współpracownikami.

Znajdował się tam również długi stół konferencyjny i pięć stanowisk roboczych. Cztery małe monitory pokazywały zmieniające się jak w kalejdoskopie ujęcia kompleksu Viro-Vectora, obserwowanego przez system sterowanych przez Titanię sześćdziesięciu kamer przemysłowych. Były one jednak tylko dodatkiem do dwóch głównych ekranów.

Pierwszy z nich stanowił ścianę dzielącą pokój od chłodni Titanii. W oczekiwaniu na przybycie pani gubernator Weiss ciekłokrystaliczny wyświetlacz o wymiarach pięć metrów na trzy ukazywał właśnie serię wykresów dotyczących projektu Sumienie.

Drugi – to holograficzny panel podłogowy u szczytu stołu konferencyjnego. Dzięki najnowszej laserowej technologii rzutowania holograficznego, opracowanej przez firmę KREE8 Industries z San Jose, Titania potrafiła wyświetlić tu dosłownie wszystko, w tak wysokiej rozdzielczości, że wydało się, iż zobrazowany trójwymiarowy element jest fizycznie obecny w pomieszczeniu. W powietrzu nad panelem obracała się właśnie podwójna spirala kodu DNA, ukazująca gen receptora 5-HT1D α na chromosomie 1, który w ludzkim mózgu stymulował wydzielanie serotoniny, neurotransmitera odpowiadającego za zachowania impulsywne.

Na miejscach przeznaczonych dla Pameli Weiss i szefa jej sztabu wyborczego, Todda Sullivana, leżały teczki z dwoma identycznymi kompletami wydruków. Dokument określono jako „Projekt Sumienie – dane naukowe i wskaźniki przestępczości”.

– Wygląda na to, że wszystko gra – stwierdziła Madeline Naylor, zerkając na zegarek. – Pamela powinna zjawić się lada chwila.

Alice postanowiła spróbować po raz ostatni.

– Może powinniśmy powiedzieć Pameli o wnioskach FDA i wyjaśnić, dlaczego różnice nie są istotne? Przecież zrozumie.

Madeline uniosła brwi, spoglądając na nią w sposób despotyczny, a zarazem protekcjonalny. Tak samo patrzyła na nią czterdzieści lat temu, gdy jako dziewczynki były świadkami czegoś, co po dziś dzień łączyło je niewidzialnymi więzami poczucia winy.

– Alice – powiedziała Madeline – już to ustaliłyśmy. Właśnie dlatego tak ważne było przywołanie do porządku Kathy Kerr. Pamela nie powinna się dowiedzieć o niczym, co mogłoby jej zaszkodzić. Musi wierzyć, że pierwotny wirion Sumienia, użyty w testach na skazanych, był identyczny z tym, który później został dopuszczony przez FDA. W żadnym

wypadku nie może się dowiedzieć o Spirali Zbrodni. Nie wolno jej mówić o zgonach i samobójstwach w San Quentin. Niech pozostaną najzwyczajniejszymi egzekucjami, które osobiście zaakceptowała. Ona tego nie zrozumie. Inaczej niż my. Alice, robimy to dla Libby i wszystkich małych dziewczynek na całym świecie.

Alice Prince spojrzała w ciemne oczy Madeline. Pomimo wszelkich wątpliwości wiedziała, że jej przyjaciółka ma rację. Zawsze była silniejsza od niej. Zdolna do podejmowania trudnych decyzji.

W tym momencie zadzwonił telefon. Alice odebrała połączenie.

– Pani doktor – zameldował głos w słuchawce – właśnie przybyła gubernator Weiss.

Pamela Weiss przyleciała bez swojej świty wyborczej. To było prywatne spotkanie, zorganizowane po to, by omówić delikatne sprawy. Kierownik kampanii wyborczej, jej przyszły szef sztabu, Todd Sullivan, przemycił ją z ręcznie pod nosami zgrai reporterów i, niczym chcąc uniknąć rozgłosu gwiazdę rocka, przetransportował helikopterem do siedziby Viro-Vectora.

– Mamy pięćdziesiąt dziewięć minut. Potem pani gubernator Weiss musi lecieć do Los Angeles – brzmiały pierwsze słowa Sullivana, gdy Alice Prince powitała ich w holu i poprowadziła do centrum obliczeniowego. Podążający za nią dwaj agenci Secret Service, w ciemnych garniturach i okularach przeciwsłonecznych, ustawili się przy zamkniętych drzwiach. Nie przywitani się i nie zamienili ani słowa ze stojącymi tam już dwoma agentami FBI z obstawy dyrektor Naylor.

– Uspokój się Todd – nakazała Weiss, ściskając Alice i Madeline z niezmienną od czasów studenckich czułością.

Ostentacyjna zażyłość tych kobiet wprowadzała Sullivana w zakłopotanie. Usiadł. Był szczupłym czterdziestoosmioletnim mężczyzną o ciemnych włosach i przystojnej twarzy, wyróżniającej się jedynie niedużą blizną na podbródku.

Gdy już wszystkim podano kawę i napoje, Alice poprawiła okulary i zabrała głos.

– Trzeba zacząć od tego, że mamy zezwolenie FDA. A zatem w piątek, zgodnie z planem, możemy wygłosić oświadczenie.

– Doskonale. – Pamela promieniała.

Na twarzy Sullivana odmalowała się ulga.

– Naprawdę potrzebujemy tego oświadczenia. Krajowe wskaźniki przestępczości przerażają wyborców. Jesteśmy postrzegani jako zbyt pobłażliwi. Irak też nie działa na naszą korzyść.

– W dodatku wygląda, że będzie jeszcze gorzej – dodała Madeline. – Wczoraj rozmawiałam z Mikiem Clantonem z Langley. Jego ludzie są przekonani, że Irakijczycy faktycznie dysponują bronią biologiczną, którą się tak przechwalali. Pewnie opłacają jakiegoś niepokornego naukowca z Rosji. CIA uważa, że Irak może użyć tej broni, jeśli będziemy im utrudniać odzyskanie Kuwejtu.

Pamela Weiss potakiwała ruchem głowy.

– I choć sondaże wskazują, że wyborcy chcą na nas głosować – rzekła – ludzie nie wierzą, że kobieta potrafi być wystarczająco silna i zdecydowana, by opanować rosnącą

przestępczość i powstrzymać Irak. Ważne jest wszystko, co może wpłynąć na ich opinię.

– Myślę, że to wystarczy – odparła Alice, naciskając przycisk konsoli na biurku. Światła przygasły i wyłączyły się wszystkie monitory na ścianie, z wyjątkiem największego, umieszczonego centralnie.

U góry ekranu ukazał się biały napis „Projekt Sumienie”, z podtytułem „Sprawdzona terapia przestępczości”.

– Są tu materiały, które udostępniemy prasie wraz z dyskami, prezentacjami multimedialnymi i konspektami. Najpierw mamy statystyki przestępczości i wyniki testów projektu Sumienie. Dalej wszystkie dane naukowe, w tym również informacje na temat bezpieczeństwa i badań przedklinicznych. Pierwsza część powinna przekonać was o skuteczności projektu Sumienie, druga – o jego stuprocentowym bezpieczeństwie. Na początku każdej części znajdziecie streszczenie. Proponuję zapoznać się z nimi, gdy Madeline i ja będziemy omawiać prezentację.

Alice usiadła i ręką wskazała Naylor.

– Madeline przedstawi statystyki, potem ja omówię dane naukowe. Jeśli pojawią się pytania, proszę nam przerwać.

Sullivan i Weiss skinęli głowami. Naylor wstała i podeszła do ekranu.

– Przez ostatnich osiem lat spośród więźniów osadzonych w Folsom, San Quentin i innych większych zakładach penitencjarnych w Kalifornii co roku wybieraliśmy dwa tysiące skazanych za różne przestępstwa z użyciem siły. Pod pozorem szczepień przeciwko grypie nieświadomym niczego członkom tej populacji wstrzyknęliśmy nieinfekcyjny genetyczny preparat leczniczy, ukierunkowany na komórki macierzyste – wirion Sumienia. Od ośmiu lat nieprzerwanie obserwujemy łącznie około szesnastu tysięcy mężczyzn poddanych terapii. Jest to możliwe dzięki współpracy czterech wysoko postawionych członków biura, którzy podlegają bezpośrednio memu personelowi. Żaden z nich nie ma pojęcia o terapii ani o celach projektu. – Gdy Naylor mówiła, na ekranie przesuwwały się wykresy i slajdy ilustrujące jej słowa. – Od rozpoczęcia testów dwa procent pacjentów, którym zaszczepiliśmy wirion, zostało poddanych egzekucji, jeden procent zmarł śmiercią naturalną, a dwadzieścia jeden procent wciąż pozostaje w zakładach penitencjarnych. Ale nawet te dwadzieścia cztery procent osiągnęło dobre wyniki w badaniach poziomu agresji i wykazało znaczne obniżenie poziomu testosteronu oraz zwiększenie aktywności płata czołowego. Co ważniejsze, z pozostałych siedemdziesięciu sześciu procent tylko drobny odsetek ponownie wszedł w konflikt z prawem. Recydywa spadła poniżej dziesięciu procent i dotyczy głównie drobnych przestępstw. Korzysta na tym całe społeczeństwo. Wygląda na to, że czynniki genetyczne i środowiskowe nierozdzielnie się splatają i wpływają na siebie wzajemnie. Doskonałym tego przykładem jest Watts w południowym Los Angeles.

Ekran przedstawiał teraz czarnobiałą relację telewizyjną z zamieszek w Watts w 1965 roku. Wyraźnie widać było wieże Nuestro Pueblo górujące nad chaosem.

Potem na ekranie pojawiało się kolorowe ujęcie tego samego miejsca pięć lat temu. Panował spokój, lecz witryny sklepowe wciąż były zabite deskami, a ściany pomazane graffiti.

Wreszcie ukazały się zdjęcia tego samego miejsca, zrobione tydzień temu. Widok był podobny, jeśli nie liczyć świeżo pomalowanych fasad otwartych sklepów. Po ulicy chodzili ludzie, załatwiając swe codzienne sprawy.

Różnice subtelne, ale ogólny kontrast uderzający.

– Na tych ujęciach może „niewiele widać – mówiła Naylor – ale w piątek, gdy pojedziesz wygłosić tam oświadczenie, zobaczysz różnice. Co ważniejsze, dostrzegą je też wyborcy. Podstawowym argumentem jest jednak fakt, że ogólne wskaźniki przestępczości w stanie Kalifornia nie poddały się ogólnokrajowemu trendowi narastającej przestępczości. Współczynnik zabójstw spadł o piętnaście procent, pobić o pięć procent, napadów o osiemnaście, a gwałtów o dwadzieścia pięć procent. Jeśli pozytywna tendencja w Kalifornii utrzyma się, zaoszczędzimy setki milionów dolarów dzięki spadkowi przestępczości. Więcej ludzi będzie pracować, a mniej siedzieć w więzieniach. Spadną koszty utrzymania porządku, leczenia i remontów budynków miejskich. Spadek liczby przestępstw z użyciem siły o jeden procent to oszczędność ponad trzydziestu milionów dolarów. W sumie ostrożne szacunki określają oszczędności na poziomie ponad dwóch miliardów dolarów w skali kraju. Rocznie.

Gdy Alice Prince słuchała, jak Madeline Naylor przytacza swym opanowanym, nieznoszącym sprzeciwu głosem doskonale jej znane fakty, myślami cofnęła się w czasie, do college'u Vassara, gdzie razem z Madeline poznały czarującą Pamelę Weiss.

Vassar okazał się dla nich ziemią obiecaną. Madeline – wysoka, silna i wysportowana – wkrótce została gwiazdą uniwersyteckiej bieżni i boiska. Po raz pierwszy w życiu była nie tylko akceptowana, lecz wręcz podziwiana. Alice zauważyła, że ludzie tak samo zaczęli odnosić się i do niej. Nauczyciele dostrzegli jej intelekt i wyciskali z niej, ile się dało. Madeline i Alice wciąż trzymały się razem.

Alice nie miała ochoty na imprezę w Akademii Wojskowej West Point. Wszyscy jednak się tam wybierali, a dziewczyny z drużyny Madeline miały zapewnione miejsce w furgonetce. Gdy przyjechały, zabawa rozkręciła się już na dobre. Zatłoczone miejsce nie przypadło im do gustu. Roiło się tam od roztańczonych, pijących i obściskujących się studentów. Muzyka była tak głośna, że nie dało się nawet rozmawiać.

Nagle Alice ujrzała stojącą w odległym rogu kobietę, otoczoną wianuszkami wpatrzonych w nią ludzi. Wyglądała jak anioł pośród piekielnego zgiełku. Śmiała się i piła, wszystko jednak z umiarem. Była jak słońce, wokół którego krążyli ludzie niczym planety łaknące jego blasku. Alice zapragnęła stać się jedną z tych planet. Spojrzała na Madeline, która była równie zafascynowana tym, co zobaczyła.

Godzinę później Alice i Madeline, które nieco za dużo wypity, wyszły na dwór. Czekały, aż dziewczęta zabiorą je z powrotem do Vassara. Noc była ciemna, księżyc jedynie chwilami wyglądał zza chmur, trzymały się więc blisko głównych budynków i oświetlonych ścieżek.

Nim cokolwiek zobaczyły, usłyszały jakieś zamieszanie. Odgłosy walki dochodziły z krzaków w pograżonym w ciemności zakątku kampusu. Początkowo Alice pomyślała, że to jakieś zwierzę. Usłyszała krzyk. Madeline natychmiast pobiegła w kierunku hałasu, Alice ruszyła za nią. W mroku dostrzegła dwóch mężczyzn trzymających kobietę. Jeden ręką zatykał jej usta, drugi zadzierał jej sukienkę. Obok leżała otwarta butelka, z której wypływała

wsiąkająca w ziemię whisky. W ciepłym powietrzu unosiła się ciężka woń Jacka Danielsa. Kobieta próbowała walczyć, ale mężczyźni byli zbyt silni. Nagle zza chmur wyłonił się księżyc i Alice spostrzegła, że ofiarą jest ta piękna kobieta, która zaledwie godzinę temu wiodła prym w towarzystwie. Jej niebieskie oczy były pełne złości. Bardziej niż strachu.

Alice zaczęła wołać o pomoc. W tym momencie zobaczyła, że Madeline zaatakowała faceta, który zatykał usta dziewczyny. Nie wydają żadnego dźwięku, z całej siły kopnęła mężczyznę w twarz – a miała buty na wysokim obcasie. Alice słyszała trzask łamanego nosa. Madeline wykonała zwrot niczym baletnica i kolaniem uderzyła w skroń osłupiałego drugiego mężczyznę, obalając go na ziemię. Alice pomogła wstać napadniętej kobiecie. Jednak Madeline na tym nie skończyła. Twarz jej pobladła z wściekłości; oczy miała ciemne i zimne niczym toń nocnego jeziora. Stała nad dwoma nieprzytomnymi napastnikami i zapamiętała kopała ich w genitalia, aż Alice i tamta kobieta odciągnęły ją.

Obu mężczyzn oskarżono o próbę gwałtu. Jeden z nich musiał poddać się zabiegowi usunięcia zmiążdżonego jądra. Ocalenie Pameli Weiss otworzyło przed Alice i Madeline zupełnie nowy świat. Dzięki koneksjom uratowanej kobiety zyskały na popularności przez sam tylko fakt bycia jej przyjaciółkami. Madeline ubóstwiała Pamelę i uczyła się od niej swobody bycia w towarzystwie, czego Alice zawsze brakowało.

Alice nigdy nie zrozumiała, dlaczego Pamela została jej przyjaciółką. Pomogły jej tylko ten jeden jedyny raz. Wyglądało to tak, jakby Pamela uważała sobie podobnych za ludzi zbyt płytkich. Pochodziła z wpływowej rodziny bankierów i zawsze chętnie słuchała opowiadań z czasów dzieciństwa Madeline i Alice. Sprawiała wrażenie zakłopotanej faktem, że jej rodzice żyją w dostatku, są szczęśliwym małżeństwem i ją kochają. Jakby pozbawiało ją to możliwości właściwego spojrzenia na świat.

– Alice, czy naprawdę empirycznie dowiedziono, iż terapia genetyczna uspokaja porywczych mężczyzn? – zapytała Pamela Weiss, przeglądając materiały z teczki.

Spojrzenie Pameli, Madeline i Todda Sullivana sprowadziło Alice na ziemię.

– Oczywiście. Korzyści będą widoczne dopiero za jakiś czas, ale dowody na skuteczność terapii są niepodważalne. Te dane to więcej niż potrzeba do wygłoszenia oświadczenia.

– I z całą pewnością nie jest to niebezpieczne dla zdrowia? – dopytywała się Pamela, zaglądając do teczki.

Alice się uśmiechnęła.

– Pam, testujemy tę terapię od ośmiu lat i nie dopatrzyliśmy się żadnych skutków ubocznych. Właśnie pomyślnie zakończyliśmy próby na ochotnikach. FDA zatwierdziła te próby i dała nam błogosławieństwo na przejście do następnego etapu testów. Dla dobra sprawy przedstawiliśmy Sumienie w wersji 9 Narodowemu Instytutowi Zdrowia i też otrzymaliśmy zatwierdzenie. Oznacza to, że zdaniem dwóch najbardziej rygorystycznych instytucji w Stanach Zjednoczonych terapia nikomu nie zaszkodzi. Ponieważ dowiedziono już jej skuteczności, nikt nie będzie kwestionował przedwczesnych testów na przestępcach. Rozmawiałam o tym z CaMnem Briggsem z FDA. Krótko mówiąc, mimo całej biurokracji, rolą FDA jest wspomaganie postępu, a nie jego hamowanie. Dopóki terapia jest bezpieczna i skuteczna, nic innego nie powinno nikogo obchodzić.

– Nie zapominaj – dodała Madeline – że w związku ze spadkiem przestępczości w Kalifornii ty i Bob Burbank będziecie postrzegani jako bohaterowie, wizjonerzy. Naszymi królikami doświadczalnymi nie były dzieci ani bezbronne staruszki. To brutalni przestępcy, których społeczeństwo bało się i nienawidziło.

Pamela pochyliła się na krześle.

– Więc, Ali, zastosowano tę samą terapię, która została dopuszczona przez FDA?

Alice spojrzała na Madeline, a ta ledwie widocznie skinęła głową. Alice nie chciała okłamywać Pameli, ale nie miała wyboru.

– Tak – odparła. – Zaufaj mi, Pamelu. Projekt Sumienie jest bezpieczny i skuteczny. Z politycznego, naukowego, społecznego i moralnego punktu widzenia masz wszelkie powody do wygłoszenia oświadczenia.

Pamela Weiss się uśmiechnęła. Spojrzała w notatki, podniosła wzrok na Madeline i na Alice. Jej przejrzyste, niebieskie oczy zatrzymywały się na każdej z nich przez kilka sekund. Alice bała się trudnych pytań. Przez koszmarną chwilę zastanawiała się, czy Pamela nie dowiedziała się o Spirali Zbrodni lub o zgonach w San Quentin. Martwiła się niepotrzebnie. Twarz Pameli nagle rozświetlił promienny uśmiech.

– Dobra robota – pochwaliła. – Wszyscy podjęliśmy pewne ryzyko, wiem, ale obiecuję, że jeśli zostanę prezydentem...

– Raczej kiedy zostaniesz prezydentem – z uśmiechem poprawił ją Todd Sullivan.

Pamela się roześmiała.

– Wtedy dopilnuję, byśmy zrealizowały wizję łagodniejszego społeczeństwa, społeczeństwa mającego sumienie.

Todd Sullivan wstał.

– Przykro mi to mówić, ale musimy lecieć dalej.

– Spotkamy się wszyscy dziś na kolacji z Bobem Burbankiem w Los Angeles – oznajmiła Pamela. – Będziemy oblewać jutrzejsze oświadczenie na temat Sumienia. Będzie też okazja, by przekazać prezydentowi najnowsze wieści. Zapowiada się ciekawy wieczór.

*Góry San Bruno, okolice zatoki San Francisco
Czwartek, 30 października, godz. 17.25*

Alice Prince uwielbiała popołudniowe słońce, przebijające się przez korony drzew, zdobiące polanę cętkami światła. Było to jej prywatne, pełne szczęśliwych wspomnień, magiczne miejsce. Za ledwie piętnaście minut spacerem od domu. Często przychodziła tutaj ze swoimi dwoma złocistymi labradorami. Lubiała poczuć słodki zapach świeżego powietrza, patrzeć, jak słońce przesuwają się ponad rozkołysanymi wierzchołkami drzew w dolinie, być sam na sam z własnymi myślami.

Po spotkaniu z Pamelą Weiss odwieziono ją z Viro-Vectora do oddalonego o trzynaście kilometrów domu. Poszła prosto do ogrodu, przywołała psy, założyła im obroże i zabrała je na krótki spacer przed odlotem firmowym gulfstreamem do Los Angeles na kolację z Pamelą i prezydentem.

Alice żałowała, że nie przekonały Kathy do swoich racji. W wielu punktach ich cele pokrywały się ze sobą. Alice podziwiała Kathy za to, że potrafiła postawić się Madeline. Obawiała się jednak, iż Madeline nie poprzestanie na uciszeniu Kathy do czasu wyborów. Wiedziała, jak daleko potrafi się posunąć jej przyjaciółka. Zawsze musiała zrobić jeden krok więcej, niż było to konieczne.

Alice usiadła na pieńku na środku polany i wystawiła twarz do słońca. Ciepłe promienie przyjemnie pieściły jej skórę. Wokół słyszała szept drzew muskanych wiatrem i szczekanie psów zajętych wspólną zabawą. Gdyby zamknęła oczy, usłyszałaby nawet głos Libby.

Alice zwykła przychodzić tu z Libby. Czasem towarzyszyli im jej mąż, John i Madeline. Nawet Pamela Weiss kilka razy pojawiła się tu z mężem Alanem i trójką synów.

Po studiach Pamela rozpoczęła pracę w biurze prokuratora okręgowego w Los Angeles. Później poślubiła jednego z właścicieli kancelarii prawniczej, przeciwko której najczęściej występowała w sądzie. Mieli trzech synów. Najmłodszy, trzynastoletni Sam, został chrześniakiem Alice. Mąż Pameli, Alan, był jednym z nielicznych mężczyzn, których Alice szczerze lubiła.

Madeline, która również studiowała prawo przed zaciągnięciem się do FBI, wyszła za mąż jako druga – pomimo swej coraz bardziej rzucającej się w oczy niechęci do mężczyzn. Mówiła, że to wpłynie korzystnie na jej karierę, poza tym chciała mieć dzieci. Jak można było przewidzieć, jej małżeństwo rozpadło się, zanim doczekała się potomstwa. Rozwód z mężem przyczynił się do wzmocnienia jej prawdziwej miłości, tej do FBI.

Małżeństwo Alice było katastrofą. Po tym, jak uzyskała dyplom lekarza na Uniwersytecie Stanforda i przepracowała jakiś czas w Gene-Cell Industries, założyła Viro-Vector. Wtedy poznała Johna Prince'a. Zawiodła się na nim, lecz dał jej to, co najbardziej kochała w swoim życiu – Libby.

Nawet teraz, gdyby przymknęła oczy i wsłuchała się w wiatr, usłyszałaby dobiegający z lepszych czasów śmiech Libby.

Jednak Libby już tam nie było. Zniknęła, jakby nigdy nie istniała.

Alice siedziała zagubiona w myślach. Nie było już teraźniejszości, tylko przeszłość i przyszłość. W piersi czuła piekący ból, gniew i żal tak samo mocny, jak wtedy, gdy zabrano od niej Libby. Co ten potwór jej zrobił? Jak zginęła? Gdyby tylko Alice znała odpowiedzi na te pytania, mogłaby przynajmniej pochować córkę.

Jednak nie była już bezsilna w swym gniewie i żalu. Madeline zadbała o to. Jeszcze trochę i żadne inne dziecko nie padnie ofiarą zła, które czaiło się na każdej ulicy w kraju.

Przez zamknięte oczy Alice poczuła, że słońce zaszło za chmurę. Zaczęły szczekać psy. Zadrżała mimowolnie i otworzyła oczy.

Ujrzała wysokiego mężczyznę na skraju polany. Wsiadł z samochodu i patrzył wprost na nią.

Siedząc w słońcu, wyglądała tak szczęśliwie, że Luke Decker nie miał serca jej przeszkadzać. Jednak nie miał wyboru. Doktor Alice była matką trzynastej ofiary Axelmana i żeby dowiedzieć się, gdzie spoczywają zwłoki, musiał ją zapytać o Wężowe Drzewo.

Pojechał do domu Prince, lecz jej w nim nie zastał. Gospośia dała się jednak przekonać i zdradziła, że pani doktor poszła na spacer z psami. Wy tłumaczyła mu nawet drogę. Przyjechał wprost tutaj.

Prince wyglądała tak samo, jak na zdjęciach w aktach sprawy. Nieco starsza, poza tym identyczna. Miała na sobie buty na niskim obcasie, plisowaną spódnicę i granatowy żakiet narzucony na kremową bluzkę. Nie wyglądała na założycielkę dużej międzynarodowej korporacji. Niewiele ponad półtora metra wzrostu, twarz okrągła jak księżyc w pełni, krótkie, przyprószone siwizną czarne włosy i okrągłe okulary w grubych oprawkach. Zaciśnięte małe usteczka. Żadnej biżuterii z wyjątkiem zawieszzonego na szyi amuletu w kształcie łyżki. Wyróżniały ją tylko oczy – szare, ze złotymi cętkami. Mierzyła Deckera surowym wzrokiem, zdradzającym wysoki iloraz inteligencji.

Podszedł do niej, przedstawił się i pokazał odznakę.

– Agent specjalny Luke Decker. Kieruję wydziałem behawioralnym FBI. Zajmuję się seryjnymi mordercami. Chciałbym porozmawiać o pani córce, Libby.

Ramiona jej opadły, a ból widoczny w oczach powiedział Deckerowi więcej niż wszystkie opisy jej rozvodu i załamania nerwowego, o których czytał w aktach FBI. Czas nie zawsze leczy rany. Alice Prince wciąż cierpiała. Wstała i skrzyżowała ręce na piersi w postawie obronnej. Wpatrywała się w twarz Deckera. Przez chwilę oboje stali w milczeniu i słuchali wiatru hulającego w drzewach.

– Jeśli pani woli, możemy porozmawiać u pani w domu – zaproponował.

Sprawiała wrażenie, jakby go nie usłyszała.

– Znalazł pan Libby? – spytała.

– Jeszcze nie, ale chyba wiem, kto jest winien jej śmierci. Z pani pomocą mógłbym odnaleźć jej ciało.

– Kto ją zabił?

– Niejaki Karl Axelman.

– Karl Axelman? – powtórzyła z niedowierzaniem, marszcząc czoło. Wypowiedziała to nazwisko tak, jakby je dobrze знаła. Prawą ręką sięgnęła do niezwykłego wisiora na szyi. Wodziła po nim palcami, jakby odmawiała różaniec. Wpatrywała się w przestrzeń niedostępną dla Beckera.

– Jak mogłabym pomóc panu odnaleźć ciało Libby? – zapytała głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

– Jak pani zapewne wie, Axelman popełnił serię podobnych zbrodni. Pani córka przypuszczalnie powiedziała mu coś, co mogłoby pomóc zidentyfikować miejsce pochówku wszystkich jego ofiar.

– Co? Co Libby mu powiedziała?

– Wejście do grobowca ofiar Axelmana najprawdopodobniej znajduje się w pobliżu drzewa, które pani córka nazywała Wężowym Drzewem. Czy to coś pani mówi?

Oczy Alice nagle zaszyły mgłą. Uśmiechnęła się. Był to najsmutniejszy uśmiech, jaki Luke widział w życiu.

– Tak, tak... znam Wężowe Drzewo.

Deckerowi zaschło w ustach.

– Jeśli zdradzi mi pani, gdzie ono rośnie, sprawdzimy to.

Alice Prince przyglądała mu się w milczeniu przez kilka sekund i nagle się odwróciła. Początkowo Decker myślał, że chce ukryć płacz. Jednak Alice wyciągnęła rękę w kierunku zachodzącego słońca i powiedziała:

– Widzi pan ten wielki dąb? To Wężowe Drzewo. Libby zawsze się na nie wdrapywała.

Mrużąc oczy, spojrzął ku rysującej się w oddali kępie drzew. Nieco na uboczu rósł powykęcany dąb o grubym pniu. Wyglądał na znacznie starszy niż sąsiednie drzewa. Niektóre korzenie, odsłonięte u podstawy, sprawiały wrażenie, jakby oplatały pień niczym węże.

– Dziękuję – szepnęła. – Sprawdźmy to miejsce. Jeśli coś znajdziemy, natychmiast damy pani znać.

Otworzyła usta jakby na znak protestu, lecz nic nie powiedziała.

– Mogę panią zawieźć do domu – zaoferował się. – A może po kogoś zadzwonić?

– Nie – powiedziała, biorąc psy na smycz. – Wolę się przejść. Chcę być sama.

Alice Prince czuła się jak otumaniona, gdy prowadziła psy w kierunku ścieżki do domu. Była pewna, że poczuje ulgę, żal lub coś w tym rodzaju. Nie czuła jednak nic. Miała w duszy zimną pustkę, która pozbawiała ją zdolności odczuwania czegokolwiek.

Gdy agent Decker powiedział jej o Libby, była mniej zszokowana niż mogłaby się spodziewać. Przez ostatnich dziesięć lat podświadomie przygotowywała się na ten dzień. Wiadomość o Karlu Axelmanie była jednak ciosem w samo serce. Podejrzewała, że to on, zresztą tak samo jak FBI. Ale ponieważ wśród trofeów mordercy nie znaleziono żadnych rzeczy Libby, uznano to za mało prawdopodobne. Ironią losu użyła Axelmana jako królika doświadczalnego, by zweryfikować prognozy Titanii dotyczące Spirali Zbrodni.

Porywając Libby, Axelman położył kamień węgielny pod Sumienie i Spirale Zbrodni.

Gdy Libby została uprowadzona, mąż Alice odszedł do kobiety, z którą potajemnie spotykał się od lat. Po jego zdradzie Alice załamała się i została skierowana do sanatorium na północy stanu. Madeline i Pamela często ją odwiedzały i przysięgły zrobić co w ich mocy, by jej pomóc. Przyjaciółki dodawały Alice otuchy, ale to praca utrzymała ją przy zdrowych zmysłach.

Nalegała, by przynosiły pisma i książki z jej dziedziny, chcąc zapomnieć o dręczącym bólu. W „Nature” przeczytała artykuł studentki medycyny z Harvardu o nazwisku Kathryn Kerr. Genialny model teoretyczny, oparty na ssakach naczelnych, który niczym objawienie, znak od Boga, nadał wszystkiemu sens. To miało być jej zbawienie.

Po kilku tygodniach wróciła do Viro-Vector Solutions. Korzystając ze swej wiedzy o wirionach, Alice przeobraziła teorie Kathy Kerr w praktykę. Chciała nie tylko badać brutalne zachowania, lecz także je modyfikować. Większość odkryć nauki wyrosło na porażkach i rozczarowaniach, lecz teorie Kathy dotyczące kalibracji genów były bardzo dokładnie przemyślane i wyjątkowo dobrze udokumentowane. W ciągu kilku miesięcy od opuszczenia sanatorium Alice ściągnęła Kathy Kerr na Uniwersytet Stanforda, stworzyła retrowirusa, który z powodzeniem zmodyfikował geny szympansa. W ciągu kolejnych trzech miesięcy, bez wiedzy Kerr, Alice stworzyła wirion, który potrafił przenieść stworzone przez Kerr geny do komórek ludzkich.

Podczas następnego spotkania przedstawiła swój plan Madeline i Pameli. Jeśli rzeczywiście chciały jej pomóc, to znalazła sposób na położenie kresu zbrodniom takim, jak porwanie Libby. Musiała jednak przeprowadzić testy. Aby to zrobić bez zezwolenia FDA, potrzebowała wsparcia swoich wpływowych przyjaciółek.

Doktor Kerr nie została poinformowana o testach na skazanych. Na razie powiedziano jej o zbliżających się kolejnych szczegółowych badaniach przedklinicznych, o badaniach na ssakach naczelnych i testach na ochotnikach w celu uzyskania potwierdzenia bezpieczeństwa terapii ze strony FDA. Kiedy już to nastąpi i jeśli tajne testy na przestępcach powiodą się, będą mogli przedstawić to opinii publicznej. Zatwierdzenie FDA o wiele lat przyspieszy przeprowadzenie testów na ludziach.

Pameli, która właśnie została mianowana gubernatorem stanu Kalifornia, nie było łatwo przekonać. Wreszcie jednak dołączyła do klubu, kiedy uświadomiła sobie, jak polityczna poprawność i konserwatywna do obrzydzenia FDA spowalniają badania. Jakież organizacje obrony praw Afroamerykanów nawet protestowały przeciwko prowadzeniu badań na czarnoskórych mężczyznach, twierdząc, że wyniki nasilą rasizm. Choć obawy te były zupełnie bezpodstawne, Narodowy Instytut Zdrowia unikał prowadzenia badań na czarnych, pozbawiając sensu wszelkie badania na szerszej grupie. Pamela w końcu przejrzała na oczy. Zrozumiała, że tajne testy nie tylko przyspieszą rozwój wypadków, ale w ogóle pozwolą rozpocząć pracę. Zwróciła się nawet do nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych – Boba Burbanka – i, korzystając ze swego niezwykłego daru przekonywania, zyskała jego cichą aprobatę na leczenie ludzi z wrodzonymi skłonnościami do zbrodni. Niczego nie obiecując, Burbank ułatwił im ominięcie biurokracji i utrzymał cały projekt w tajemnicy, zastrzegając

jednak, że w razie niepowodzenia nie weźmie na siebie odpowiedzialności.

Do następnego etapu projekt przeszedł dzięki Madeline, która była do tego nastawiona jeszcze bardziej entuzjastycznie niż Alice. W ciągu kilku kolejnych miesięcy przekonała Alice do kontrowersyjnego, ale logicznego kroku – Spirali Zbrodni.

Alice odwróciła się, by jeszcze spojrzeć na polanę. Decker stał bez ruchu w ukośnych promieniach słońca. Przyglądał się Wężowemu Drzewu. Na pewno zaraz zadzwoni po ekipę i wkrótce rozpoczną poszukiwania. Czuła, że powinna zostać, choć wiedziała, że Decker na to nie pozwoli. Rozpaczliwie pragnęła odnaleźć ciało. Koszmar niewiedzy zatruł jej ostatnich dziesięć lat.

Przeszła kawałek, zatrzymała się za kępą krzewów i patrzyła, jak Decker wraca do samochodu. Ku jej zdumieniu nie wszedł i nie odjechał. Nie sięgnął też po telefon. Otworzył tylne drzwiczki, by wyjąć łopatę i latarkę.

Patrzyła, jak Decker niesie łopatę i włącza latarkę. Dzierżąc latarkę niczym miecz rozcinający cienie, ruszył ku Wężowemu Drzewu, którego masywna sylwetka rysowała się na tle słońca.

Luke Decker wyruszył w drogę bez odwrotu. Kiedy jednak zbliżył się do górującego nad nim drzewa o poskręcanych niczym wężowe sploty korzeniach, poczuł przerażenie, jakiego nie odczuwał nigdy przedtem. Stalowa obręcz strachu ścisnęła mu klatkę piersiową. Całą skórę pokrywała warstewka potu. W czasie swej kariery zetknął się z najróżniejszymi rodzajami zabójców, ale fizyczne zagrożenie nie robiło na nim wrażenia. Co innego zagrożenie psychiczne, gdy nie mógł opędzić się od absurdalnych myśli, że powraca na miejsce własnych zbrodni.

Kiedy Decker przeszedł załamanie psychiczne, Sarah Quirke, psychiatra FBI z Sanktuarium, przestrzegła go, aby nie wnikał tak głęboko w umysły ściganych morderców – zwłaszcza gdy pracował jednocześnie nad wieloma sprawami o szczególnie traumatycznym charakterze. „Jeśli igrasz z ogniem zbyt często, kiedyś wreszcie się sparzysz” – mawiała. Jednak on zawsze wierzył, że da sobie radę. Rozumienie intencji zabójcy nie musiało przecież oznaczać, że się z nim identyfikował.

Teraz jednak, gdy przysiadł u korzeni drzewa, odtwarzając kroki zabójcy, nie był już tego taki pewien. Tym razem morderca to jego krew. Decker wszedł w buty własnego ojca. Na myśl, że mogą pasować, przeszedł go zimny dreszcz obrzydzenia.

Zaczął przypominać sobie to, co zapamiętał z akt Karla Axelmana. Nastolatki były porywane na przestrzeni dwudziestu lat. Przerwy między kolejnymi porwaniami wynosiły mniej więcej półtora roku. Oznaczało to, że każde uprowadzenie zaplanowano w najdrobniejszych szczegółach, zaś tropienie ofiar i wyczekiwanie na dogodny moment podniecało Axelmana w równym stopniu, co sam akt napaści, porwania i zabójstwa. Sugerowało też, iż Axelman przechowywał ciała w miejscu, gdzie mógł je stale odwiedzać. Pozwalało mu to przez dłuższy czas tłumić mordercze skłonności. Ciała mogły być więc w jakiś sposób zakonserwowane. Axelman był kolekcjonerem, chciał je zachować w stanie nienaruszonym. Wszystkie, nie tylko najświeższe ofiary. To z kolei wymagało miejsca. Dużo miejsca.

Decker rozejrzał się wokół. Potem przyjrzał się gigantycznemu Wężowemu Drzewu. Wstał, przeszedł się wokół pnia, opukując go w poszukiwaniu śladów, myśląc, że usłyszy głuchy dźwięk świadczący o wydrążeniu. Nic.

Mało prawdopodobne, by Axelman złożył zwłoki w pniu. Zbyt szybko by zgniły. Dobrałyby się też do nich owady i zwierzęta. Jednak Deckerowi zdarzało się już widywać dziwniejsze miejsca ukrycia zwłok.

Bardziej prawdopodobne jednak, iż pogrzebał ciała, może tylko w coś owinięte, by zapobiec dostępowi robactwa i drapieżników. Musiał jednak sam mieć do nich dostęp. To miejsce było dość odległe, ale jednak zaglądali tu ludzie. Axelman musiał wymyślić jakiś

sposób na przyglądanie się zwłokom bez obawy, że ktoś mu przeszkodzi. Sama myśl o tym, że mogą go złapać na gorącym uczynku, pohamowałyby jego fantazje i pozbawiła go przyjemności.

Ale przecież Axelman był robotnikiem budowlanym. Wiedziałyby, jak skonstruować swego rodzaju magazyn, do którego mógłby z łatwością wchodzić bez ryzyka wykrycia. Pozostawało jednak zagadką, dlaczego Axelman wybrał to właśnie miejsce.

Uważając, by nie potknąć się o poskręcane korzenie, podszedł bliżej do drzewa i obejrzał imponujący pień. Miał co najmniej dwa i pół metra średnicy. Podstawa drzewa przypominała odwróconą do góry nogami literę „Y” – jakby liściasty gigant stał na dwóch masywnych nogach. Decker obszedł pień, zmierzając w stronę, gdzie wciąż jeszcze padały ostatnie promienie słońca. Jego uwagę zwrócił spłachetek ziemi o powierzchni jakiegoś metra kwadratowego, częściowo ukryty w cieniu korzeni.

Odgarnął szpadlem karłowatą trawę, opadłe liście i wierzchnią warstwę gleby. Ujrzał ciemne drewno. Z początku pomyślał, że to też korzenie. Regularny kwadrat nie mógł być jednak naturalnego pochodzenia. Naraz szpadel uderzył w coś metalowego. W promieniach konającego słońca ujrzał rozbłysk zaśnieżonej miedzi. Odrzucił szpadel, padł na kolana i zaczął rękami odgarniać wilgotną ziemię. Wreszcie jego oczom ukazał się leżący na płask mosiężny pierścień. Prostując się, z całych sił pociągnął za pierścień. Mokre drewno zaskrzypiało, zatrzeszczało... i kłapa odskoczyła do góry, odchylając się na zawiasach i ukazując podziemne przejście.

Krzywiąc się od piwnicznego zaduchu, Decker sięgnął po latarkę. Ku swemu zaskoczeniu ujrzał starannie ocembrowany otwór, wiodący jakieś trzy metry w głąb ziemi. Do jednej ze ścian dla wygody przymocowano żelazną drabinę. Kawał dobrej, nikomu już na szczęście niepotrzebnej roboty.

Decker znalazł kij, którym zablokował kłapę, wziął do ręki latarkę i opuścił się w głąb otworu. Ostrożnie postawił stopę na drabinie, sprawdzając jej wytrzymałość. Kiedy już się upewnił, że się nie zarwie, ruszył w dół. W ciemność. U stóp drabiny natrafił na tunel, opadający łagodnie jeszcze niżej. Żebrowane sufit i ściany, podłoga pokryta matami, zapobiegającymi poślizgnięciu się. Co jakieś dziesięć metrów w suficie zamontowano perforowane panele – zapewne przewody wentylacyjne. Pachniało mokrą ziemią i zgnilizną.

Wchodził coraz głębiej w ciemność, stawiając każdy krok z największą ostrożnością. Najpierw badał podłogę stopą, dopiero potem przenosił na nią ciężar ciała. Przez cały czas oświetlał latarką sufit w poszukiwaniu pęknięć. Jednak tunel sprawiał wrażenie wyjątkowo solidnej konstrukcji. Wreszcie, po jakichś dwudziestu metrach, doszedł do zakrętu, za którym tunel nagle się urywał. Przyświecając sobie latarką, odkrył po prawej stronie szerokie betonowe schody, wiodące jeszcze głębiej. Ścianę po lewej stronie zamurowano cementem, jakby kasując istniejące tam przejście. Ściany po obu stronach betonowych stopni były wyłożone brudnymi brązowymi kafelkami.

Naraz Decker zrozumiał, czemu Axelman wybrał to właśnie miejsce. Była to część dawnego ogrodu zoologicznego, zrównanego z ziemią przez buldożery ponad trzydzieści lat temu, by zrobić miejsce dla domów takich jak ten, należący do Alice Prince. Nie zniszczono

jednak wszystkich pozostałości po zoo. Część podziemną, która nie przeszkadzała w kładzeniu fundamentów nowych domów, zamurowano tylko i pozostawiono, by dzieła zniszczenia dokonała sama natura. Posadzone drzewa zamaskowały ponure podziemia. Axelman wybudował tunel, by mieć swobodny dostęp do zakazanych obszarów. U stóp betonowych schodów zapach był już inny. Jakieś chemikalia, których Decker nie potrafił określić. Miał z nimi do czynienia całkiem niedawno, tylko nie mógł sobie przypomnieć, gdzie. Ruszył w dół. Ręka z latarką drżała. Wmawiał sobie, że to z powodu wilgoci i chłodu. Promień światła z latarki odbił się od przerdzewiałej tabliczki przyśrubowanej do kafelków: TERRARIUM i AKWARIUM. U podnóża schodów natrafił na porzuconą na podłodze kolejną tablicę, powyginaną i podziurawioną. Ledwo można było odczytać napis: CAROLAN CONSTRUCTION.

Axelman musiał tu pracować przed trzydziestu laty. Zapamiętał sobie dobrze to miejsce, by później je wykorzystać. Pewnie nietrudno było, zamurować podziemne korytarze zgodnie z umową, a jednocześnie wybudować tajny tunel.

Decker doszedł do rozgałęzienia wykafelkowanego labiryntu. Wyblakła strzałka z napisem: AKWARIUM wskazywała korytarz po prawej stronie. Druga, całkiem już zatarta, wskazywała na lewo. Odór chemikaliów, tak silny, że wyciskał łzy z oczu i drapał w gardle, napływał od strony akwarium. Decker wyjął z kieszeni chusteczkę i obwiązał sobie nos i usta. Naraz przypomniał sobie, gdzie ostatnio zetknął się z takim zapachem: w kostnicy San Quentin. Na sztywnych nogach ruszył w kierunku jego źródła.

Po kilku metrach zorientował się, że korytarz bardzo się zwężył. Ściany miał teraz na wyciągnięcie rąk. Te klaustrofobiczne ściany nie były już pokryte kafelkami. Były gładkie.

Gładkie niczym szkło.

Zimny dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa i zjeżył włosy na karku.

Jakby podkradając się do jakiejś uspionej bestii, skierował snop światła na podłogę u swych stóp, wydobywając z ciemności upstrzone mchem kafelki. Zaciskając dłoń na latarce, wolno przesunął ją na prawo. Tam, gdzie ściana stykała się z podłogą, ujrzał pasek chromowanego metalu, a ponad nim grubą czarną gumę. Guma stanowiła oczywiście uszczelnienie, zaś gładka zwierciadlana powierzchnia stanowiąca ścianę była po prostu taflą grubego szkła. Przesuwając się wzdłuż jej dolnej części, zobaczył starannie wypisaną etykietę. Nie identyfikowała ona jednak żadnego gatunku rzadkiej ryby. Nie zapisano na niej uwag dotyczących zalecanej diety i pochodzenia geograficznego. Były tam imię, nazwisko, data i nazwa miejscowości:

Mandy James.

7 kwietnia, 1979.

Sausalito.

Deckerowi brakło tchu. W piersi czuł ciężar, ohydny zapach przyprawiał o mdłości. Znał te dane z akt sprawy Axelmana. To jedna z pierwszych ofiar. Jej rzeczy osobiste znaleziono w pudełku w domu mordercy w San Jose. Działając niczym automat, Decker uniósł latarkę.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał w upiornej zielonkawej poświacie, była stopa Mandy James. Przywiązana do kostki lina umocowana była do ciężkiego głazu na dnie zbiornika. Przesuwając snop światła jeszcze dalej w górę, zobaczył resztę nagiego ciała, unoszącego się w formaldehydzie. Idealnie zachowanego.

Przyciskając dłoń do ust, wyłączył latarkę. Nie mógł spojrzeć dziewczynie w twarz. Odwrócił się i stał tak w ciemności, z czołem opartym o przeciwległą ścianę, przelatykając napływającą do gardła żółć. Z wolna odzyskał panowanie nad sobą. Wyprostował się i na powrót włączył latarkę.

Krew ścięła mu się w żyłach. Spoglądała nań twarz tak oszalamiająco piękna, że aż krajało się serce. Jej oczy były tak rozszerzone przerażeniem, że z krzykiem rzucił się do ucieczki. Spanikowany, zdezorientowany, biegł w mrok korytarza. Snop światła latarki podskakiwał szaleńczo, wyławiając z ciemności po obu stronach przerażające płaskorzeźby. Biegł aleją ze zbiornikami z formaldehydem, a każdy zawierał idealnie zakonserwowane ciało młodej kobiety. W nikłym świetle migały mu imiona i zniekształcone przerażeniem twarze, jakie pamiętał z akt.

Dopiero gdy dotarł do pokrytej kafelkami ściany, zdał sobie sprawę, że pobiegł w złą stronę. Stał w ciemności, ciężko dysząc. Nakrył usta dłonią i wziął głęboki oddech. Serce stopniowo uspokajało się. Jednak by odnaleźć wyjście, będzie musiał raz jeszcze przebiec wzdłuż makabrycznej ekspozycji. A może była jakaś alternatywa? Rozejrzał się uważnie wokół.

Obrócił się powoli ku przeciwległej ścianie korytarza i spostrzegł, że również była wykafelkowana. Na podłodze stał czerwony kanister na benzynę. W połowie wysokości ściany znajdowała się skrzynka z czerwonym przyciskiem i wystającą dźwignią. Starając się opanować, skierował na nią światło i odczytał znajdujące się u góry wielkie, czerwone litery: GENERATOR PALIWOWY. ABY URUCHOMIĆ, NACIŚNIJ PRZYCISK I PRZYTRZYMAJ PRZEZ DZIESIĘĆ SEKUND PRZED POCIĄGNIĘCIEM ZA LEWAR. Wziął głęboki oddech i postąpił zgodnie z instrukcjami. Za drugim podejściem usłyszał pomruk uruchamianego silnika. I naraz jakby ktoś zdarł zasłonę ciemności. Otaczający go horror objawił się w pełnej makabrycznej krasie w jasnym świetle lamp na suficie korytarza. Każdy ze zbiorników emitował zieloną widmową poświatę. Decker stał pośrodku przerażającej kolekcji Axelmana. Idąc w kierunku wyjścia, mijało się dziesięć zbiorników, po pięć z każdej strony. Każdy z nich mieścił jedną z uprowadzonych dziewcząt, w porządku chronologicznym, według dat porwania. Po drugiej stronie znajdowało się kolejnych dziesięć zbiorników, jednak tylko trzy z nich były pełne. Pozostałych siedem bez wątpienia przyszykowano na kolejne ofiary. Nie rozglądając się na boki, Decker podszedł do ostatniego pełnego zbiornika. Na podłodze obok stało pudło podobne do znalezionych w domu Axelmana. W środku znajdowało się spleśniałe ubranie, trampki i okulary z grubymi szklami. Nie brakowało też podpisanej imieniem i nazwiskiem kasety audio. Teraz Decker już wiedział, czemu Karla Axelmana nigdy nie podejrzewano o uprowadzenie Libby Prince. Wszystkie jej rzeczy osobiste znajdowały się w tym miejscu.

Z przerażającą jasnością dotarło do niego, co się właściwie stało.

Urowadzenie Libby Prince nie było zaplanowane. Pewnego dnia, odwiedzając swą galerię, Karl Axelman zobaczył ją, jak przechadza się pobliskimi alejkami. Porwał Libby pod wpływem nagłego impulsu. Zamierzał potem zabrać jej rzeczy do swego domu w San Jose, jednak złapano go, nim zdążył to zrobić.

Decker ukląkł i przejrzał żalosne resztki jej rzeczy osobistych, starannie ułożone w pudełku. Patrzeć na nie było niemal równie trudno, jak na ciało unoszące się w zbiorniku. Zawsze wierzył, że człowieka można ocenić u kresu jego życia po tym, czego dokonał. Nie u zarania, nie na podstawie przyrodzonych przymiotów. Dla Deckera przede wszystkim liczyła się wolna wola. Bez niej życie nie miało najmniejszego sensu.

Teraz jednak, gdy zmuszał się, by spojrzeć na Libby Prince, nie był już tego pewien. Przygotował się wewnątrz na widok szczątków ofiar swego ojca. Był gotów je ujrzeć w postaci kości, rozczłonkowanych fragmentów ciała, ale nie w postaci ludzkiej. Kiedy patrzył na śliczną twarz tej dziewczyny, zastygł w niemym okrzyku przerażenia, na zawsze młodą i na zawsze naznaczoną bólem, czuł, jak ugina się pod ciężarem grzechów swego ojca. Czegokolwiek by dokonał, na zawsze pozostanie splamiony. Cokolwiek by zrobił, nigdy nie oczyści swej duszy. Całą swą karierę zawodową oparł na założeniu, że zdolność człowieka do czynienia dobra lub zła kształtował cały szereg czynników, przez całe życie. Teraz jednak nie był już tego pewien.

Może jego dar tropienia zła miał podłoże genetyczne, które zawdzięcza biologicznemu ojcu? Może potrafi łapać złoczyńców tylko dlatego, że sam jest do nich podobny?

Zagubiony w myślach odwrócił naraz głowę, słysząc w korytarzu dźwięk kroków. Rozległ się krzyk.

Kiedy Kathy Kerr ocknęła się, nie wiedziała, gdzie się znajduje ani która jest godzina. Myśli kotłowały się jej w głowie. Zdawało się jej, że traci rozum. Ciągłe miała przed oczami ciemną twarz mężczyzny, zbliżającego się z bronią i strzykawką w rękę. Dudniło jej w uszach. Po chwili stwierdziła, że to jej własne serce tak łomocze. Usta wyschły jej na pieprz.

Co jej zrobiono? Co działo się z nią teraz? Dlaczego nie mogła jasno myśleć i niczego nie pamiętała?

I dlaczego nie mogła ruszać rękoma?

Otworzyła oczy, spoglądając w górę na oślepiające światło gołej żarówki. Jęknęła i na powrót zacisnęła powieki. Starła się zorientować, gdzie ją przewieziono. Poznała zapach zapamiętany z przeszłości. Zapach potu, środka dezynfekcyjnego i świeżej farby. Szpital albo więzienie.

Próbując poruszyć rękoma, zdała sobie sprawę, że są skrępowane. Zobaczyła kaftan bezpieczeństwa, który wcale bezpieczeństwa jej nie zapewniał.

Jej oddech przyśpieszył. Była bliska ataku paniki. Nigdy nie czuła się tak samotna i opuszczona, jak w tej chwili.

Odwracając się od rażącego światła, zmusiła się do otworzenia oczu. Poczekała, aż rozmazany obraz pomieszczenia stanie się wyraźny. Leżała w pustym sześcianie. Każda powierzchnia – ściany, sufit i podłoga – pomalowana na biało. Przyciskając głowę do podłogi, poczuła jej miękkość. To było jak senny koszmar. Leżała w wyściełanej izolatce.

Oddychając powoli, starała się pozbierać rozbiegane myśli. Przypomniała sobie rozmowę z Madeline Naylor na temat nielegalnych testów na przestępcach, szok związany ze śmiertelnością terapią genetyczną u Karla Axelmana, brak dokumentów i przerażające spotkanie z mężczyzną uzbrojonym w pistolet i strzykawkę, za drzwiami jej własnego domu.

Opanowując nerwy, tłumaczyła sobie, że podano jej narkotyk, a potem przewieziono w to miejsce. Trzymano ją tutaj, by zamknąć jej usta. Bez wątpienia Madeline Naylor i Alice Prince wymyśliłyby wiarygodną historię, jak to ich młodą, genialną pracownicę naukową trzeba było zabrać do szpitala, bo pomieszało się jej w głowie.

Próbowała sobie przypomnieć, co powiedział porywacz, zanim wstrzyknął jej narkotyk... coś o wyjeździe na kilka dni w ciche miejsce, w którym się wykuruje. Czy chodziło o te kilka dni przed wyborami, kiedy mogła zagrozić Pamela Weiss? Kathy w jednej chwili poczuła się lepiej, wiedząc, że odzyskała pamięć. Zdała jednak sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, w której się znajduje.

Chciała wołać o pomoc, ale usta miała suche, a izolatka z pewnością była dźwiękoszczelna. Kiedy tak leżała związana na miękkiej podłodze, poczuła duszący ciężar całkowitej bezradności. Dlaczego właściwie zajęła się terapią przestępców?

Wszystko zaczęło się, kiedy będąc jeszcze nastolatką, w szkole w Anglii usłyszała o Cesare Lombroso, XIX-wiecznym włoskim psychiatrze. To jego dzieła zasiały w jej głowie myśl, że agresywne zachowanie ludzi można wyjaśnić naukowo. Ze swoich badań na

przestępcach Lombroso wywnioskował, że niektóre prymitywne instynkty człowieka mogą zostać rozpoznane na podstawie rysów twarzy. Na przykład przestępca seksualny ma wydatne usta, zaś morderca – wąskie czoło.

Nawet wtedy Kathy wiedziała, że frenologia Lombrosa to bzdura. Mimo to zaczęła się zastanawiać nad możliwością istnienia fizycznej przyczyny szczególnie okrutnych przestępstw i zbrodni.

Kiedy była w ostatniej klasie, jej młodszy brat, Mark, popełnił samobójstwo. Nikt nie wiedział, że od dziecka cierpiał na nerwicę natręctw. Wierzył, że zamordował wiele osób, choć nigdy niczego podobnego nie zrobił. Nocą potajemnie wymykał się z domu w poszukiwaniu swoich okaleczonych ofiar. Był przekonany, że je odnajdzie, jeśli się postara. Ponawiał więc swe poszukiwania, choć jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jego niepokój i poczucie winy nie mają racjonalnych podstaw.

Gdyby tylko o tym wiedziała, mogłaby mu pomóc. Istniały leki, które regulowały przyswajanie serotoniny w mózgu i leczyły tego rodzaju objawy. Po jego śmierci problem poczucia winy stał się jej obsesją. Dlaczego jedni mają go za dużo, a inni wcale? Była przekonana, że to kwestia genetyczna. I jeśli zidentyfikowano by i zmieniono odpowiedzialne za to geny, bezsensowna przemoc stałaby się reliktem przeszłości.

Teraz jednak jej marzenie zmieniło się w koszmar.

Nagle usłyszała zgrzyt klucza w zamku, a kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyła parę czarnych butów zmierzającą w jej kierunku. Mrużąc oczy, podniosła wzrok. W jasnym świetle żarówki dojrzała mężczyznę w białym fartuchu.

– Jak się czujesz? – zapytał uprzejmie.

– Kim jesteś? Gdzie mnie przywieziono?

Ruszył w jej kierunku. Zobaczyła jego siwe, kręcone włosy i okrągłe okulary.

– Spokojnie, spokojnie, po co tyle pytań?

– Wypuście mnie.

– Nic z tego. Musiałś zrobić coś naprawdę okropnego, że znalazłaś się tutaj.

Spoglądając w górę, dojrzała strzykawkę w jego dłoni. Próbowwała się odsunąć.

– Nie chcę tego więcej. Daj mi z kimś porozmawiać.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Na to też nie możemy pozwolić – odparł pobłaźliwie. – Dlatego tu jesteś. Zastryk pomoże ci o wszystkim zapomnieć. – Podniósł błyszczącą, z nierdzewnej stali strzykawkę ku światłu i stuknął w nią dwa razy palcem. Popatrzył, jak krople płynu wydostają się igłą i spływają po jej obrzeżu. – Nie martw się, kilka pierwszych iniekcji nie pozostawi żadnego trwałego śladu – mówił spokojnie, jakby informował ją o pogodzie. – To tylko wstęp do dalszej terapii, która, obawiam się, będzie miała długoterminowe skutki. Wiem, że w twojej rodzinie występowały choroby psychiczne. U twojego brata, prawda?

– Ale dlaczego?! – krzyknęła. – Dlaczego?

– Tego nie wiem. Teraz powinnaś zasnąć. Po małej drzemce wszystko wyda ci się bardziej proste.

Zaczęła krzyczeć, wołając pomocy najgłośniejszym głosem, jak tylko potrafiła. Kiedy ukląkł obok

niej, próbowała walczyć, jednak kaftan był zbyt ciasno związany.

– Spokojnie, to nic nie da. Postaraj się tym nie martwić – poradził, bez wysiłku przytrzymując jej ramię i wbijając igłę.

Ona jednak nie miała zamiaru się poddać. Rozpaczliwie walczyła o zachowanie przytomności. W jej głowie zamajaczyła myśl, słaba jak ogień zapałki w ciemności, dająca nikłą nadzieję. Może Luke Decker otrzymał od niej wiadomość i ją uratuje?

Wężowe Drzewo, Los Altos Verdes, Kalifornia

Tego samego dnia, godz. 18.15

Alice Prince krzyczała z przerażenia, widząc inne dziewczynki. Kiedy zobaczyła Libby, umilkła.

Zawsze myślała, że nie ma nic gorszego niż koszmar, w którym widzi Libby doświadczającą niewyobrażalnych cierpień. Kiedy patrzyła na szklany zbiornik, stojący tuż przed nią zdała sobie sprawę, że nie miała racji. Żaden koszmar nie mógł być tak przerażający, jak to, co tu widziała. Przycisnęła rękę do zimnego szkła, w miejscu, gdzie znajdowała się dłoń jej córki.

– Doktor Prince, nie powinna pani być tutaj. Proszę pójść ze mną, wyprowadzę panią stąd – łagodnie perswadował Decker.

Odepchnęła go, zbliżając się jeszcze bardziej do zbiornika. Obie dłonie położyła na szklanej trumnie Libby.

– Powinna była znaleźć się tu wiele lat temu. Żeby ocalić moją córeczkę przed potworem.

– Chodźmy – powtórzył spokojnie, odciągając ją od zimnego szkła i wolno prowadząc wzdłuż makabrycznej ekspozycji w kierunku wyjścia.

– Ale dlaczego? – zapytała łamiącym się głosem. – Dlaczego?

– Nie wiem. Nie znam odpowiedzi.

Alice nie pytała jednak o to, co stało się Libby.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego Karl Axelman powiedział panu o tym miejscu? Dlaczego taki morderca powiedział to panu?

W jego zielonych oczach pojawiło się cierpienie. Odwrócił się, napotykając jej wzrok. Błądy i zmęczony, wyglądał na całkowicie rozbitego.

– Bo był moim ojcem – odparł.

*Biuro terenowe FBI, San Francisco
Czwartek, 30 października, godz. 20.12*

Dyrektor Naylor nie wiedziała, co bardziej doprowadzało ją do wściekłości. To, że nie poinformowano jej o rewelacjach, które Decker uzyskał od Axelmana, czy to, że zwierzył się z tego Alice.

Naylor miała pojawić się w Los Angeles wraz z Alice Prince i uczestniczyć w wyborczej kolacji z prezydentem Bobem Burbankiem i Pamelą Weiss. Pamela zamierzała nazajutrz wygłosić oświadczenie na temat projektu Sumienie. Kiedy jednak odrzutowiec FBI miał wystartować do Los Angeles, zadzwonił George Raoul, agent dyżurny z biura w San Francisco. Powiedział, że Decker znalazł grobowiec ofiar Axelmana. Dodał, że ze sprawą jest związana doktor Prince, która prosi o kontakt.

Naylor popędziła do Alice, którą po podaniu środków uspokajających odwieziono do domu. Później obejrzała mrożące krew w żyłach eksponaty.

Siedziała teraz przy biurku Raoula i przyglądała się agentowi specjalnemu Luke'owi Deckerowi. Po lewej stronie miała ekran telekonferencyjny, z którego spoglądał wicedyrektor Bill McCloud. Zmarszczył poorane bruzdami czoło i podrapał się po głowie. W Waszyngtonie była północ.

– Dlaczego, do cholery, nie powiedziałeś o rozmowie z Axelmanem? – zapytała Deckera.
– Z mojego polecenia wicedyrektor McCloud wyraźnie pytał, czy przed egzekucją Axelmana zdobyłeś jakiegokolwiek nowe informacje. Ale ty nie pisałeś ani słowa. Jeśli nawet Axelman twierdził, że jest twoim ojcem, nie stanowi to żadnego usprawiedliwienia. Jesteś szefem wydziału i powinieneś wiedzieć takie rzeczy. Po to właśnie są procedury. Żeby uniknąć komplikacji z powodów osobistych. Czy Axelman powiedział ci coś jeszcze?

Decker milczał. Wyglądał na wykończonego: sińce pod oczami, włosy umazane błotem, pobladała twarz. Naylor naciskała:

– Decker, będziesz ze mną rozmawiał czy mam cię zawiesić w obowiązkach? Alice Prince, moja przyjaciółka, jest teraz na prochach po tym, jak zobaczyła zwłoki swojej córki. Choćby za to najchętniej wykopałabym cię z Biura. Z jakichś jednak powodów McCloud błagał mnie, bym się zlitowała nad tobą. Mówi, że cię potrzebujemy, ale ja w to nie wierzę. Masz dobrą opinię, ale jeśli nie potrafisz przystosować się do nas, to wylecisz. Zrozumiałeś?

Czekała na odpowiedź, ale Decker i tym razem się nie odzywał. Madeline była równie zdziwiona co wściekła. Przy wszystkich spotkaniach dochodziło między nimi do spięć. Nie lubiła go i uważała, że te psychologiczne bzdety, którymi zajmował się w wydziale nauk behawioralnych, są nie na dzisiejsze czasy. Zawsze jednak skrycie podziwiała Deckera za niezależność i dobre wyniki. Teraz wyglądał tak, jakby na niczym mu nie zależało. Chciała wiedzieć, co jeszcze usłyszał od Axelmana i czy dzięki swemu słynnemu zmysłowi

obserwacji odnotował coś podejrzanego w zachowaniu skazańca. Jednakże wszelkie obawy, iż Decker mógłby zdemaskować Spirale Zbrodni, wydawały się bezpodstawne.

Jakby na potwierdzenie tego, Decker powoli sięgnął do kieszeni ubłoconej kurtki i wyjął odznakę.

– Nie musi mnie pani zawieszać. Odchodzę. – Wypowiedział to bez żadnych emocji, zupełnie jakby czytał z kartki.

McCloud pokręcił głową na ekranie.

– Czekaj, nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. Jedź do domu. Odpocznij trochę i przemyśl to jeszcze. Pani dyrektor – McCloud zwrócił się do Naylor – powinniśmy odłożyć to na później, gdy wszystko się trochę uspokoi. Wtedy będziemy mogli spojrzeć na to bardziej obiektywnie. Nie należy podejmować decyzji pod wpływem chwili. – McCloud patrzył na nią błagalnie.

Naylor wpatrywała się w Deckera.

– Jesteś zwolniony – syknęła. – Wynoś się.

Kiedy tylko Decker i McCloud zniknęli z jej oczu, zadzwonił telefon.

– Gubernator Weiss do pani – oznajmił głos w słuchawce.

– Co z Ali? – brzmiało pierwsze pytanie Pameli.

– Jest w domu, na środkach uspokajających, ale trzyma się lepiej, niż można by było przypuszczać. Mówi, że w pewnym sensie nawet to jej pomogło. Może wreszcie pochować Libby, oplakiwać ją, wiedząc, że spoczywa w pokoju. Przecież znasz Ali. Jest silniejsza, niż wygląda. Kazała mi nawet przekazać, żebyś użyła tego dla wzmocnienia dramatyzmu oświadczenia. Wątpię, czy do jutra dojdzie do siebie, ale na mnie wciąż możesz liczyć.

– Mogę z nią porozmawiać?

– Pam, lepiej pozwól jej się wyspać. Zostanę u niej na noc. Przekażę, że dzwoniłaś. Na pewno będzie jej miło.

– Co właściwie się stało?

Naylor szybko streściła ostatnie wypadki, opisała upiorną galerię Axelmana.

– To jest okropne, Pam, ale nie przejmuj się. Skup się na jutrzejszym oświadczeniu. Projekt Sumienie ma położyć kres właśnie takim zbrodniom.

– Dobrze, ucałuj Ali ode mnie.

– Oczywiście. Powodzenia jutro. Spotkamy się na miejscu.

Zmęczona Naylor spojrzała na zegarek. Po dziewiątej, a od samego rana miała pełno wrażeń. Nazajutrz czekał ją ważny dzień. Nie mogła się doczekać, żeby wypić szklaneczkę Jacka Danielsa, wykąpać się i położyć do łóżka. Najpierw musiała jednak zatelefonować. Wzięła słuchawkę i wystukała numer.

– Jackson – zgłosił się niski, nosowy głos. Z odgłosów w tle odgadła, że jej rozmówca jest w barze.

– Jak idzie?

– W porządku, pani dyrektor.

– Zrobiłeś jej zastrzyk?

– Tak. Dostarczyliśmy ją kilka godzin temu. Doktor Peters już się nią zajął. Poza tym nikt

nie ma z tym nic wspólnego. Doktorek potwierdził, że wie dokładnie, co ma robić.

Madeline skinęła głową. Doktor Peters miał zbyt dużo do stracenia, by nie mogła na niego liczyć. Gdyby ujawniła choć część jego machlojek, o których wiedziała, spędziłby przynajmniej dziesięć lat w więzieniu. Po wyjściu na wolność miałby zakaz praktykowania jako lekarz.

– Coś jeszcze? – zapytał Jackson.

– Nie, na razie tyle. Dobranoc.

Naylor odłożyła słuchawkę i odsunęła się od biurka. Wróciła myślami do okropności, które widziała po południu.

Spirala Zbrodni zbliżała się do punktu krytycznego, a widok Libby i pozostałych martwych dziewcząt na pewno wzmocnił determinację Alice, by doprowadzić projekt do końca. Axelman został zgładzony, ale po ziemi wciąż chodziło mnóstwo takich jak on.

Marina District, San Francisco
Tego samego wieczoru

Decker zatrzymał samochód przed domem dziadka. Ucieszył się, że nie ma u niego ani Barziniego, ani żadnych innych gości. Rozpaczliwie pragnął porozmawiać z nim w cztery oczy.

Gdy wszedł do środka, Matty serdecznie go uściskał.

– Luke, cóż za niespodzianka. Nie wiedziałem, że jeszcze jesteś w mieście.

– To był długi dzień, dziadziu. Mam kilka spraw, o których chciałbym z tobą porozmawiać.

Matty zaprowadził go do salonu.

– O co chodzi, Luke?

Decker zaczął mówić. O wszystkich obawach i wątpliwościach, które prześladowały go przez ostatnich kilka dni. O liście Axelmana z opisem gwałtu na jego matce, o morderstwach biologicznego ojca, i wynikach badania DNA, o odkryciu makabrycznej kolekcji zakonserwowanych zwłok ofiar Axelmana.

Gdy skończył, wziął głęboki wdech i poprosił dziadka, by powiedział mu wszystko, co wie. Staruszek przez chwilę siedział w milczeniu i tylko delikatnie poklepywał Deckera po ramieniu. Wreszcie zaczął swą opowieść.

– To była okropna noc. Twoja matka poszła ze znajomymi do miasta na drinka. Richard był w podróży służbowej, ale umówili się, że gdy wróci, spotkają się w mieście i pójdą coś zjeść. Policjanci mówili, że napastnik musiał ją obserwować przez cały wieczór. Została zaatakowana tuż po tym, jak jej znajomi odeszli, w miejscu, gdzie miała spotkać się z Richardem.

Deckerowi żołądek podszedł do gardła. Jego matka była piękną delikatną kobietą. Przy Axelmanie musiała wydawać się bezbronna jak dziecko.

– Według policji napastnik zaatakował ją od tyłu, ogłuszył i zaciągnął do ciemnej uliczki. Potem przyjechał Richard. Gdy nie znalazł twojej matki na rogu, gdzie się umówili, najprawdopodobniej zaczął ją wołać. Według policji zabójca wybiegł z alejki i powiedział twemu ojcu, że napadnięta kobieta potrzebuje pomocy. Richard pobiegł do twojej matki. Gdy ukląkł i zaczął ją cucić, zabójca pięciokrotnie dźgnął go nożem w plecy i uciekł.

– Czy zgwałcił matkę przed tym, jak ojciec... jej mąż... zaczął ją wołać? – Poprawiając się, czuł rosnącą w gardle kulę.

– Tak – cicho odpowiedział Matty. – Sprawcy nigdy nie ujęto.

Decker jęknął i pokręcił głową. Gdyby to się stało dziesięć lat później, policja mogłaby złapać Axelmana dzięki analizie DNA.

– Co się stało później?

– Twoja matka była mężatką niespełna rok. Dla Richarda przeszła na katolicyzm. Nie

widziała poza nim świata. Gdy odkryła, że jest w ciąży, nie pomyślała o aborcji. Byłoby to wbrew nakazom religii, a poza tym wierzyła, że to dziecko Richarda.

– Nigdy nie podejrzewała, że mógłbym być dzieckiem gwałciciela?

Matty wzruszył ramionami.

– Może i tak, ale nigdy o tym nie mówiła. Zresztą... co za różnica? Byłeś jej dzieckiem, żadna matka nie mogłaby bardziej kochać swojego syna. – Matty delikatnie pogładził Luke'a po twarzy. – Nie wiem, jak wyglądał ten Axelman, ale mogę ci powiedzieć, że bardzo przypominasz Richarda. Był dobrym człowiekiem i choć nigdy go nie poznałeś, zachowałeś pamięć po nim, a twoja matka nauczyła cię być tym, kim dziś jesteś. Nieważne, co mówi nauka. Twoim prawdziwym ojcem był Richard i tylko to się naprawdę liczy. Nie zapominaj, że masz również geny twojej matki. To byli dobrzy ludzie. Ty też jesteś dobrym człowiekiem, Luke.

Decker ukrył głowę w dłoniach. W skroniach pulsowało mu zmęczenie. Rozpaczliwie pragnął uwierzyć w słowa otuchy Matty'ego.

– W każdym razie – rzekł dziadek, poklepując go po ramieniu – uważam cię za swojego wnuka. Pomagałem cię wychować. I nie mógłbym być z ciebie bardziej dumny.

*Piątek, 31 października,
godz. 13.51*

Dopiero nazajutrz Decker zwrócił uwagę na różne dziwne rzeczy związane ze sprawą Axelmana. Pojawiły się pytania wymagające odpowiedzi.

Dlaczego zimny, bezlitosny Axelman nie tylko ujawnił miejsce pochówku swych ofiar, ale w dodatku się wykastrował? Dlaczego jego wygląd zmienił się tak radykalnie, tak szybko?

Coś musiało się z nim stać. Nie zrobiłby takich rzeczy sam z siebie. Były całkowicie sprzeczne z jego osobowością. I dlaczego dyrektor Naylor tak się tym interesowała? Chyba nie tylko ze względu na Alice Prince?

Decker rozmyślał o tym, siedząc przed telewizorem z butelką piwa w dłoni. Rhoda krzątała się po domu, a Matty siedział w kącie i czytał książkę w alfabecie Braille'a.

Decker zmienił kanał, by nie oglądać reportażu o Karlu Axelmanie i jego ofiarach. Niemalże poczuł ulgę na widok uśmiechniętych twarzy gubernator Pamela Weiss i prezydenta Boba Burbanka. Stali za mównicą z godłem prezydenckim u stóp wież Nostro Pueblo w południowym Los Angeles, przestępczej stolicy Zachodniego Wybrzeża. Wokół nich zebrał się tłum gapiów i przedstawicieli mediów. Wśród fotoreporterów Deckerowi udało się rozpoznać kędzierzawego chuderlaka, Hanka Butchera. Prowadzący spotkanie zapowiadał właśnie „przełomowe oświadczenie na temat walki z przestępczością”.

Bob Burbank przedstawił Pamelę Weiss jako następnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Chwalił ją za osiągnięcia na stanowisku gubernatora Kalifornii, a zwłaszcza za sukcesy w walce z przestępczością.

Decker łyknął zimnego piwa i słuchał oświadczenia Pamela Weiss.

– Wczoraj wieczorem wszyscy poznaliśmy grozę zbrodni seryjnego mordercy Karla

Axelmana. Z pewnością nie wiecie, ale ostatnią ofiarą straconego niedawno zabójcy okazała się córka doktor Alice Prince, mojej bliskiej przyjaciółki.

Decker jęknął i chciał zmienić kanał, ale ciekawość wzięła górę. Matty uniósł głowę, i zatrzymał dłoń nad kartą z brajlowskim tekstem.

– Chociaż Karl Axelman został stracony, na wolności pozostaje wielu jemu podobnych. Przesłpstwa dokonywane ze szczególnym okrucieństwem to epidemia w tym kraju. Liczba morderstw w skali kraju wzrosła o dziesięć procent, a gwałtów jeszcze bardziej. Liczba napadów z bronią w rękę rośnie tak szybko, że policjanci nie mogą zająć się wszystkimi. Koszty przestępczości sięgają miliardów dolarów. Spadek brutalnych przestępstw o choćby jeden procent pozwoliłby zaoszczędzić miliard dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. To pieniądze, które można by zainwestować w służbę zdrowia lub inne potrzebujące wsparcia instytucje. Tu nie chodzi o politykę. Przesłpczość to nowotwór, który od wieków trawi społeczeństwo. Pomimo wszelkich planów, które próbowano wprowadzić w życie, jak dotąd nie znaleziono skutecznego środka na wyeliminowanie przestępców. Nie przywrócimy życia ofiarom niezliczonych zbrodni. Wierzę jednak, że możemy, musimy zadbać o to, by takie zbrodnie nie miały miejsca nigdy więcej. Właśnie tego próbujemy dokonać tu w Kalifornii.

Decker gapił się w telewizor z otwartymi ustami. Pamela Weiss chciała przypisać sobie spadek przestępczości w Kalifornii. Musi więc wytłumaczyć to, czego w ciągu ostatnich trzech lat nie mogli zrozumieć policjanci, socjologowie i dziennikarze.

– Osiem lat temu dzięki pomocy prezydenta, dyrekcji FBI i takich ludzi jak doktor Alice Prince podjęliśmy realizację śmiałego projektu.

Kamera przesunęła się od Weiss i prezydenta Burbanka na prawą stronę podium, gdzie Luke spostrzegł dyrektor Naylor stojącą bez ruchu, z poważną twarzą.

– Projekt, którego celem jest nie zwalczanie przestępczości, lecz jej leczenie. Inicjatywę tę nazwaliśmy projekt Sumienie. To właśnie projekt Sumienie spowodował spadek wskaźników przestępczości w Kalifornii.

Ekran wypełniła opanowana twarz Pameli Weiss. Luke siedział teraz pochylony do przodu, z całą uwagą skupioną na telewizorze. Matty zapomniał o książce i słuchał z nie mniejszym zainteresowaniem.

– Wszyscy mężczyźni mają geny, które w mniejszym lub większym stopniu predysponują ich do popełniania brutalnych przestępstw. W ciągu ostatnich ośmiu lat udało nam się dowieść tego ponad wszelką wątpliwość. Dzięki modyfikacji genów u około szesnastu tysięcy mężczyzn, skazanych w Kalifornii za przestępstwa ze szczególnym okrucieństwem, udało nam się pozytywnie wpłynąć na ich zachowanie. Uzyskaliśmy dzięki temu spadek liczby przestępstw, które przez ostatnie lata dominowały w nagłówkach lokalnych gazet.

Pamela Weiss umilkła i ruchem ręki wskazała okolicę.

– Popatrzcie tylko na sąsiedztwo wież Nuestro Pueblo, gdzie teraz stoimy. Kiedyś symbol wszelkiego wielkowiejskiego zła, teraz stanowi przykład poprawy warunków bytowych, powrót nadziei, a wszystko to dzięki projektowi Sumienie. Zaręczam, że terapia genetyczna, która przyniosła takie efekty, została szczegółowo zbadana i zatwierdzona przez FDA jako całkowicie bezpieczna.

Oślupiały Decker siedział na kanapie. Kamera pokazywała panoramę przywróconych do życia sklepów i domów w Watts. To musiał być ten projekt, nad którym pracowała Kathy, oparty na jej oryginalnej tezie z czasów Harvardu. Projekt, w którego sprawie wczoraj spotkała się z Naylor.

– Rozumiem, że wielu z was może mieć zastrzeżenia w związku z testowaniem tej nowatorskiej terapii przy ominięciu zwykłych procedur. Ciężkie zbrodnie wymagają jednak zdecydowanych rozwiązań. Istniały oczywiście pewne zagrożenia, ale były one znacznie mniejsze niż niebezpieczeństwa wynikające z beczynności. Przepęczność zakorzeniła się tak mocno, że uznaliśmy, iż konieczne jest podjęcie radykalnych kroków. Nie wystarczą już ładne słowa polityków. Potrzebujemy czynów. Rozpoczęcie tego projektu nie było łatwe. Przez blisko dziesięć lat prowadziliśmy badania z udziałem najznakomitszych uczonych. Badania przeprowadzono na najbardziej niereformowalnych przestępcach, którzy utracili wszelkie szanse na życie w normalnym społeczeństwie. Wyniki badań wskazują, że zamiast wymierzać im nieludzką karę, można dać im nowe życie. Wierzę w wolną wolę. Żywię głębokie przekonanie, że geny predysponują nas jedynie do pewnych zachowań, ale to, co ostatecznie zrobimy, wynika z naszego wyboru. Wszyscy musimy ponosić odpowiedzialność za własne czyny. Dzięki terapii pacjent ma większe szanse na skuteczną walkę z niepożądanymi atakami agresji. Leczenie wskrzesza jego sumienie, umożliwiając uniknięcie bezsensownej bójk, brutalnego ataku czy też pohamowanie pragnienia gwałtu na bezbronnej kobiecie. Chcę podzielić się z wami pewną wizją. Wizją istotną dla Ameryki. Dzięki tej terapii agresywni mężczyźni będą mogli bardziej produktywnie spożytkować swą energię. Zamiast atakować społeczeństwo, zaczną mu przynosić korzyści. Wyobraźmy sobie kraj, gdzie wszystkich skazanych przestępców poddaje się tej terapii, gdzie większość sprawców może odkryć swoją lepszą naturę. Wyobraźmy sobie lepszą, silniejszą Amerykę. Moją i waszą Amerykę. Nasz kraj. – Weiss uniosła rękę i wycelowała palcem prosto w kamerę. – Daję słowo. Jeśli we wtorek zostaną wybrana na prezydenta, sprawię, że ten sen stanie się rzeczywistością.

Decker patrzył w telewizor. Pamela Weiss zamilkła. Spoglądała w kamerę z troską. Wszystko to brzmiało tak wiarygodnie, tak pięknie. Piwo przestało smakować Deckerowi.

– Czy oni nigdy nie zmądrzeją?! – wykrzyknął Matty.

Luke wzdrygnął się na dźwięk jego przepełnionego gniewem głosu. Nigdy nie widział swego dziadka w stanie takiego wzburzenia. Twarz miał czerwoną, a na skroniach pulsowały mu żyły.

– Co jest, dziadziu?

– Co jest?! Słyszysz, co ta kobieta wygaduje i pytasz mnie, co jest?! Oceniają ludzi po genach i chcą w nich mieszać.

Złości Deckera było daleko do gniewu Matty’ego.

– Chcą podawać lek tylko skazanym przestępcom...

– Najpierw podadzą lekarstwo, by zmienić geny przestępców. Potem postanowią podawać lek tym młodym ludziom, których geny nie będą im odpowiadać, zanim zrobią coś złego. A potem podzielą ludzi na tych o dobrych genach i na tych o złych. Pamiętam, jak

naziści zaczęli nas segregować. Kazali nam nosić na kurtkach gwiazdę Dawida, żeby mogli nas odróżnić. Podludzi. Żydów. Luke, jesteśmy czymś więcej niż tylko genami. Czy nikt się niczego nie nauczył?

– Ale to coś innego, dziadziu.

– Czyżby? A jeśli stwierdzą, że masz geny Karla Axelmana, w związku z czym jesteś potencjalnym przestępcą i dlatego należy poddać cię „terapii”?

Decker nie potrafił na to odpowiedzieć. Odstawił piwo na stolik i spojrzał w ekran telewizora.

– Tak, rodacy. Wspierana przez prezydenta Burbanka, podjęłam ryzyko, rzuciłam wyzwanie konwencjonalnym procedurom. Głęboko jednak wierzę, że Ameryka potrzebuje dziś przywódcy, bardziej niż kiedykolwiek. Kogoś, kto będzie służył ludziom, a nie bezmyślnie ulegał zmieniającym się trendom. Kogoś, kto podejmując ważne decyzje, poprowadzi do lepszego, spokojniejszego jutra. Jeśli podzielacie tę wizję, we wtorek głosujcie na mnie, żebyśmy mogli wspólnie obudzić sumienie Ameryki.

Zanim jeszcze Weiss skończyła swoją przemowę, tłum wybuchł aplauzem. Decker odwrócił się do dziadka, który z niedowierzaniem kręcił głową. Otworzyły się drzwi i weszła Rhoda.

– Luke– wręczyła mu brązową kopertę – to przyszło do ciebie pocztą.

– Dzięki.

Rozerwał kopertę, w której znalazł napęd USB i napisaną odręcznie notatkę Kathy Kerr:

Luke, musimy porozmawiać.

Próbki z jednej z torebek, które mi przekazałeś, są zgodne z profilem DNA mordercy z bazy danych FBI, Karla Axelmana. Tyle tylko, że są pewne istotne różnice, które mogą się wiązać z moją pracą nad projektem o nazwie Sumienie.

Co jest grane, Luke? Na pewno coś podejrzewasz, inaczej nie prosiłbyś mnie o analizę próbek, tylko skorzystałbyś z laboratoriów FBI. Załączam przenośną pamięć USB. U ciebie będzie bezpieczna. Jest na niej kopia oryginalnego genomu Karla Axelmana i tego zmodyfikowanego, pobranego z dostarczonych przez ciebie próbek. Nie martw się. Myślę, że spotkamy się jeszcze, zanim to dostaniesz. To tylko na wszelki wypadek..

Naprawdę musimy porozmawiać. Dzieje się coś strasznego.

Kathy.

Decker przeczytał liścik i zmarszczył czoło. Nie wiedział, co o tym myśleć. Położył płytkę na stoliku. Kathy napisała, że wkrótce się zobaczą. Ale się nie odezwała. Napisała też, że geny Axelmana poddano modyfikacjom.

Czy to tłumaczy jego wygląd, utratę włosów i wysypkę? A także nagłą skrucę, radykalną zmianę osobowości? Czy dlatego dyrektor Naylor tak bardzo była ciekawa, czego Decker dowiedział się od Axelmana?

Raz jeszcze spojrzał w telewizor, na końcowe ujęcia wiecu w Watts. Pamela Weiss stała z

triumfalnie uniesionymi rękami. Obok niej dyrektor FBI, wpatrzona w tłumy, z chłodną satysfakcją widoczną na twarzy. Czy Axelman był jednym z przestępców, na których prowadzono nielegalne testy Sumienia? Czy coś próbowano zatuszować?

– O co chodzi, Luke? – dopytywał się Matty.

– Jeszcze nie wiem – odparł.

Wstał z kanapy, sięgnął po kurtkę i wyjął portfel. Znalazł wizytówkę Kathy, podniósł słuchawkę i wybrał numer uniwersytetu. Nikt się nie zgłaszał. Z kieszeni kurtki wyjął komórkę. Od ostatniej rozmowy z Kathy telefon był wyłączony. Może nagrała się na pocztę głosową?

Usiadł na krawędzi kanapy i odtworzył wiadomości. Matty wstał z krzesła, podszedł i usiadł obok niego. Kathy rzeczywiście nagrała wiadomość, ale nie różniła się zbyt od jej liściku. Oprócz kilku wiadomości z biura była jeszcze jedna wiadomość głosowa. Tak słabo słyszalna, że Luke chciał ją usunąć.

– Puść to jeszcze raz – zarządził nagle Matty, który siedział z przekrzywioną głową, jakby wsłuchany w jakiś instrument muzyczny. – Możesz zrobić głośniej? Słyszałem jakieś głosy. Jeden był przerażony.

Luke podkreślił głośność i przyłożył ucho do słuchawki. Matty miał rację. Teraz dało się słyszeć głos kobiety. Był stłumiony, ale Luke wiedział, że należy do Kathy.

– *Czego chcesz?! – krzyknęła. Jej głos, zwykle brzmiący miękkim szkockim akcentem, załamywał się ze strachu.*

– *Chcę, żebyś się trochę uspokoiła – odpowiedział męski nosowy głos, który wydał się znany Deckerowi.*

– *Dlaczego?! – krzyknęła Kathy. – To przez projekt Sumienie, tak?*

Decker znów usłyszał męczyznę.

– *Uprzedzono mnie tylko, że jesteś troszkę zestresowana i możesz powiedzieć rzeczy, których będziesz potem żałować. Zabierzemy cię gdzieś, gdzie będziesz się mogła uspokoić, w ustronne, ciche miejsce.*

Decker był pewien, że już gdzieś słyszał ten głos. Odgłosy szamotaniny.

– *Trzymaj tę igłę z daleka ode mnie, ty draniu!*

Nagranie zostało przerwane, lecz Deckerowi wystarczyło to, co usłyszał.

– Przyjaciółka? – zapytał Matty.

– Niezupełnie – odparł Decker, wciąż próbując skojarzyć właściciela głosu. Udało mu się, gdy pomyślał o dyrektor Naylor. Głos należał do wicedyrektora Williama Jacksona, wiernego psa pani dyrektor. Madeline Naylor niewątpliwie stała za porwaniem Kathy. Bez jej pozwolenia Jackson nie kiwnąłby palcem. Ale dlaczego Naylor chciałaby pozbyć się Kathy Kerr? Musiało to być coś poważnego, skoro Jackson zajął się tym osobiście, zamiast zlecić zadanie swoim bandzirom.

Kathy miała rację. Koniecznie musieli porozmawiać. Przycisnął telefon do ucha i jeszcze raz odtworzył wiadomość, tym razem uważnie przysłuchując się słowom Jacksona: „zabierzemy cię gdzieś, gdzie będziesz się mogła uspokoić, w ustronne, ciche miejsce”.

Decker w pierwszej chwili pomyślał o którymś z mieszkań konspiracyjnych Biura.

Poszperał w pamięci, próbując sobie przypomnieć wszystkie znane mu w pobliżu San Francisco. Jednak nawet w tych lokalach ktoś bywał, opiekował się nimi. Naylor chciałaby, żeby o porwaniu Kathy wiedziało jak najmniej osób. Musieli zabrać Kathy gdzieś niedaleko San Francisco; długa podróż wiązałaby się z ryzykiem wpadki. Gdzie więc można było ją umieścić? Jakie miejsce gwarantowało ciszę i spokój?

I naraz go olśniło. Idealne miejsce. Pełen mrocznych wspomnień wybrał numer z książki telefonicznej aparatu. Usłyszał uprzejmy, profesjonalny głos.

– Halo – powiedział – mówi agent specjalny Luke Decker. Powinniście mieć mnie w kartotekach. Pilnie potrzebuję wizyty.

– Co zamierzasz? – zapytał Matty.

Decker wzruszył ramionami.

– Znajdę ją i uwolnię.

Sanktuarium, na wschód od Modesto, Kalifornia
Sobota, 1 listopada, godz. 11.17

O ile mi wiadomo, nikt nie został przyjęty w ciągu ostatnich trzech dni.

Siedząca przy swoim biurku w Sanktuarium doktor Sarah Quirke mówiła z nutką walijskiego akcentu. Była niewysoką kobietą po czterdziestce, o kasztanowych włosach i okrągłej twarzy. Przymrużyła oczy, kryjące się za eleganckimi okularami. Pół ściany za jej plecami zajmowało wielkie okno, przez które Decker widział odległe fioletowe zbocza High Sierra, kontrastujące z czystym błękitnym niebem. Promienie słoneczne przenikały przez szybę, podkreślając miedziane pasemka we włosach doktor Quirke. Oświetlały biurko i krzesła. Sesje z doktor Quirke były jedynym pozytywnym wspomnieniem, jakie Decker zachował ze swojego czterotygodniowego pobytu w tym miejscu po śmierci matki.

– Luke, do czego zmierzasz? Przyszłam tu w sobotę tylko dlatego, że chciałeś się niezwłocznie ze mną spotkać, chociaż według mnie jesteś zdrowszy psychicznie niż większość tutejszych lekarzy. Widzę jednak, że interesują cię jedynie przyjęcia pacjentów do izolatek. Dobrze wiesz, że to założony przez FBI oddział dla agentów, którzy nie radzą sobie ze stresem. Zajmujemy się terapią przejściowych problemów psychologicznych i uzależnień, a nie psychiatrią. Mamy tylko dwie izolatki, wykorzystywane w razie nagłych wypadków. Rzadko się ich używa. Powiedz mi, Luke, o co tu naprawdę chodzi?

Decker oparł się o krzesło, na którym siedział, i potarł skronie. Jeśli, jak podejrzewał, Kathy została porwana i jest przetrzymywana w Sanktuarium, to w całą sprawę zamieszany jest ktoś z góry, co z kolei znaczyło, że przychodząc tu, bardzo ryzykuje. Spotkał się z doktor Quirke tylko dlatego, że bezgranicznie jej ufał.

– Sarah, chyba nikt nie zna mnie tak dobrze, jak ty. Zaufaj mi. Dzieje się coś bardzo dziwnego, coś, czym muszę się zająć. Ale nie chciałbym mieszać w to ciebie. Wierz mi, tak będzie lepiej. Czy masz może listę pacjentów oraz pomieszczeń, które zajmują?

Quirke zmarszczyła brwi. Jego całkowite zaufanie wyraźnie nie było w pełni odwzajemnione.

– Nie chcę znać nazwisk – tłumaczył. – Chciałbym tylko wiedzieć, czy macie teraz kogoś w bezpiecznym skrzydle.

Milczała przez chwilę, po czym przytaknęła ruchem głowy.

– Dobrze – odparła, patrząc na ekran monitora i stukając w klawiaturę. – Mam tu wszystkich pacjentów, ale, jak już mówiłam, nikogo nowego nie przyjęto w ciągu trzech ostatnich dni. Jeśli zaś chodzi o izolatki w skrzydle ogrodowym, nie były używane od ponad trzech miesięcy. Ostatnim był agresywny pacjent, którego przetrzymano przez noc w sali A.

– Z tego, co wiesz, nie ma teraz nikogo w izolatkach?

– Tak.

– Czy ktoś do nich zagląda?

– Czasami zachodzi tam doktor Peters.

Decker skinął głową. Pamiętał siwowłosego lekarza. Nigdy się nie spotkali, ale Decker często widywał go w pobliżu sali, w której przebywał. Wiedział, z kim ma do czynienia. Dla Petersa robienie kariery było ważniejsze niż zajmowanie się pacjentami.

– Ciągłe rządzi tutaj?

– Tak. – Uśmiechnęła się słabo.

– Ty też masz dostęp do bezpiecznego skrzydła, prawda?

– Tak jak większość starszych lekarzy mam klucze. Bez trudu mogę wejść do każdego z pomieszczeń. Albo mogę zadzwonić do doktora Petersa. Jak mówiłam, to on bywa tam najczęściej.

Decker uniósł rękę.

– Nie, nie rób tego. Jeśli mam rację, nie chciałbym mieszać w to ani ciebie, ani doktora Petersa. Pozwól mi zajrzeć do izolatek. Nikt nie musi wiedzieć, że tu byłem, a jeśli pomieszczenia są puste, nic się nie stanie. Sarah, pomóż mi. Jeśli to tylko moje wymysły, obiecuję, że zapiszę się na badania.

Po chwili namysłu otworzyła szufladę, wyciągając pęk kluczy.

– Zapewne powinnam pójść z tobą – powiedziała.

Luke przypomniał sobie o Jacksonie i Naylor. Nie mógł jej narażać.

– Zaufaj mi. Daj mi klucze do pomieszczeń i powiedz, kiedy w bezpiecznym skrzydle będzie najmniej osób. Nie mów nikomu o mojej wizycie. Nikomu, nawet jeśli będą cię pytać.

Doktor Sarah Quirke po raz kolejny zmarszczyła brwi, po chwili jednak podała mu trzy klucze.

– Największy jest od drzwi prowadzących do skrzydła; dwa mniejsze otwierają poszczególne pomieszczenia. Idź teraz, nie powinno tam być nikogo.

Decker wziął klucze i jej podziękował.

– Nie wiem, o co chodzi – powiedziała – ale mam nadzieję, że nikogo tam nie znajdziesz.

Zadzwoił kluczami i uśmiechnął się do niej.

– A ja mam nadzieję, że tak.

Wszystko wróciło do niej, kiedy spała, zmożona środkami nasennymi. Straszliwy plan Madeline Naylor i Alice Prince niweczył całą istotę projektu Sumienie. To sprawiło, że zaczęła głośno płakać przez sen. Jej płacz obudził ją samą.

Kiedy całkiem odzyskała przytomność, zdała sobie sprawę z niesamowitego pragnienia. Jej język był tak spuchnięty, że z ledwością mogła przetykać. Bolały ją ramiona, związane w kaftanie. Kiedy usłyszała przekręcany w zamku klucz, poczuła ulgę i strach zarazem. Obracając się, otworzyła oczy i zobaczyła, jak do pomieszczenia wkracza osobnik w czarnych butach.

– Wody – wypowiedziała zachrypniętym głosem. – Chcę pić. – Ciągłe odurzona środkami, zamknęła oczy. Była zbyt wykończona, żeby walczyć.

Schylając się, mężczyzna o kręconych, siwych włosach poprawił okulary i uśmiechnął się na swój życzliwy sposób. W prawej dłoni trzymał butelkę płynu. Na szyjkę nałożony był

smoczek, taki jak dla dzieci.

– Wypij to. To ugasi twoje pragnienie. Jest bogate w witaminy i minerały. Jedzenie dostaniesz później. Masz założoną pieluchę, więc możesz siusiać bez skrępowania. Zmienia ci ją, kiedy dostaniesz następną dawkę środka uspokajającego.

– Nie jestem dzieckiem – zachrypiała, gdy gniew przewyciężył wyczerpanie. – Żądam rozmowy. Nie macie prawa mnie tu trzymać.

– Już, już – uspokajał protekcyjnym głosem. – Nie gorączkuj się tak. Lepiej to wypij. – Ukląkł, uniósł jej głowę i położył na swoich kolanach. Potem umieścił smoczek w jej ustach. Płyn był zimny i smakował jak sok pomarańczowy. Wiedziała, że nie powinna tego pić, ale nie mogła się powstrzymać od ssania smoczka.

Kiedy piła, czuła, jak ten człowiek schyla się nad nią, dotykając fartuchem jej twarzy. Zamknęła oczy, próbując zignorować jego duszącą bliskość, a on zaczął obmacywać ją przez materiał kaftana.

Wąski, wykafelkowany korytarz prowadzący do bezpiecznego skrzydła, przywołał wspomnienia. Widok małych, zamkniętych pomieszczeń po obu stronach sprawił, że Decker przyśpieszył kroku. Samo przebywanie w takim miejscu sprawiało, że jego puls podskoczył.

Kiedy był tu pacjentem, przerażała go myśl o własnej obsesji tropienia zła w innych ludziach. Bał się, że oznaczała, iż sam jest złym człowiekiem. Matkę widział ostatni raz dziewięć miesięcy przed jej śmiercią. Był tak zajęty ściganiem przestępców.

Teraz jego obawy powróciły. I miały solidniejsze podstawy. Już wiedział, że nosi w sobie ziarno zła.

Starając się o tym nie myśleć, Decker przez drzwi przeciwpożarowe dostał się do bezpiecznego skrzydła. Najważniejsze obecnie to odnaleźć Kathy Kerr i wydostać się stąd.

Kiedy usłyszała przyśpieszony oddech mężczyzny i poczuła, jak przyciska swoje krocze do jej policzka, wypluła smoczek.

– Co ty wyprawiasz?

– Spokojnie – powiedział kojącym tonem, uśmiechając się do niej. Na czoło, pod siwą kręconą grzywką, wystąpiły mu krople potu. Jego oczy, powiększone przez okrągłe okulary, nabrały szklatego wyrazu. Sprawily, że poczuła ukłucie strachu w żołądku. Odstawił butelkę i zaczął głaskać jej twarz. Pocierał palcami jej wargi, obrysowując ich granicę. Czuła słony pot na jego skórze. Próbowala go ugryźć, lecz cofnął rękę. Całkowicie bezradna, czuła przypływ paniki. Położył dłoń na jej kroczu, zabierając się do rozpinania zamka jej spodni. A ona nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Jeszcze kilka godzin temu sądziła, że wkrótce sfinalizuje dzieło swojego życia. Teraz znalazła się tutaj, w piekle. Szamotała się, kiedy mężczyzna obrócił jej głowę. Kątem oka widziała, jak wyciąga swojego penisa i zaczyna go pocierać.

– Ostrzegam. Ugryzę wszystko, co znajdzie się w moim zasięgu! – krzyknęła.

Jej krzyk podniecił go jeszcze bardziej. Wraz z prędkością jego oddechu wzmożyły się jej strach i rozpacz.

– Odpreź się – perswadował. – Za kilka dni nie będziesz pamiętała, co tu się stało. Nie będziesz pamiętała niczego.

Zamknęła oczy i zacisnęła zęby. W tym momencie jego ciężki oddech ustał. Usłyszała głos, który dodał jej otuchy.

– Peters? Co ty robisz, do kurwy nędzy?! – Decker nie mógł powstrzymać wściekłości. Złapał oprawcę Kathy za kołnierz. Uderzył go pięścią w twarz. Trzasnęły rozbijane okulary. Z ust Petersa wydobył się ochryply jęk, kiedy Decker walnął go kolanem prosto w krocze. Zgiął się wpół, jego twarz stała się biała jak ściana. Kathy chciała, żeby Decker bił go i bił bez końca. Ten jednak pozwolił Petersowi osunąć się na ziemię obok Kathy. Kiedy niedoszły gwałcieł leżał, wijąc się z bólu, Decker wskazał na Kathy.

– Przysłał mnie wicedyrektor Jackson, na wyraźny rozkaz dyrektor Naylor. Mam ją zabrać w nowe miejsce – rzucił. Na twarzy Deckera nie było żadnych emocji, tylko jego zielone oczy płonęły nienawiścią. – Trzeba ją tam dostarczyć całą i zdrową. Mam nadzieję, że nic jej nie zrobiłeś. Bo w innym wypadku wrócę tu po ciebie.

– Nie, niczego nie zrobiłem – skamlał Peters, przesuając dłoń z obolałego krocza na zmiażdżony nos.

– To wynocha stąd.

– Nie podałem jej jeszcze wszystkich zastrzyków. Dyrektor Naylor chciała, żebym trzymał ją tu jeszcze przez przynajmniej cztery dni.

– Trudno, plany się zmieniły. Jeśli chcesz sprawdzić, dzwoń do Jacksona albo do samej dyrektor Naylor. Ale ja wówczas powiem im, co chciałeś jej zrobić. Teraz spadaj, żebym cię już nie musiał oglądać, ty chory pierdolcu. Masz mi się nie pokazywać na oczy, dopóki nie opuszczę tej zasranej dziury – mówiąc to, złapał go za fartuch i wyrzucił z pomieszczenia. Począł chwilę, nasłuchując, jak Peters ucieka, po czym bez słowa pochylił się nad Kathy.

Dłonie, które przed chwilą zmiażdżyły jej dręczyciela, delikatnie obróciły jej ciało. Rozwiązywał pasy bardzo ostrożnie, żeby nie sprawić jej bólu. A ona przez cały czas wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, obawiając się, że to tylko sen. Kiedy rozluźnił kaftan, rozmasował jej ramiona i postawił ją na nogi.

– Przyszedłeś po mnie – powiedziała, ciągle w to nie wierząc. – Naprawdę mnie znalazłeś.

– Oczywiście, że przyszedłem – odparł, uśmiechając się. – Chcę... wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Musimy ich powstrzymać, Luke. Ma się zdarzyć coś strasznego.

– Już to wiem. – Pomógł jej iść, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa. – Wiem o projekcie Sumienie i próbach zatuszowania błędów, jakie popełnili przy Axelmanie.

– To znacznie gorsze – tłumaczyła, próbując myśleć logicznie. – Śmierć Axelmana może nie być zwykłą pomyłką. Myślę, że testowali coś znacznie gorszego niż Sumienie.

– Co takiego?

Zanim mu odpowiedziała, zastanowiła się nad tym, co widziała w narkotycznym śnie. Chyba nie byli gotowi posunąć się aż tak daleko.

– Luke, myślę, że oni wcale nie chcą leczyć przestępców – odparła. – Myślę, że chcą ich

zabijać.

Część druga

PLAGA POKOJU

*Nowy Szpital Wojskowy, Bagdad, Irak
Poniedziałek, 3 listopada, godz. 1.07*

Doktor Udaj Aziz wiedział, że kończy mu się czas. W zeszłym tygodniu w szeregach elitarniej Gwardii Republikańskiej miało miejsce osiemnaście przypadków samobójstw i szesnaście wylewów krwi do mózgu ze skutkiem śmiertelnym. Co więcej, wszystko wskazywało, że to dopiero początek. Zmarłymi byli sprawni fizycznie i zdrowi na umyśle żołnierze w wieku poniżej dwudziestu pięciu lat.

Trzy dni temu wściekły iracki prezydent powiedział generałom, że mają natychmiast wyjaśnić tę sprawę. Jakakolwiek zwłoka w planowanej ofensywie na Kuwejt była absolutnie niedopuszczalna. Musieli zająć dawną iracką prowincję z bogatymi złożami ropy. Po jutrzejszych wyborach w Stanach Zjednoczonych rządzić będzie tymczasowa administracja. Idealny moment, by dokonać inwazji. Aziz wiedział, że musi zidentyfikować źródło problemu i znaleźć jego rozwiązanie jak najszybciej – inaczej sam dołączy do wciąż powiększającego się grona zmarłych.

Jednak to nie groźby głównodowodzącego motywowały Aziza do pracy w jego biurze na najwyższym piętrze budynku, stanowiącym główne skrzydło Nowego Szpitala Wojskowego. Aziz pragnął rozwiązać zagadkę z przyczyn czysto osobistych. Zajadł uderzał w klawisze laptopa, usiłując skończyć raport, który miał przedstawić generalicji jutro po południu. Nigdy dotąd praca nie angażowała go emocjonalnie. Zawód lekarski postrzegał bardziej w kategoriach lukratywnej posadki niż powołania. Teraz jednak, nie wiedząc czemu, poczuł ciężką na sobie odpowiedzialność. Tak wielką, że niemal nie do zniesienia. Odpowiedzialność za wszystkie te zgony... jakby w jakiś sposób ponosił za nie winę. Lista ofiar wciąż się wydłużała, a Aziz wiedział, że jedynym sposobem na uwolnienie się od przygniatającego go ciężaru jest znalezienie leku.

Mroki biura rozpraszało tylko światło stojącej na biurku lampy. Minęła pierwsza w nocy. Od czterech dni nie był w domu, nie widział żony ani dzieci, spał nie więcej niż kilka godzin. Przez ten czas raz jeszcze zbadał pierwszy odnotowany incydent sprzed dwóch tygodni. Przystudiował wyniki autopsji i odpowiednich testów: dwudziestojednoletni Salah Chatib został zastrzelony za odmowę wykonania egzekucji na czterech dezertkach. Następnie Aziz wynotował każdy kolejny przypadek samobójstwa czy wylewu krwi do mózgu, zwracając uwagę na wszystkie powiązania między Chatibem i pozostałymi ofiarami.

Pierwszej wskazówki dostarczyła mu uryna Chatiba. Wykazywała – tak, jak i moc pozostałych ofiar – wyjątkowo wysoki poziom androgenów. Stąd wzięło się początkowe podejrzenie Aziza, iż żołnierze zachorowali z powodu przedawkowania sterydów. Utrata włosów, trądzik oraz wyraźna atrofia jąder u wielu z nich zdawały się to potwierdzać. Przedawkowanie sterydów niosło ze sobą również ryzyko samobójstwa.

Jednak wyniki badań krwi to już całkiem inna historia. Owszem, potwierdzały wysoki

poziom androgenów. Jednak krew zawierała również ogromne ilości oksydazy monoaminowej. Enzym ten był markerem poziomu neurotransmiterów w mózgu, a zwłaszcza inhibitora, jakim była serotonina.

Azizowi nie pozostało nic innego, jak przeprowadzić pełne skanowanie DNA z krwi Chatiba. Użył do tego celu jednego z dwóch genoskopów, będących na wyposażeniu szpitala wojskowego. Trzeci znajdował się w bunkrze medycznym pod pałacem prezydenckim na północ od Bagdadu.

Porównując profil DNA z akt Chatiba z DNA pochodzącym z krwi zmarłego, Aziz natknął się na niewielką, ale niezwykle istotną różnicę. Siedemnaście genów Chatiba zmodyfikowano, dodając szereg sekwencji kontrolnych, których nie było w pierwotnym genomie, odnotowanym w aktach jak również w żadnym normalnym ludzkim genomie! Z początku Aziz nie mógł pojąć, skąd się wzięły. Sprawdził, czy w ciągu ostatnich kilku tygodni Chatib nie przyjmował jakichś leków wywołujących zmiany genetyczne. I faktycznie – wśród szczepionek dawanych żołnierzom Aziz odnalazł jedną opartą na DNA – zastrzyk osłonowy BioShield, jaki dostawał każdy żołnierz wyruszający do walki.

Szczepionka miała uodparniać na broń biologiczną, zwłaszcza używaną przez samych Irakijczyków. Dzięki temu można było ją wykorzystywać w walce, bez narażania własnych ludzi. Mimo inspekcji UNSCOM w tajemnicy pracowano nad bronią biologiczną. Dzięki temu iracki prezydent mógł powążyć się na sprzeciw wobec Rady Bezpieczeństwa ONZ pod przywództwem Stanów Zjednoczonych i dokonać kolejnej inwazji na Kuwejt.

Ale przecież wirion BioShield nie zmieniał genów, które zmodyfikowano w genomie Chatiba. Szczepionka modyfikowała jedynie DNA komórek macierzystych, uodparniając organizm na większość znanych zagrożeń i zwiększając podatność komórek na dodatkowe szczepionki opracowane do przeciwdziałania nowszym rodzajom broni biologicznej. Jednakże Chatib otrzymał jedynie zwykły zastrzyk BioShield. Żadnych dodatków. A nawet gdyby, nie wywarłyby takiego efektu. Nie zmieniłyby tak drastycznie genomu. Tymczasem coś namieszało w genach Chatiba tak bardzo, że doprowadziło to do jego zgonu.

Zespół Aziza przyjrzał się następnie innym ofiarom samobójstw i wylewów. Odkryto, że u wszystkich występowały te same anomalie siedemnastu kluczowych genów. Kiedy Aziz przeanalizował te geny, kiedy zrozumiał, jak wzmagają produkcję hormonów agresji, utwierdził się w przekonaniu, że to one są źródłem problemu. Ale jak i dlaczego je zmieniono?

Skonsultował się z Jewgienija Krotową, rosyjską ekspertką od broni biologicznej, która nadzorowała iracki arsenał. Według niej nie wszyscy zmarli otrzymali szczepionkę BioShield, a niektórym podano ją wiele lat temu. Jak więc mogła być źródłem tych kłopotów? Poza tym wszystkie partie szczepionki, sprawdzone przez oba zespoły, nie wykazały niczego niezwykłego. Gdzie szukać związku? Jak zapobiec kolejnym zgonom?

Przerwał pisanie raportu. Potarł bolesne wypryski na podbródku i sięgnął po niebieskie pudełko z kartonu, stojące obok laptopa. Dwadzieścia lat temu studiował medycynę w londyńskim University College. Czytanie łacińskiego alfabetu nie sprawiało mu najmniejszych trudności. Napisy na maciupkim pudełku nie odkryły przed nim niczego

nowego, jednak gdy się w nie wpatrywał, na klawiaturę notebooka spadły cztery ciemne włosy. Odruchowo podrapał się po czaszce. Przeszył go zimny dreszcz przerażenia. Ze zgrozą obserwował swoje niegdyś bujne włosy, wypadające niczym sierść linijącego psa.

Naraz wszystko stało się przerażająco jasne i oczywiste.

Źródłem epidemii wcale nie były wszystkie partie BioShield. Wystarczyła jedna mała skażona próbka. To dlatego kontrole kolejnych partii niczego nie dały. Starczyło, że złowrogim wirionem zaraziła się jedna osoba. Jeśli się go zawczasu nie opanowało, osoba ta zarażała nim następnie wszystkich, z którymi weszła w bezpośredni kontakt. Wirusowa reakcja łańcuchowa.

Która objęła również jego samego.

Starając się opanować drżenie rąk, Aziz powrócił do pisania raportu. Musiał zmienić istotne fragmenty. Należało natychmiast zapisać, co odkrył, ostrzec własnych współpracowników i zespół Krotowej. Chatib był prawdopodobnie pierwszym pacjentem. Nim zmarł, zdołał zarazić innych. Przy zakwaterowaniu w ciasnych koszarach, epidemia mogła zdziesiątkować armię w przeciągu tygodni, jeśli nie dni. Należy przeszukać zapasy w poszukiwaniu innych zarażonych szczepionek i przeanalizować je, by znaleźć antidotum. Musi też poinformować o tym generałów. Powiedzieć im, by odwołali ofensywę. Może będzie w stanie powstrzymać konflikt, uratować tych żołnierzy idących na pewną śmierć?

Czoło zrosił mu pot. Czuł się tak potwornie zmęczony, że miał ochotę tylko położyć się spać. Ale nie czas na odpoczynek. Zbyt wiele jest do roboty.

Nim minęła godzina, przerwał jednak pisanie. Lewa dłoń spoczywała bezwładnie na klawiaturze, nieposłuszna jego woli. Potem paraliż objął całą lewą stronę ciała. Żelazna obręcz zacisnęła się wokół głowy. Dyszał ciężko, próbując mimo wszystko skupić wzrok na znajdującym się przed nim ekranem.

– Nie... – jęknął. Ale wylewu krwi do mózgu nie dało się powstrzymać. Kiedy nastąpił, był tak silny, iż ból trwał tylko ułamek sekundy. Aziz upadł do tyłu, przewracając poustawiane na biurku bibeloty i ściągając z niego laptopa. Życie opuściło ciało, nim głowa uderzyła o podłogę. Razem z nim spadł laptop. Wskutek wstrząsu przy zderzeniu z bezlitośnie twardym podłożem, opadająca głowica twardego dysku zniszczyła niedokończony raport.

Obok głowy doktora, zaledwie kilka centymetrów od niewidzących już niczego oczu, spoczęło niebieskie pudełko ze szczepionką BioShield. Pod nazwą produktu umieszczono logo producenta – tarczę z pierścieni chromosomów, przebitą strzałą w kształcie podwójnej spirali. „Celem – lepsza przyszłość” – brzmiało hasło obok nazwy i adresu firmy: „Viro-Vector Solutions, Inc. Pało Alto, Kalifornia. USA”.

Marina District, San Francisco

Tego samego dnia, godz. 16.37

– Chyba mi już odbija. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na coś znacznie poważniejszego niż projekt Sumienie, ale po prostu nie chce mi się w to wierzyć. Cokolwiek by to było, nie możemy pozwolić, żeby im to uszło płazem – zawyrokowała wreszcie Kathy

Kerr, pijąc herbatę w salonie domu Matty'ego Rheimana.

Matty siedział w milczeniu w kąciu, przysłuchując się uważnie, podczas gdy Decker miotał się po pokoju.

– Czy w ogóle mamy jakiś wybór? – odezwał się wreszcie, pochylając się nad stolikiem i popychając w stronę Kathy stertę zdjęć. – Patrz – powiedział, podając jej jedno z nich. – Dwa razy odwiedzałem twój dom na Mendoza Drive. Roi się tam od ludzi Jacksona. Czekają pewnie, aż zakończą się wybory. Chcą mieć pewność, że ktoś nie narobi im kłopotów. Nawet się nie kryją. Nie wiedzą jeszcze, że uciekłaś. Ale oznacza to także, że uważają, iż są ponad prawem. I zapewne tak właśnie jest.

Kathy Kerr spojrzała na wręczoną jej fotografię jej własnego domu. Na zrobionym przez Deckera zdjęciu widać było trzech mężczyzn, opierających się od niechcenia o szarego chryslera, zaparkowanego pod jej drzwiami. Znała ich wszystkich. Towarzyszyli Jacksonowi podczas jej uprowadzenia. Kolejne zdjęcie ukazywało, jak wchodzi do domu. Pakują się do środka, jakby był ich własnością.

– Jackson nie pojawia się – podjął po chwili Decker. – Pewnie próbuje się od tego zdystansować. Pewnie wrócił już do Waszyngtonu. Założę się, że jego przydupasy nawet nie wiedzą, że zaangażowała się w to sama dyrektor Naylor.

– Luke, musimy coś zrobić.

– Niby co? Kathy, co znaczą twoje i moje słowa przeciw dyrektor FBI, szefowej jednej z największych firm biotechnologicznych i przyszłej pani prezydent? W dodatku właśnie mnie wylano z FBI. Po tym, jak Weiss ogłosiła program „Sumienie przeciw zbrodni”, wszystkie sondaże zapowiadają jej zwycięstwo. I to z ogromną przewagą.

Dziennikarze ją kochają. Podobnie jak policja. Wszyscy kochają Pamelę Weiss i jej cudowne panaceum na przestępczość. Prędzej czy później goryle Naylor dowiedzą się, że uciekłaś z Sanktuarium, i zaczną cię szukać. Mnie jeszcze o nic nie podejrzewają, ale ty musisz zmykać.

Kathy zacisnęła szczęki. Milczała.

Minęły niemal dwa dni od chwili, gdy Decker uratował ją z Sanktuarium i zabrał do domu swego dziadka w Marina. Przespała całą sobotnią noc i większą część niedzieli, rzucając się na łóżku w narkotycznych koszmarach, podczas gdy Decker czuwał u jej boku. W niedzielę po południu poczuła się na tyle silna, by móc rozmawiać. Wieczorem podzielili się ze sobą swoimi odkryciami.

Korzystając z doskonałego służbowego laptopa Deckera, który prawie z niego nie korzystał, przeanalizowała ponownie zmiany w genomie Karla Axelmana, zarejestrowane na dysku, który przesłała Luke'owi. Używając kodów dostępu FBI, zbadała inne podejrzane przypadki zgonów w San Quentin.

Wyglądało na to, że zawdzięczała Deckerowi życie. Jednak spodziewała się, że podzieli jej wzburzenie i przychylił się do jej prośb, ale srodze się rozczarowała. Kiedy złożyli do kupy wszystkie fragmenty układanki, pokręcił tylko głową i popatrzył na nią zrezygnowany, jakby zdziwiony jej reakcją. W końcu projekt Sumienie był jej marzeniem od czasu ich studenckich kłótni. Czemu więc ma być to takie ważne, że wcielono go w życie nie do końca etycznymi

metodami?

– Luke, przynajmniej dowiedzmy się, co oni naprawdę kombinują.

– Czy to nie oczywiste? Naylor i Prince zapożyczyły od ciebie pomysł i wykorzystały cię, by zmylić FDA. Spieprzyły sprawę z Axelmanem i innymi więźniami z San Quentin... Zatuszowały wszystko i odsunęły cię od sprawy. Jasne jak słońce. Chcę, by za to odpowiedziały. Ale ty powinnaś po prostu dalej iść swoją drogą.

Kathy zmierzyła Deckera surowym spojrzeniem.

– Cholera, kiedyś ruszyłbyś świat z posad, gdybyś tylko podejrzewał, że popełniono przestępstwo. Już ci nie zależy?

– Oczywiście, że mi zależy. Jestem po prostu realistą. Powiedzmy, że dostaniemy się do twojego domu, nawet do tego kufra w klatce Rambo...

– Rocky’ego – poprawiła, zachmurzona. – Mój szympans ma na imię Rocky.

– No dobra, Rocky’ego. Jak go zwał, tak zwał. Powiedzmy, że wydostaniemy dyski z twoimi plikami. I czego to dowiedzie?

Westchnęła. Boże, ileż razy można to powtarzać.

– Dowiedzie, że Sumienie oparto na fałszywych danych. Że wirion, którego użyto na niczego niepodważających skazańcach, to nie była wersja dziewiąta, którą zatwierdziło FDA.

Decker gniewnie zacisnął szczęki.

– No dobra, ale kogo to obchodzi! Rozejrzyj się wokół. Każdy chce mieć to cudowne lekarstwo, które wymyśliłaś. A skoro w przyszłości do terapii wykorzysta się twoją bezpieczną wersję, ludzie wkrótce zapomną, że jakimś popaprańcom podano coś potencjalnie niebezpiecznego. Kathy, pomijając fakt, że cię porwano, czemu tak się tym przejmujesz? Ziszczą się twoje marzenia. To ja mam powody, żeby się wkurzyć. Nigdy nie wierzyłem w te teorie o decydującej roli genów. Całe życie ścigam morderców i gwałcicieli, opierając się na założeniu, że myślą i działają w sposób, jaki zdeterminowała ich przeszłość. Teraz jednak odkrywam, że mój własny pieprzony tatuś był szczególnie antypatycznym seryjnym gwałcicielem i mordercą. W tym twoim nowym cudownym świecie, w którym geny znaczą wszystko, nie jestem lepszy od skurwieli, których ścigałem! – Ściszył głos. – Kathy – powiedział, nie patrząc na nią – zawsze nienawidziłem tego całego nazistowskiego gadania o predestynacji genetycznej. Ty jednak chciałaś poszufladkować ludzi. Nie mów więc, że mnie nic to nie obchodzi.

Kathy zagryzła usta. Matty wciąż siedział cichutko w kącie, nie spuszczać z niej swych niewidzących oczu. Miała niepokojące wrażenie, że nie tylko ją widzi, ale wręcz zagląda w jej myśli.

– Luke, to nie fair – wtrącił się wreszcie cicho staruszek. – Wysłuchaj jej. Ja też nie zgadzam się z ideami Kathy, ale jestem pewien, że ma dobre chęci. Kathy tego nie chciała, prawda, moja droga?

– Oczywiście, że nie! – wybuchnęła. – Luke, rozumiem twoją złość, ale ja też jestem wściekła. Chcę ich powstrzymać. Spójrz tylko, jak umarł Axelman! Dysk, który ci przesłałam, dowodzi, że jego genom poddano modyfikacjom. Nawet najgłupszy biolog może

włożyć ten dysk do genoskopu i sam się przekona, jak śmierteczne były te zmiany. Axelmana wcale nie próbowano naprawiać. Te poprawki go zabiły.

– Umarłby tak, czy siak. Siedział w celi śmierci. Nawet jeśli przydarzył się wypadek, kogo to obchodzi?

– W tym właśnie rzecz! Wcale nie uważam, że to był wypadek. Wierz mi, wiem wszystko o wirionach. Miałam dobrego nauczyciela. To, co zabiło Axelmana i innych skazańców z San Quentin, zostało zbyt dobrze zaprojektowane, by uznać to za przypadkową mutację. Dzieje się tu coś bardzo dziwnego. Nie wiem, co to takiego, ale nie chodzi tylko o Sumienie, tego jestem pewna.

Decker z westchnieniem spojrział na nią. Mierzyli się wzrokiem. Niemal widziała, jak działa jego analityczny umysł, gdy zastanawiał się nad tym, o czym mówiła.

– Nie możesz tak tego zostawić, Luke – powiedział Matty.

– Dziadku, bardzo cię przepraszam, ale czy mógłbyś się w to nie wtrącać? – Powiedziawszy to, Decker zwrócił się znów do Kathy: – Pewna jesteś, że to nie był wypadek?

– Niemal na sto procent – odparła po chwili milczenia.

– Na tyle pewna, by zaryzykować życie, żeby tego dowieść?

Przełknęła ślinę i głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Tak.

Decker wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, po czym nieznacznie skinął głową. W jego zbyt dużym swetrze i podwiniętych dżinsach wyglądała niezwykle krucho. Zmierzwiłone ciemne włosy i blada cera jeszcze potęgowały to wrażenie. Jednak spojrzenie miała twarde jak stal.

Przez ostatnie dni obserwował, jak rzuca się we śnie, ciągle jeszcze będąc pod wpływem wstrzykniętego jej narkotyku. Z trudem tłumił w sobie gniew na Naylor, dyrektor jego ukochanego FBI, która sankcjonowała zbrodnie w imię walki ze zbrodnią.

Drażniła go też naiwność Kathy. Wydawało się jej, że świat można naprawić za pomocą takich eksperymentów. Że ludzie przestrzegają ustalonego kanonu zasad i praw. Jednak strach o nią był silniejszy niż gniew. Wiedział, że jeśli ludzie Naylor znów ją dopadną, nie będą mieli wyboru: będą musieli ją zabić.

Nie bardzo chciało mu się wierzyć w jej teorię spiskową – ale przecież nie wymyśliła tego wszystkiego. Korciło go, by dotrzeć do sedna sprawy. Nienawidził całego tego pomysłu z Sumieniem. Jednak Kathy nie narobiłaby takiego rabanu tylko z powodu oszukania FDA. Jasne, z początku by się wkurzała, ale potem dałaby spokój, żeby nie zaprzepaścić dzieła swego życia. Naylor i Prince musiały o tym wiedzieć. A więc po co ta próba zabójstwa? Nie mówiąc już o tym, że Alice Prince nie sprawiała wrażenia osoby, która chętnie zgodzi się, by skrzywdzić kogoś, kogo zna i szanuje. Zgony w San Quentin także nie mogły być czynnikiem decydującym. Nikt o nich nie wiedział – a już na pewno nie Kathy. Ciała oficjalnie poddano egzekucji, po czym skremowano.

Mimo wszystko Deckerowi nie mieściło się w głowie, że Kathy chce zaryzykować własne życie w celu powstrzymania realizacji projektu, który sama zainicjowała. Wiedział, że jeśli odmówi jej pomocy, spróbuje zrobić to sama, a wówczas nie pożyje długo. Nie

wspominając już o tym, że Matty, który tak tu o nią dbał, wciąż powtarzał, że coś z tym trzeba zrobić.

– No dobra – powiedział. – Uznajmy, że możesz to wszystko udowodnić. Naylor i Prince na pewno jednak mają plan, jak cię zdyskredytować. Komu chcesz o tym powiedzieć?

– Pameli Weiss.

– A niby skąd wiesz, że sama nie jest w to zamieszana?

– Ponieważ Naylor ciągle podkreślała, że Weiss nic o sprawie nie wie. Wściekała się nawet na myśl, że mogłaby się dowiedzieć. Mówię ci, musimy dotrzeć do Weiss. – Mówiąc to, Kathy wskazała palcem jedno ze zdjęć. Znad płotu wystawała górna krawędź stojącej na podwórku klatki Rocky'ego. – A jeśli chcemy, żeby nam uwierzyła, musimy zdobyć dowody na to, że jej przyjaciółki ją zwodzą.

– Z pewnością Rambo... to znaczy Rocky – szybko poprawił się Decker – bardzo ucieszy się na twój widok.

– Tak – przyznała Kathy. – Będzie hałasować. Czy znaczy to, że nie możemy się dostać do kufra, zanim ci goście nie pójną sobie stąd?

– Chyba że chcemy, by nas nakryli.

– Fatalnie.

Decker nagle się rozpromienił. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Mamy przecież dysk Axelmana, a ty wiesz, co jest w kufrze, prawda?

– No tak...

– I uważasz, że należy o tym jak najszybciej poinformować Pamelę Weiss?

– No pewnie, ale jak? Nie dopuszczają mnie do niej.

– Masz rację – przyznał Decker, sięgając po telefon i przełączając go na tryb głośnomówiący. Wybrał zapamiętany numer. – Tak więc potrzebujemy pośrednika. Kogoś, kto ma dojście do możliwych tego świata.

Kathy rzuciła mu pytające spojrzenie, a Matty uśmiechnął się, jakby już wiedział, do czego zmierza Luke. Telefon zadzwonił pięciokrotnie, zanim odezwał się znajomy głos starego kumpla z Berkeley.

– Hank Butcher.

– Cześć, Hank, mówi Luke. Pamiętasz, jak ostatniego wieczora narzekałeś, że masz już dość pisanego głupstw? Że chcesz zdobyć temat na miarę nagrody Pulitzera?

– Jasne, stary, jak to po paru piwach – roześmiał się Butcher. – Słuchaj, Luke, to nie najlepszy moment na śmiechy-chichy. Może o tym nie wiesz, ale jutro mają się odbyć jedne z najważniejszych wyborów w historii Ameryki. Ogłoszenie rozpoczęcia projektu Sumienie przetasowało karty. Zdobyłem już nawet zaproszenie na czwartkowe przyjęcie dla uczczenia wyniku wyborów. Sądzę, że powitamy nową panią prezydent. Czy jakaś twoja historyjka może to przebić?

– A gdybym ci powiedział, że moja historyjka dotyczy gwiazdy tego historycznego wydarzenia?

– Czyżbyś miał...

Decker zerknął przez ramię na Kathy, która skineła przyzwalająco głową.

– Co powiesz na to, że możesz mieć wyłączność na wywiad z naukowcem, od którego pochodzi cały ten pomysł z projektem Sumienie?

– Wywiad z Alice Prince? – parsknął lekceważąco Hank.

– Nie, z osobą od której Prince zapożyczyła cały pomysł.

– Daj spokój...

– A gdybym ci powiedział, że projekt Sumienie wcale nie jest tym, na co wygląda?

– Co masz na myśli?

– Że tuszuje się tu gigantyczną aferę. Porywa się kobietę, która to wszystko wymyśliła. Oszukuje się FDA, tuszuje zgony wiążące się z terapią w ramach projektu.

– Luke, mówisz to poważnie?

– Tak.

– Masz dowody?

– Mam wystarczająco dużo materiałów, żebyś mógł zadać naszej przyszłej pani prezydent kilka istotnych pytań. A potem będzie tego jeszcze więcej. – Decker niemal słyszał, jak obracają się trybiki w mózgu Hanka. Pewnie szykował już sobie mowę na okoliczność przyjęcia Pulitzera. – No to jak będzie, Hank? Chcesz tę wyłączność czy nie? Jeśli nie jesteś zainteresowany, to zaraz zadzwonię do kogoś innego.

– Nie pieprz głupot, Luke – przerwał mu ze śmiechem Hank. – Zamieniam się w słuch. A teraz powiedz mi coś więcej.

Viro-Vector Solutions, Palo Alto
Środa, 5 listopada, godz. 6.00

Gdy obywatele Stanów Zjednoczonych Ameryki przeszli do porządku dziennego nad faktem, że po raz pierwszy wybrali sobie kobietę na prezydenta, Titania wcale nie była zaskoczona. Przewidziała zwycięstwo Pameli Weiss, a nawet oparła na tym założeniu wiele ze swoich długofalowych prognoz.

Titania nie miała prawa głosu we wczorajszych wyborach, ponieważ jednak nigdy nie spała, przez całą noc wykradała dane z elektronicznych urn wyborczych i obliczała wyniki. Już po kilku godzinach wiedziała, że Pamela Weiss odniosła najbardziej spektakularne zwycięstwo od wyboru Reagana w 1984 roku. Dla Titanii zwycięstwo Pameli równało się po prostu przewróceniu kolejnej kostki domina w już dawno ustawionym szpalerze.

Niewielka część sieci neuronowej biokomputera była jak zawsze skoncentrowana na Spirali Zbrodni, nieprzerwanie aktualizując postęp poszczególnych faz i korygując sekwencje prognostyczne. Faza pierwsza już dobiegła końca, podobnie jak związany z nią projekt Sumienie. Superkomputer musiał teraz sprawdzić postępy fazy drugiej. Zgodność jej przebiegu z prognozą była kluczowa dla rozpoczęcia fazy trzeciej. Za pomocą internetowych wyszukiwarek Titania zbierała komentarze związane z Irakiem.

Titania logowała się do baz danych szpitali i systemów wojskowych w Bagdadzie, równocześnie łącząc znalezione w Internecie strzępki informacji z Reutera, CNN, BBC i innych agencji prasowych. Superkomputer szybko znalazł to, czego szukał.

Dane z komputerów szpitala wojskowego w Bagdadzie powiedziały Titanii wszystko, co chciała wiedzieć. Oprócz doniesień o fali samobójstw wśród żołnierzy odnotowano niezwykle wysoki wskaźnik zgonów wśród mężczyzn poniżej dwudziestego piątego roku życia. Wszyscy zmarli wskutek wylewu krwi do mózgu. Iracka armia szybko stawała się ogniskiem choroby, a liczba doniesień rosła. Titania miała je nadal monitorować, a wyniki wprowadzać do swojego modelu prognostycznego. Wyglądało na to, że faza druga przebiegała zgodnie z planem.

Następnie Titania zajęła się fazą trzecią, etapem najbardziej złożonym. Najpierw sprawdziła komputery na lotniskach i upewniła się, że aktywowane zdalnie filtry bakteriofagowe zostały zainstalowane i czekają na jej sygnał. Potem uruchomiła sekwencje prognostyczne.

Faza druga opierała się na zakaźnym wirionie przenoszonym przez dotyk. Natomiast wirion fazy trzeciej rozprzestrzenił się drogą kropelkową przez układ oddechowy. Znacznie szybciej i w sposób trudniejszy do przewidzenia.

Dzięki wcześniejszym danym Titania wiedziała, jak szybko wirion fazy trzeciej Spirali Zbrodni będzie rozwijać się w ludzkim organizmie. Znała charakterystyki przenoszonych przez powietrze pandemicznych plag z przeszłości, zwłaszcza epidemii hiszpanki w latach

1918-1919, która zabiła prawie pięćdziesiąt milionów ludzi, oraz późniejszych epidemii grypy w Chinach w latach 1957 i 1961. Przez ekstrapolację charakterystyk tych pandemii potrafiła przewidzieć ekspansję wirionu. Na podstawie modelu bazowego i nieustannie aktualizowanych danych z Internetu Titania była w stanie na bieżąco podawać przewidywany czas osiągnięcia ostatecznego celu Spirali Zbrodni – Godziny Zero.

Pierwotna prognoza pozostała bez zasadniczych zmian. Zakładała, że Godzina Zero nastąpi za jakieś trzy lata. Jeśli nic się nie zmieni, a Madeline Naylor wykona następne zadanie, to Titania będzie tylko musiała w wyznaczonym czasie rozpocząć fazę trzecią i czekać na przewrócenie się ostatnich kostek domina.

Wysyłając raport do Prince i Naylor, Titania nie miała pojęcia o moralnym aspekcie swoich czynów. Wiedziała tylko, że jest to technicznie możliwe i coraz bardziej nieuniknione.

*Biały Dom, Waszyngton
Czwartek, 6 listopada, południe*

Dyrektor Naylor nie znosiła, gdy ktoś ją całował. Zawsze starała się unikać europejskiego zwyczaju witania się z ludźmi pocałunkiem w oba policzki. Wystarczy jej uścisk dłoni. Jednak dziś, na wyprawionym przez Boba Burbanka przyjęciu w Białym Domu, dała się pocałować. Więcej nawet, tak nadstawiła twarz, by ustami musnąć wargi prezydenta. Alice Prince patrzyła na nią jak zafascynowana z nerwowym grymasem na twarzy.

Salę balową z czeskimi kryształowymi żyrandolami wypełniali ludzie ze sztabu wyborczego, który przyczynił się do zwycięstwa Pameli Weiss. Doradcy, sekretarze, agitatorzy i dziennikarze gratulowali sobie nawzajem, a kelnerzy w liberiach roznosili tace z koreczkami i szampanem.

Naylor stała z Alice i Pamelą. Rozmawiały z Bobem Burbankiem, podczas gdy jego żona, Nora, gawędziła z mężem Pameli Weiss, Alanem, i Toddem Sullivanem, kierownikiem kampanii Pameli.

Prezydent był czarujący i jowialny. Kokietował Prince i Naylor swym uśmiechem w stylu Gregory'ego Pecka.

– A zatem, skoro jesteście prawdziwymi bohaterkami tych wyborów, możecie mi wyjaśnić, jak właściwie działa Sumienie?

– Mnie proszę o to nie pytać – odparła uśmiechnięta Naylor. Pilnowała się, by nie obetrzeć ust. Prezydent wziął w tym udział, bo projekt Sumienie stawiał go w korzystnym świetle. Prezydent wizjoner zapewnił sobie miejsce w podręcznikach historii. Dzięki niemu Madeline osiągnęła już to, po co tu przyszła.

Odwróciła się do Alice, która nieco ochłonęła po wstrząsie, jakiego doznała na widok Libby. Pogrzeb odbył się dwa dni temu. Próbowwała wykręcić się od dzisiejszego spotkania i Madeline musiała jej przypomnieć o ich planach.

– Sumienie opiera się na nauce – rzekła, uśmiechając się do Alice.

– No więc? – podjął Burbank, zwracając się ku Alice. – Może mi to pani przybliżyć?

Alice spojrzała na Madeline i przeniosła wzrok z powrotem na Burbanka.

– Wiriony, panie prezydencie.

– Wiriony?

– Tak, wiriony – odparła zdenerwowana tym, że nagle znalazła się w centrum zainteresowania. – Widzi pan, panie prezydencie, projekt Sumienie polega po prostu na kierowaniu właściwych łańcuchów kontrolnych do właściwych komórek. Żeby było to możliwe, należy stworzyć odpowiedniego wirusa. Wirion namierza cel i dostarcza do niego taki kod DNA, jaki weń wprowadzę. Wiriony modyfikują geny. Dzięki nim można zmienić wrodzone cechy.

Burbank łyknął szampana.

– Jakiego typu cele można wyznaczyć?

– Dzięki odpowiedniej inżynierii mogę stworzyć wirusa, który będzie celował w określony segment organizmu ludzkiego, w określoną osobę czy w określony typ komórki.

– Czyli ominie wszystkie inne cele i uderzy tylko w te wskazane? Jak inteligentna bomba?

– O to właśnie chodzi.

– Szkoda, że brak nam takiej precyzji w rozwiązywaniu kryzysu irackiego.

Nastrój w jednej chwili uległ zmianie. Narastający problem w Iraku przyćmiewał radość zwycięstwa.

– Rzeczywiście. Jakie są najnowsze wiadomości?

Burbank wzruszył ramionami. Naylor mogłaby przysiąc, że w jego oczach dojrzała ulgę. Jakby cieszył się, że przekazuje pałeczkę.

– Robimy, co w naszej mocy. Mam tylko nadzieję, że Irak zmądrzeje. Jednak, jak, pani wie, wojska irackie koncentrują się na północ od trzydziestego drugiego równoleżnika.

– Oczywiście zdają sobie sprawę, że jeśli przekroczą tę linię, to alianci ich zatrzymają? – zapytała Alice.

Burbank skinął głową.

– Nasze, francuskie i brytyjskie lotniskowce już czekają w Zatoce. Siły lądowe i lotnictwo postawiono w stan gotowości w Arabii Saudyjskiej, Kuwejcie i Turcji. Jesteśmy przygotowani, ale Irak jakby na to nie zważał.

– Dlaczego? – zapytała Alice.

– Ostrzeżono nas, że jeśli podejmiemy jakiegokolwiek próby powstrzymania ich przed odzyskaniem tego, co nazywają „iracką prowincją Kuwejt”, spowoduje to „odpowiednią reakcję”.

– Ale nie mają broni atomowej, prawda?

– Nie, jeszcze nie. Sądzymy jednak, że dysponują ogromnym potencjałem broni biologicznej. Nasz wywiad twierdzi, że mimo wszystkich naszych inspekcji Irak ukrył asa w rękawie.

– A jeśli iracki prezydent go wyciągnie? – dopytywała się Alice.

Burbank zmarszczył brwi.

– W takim wypadku alianci nie będą mieli wyboru. Pozostanie tylko broń nuklearna i zrównanie Bagdadu z ziemią.

Naylor spojrzała na Pamelę Weiss. Widziała, że ten scenariusz napawa ją strachem. Być pierwszą kobietą prezydentem to jedno. Wcale nie uśmiechało jej się być pierwszym prezydentem, który użyje broni nuklearnej.

Jakby dla podkreślenia dramatyzmu sytuacji, obok Burbanka pojawił się wysoki czarnoskóry żołnierz w galowym mundurze. Generał Linus Cleaver był szefem szefów sztabów.

– Przepraszam, panie prezydencie, czy można na słówko?

Burbank odszedł na stronę. Gdy po chwili powrócił, pochylił się ku Weiss. Ściszył głos, lecz Naylor wszystko słyszała.

– Przykro mi, że przerywam przyjęcie, ale pojawiło się coś w związku z Irakiem. Zorganizowaliśmy naradę w sali konferencyjnej. Sądzę, że powinnaś się przyłączyć. Musimy tworzyć wspólny front podczas przekazywania władzy. Proponuję spotkanie w Gabinetcie Ovalnym za dziesięć minut.

Naylor widziała, jak Weiss zaciska zęby.

– Dzięki, Bob. Zaraz przyjdę.

Burbank uśmiechnął się raz jeszcze i wrócił do Cleavera. Obok niego Alice rozpoznała sekretarza stanu Jacka Manona i sekretarza obrony Dicka Foleya.

– Wszystko w porządku, Pamelo? – spytała Alice.

– Tak. Ale wygląda na to, że nie skorzystam z miesiąca miodowego. Do zobaczenia później.

– Powodzenia – odparła Naylor, patrząc, jak Pamela żegna się z rodziną i idzie do wyjścia w kierunku Gabinetu Ovalnego. Gdy Weiss zbliżała się do drzwi, wyłonił się z tłumu krępy, jasnowłosy mężczyzna w ciemnym garniturze i podążył za Pamelą. Naylor go znała. To Toshack, agent Secret Service, wyznaczony do jej ochrony. Nie lubiła go. Ponieważ należał do Secret Service, nie miała nad nim żadnej władzy.

Gdy Weiss była przy drzwiach, chudy jak patyk człowiek o kręconych włosach nagle wyskoczył przed nią i wyciągnął rękę. Toshack zeszywniał, ale nie zareagował. Wszyscy zostali dokładnie sprawdzeni i przeszukani. Weiss podała facetowi rękę, ale najwyraźniej nie miała zamiaru się zatrzymać. Mężczyzna uśmiechał się do niej i coś mówił.

– Kto to? – zainteresowała się Alice.

Naylor przez chwilę przyglądała mu się zmrużonymi oczami.

– Dziennikarz. Píše do „Vanity Fair”. Przeprowadził wywiad z Pamelą jakieś trzy lata temu, gdy została główną pretendentką do Białego Domu. To, co napisał, zrobiło jej dobrą reklamę. Hank... Butcher, zdaje się.

Nagle Weiss zatrzymała się, a uśmiech zszedł jej z twarzy. Butcher mówił, a Weiss słuchała bardzo uważnie. Pamela rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku Naylor i Prince, pokręciła głową i pokazała dziennikarzowi zegarek. Wymienili jeszcze kilka słów i dziennikarz wręczył jej wyjętą z kieszeni kopertę. Uścisnęli sobie dłonie i Butcher odszedł. Weiss szybko zajrzała do koperty. Wezwała Toshacka, powiedziała mu coś i wyszła z sali.

– Ciekawe, co się dzieje – zwróciła się Alice do Naylor. – Pam nie wygląda na zachwyconą.

Podszedł do nich Toshack. Uprzejmie, lecz bez śladu uśmiechu na twarzy powiedział:

– Pani gubernator prosi obie panie o spotkanie dziś wieczorem. Chce omówić pilną sprawę dotyczącą projektu Sumienie. Czy może być o ósmej w biurze pani dyrektor?

– Dobrze – odpowiedziała Naylor, uśmiechając się z przymusem.

Alice nerwowo bawiła się wisiorkiem.

– Pani gubernator ma też do pani jedno pytanie – z kamienną twarzą poinformował agent.

– Naprawdę? – zdziwiła się Naylor. – Ciekawe, jakie?

– Kim jest doktor Kathy Kerr?

*Hotel Mandrake, Waszyngton
Czwartek, 6 listopada, godz. 13.17*

Hank Butcher był zadowolony z siebie. Wracił do wypożyczonego samochodu, zaparkowanego w podziemnym garażu pod nowym hotelem Mandrake, gdzie zatrzymał się na noc. Dostarczone mu przez Deckera dowody nieścisłości w projekcie Sumienie wystarczyły, by wzbudzić zainteresowanie pani prezydent elekt, która wyglądała na wstrząśniętą. Więcej dowodów miało pojawić się wkrótce. Szykował się wielki materiał.

Jego materiał.

Coś, co odsunie w cień Watergate i aferę z Moniką Lewinsky. Jeśli dobrze to rozegra, będzie się mówiło, że rozpieprzył pierwszą w historii żeńską prezydenturę – i to jeszcze przed inauguracją.

Chuchnął w dłonie. Od dnia wyborów temperatura znacznie spadła. Waszyngton był pod wpływem przejściowego ochłodzenia i przewidywano opady śniegu. Butcher wsiadł do auta, otworzył aktówkę i obejrzał bilet lotniczy. Samolot American Airlines z Reagan National do San Francisco odlatywał za półtorej godziny.

Wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer. Telefon Deckera był wyłączony, nagrał się więc na pocztę głosową.

– Cześć Luke, tu Hank. Rozmawiałem z Weiss. Zdaje się, że była tym kompletnie zaskoczona. Daj znać, kiedy zdobędziesz resztę materiałów. Wieczorem powinienem być w domu.

Na wyludnionym parkingu pojawiła się wysoka kobieta w grubym, zimowym płaszczu. Rozpoznał twarz, lecz nie wierzył własnym oczom. Tak rzadko pokazywała się sama, bez swojej świty. Kobieta zatrzymała się i spojrzała na zegarek. Wyglądała na zirytowaną brakiem kogoś, kto miał ją stąd odebrać. Musiała uczestniczyć w jakimś potajnym spotkaniu w Mandrake. W tym hotelu po cichu zawarto już niejednen układ.

Butcher zastanawiał się, czy nie podejść do niej na przyjęciu w Białym Domu. Chciał jednak poznać najpierw reakcję pani prezydent elekt. Poza tym Decker ostrzegał go, by nie zbliżał się do niej, póki nie dowiedzą się czegoś więcej. Okazja jednak sama się teraz nadarzyła. Otworzył drzwiczki.

– Pani dyrektor?

Odwróciła się. Wyglądała na wystraszoną i nieufną.

– Słucham?

– Nazywam się Hank Butcher. Widziałem panią na przyjęciu w Białym Domu. Mógłbym pani zadać kilka pytań?

Posłała mu miazdzące spojrzenie.

– Wątpię, czy na nie odpowiem. Spieszę się. – Ponownie spojrzała na zegarek i odwróciła się do niego plecami.

Wysiadł z samochodu.

– To zajmie tylko chwilę. Chodzi o projekt Sumienie. Miałem zagadnąć panią w Białym Domu, ale najpierw chciałem poznać stanowisko Pameli Weiss.

– Przykro mi, ale jak wcześniej powiedziałam, spieszę się. Muszę dostać się na National.

– Z kieszeni wydobyla telefon.

– Proszę nie dzwonić po samochód. Ja też jadę na lotnisko. Podwożę panią. Porozmawiamy po drodze, dobrze?

– Nie mamy o czym mówić. Butcher uśmiechnął się chytrze.

– A gdybym powiedział, że wiem, co kryje się pod przykrywką projektu Sumienie? I że zamierzam zebrać wszystkie dowody, żeby to nagłośnić? Wciąż nie chce pani ze mną rozmawiać?

Oczy Naylor się zwięzły. Było w nich widać poruszenie.

– A gdybym panu powiedziała, że został pan wprowadzony w błąd przez ludzi sabotujących najważniejszą inicjatywę w walce z przestępczością od czasów wynalezienia analizy DNA?

Butcher otworzył drzwiczki po strone pasażera.

– Powiedziałbym, że może pani mieć rację. Musiałbym jednak usłyszeć coś więcej, by uwierzyć w pani wersję. Pani prezydent elekt była zbyt zajęta, by odpowiedzieć mi natychmiast; w takim razie może pani zechciałaby...

Naylor wahała się przez chwilę.

– Dobrze – zgodziła się – tylko powiem swoim agentom, gdzie jestem. – Uniosła komórkę do wąskich ust i wydała lakoniczne dyspozycje. – Ale, panie Butcher – zastrzegła, chowając telefon – to, co panu powiem, to informacje nieoficjalne. Wyjawię je panu tylko dlatego, że musi pan zrozumieć, dlaczego tej inicjatywy nie wolno sabotować.

– W porządku, jak sobie pani życzy – zgodził się, gdy wsiadała do samochodu.

Gdy dojeżdżali do rzeki Potomac, zaczął sypać śnieg. Butcher zadawał pytania, nie zwracając uwagi na duże płatki spadające z nieba.

– Proszę opowiedzieć mi o doktor Kerr. Wysunęła pewne śmiałe oskarżenia.

– Doktor Kerr to wybitny naukowiec, a fundamenty Sumienia niezaprzeczalnie są jej zasługą. Jednak od jakichś sześciu lat jest coraz bardziej niezrównoważona. Przestała odnosić sukcesy. Ostatnie postępy w projekcie zawdzięczamy nie jej, lecz Alice Prince. Kathy ciągle jednak uważa projekt za swój własny. Zażądała absurdalnego wynagrodzenia i przypisania jej wszystkich zasług. Zagroziła, że w przeciwnym razie zniszczy całe przedsięwzięcie. Oczywiście nie mogliśmy na to pozwolić. Przyjęliśmy jej rezygnację. Teraz wygląda na to, że chce skompromitować całe nasze dzieło.

Z gęstniejącej zawiei wyłonił się beładnie rozplanowany kompleks lotniska.

– Twierdzi, że zamknęła ją pani w jakimś wariatkowie.

Naylor się roześmiała.

– Ma pan na to jakieś dowody? Uważałam pana za odpowiedzialnego dziennikarza.

– Kathy Kerr nie jest sama. Mam jeszcze jednego świadka.

– Czyżby? Któż to taki?

– Tego pani nie powiem. W każdym razie nie teraz.

– Nie można potwierdzić historii, która nie miała miejsca. Pytałam o dowody, nie o pogłoski.

– Lada chwila spodziewam się dalszych dowodów. Doktor Kerr twierdzi, że ma archiwum sięgające dziesięć lat wstecz.

Zbliżali się do budynku głównego terminala i punktu zwrotu samochodów. Butcher miał właśnie zapytać Naylor, gdzie chciałyby wysiąść, gdy ta spokojnie sięgnęła do kieszeni, płynnym ruchem wyciągnęła pistolet i przycisnęła mu go do krocza.

– Panie Butcher, proszę skrócić na długoterminowy parking. Jeśli nie zrobi pan tego, co każe, pociągnę za spust.

Butcher przez dobrą chwilę nie zareagował. Po prostu nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

Dyrektor Naylor z satysfakcją patrzyła na jego gasnący uśmiech i blednącą twarz.

Nie miała wyboru. Nie mogła zlecić żadnemu z podwładnych zajęcia się Butcherem. Osobiście musiała się dowiedzieć, ile on wie. Poza tym musiała to zrobić szybko i dyskretnie.

Gdy Toshack zapytał o Kathy Kerr, Naylor natychmiast zadzwoniła do Jacksona. Tak, jak wcześniej ustalili, Kerr została przywieziona do doktora Petersa. Naylor nie udało się skontaktować z Petersem, ale była pewna, że nie wypuścił Kathy. Zbyt wiele by w ten sposób ryzykował. Musiała się dowiedzieć, kto i dlaczego ją wy dostał. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym, że Kerr mogłaby polecieć z tym do Weiss.

Naylor zadzwoniła w dwa miejsca, by ustalić, gdzie Hank Butcher zatrzymał się w Waszyngtonie. Dowiedziała się, że rano wymeldował się z niedawno otwartego hotelu Mandrake i zarezerwował lot linii American Airlines do San Francisco z Portu Lotniczego im. Ronalda Reagana o godzinie 16.46. Wypożyczony przez niego samochód wciąż stał zaparkowany pod hotelem.

Szybko uzgodniła z Alice, co wieczorem powiedzą Pameli, pojechała taksówką do Mandrake i czekała. Gdy Butcher ją zauważył, reszta poszła jak z płatka.

Teraz mogła go przepytwać.

– Co pani robi?! – krzyknął głosem co najmniej o oktawę wyższym niż przed chwilą. – Nie ujdzie to pani na sucho. Jestem dziennikarzem...

– Cicho bądź i jedź na parking.

Na zewnątrz tak sypało, że nie widział dalej niż na kilka metrów. Butcher nie przestawał skamleć, przejeżdżając przez automatyczne bramki i zgodnie z jej wskazówkami kierując auto na środek rozległego parkingu. Zaparkował wśród setek samochodów pokrytych coraz grubszą warstwą śniegu i wyłączył silnik. Gdy odwrócił się w jej stronę, jego spocona twarz miała zielonkawy odcień.

– Kluczyki.

Wyjął klucze ze stacyjki i podał je Naylor.

– Czego pani chce? – zapytał.

– Kto wyciągnął Kerr z Sanktuarium?

– Tego nie mogę powiedzieć, obiecałem, że nie powiem. Muszę chronić swoje źródła.

Wcisnęła pistolet mocniej w jego łędźwie. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

– Proszę mi wierzyć, panie Butcher, jeśli mi pan nie powie tego, czego się chcę dowiedzieć, zastrzelę pana i poczuję się usprawiedliwiona. Bierzymy udział w czymś, co ma decydujące znaczenie dla przyszłości gatunku ludzkiego, w czymś, co jest stanowczo zbyt ważne, by pozwolić to zniweczyć.

Butcher wyglądał na przerażonego.

– Ale jeśli pani powiem... Jaka mam gwarancję, że mnie pani nie zabije?

– Jezu! Wy, dziennikarze, zawsze zadajecie tyle pytań. Nie ma pan żadnej gwarancji. Zapewniam jednak, że jeśli mi pan nie powie, będzie mnie pan błagał o śmierć.

Popatrzyła mu w oczy i poruszyła pistoletem.

– Dobrze. Powiem pani. To Luke Decker. Skontaktował się ze mną przez telefon.

– Decker? Agent specjalny Luke Decker? Jezu!

– Opowiedział mi o tym, jak odbił doktor Kerr z Sanktuarium i jak oszukaliście FDA. I jeszcze, że Axelman to prawdopodobnie wasz błąd, który chcieliście zatuszować. Albo coś innego.

– Powiedział, czym mogłoby być to coś innego?

– Nie, mówił, że doktor Kerr ma pewne podejrzenia. Pytałem o to Pamelę Weiss na przyjęciu, ale zdaje się, że nie ma o tym zielonego pojęcia.

Naylor się uśmiechnęła.

– Nie ma, panie Butcher. I tak właśnie ma zostać. Czy byłby pan uprzejmy wysiąść teraz z samochodu?

Na twarzy odmalowała mu się ulga, której miejsce szybko zajęła nowa fala strachu.

– Po co? Co mi pani chce zrobić?

– Panie Butcher, wysiadaj pan z tego auta, albo pana zastrzelę tu i teraz. Jeśli będzie pan uciekał lub wołał o pomoc, zabiję. W tej zamieci i tak nie będzie nic widać ani słyhać.

Gdy wysiedli, Naylor pokierowała go ku tyłowi auta.

– Niech pan otworzy bagażnik.

Drżąc ze strachu i przeszywającego zimna, zrobił, co kazała. Bagażnik był pusty, jeśli nie liczyć walizeczki i laptopa.

– Włącz pan.

– Jest diabelnie zimno!

– Już! Bo zastrzelę.

Przez chwilę myślała, że Butcher będzie się stawiać, ale usiadł na zderzaku i pozwolił wepchnąć się do środka. Leżał w bagażniku i, trzęsąc się, patrzył na nią błagalnie zza okularów.

– Na pocieszenie powiem panu dwie rzeczy. Po pierwsze, i tak by pan długo już nie pożył. Po drugie, ma pan i tak szczęście, jeśli porównać to z tym, co zrobię doktor Kathy Kerr i agentowi specjalnemu Luke'owi Deckerowi. – Z tymi słowy wystrzeliła jeden wycelowany idealnie w czoło Butchera pocisk i zatrzasnęła bagażnik.

Rozejrzawszy się, czy nikt jej nie obserwuje, wydobyla z kieszeni scyzoryk i odkręciła tablice rejestracyjne samochodu z wypożyczalni. Tyłne tablice wymieniła z saabem

zaparkowanym dziesięć samochodów dalej, przednie z oddalonym o dwa rzędy chevroletem. Dwunastominutowa operacja miała dać jej gwarancję, że samochodu Hanka Butchera i ukrytego w nim ciała nikt nie znajdzie przez kilka tygodni, zwłaszcza jeśli utrzyma się niska temperatura. Później i tak będzie to już bez znaczenia.

Zmierzając na przystanek autobusowy, odwróciła się, by popatrzeć, jak padający śnieg zasypuje ślady jej butów. Czowała satysfakcję z samodzielnego wykonania zadania. I to jakiego wykonania! Myślami wróciła do swych pierwszych dni w FBI, tuż po ukończeniu akademii w Quantico. W ciągu swych pierwszych sześciu miesięcy w Biurze pomogła rozwiązać dwie sprawy dotyczące zabójstw. W nagrodę zarobiła po kulce w lewą nogę i prawe ramię. Nie miała teraz wyrzutów sumienia. Zrobiła, co było konieczne, a na dłuższą metę to zabójstwo nie będzie miało znaczenia. Doszła do przystanku, wyjęła telefon i zadzwoniła do wicedyrektora Jacksona.

– Jackson – poleciała – znajdź Petersa i pozbądź się go. Pozwolił uciec naszemu gościowi. Potem znajdź Luke'a Deckera. Będzie z nim Kathy Kerr.

– Deckera?

– Tak, tego samego Deckera, który co roku pokonuje cię na strzelnicy w Quantico. Znajdź oboje i przywieź ich do mnie. Oczywiście nikt w biurze oprócz twoich ludzi nie ma prawa się o tym dowiedzieć. Zrozumiano?

– Tak jest. A jeśli nie dam rady przywieźć ich żywych?

Naylor uniosła wzrok, gdy autobus darmowej linii wyłonił się z zamieci. Spojrzała na zegarek. Obliczyła, że jeśli weźmie taksówkę z terminala, będzie miała mnóstwo czasu, by zobaczyć się z Alice Prince przed ich spotkaniem z Pamelą Weiss.

– Pani dyrektor – dopytywał się Jackson – a jeśli będę musiał ich zabić? Mogę to zrobić?

Madeline Naylor spojrzała na ustawione w rzędach samochody. Nie była w stanie określić, który z nich krył stygnące zwłoki Hanka Butchera.

– Oczywiście, że możesz, Jackson. Zrób, co chcesz, bylebyś tylko ich dorwał.

Pałac prezydencki, położony sto kilometrów na południe od Bagdadu, był jedną z ponad pięćdziesięciu nowo wybudowanych rezydencji. Jego kłujący w oczy przepych wydawał się nieprzyzwoity w kraju, gdzie z powodu międzynarodowych sankcji wielu ludzi żyło w nędzy. Prezydent i jego rodzina posiadali teraz ponad osiemdziesiąt takich pałaców rozsianych po całym kraju.

Doktor Jewgienija Krotowa stała w jednym z pokoiów dowodzenia taktycznego. Przeszła z nogi na nogę. Wpatrywała się w sześć ekranów telewizyjnych, zawieszonych na ścianie naprzeciwko, z których każdy pokazywał inny kanał kablówki. Migające obrazy współczesnego świata ostro kontrastowały z klasycznym splendorem pałacu: marmurowymi filarami, dywanami, krzesłami o wysokich złożonych oparciach i alabastrowymi fontannami na podświetlonym dziedzińcu za wysokimi, łukowymi oknami.

Ta demonstracja bogactwa nie szokowała Krotowej. Po tym, jak zaprzedała duszę diabłu, nic już nie było w stanie jej zdziwić. Dziesięć lat temu była wicedyrektorką Rosyjskiego Państwowego Centrum Wirusologii i Biotechnologii w Kolcowie, gdzie uczestniczyła w nielegalnych pracach nad bronią bakteriologiczną. Rosja była jednak wówczas tak biedna, że nie wypłacano jej nawet skromnej pensji. Irak dał za jej wiedzę, za wszystkie tajemnice, które posiadała, najwyższą cenę, przebijając Iran i Koreę Północną.

Pewnej mroźnej nocy w styczniu 1998 roku Krotowa zniknęła wraz z mężem i trzema córkami. Od dziesięciu lat kierowała teraz irackim programem prac nad bronią biologiczną. Zarabiała więcej, niż kiedykolwiek będzie w stanie wydać. Prowadziła dostatnie życie, strzeżono jej jednak niczym więźnia. Zakazano jej opuszczania kraju, a jej rodzina miała zawsze pozostawać pod dozorem. Doktor Krotowa mimo to nie żałowała swej decyzji.

Teraz jednak miała kłopoty. Aziz umarł, nie zdążywszy wyjaśnić rosnącej liczby zgonów w Gwardii Republikańskiej. Zaangażował ją w swe dochodzenie, więc wezwano ją do pałacu, by odpowiedziała na pytania. Co mogła wyjaśniać generałom? Dlaczego Aziz przed śmiercią nie zostawił jej żadnych wskazówek? Jedynym pocieszeniem było to, że czekali na nią generałowie, nie sam prezydent.

Przywitała się z nimi i stanęła na środku pokoju. Było późno i zmęczenie dawało jej się we znaki. Chciała usiąść, ale wojskowi kazali jej stać. Nie zaprosili jej na towarzyską pogawędkę. Rozpoczęło się przesłuchanie. Jewgienija zmarszczyła brwi i, koncentrując się na pytaniach, starała się nie zwracać uwagi na migoczące ekrany za plecami generałów.

– Pani doktor, czy wie pani, co jest przyczyną tych nagłych zgonów? – zapytał generał Akram, najwyższy z trójki mężczyzn. Uważnie jej się przyglądał, szorstkim głosem zadając pytanie. Odpowiadał za ogół spraw medycznych w armii. Był idiotą, znalazł się na tym stanowisku dzięki dalekim więzom krwi z prezydentem.

– Nie do końca, ale jestem przekonana, że doktor Aziz był blisko rozwiązania zagadki. Początkowo uważał, że chodzi o przedawkowanie sterydów, później jednak umarł z tymi samymi symptomami. A więc to, co zabiło tych ludzi, jest zakaźne.

– Zakaźne? – z niedowierzaniem powtórzył generał Rashani, niski, łysy facet w okularach. – Przecież oni poumierali na wylew krwi do mózgu lub popełnili samobójstwo.

– Właśnie to Aziz próbował potwierdzić. Być może to złożony wirus, prion lub coś zupełnie nowego, co zmieniło ich DNA i skład chemiczny mózgu. Aziz umarł, gdy w nocy spisywał wyniki swoich badań. Jego komputer uległ uszkodzeniu i większość danych została utracona. Z fragmentów odzyskanych z twardego dysku wnioskuję jednak, że prawdopodobnie coś odkrył.

– Ale nie wie pani, co jest przyczyną ani jak to należy leczyć?

– Jeszcze nie. Moi ludzie analizują wyniki badań, które zespół Aziza przeprowadził na pacjentach. Właśnie przeprowadzamy szczegółową sekcję zwłok ofiar. Potrzebujemy jednak więcej czasu.

– Nie ma czasu. Rozkaz inwazji na Kuwejt może nadejść w każdej chwili.

– Nie możecie rozpocząć tej kampanii, dopóki nie dowiemy się więcej. Co najmniej setka ludzi już nie żyje, a liczba zakażonych wciąż rośnie. Musimy zbadać, jak daleko epidemia się rozprzestrzeniła i powstrzymać jej ekspansję. Jeśli tego nie zrobicie, stracimy jeszcze więcej ludzi.

– Na wojnach giną ludzie – skwitował generał Akram. – Jeśli to nie jest zakaźne, nie ma problemu. Jeśli jest, to zakażeni przynajmniej przydadzą się do czegoś przed śmiercią.

– Ale...

– To nie podlega dyskusji – uciął trzeci generał.

Krotowa zagryzła wargę, próbując sformułować jakąś konstruktywną odpowiedź. Niebezpiecznie byłoby rozgniewać ich jeszcze bardziej. Nim zdążyła cokolwiek dodać, usłyszała donośny głos mówiący po angielsku. Generałowie odwrócili się do ściany z ekranami. W telewizorze w prawym górnym rogu włączono głos. W CNN przemawiał prezydent Stanów Zjednoczonych. Stał przed podium, a u dołu widniał podpis: „Bob Burbank na żywo z Białego Domu”. Za jego plecami znajdowało się czterech mężczyzn i kobieta. Jeden z mężczyzn miał na sobie mundur. Krotowa, która dobrze znała angielski, bez trudu zrozumiała, o czym mówi prezydent.

– Mam nadzieję, że prezydent Iraku opamięta się i nie przekroczy trzydziestego drugiego równoleżnika. Oby tak się nie stało. Jeśli jednak to zrobi, siły sprzymierzone będą zmuszone zdecydowanie zareagować. Na miejscu dysponujemy siłami konwencjonalnymi zdolnymi pokonać wojska irackie natychmiast po tym, jak przekroczą linię wytyczoną na piasku.

Amerykański prezydent był blady, miał zmęczone oczy. Wyglądał jak ktoś, kto mówi najstraszniejszą prawdę.

– Zdajemy sobie sprawę, że prezydent Iraku gotów jest użyć broni niekonwencjonalnej, ale nie zamierzamy mu ustępować. Nie możemy mu ustępować. Ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli, to wszczęcie konfliktu, nie wspominając już o eskalacji. Musi jednak wiedzieć, że jeśli podbije stawkę choćby o punkt, nie będziemy mieli wyboru. Będziemy musieli to

zakończyć w sposób zdecydowany. Zabawa w kotka i myszkę, jaką prowadził z ONZ, właśnie dobiegła końca. Skończyła się nasza cierpliwość.

Prezydent Burbank wydawał się ledwie stać na nogach. Chwiejąc się, otarł pot z czoła. Początkowo Krotowa myślała, że prezydent tak przeżywa przemowę, potem jednak uświadomiła sobie, że to coś innego. Wyglądał na chorego.

– Od prezydenta Iraku zależy, czy nasza broń nuklearna zostanie użyta w jego kraju. – Burbank przerwał i zmęczonymi oczami popatrzył w kamerę. – Mam nadzieję, że podejmie mądre decyzje.

Gdy skończył, nastąpiła absolutna cisza – nie tylko w pałacu emira, lecz również w pokoju konferencyjnym Białego Domu. Krotowa spojrzała na generałów, gapiących się w ekran. Naraz, gdy dziennikarze zaczęli zadawać pytania, przed jej oczami rozegrała się niewyobrażalna scena: Bob Burbank złapał się za klatkę piersiową, ugięły się pod nim nogi i upadł na podłogę. Naraz ekran oszalał. Agenci Secret Service w ciemnych okularach kordonem otoczyli prezydenta, a dziennikarze wstali z krzeseł i ruszyli przed siebie, pomiędzy stojących wokół przerażonych prezydenckich doradców.

Kamera nagle skupiła się na jednym z mężczyzn stojących za prezydentem. Wysoki, szczupły człowiek – jak informował podniecony komentator – wiceprezydent Smith, wyglądał na kompletnie zszokowanego, sparaliżowanego strachem.

– Na pewno ktoś zaraz opanuje tę sytuację – powiedział komentator CNN, bardziej z nadzieją niż z przekonaniem. Z przerażonej twarzy wiceprezydenta Krotowa wyczytała, że to nie on będzie osobą, która tego dokona.

Wtem rozległ się jakiś głośny dźwięk i obiektyw kamery znów wycelował w podium. Kobieta, która przed chwilą stała za prezydentem, teraz stuknęła ręką w mikrofon. Miała ładną twarz i gęste, przyprószone siwizną kasztanowe włosy. Choć najwyraźniej, tak jak inni, była w szoku, nie została nim sparaliżowana.

– Proszę wrócić na swoje miejsca. Konferencja jeszcze się nie skończyła – zarządziła. Mówiła spokojnie i dobitnie, jej głos pokonał zbiorową panikę. Wszyscy spojrzeli w jej kierunku. Dziennikarze wrócili na swoje miejsca. Dwóch ludzi z Secret Service wraz z dwójką sanitariuszy wyniosło prezydenta z pokoju. Mężczyzna wyglądający na lekarza podszedł do kobiety na mównicy i szepnął jej coś do ucha. Westchnęła ciężko.

– Nazywam się Pamela Weiss – powiedziała. – Jestem prezydentem elektem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Właśnie mi doniesiono, że przed chwilą byliśmy świadkami zawału serca. Prezydent Bob Burbank jest już w drodze do szpitala, gdzie otrzyma najlepszą opiekę lekarską. Pełne oświadczenie zostanie ogłoszone, kiedy tylko otrzymamy informacje o jego stanie.

Zamilkła na ułamek sekundy i spojrzała za siebie, na wiceprezydenata, który wciąż stał jak skamieniały, z oczami szklanymi z przerażenia. Jewgienija Krotowa była pełna podziwu dla kobiety, która podjęła przerwane przemówienie.

– Jestem przekonana, że cały naród jest teraz z prezydentem i jego rodziną. Jednak niech wszyscy się dowiedzą, przyjaciele i wrogowie, że niczego to nie zmienia. Stanowisko Stanów Zjednoczonych i ONZ wobec Iraku jest jednoznaczne. Słowa prezydenta są wiążące.

Wyłączono telewizor. Wszyscy generałowie stali z bezwładnie opuszczonymi rękami. W milczeniu próbowali ogarnąć to, co właśnie zobaczyli.

Jedno z wysokich krzeseł przy dużym stole przed nią nagle okręciło się. Siedział na nim ubrany w wojskowy mundur prezydent. W prawej ręce trzymał pilota od telewizora. Słyszał całą rozmowę Krotowej z generałami.

– W żadnym wypadku nie możemy sobie teraz pozwolić na zwłokę, pani doktor – odezwał się. – Mamy wspaniałą broń, którą pani stworzyła, i właśnie nadarzyła się okazja, żeby jej użyć.

Patrzył na nią z uśmiechem. Wiedziała, że zadowolony jest z tego, co zobaczył w telewizji.

– Generale Akram – powiedział, nie spuszczać z niej wzroku – przygotujcie inwazję zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Pora jest doskonała. Cokolwiek powie ta Weiss, Amerykanie nie wiedzą, co tu jest grane.

Następnie machnął na nią pilotem.

– Niech pani podejdzie.

Zdenerwowana, ominęła generałów i stanęła przed nim. Wciąż uśmiechnięty, gestem zaprosił ją bliżej. Pochyliła się, czując w jego oddechu zapach cygar.

– Niech się pani dowie, co zabija tych żołnierzy – wyszeptał – albo zamorduję panią i pani rodzinę. – Ani na chwilę nie przestawał się uśmiechać, lecz nie ulegało wątpliwości, że nie żartuje.

Mendoza Drive, Palo Alto
Czwartek, 6 listopada, godz. 19.37

Czekając nieopodal stojącego na uboczu domu Kathy Kerr na Mendoza Drive, nie mieli pojęcia o wydarzeniach rozgrywających się na Kapitolu. Ich jedynym zmartwieniem było dostanie się do domu tak, żeby ich nie zauważono.

– Już ich nie ma – oznajmił Decker, wracając do samochodu. – Nie powinniśmy tam przebywać zbyt długo. Dowiedzą się, że uciekłeś. Mamy pięć minut, tak jak ustalaliśmy, ani chwili dłużej.

Kathy Kerr przytaknęła, siedząc cicho w wypożyczonym fordzie taurusie.

– Naprawdę chcesz tam wejść? – upewnił się.

– Tak – odparła, spoglądając na dom. Wyglądał tak samo, jak poprzednio, teraz jednak biała fasada, na którą zawsze patrzyła z taką przyjemnością, wydawała się złowroga, jakby skrywała niebezpieczeństwo za ciemnymi oknami. Oczami wyobraźni Kathy widziała Jacksona, uzbrojonego w pistolet i strzykawkę, czekającego na nią jak poprzednio tuż za drzwiami. – Jesteś pewny, że nikt tam na nas nie czeka?

– Oczywiście – uspokajał Decker. – Sprawdziłem cały teren. Nikogo nie ma. Nie masz tam żadnych alarmów, świateł?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie. Zanim tam wejdziemy, może powinniśmy znowu zadzwonić do twojego znajomego dziennikarza i zapytać, czy ma już jakieś informacje od Pameli Weiss?

Decker wzruszył ramionami. Sięgnął po komórkę leżącą na desce rozdzielczej i wybrał numer. Usłyszał sygnał. Chwilę potem włączyła się skrzynka głosowa Hanka Butchera. Decker się rozłączył. Nie było sensu nagrywać się po raz kolejny.

– Cholera – rzuciła Kathy – dlaczego nie włączy telefonu?

– Nie martw się, Pamela Weiss prawdopodobnie nie jest w to zamieszana. Ale nie odezwie się do niego, dopóki sama wszystkiego nie sprawdzi. Hank oddzwoni, kiedy tylko otrzyma jakąś wiadomość. A wtedy będzie chciał poznać resztę twoich cennych dowodów. – Decker uśmiechnął się do Kathy, jego oczy błyszczały w półmroku. – Gotowa?

Wzięła płócienną torbę i otworzyła drzwi samochodu.

– Chodźmy.

Wyciągnęła zapasowy klucz spod doniczki stojącej po prawej stronie i otworzyła frontowe drzwi. W domu panowała cisza. Wszystko wyglądało tak, jakby kilka ostatnich dni było tylko złym snem. Odnajdując drogę w ciemnych pokojach, poprowadziła Deckera na tyły domu, do ogrodu.

Kiedy weszli do ogrodu, Rocky zaczął piszczeć z radości. W świetle księżycy widziała, jak stoi za drucianą siatką dużej, drewnianej klatki. Jego zęby lśniły w uśmiechu. Cieszył się, że ją widzi. Podbiegła do drzwi, otworzyła zasuwę i weszła do środka. Rocky rzucił się na nią

i omal nie przewrócił jej na ziemię. Decker podszedł, by ją podtrzymać, ale Rocky groźnie wyszczerzył zęby.

– Rocky, nie – wypowiedziała pośpiesznie, głaszcząc twarz Deckera. – On nie zrobi mi krzywdy. Jest przyjacielem. – Decker zamarł i nie odważył się ruszyć, kiedy Rocky obwąchiwał go podejrzliwie. Chwilę potem Rocky wyciągnął łapę i szturchnął go w ramię. Był to znak, że zaakceptował Deckera, aczkolwiek niechętnie.

Kathy sprawdziła pojemnik z jedzeniem w automatycznym podajniku, który znajdował się po drugiej stronie klatki. Był prawie pusty, tak jak znajdujące się obok poidło. Klatka wymagała czyszczenia, ale poza tym wszystko wydawało się w porządku. Podeszła do opony wiszącej na drzewie pośrodku klatki. Wyczuła w oponie brzeg taśmy izolacyjnej i oderwała ją. Do taśmy przyklejony był klucz.

Podeszła do kufra, otworzyła kłódkę i uniosła wieko. Poczula ulgę, kiedy ujrzała dokumenty i osobiste pamiątki na swoim miejscu. Sięgnęła po płócienną torbę.

– Wszystko jest tutaj.

Stojący na straży Decker spojrział na zegarek.

– Świetnie, teraz się pośpiesz.

– Nie martw się, to zajmie chwilę. Potem wezmę jeszcze kilka rzeczy Rocky’ego i możemy iść.

– Rzeczy Rocky’ego? Po co?

Kathy wyjęła najważniejsze dokumenty i włożyła do torby. Wrzuciła do niej też cały zestaw płyt CD.

– Nie możemy go tu teraz zostawić.

Decker pokręcił nerwowo głową.

– Dlaczego nie? Jest wystarczająco wielki, żeby radzić sobie samemu. Na miłość boską, Kathy, to nie on jest w tarapatkach, tylko ty. Gdzie zamierzasz go trzymać?

– Znam kogoś w zoo w Atascadero, zajmie się nim, dopóki to wszystko się nie skończy. No, gotowe – powiedziała, podnosząc z ziemi torbę. – Chodźmy.

Decker zmarszczył brwi, ale nie odezwał się słowem, kiedy w trójkę opuszczali klatkę. Minęli rosnącą na podwórzu sosnę i skierowali się ku domowi. Kathy uśmiechnęła się, patrząc w usiane gwiazdami niebo. Rocky szedł przy niej, trzymając ją za rękę. Po raz pierwszy od kilku dni poczuła przyływ optymizmu. Nagle Rocky puścił jej dłoń i zniknął w ciemnościach. Obróciła się zaskoczona i zobaczyła, jak Decker upuszcza torbę z płytami i dokumentami i rzuca się w jej kierunku. Przewrócił ją na ziemię i wepchnął za sosnę.

Chwilę potem usłyszała dwóch mężczyzn. Wychodzili z jej domu, coś do siebie szepcząc. Jeden z nich zapalił latarkę. W ogrodzie zrobiło się tak jasno, że Kathy zmuszona była spuścić wzrok. W odległości trzech metrów od drzewa leżała doskonale widoczna torba z dokumentami. Część zawartości rozsypała się na trawniku.

– Cholera! – syknął Decker, przyciskając ją jeszcze bardziej do pnia drzewa. – Po co znowu tu przyleźli?

– Nie mam pojęcia.

– Rambo bardzo nam się przydał, co?

– Ma na imię Rocky – poprawiła go automatycznie. Ostre światło padało teraz na drzewo, za którym się ukrywali.

Decker wydobyl pistolet z kabury na szelkach.

– Zachowuje się jak tchórzliwy szczeniak.

– Mówiłam ci, że nie jest groźny.

– A szkoda.

Kathy słyszała, jak mężczyźni podchodzą do otwartej torby i ją podnoszą. Czowała ogromny niepokój, jednak w tej chwili oboje z Deckerem nie mogli już nic zrobić. Światło było tak oślepiające, że każdy ich ruch byłby natychmiast zauważony.

– Mówiłam ci – szepnęła – że Rocky staje się agresywny tylko wtedy, gdy grozi mi niebezpieczeństwo.

– Kathy, nie wiem, co ty i twój pupil o tym sądziecie, ale ośmielam się twierdzić, że jest to zdecydowanie niebezpieczna sytuacja.

Nagły świst wystrzału z broni z tłumikiem przeszył nocne powietrze. Kathy usłyszał, jak kula trafia w drzewo.

– Wychodźcie, albo sami was stamtąd wyciągniemy! – odezwał się jeden z mężczyzn.

*Kwatera główna FBI, Hoover Building, Waszyngton
Czwartek, 6 listopada, wieczorem*

Madeline, tracimy nad tym kontrolę. Może powinnyśmy trochę zwolnić i uważnie się temu przyjrzeć. – Alice Prince poprawiła okulary i zaczęła bawić się wisiorkiem.

Dyrektor FBI siedziała w swym fotelu i bębniła palcami o blat biurka. Były same w biurze Naylor, na piątym piętrze Hoover Building przy Pennsylvania Avenue. Ściany pokrywała boazeria z ciemnego drewna, maskująca ołowiane ekrany zakłócające pracę radiowych urządzeń podsłuchowych. Na boazerii wisiały portrety słynnych poprzedników Madeline. Najbardziej jednak rzucał się w oczy pedantyczny porządek w całym biurze. Stosy książek były ułożone tak starannie, że nie wystawał ani jeden wolumen, ani jedna kartka papieru. Nawet notatniki i ołówki na biurku leżały na ściśle wyznaczonych miejscach.

– Nie przejmuj się tak, Alice. Panujemy nad sytuacją. – Naylor uspokajała przyjaciółkę.

Alice Prince wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Nieprawda, nie panowały nad sytuacją. Co najważniejsze, ona sama straciła nad tym kontrolę. Była przyzwyczajona do zarządzania projektami typu Sumienie czy Spirala Zbrodni na poziomie akademickim, lecz działania w terenie zwykle pozostawiała innym. Tymczasem Madeline Naylor zamordowała dzisiaj dwóch mężczyzn.

Choć to Madeline złożyła pocałunek śmierci na ustach Burbanka, Alice czuła się odpowiedzialna za śmierć prezydenta. Przecież to ona stworzyła wirion, który Madeline naniosiła na swoje usta. Stworzyła go, by zaatakował komórki sercowe konkretnego, człowieka – prezydenta. Kierując się niepowtarzalnym łańcuchem DNA, wirion miał odnaleźć wszelkie potencjalnie śmiertelne wady u człowieka i przyspieszyć ich wystąpienie. Pocałunek Madeline, niegroźny dla kogokolwiek innego, dla Boba Burbanka był zabójczy.

I spełnił swoje zadanie. Dwie godziny temu, na mocy poprawki do konstytucji z 2002 roku, senat i Izba Reprezentantów zaprzysięgły Pamelę na prezydenta, przyspieszając w ten sposób jej inaugurację. Wiceprezydent nie wyraził sprzeciwu.

Ale Madeline zabiła też dziennikarza. Zabiła, bo zadawał niewygodne pytania. Co więcej, Kathy Kerr znajdowała się na wolności, a prawdopodobnie była jedyną osobą na świecie, która dorównywała jej wiedzą o wirionach. Tylko doktor Kerr miała wiedzę i doświadczenie potrzebne do zatrzymania Spirali Zbrodni.

Dlatego, według Alice, sytuacja wymykała się spod kontroli.

– Może powinnyśmy przerwać Spirale Zbrodni. Zostać przy Sumieniu. Mamy jeszcze czas.

Madeline Naylor pochyliła się do przodu i pokręciła głową.

– Przestań się martwić. Wiesz, że Spirala Zbrodni to długofalowa akcja. Wiesz o tym lepiej niż ja. Wszystko będzie dobrze. Kathy Kerr nie zdoła nam przeszkodzić. Lada chwila pojawi się Pamela. Kiedy sobie pójdzie, wszystko ci wyjaśnię. Trzymaj się wersji, którą

uzgodniłyśmy. Zgoda?

Alice usiadła.

– No, Ali, przecież wiesz, że mam rację. Czy kiedykolwiek się pomyliłam? Pomyśl o Libby. Pomyśl o przyszłości. Pomyśl o naszej wizji.

Zadzwoił telefon. Madeline podniosła słuchawkę, nasłuchiwała przez chwilę i podniosła wzrok, szukając zgody w oczach Alice.

– Przyjechała.

Świeżo zaprzysiężona pani prezydent rzuciła na stół dwie kartki papieru.

– Mam dziesięć minut. Powiedzcie mi, co się tu dzieje. I bez tego mam wystarczająco dużo spraw na głowie. Ostatnia rzecz, której mi teraz trzeba, to dziennikarz węszący wokół projektu, dzięki któremu wygrałam wybory.

Pamela Weiss była ubrana na czarno, a twarz miała pobladłą z napięcia nerwowego.

– Pamela, możemy wyjaśnić wszelkie twoje wątpliwości – chłodno odpowiedziała Madeline. Wypiła łyk wody mineralnej. Wyglądała na zupełnie niewzruszoną gniewem prezydent.

– Dobra, po kolei. Ten dziennikarz, niejaki Hank Butcher, dał mi listę pytań. Chce znać odpowiedzi na nie, zanim poda do wiadomości publicznej nowe dowody. – Uderzyła ręką w papiery, które chwilę wcześniej rzuciła na blat. – Przeczytam je wam. Przede wszystkim, kim, u diabła, jest doktor Kathy Kerr? Twierdzi, że Sumienie to zaledwie test. Mówi, że docelowo projekt ma nie leczyć przestępców, lecz unicestwiać ich za pomocą zabójczych genów. Oczywiście brzmiałoby to niedorzecznie, gdyby nie zgony w San Quentin, spowodowane mutacją waszego wirionu.

Pamela zaczęła chodzić wokół stołu. Skrzyżowała ręce na piersi i palcami prawej dłoni bębniła po lewym ramieniu. Alice uświadomiła sobie, że Pamela nie tylko była wściekła, ale czuła się też urażona.

– Mało tego – wycedziła przez zęby. – Kerr twierdzi, że preparat, który w tajemnicy testowaliśmy na przestępcach, różni się od tego, który zatwierdziła FDA. I że zamknęłyście ją w szpitalu dla umysłowo chorych, żeby uniemożliwić jej ujawnienie tego spisku.

Alice obracała w palcach łązkę uwieszoną na szyi. Głośno oddychała. Madeline patrzyła wprost na nią.

– Zaczniemy więc od doktor Kathy Kerr – zebrała się w sobie Alice. – Możliwe, że kiedyś już ci o niej wspominałam. Pochodzi z Wielkiej Brytani. Jest naukowcem, a jej pierwsza praca dotyczyła kontrolowania agresji u samców naczelnych. Właśnie stąd wzięłam pomysł na Sumienie. Zatrudniłam ją dziewięć lat temu do kierowania zespołem badawczym. Od tamtego czasu pracuje dla mnie. Jest genialna, ale nie zrównoważona. Przez ostatnich kilka lat miała niewiele osiągnąć. Nie mogła się z tym pogodzić. Gdy uzyskaliśmy zgodę FDA na stosowanie preparatu, w pracach nad którym nie uczestniczyła, zaczęła nas atakować. Obiecałam przypisać jej część zasług, lecz nie przyjęła propozycji.

Alice źle się czuła, mówiąc te kłamstwa, lecz według Madeline wymagała tego sytuacja.

Pamela zmarszczyła brwi.

– A więc mówisz, że wyssała to wszystko z palca?

– W zasadzie tak.

Pamela zmarszczyła czoło.

– W zasadzie? Chcesz mi powiedzieć, że część z tego to prawda? A zgony w San Quentin? Na tej kartce opisane są symptomy, które kończyły się albo samobójstwem, albo wylewem krwi do mózgu.

– Rzeczywiście, miało to miejsce.

– Co?!

– Ale to był błąd.

– Błąd?! Kerr powiedziała Hankowi Butcherowi coś innego. Wygląda na to, że chcemy zgładzić niebezpiecznych przestępców. Jak to się stało?

Alice poprawiła okulary.

– Zdarzyło się to tylko raz. Rutynowa kontrola ujawniła wadliwą partię preparatu, który natychmiast został wycofany z użytku. Nie miało to nic wspólnego z właściwym preparatem, testowanym na innych. Ktoś manipulował przy tej serii.

– Manipulował?

– Nie jesteśmy w stanie niczego udowodnić. Kiedy jednak dokładnie sprawdziliśmy wszystkie procedury, podejrzenie padło na Kathy Kerr. Miała dostęp do większości pomieszczeń i urządzeń w Viro-Vectorze, którymi potrafi się posługiwać. Wygląda na to, że czuła się niedoceniona i uszkodziła partię preparatu, żeby utrać projekt. Na szczęście odkryliśmy to we właściwym czasie.

– A co z Axelmanem, Alice? Można by pomyśleć, że chciałaś go zabić w akcie zemsty za Libby.

– O tym, że Axelman zabił Libby, Alice dowiedziała się dopiero po egzekucji – wtrąciła się Madeline. – To był całkowity zbieg okoliczności. I zanim zapytasz, Pamelo, odpowiem: tak, zatuszowałyśmy te zgony. Nie mogłyśmy nic już z tym zrobić. I tak siedzieli w celach śmierci, a jakkolwiek skandal mógłby tylko zagrozić sukcesowi Sumienia i twojej prezydenturze. Wszystkie decyzje, dobre czy złe, podjęłyśmy z myślą o tobie. Chciałyśmy cię ochronić. Kraj potrzebuje ciebie jako prezydenta. Potrzebuje też Sumienia. Nie chciałyśmy zrobić niczego, co mogłoby oznaczać nielojalność względem ciebie. Jesteśmy twoimi najserdeczniejszymi przyjaciółkami. Musisz w to wierzyć.

Pamela przyglądała się im. Alice podejrzewała, że Pam chce im uwierzyć, by móc skupić się na innych, ważniejszych sprawach.

– A jeśli dziennikarz dowiedzie, że DNA Axelmana poddano modyfikacjom?

– To bez znaczenia – zdecydowanie odparła Madeline. – Jego historyjka o celowym zabijaniu przestępców nie trzyma się kupy. Przez ostatnich osiem lat poddaliśmy terapii szesnaście tysięcy mężczyzn i wszyscy oni mają się dobrze. Poza tym zwłoki Axelmana skremowano razem z pozostałą piątką z San Quentin. Nie ma więc możliwości zdobycia dowodów na modyfikacje ich DNA. Co więcej, Axelman był mordercą. Tak jak pozostali, nie miał żadnej rodziny. Nawet jeśli pismak zdobędzie wszystkie dowody świata, i tak nikogo to nie obejdzie. Kathy Kerr najwidoczniej za wszelką cenę chce nam narobić kłopotów. Nie ma jednak żadnych konkretnych dowodów. Pamela potarła skronie.

– A co z preparatem dopuszczonym przez FDA? Kerr twierdzi, że opracowano go dopiero cztery lata temu, długo po tym, jak zaczęliście próby na przestępcach. Czy preparaty się różnią?

Alice wzruszyła ramionami.

– Ściśle rzecz ujmując, tak. Są pewne nieznaczące różnice, ale to nic ważnego. W każdym razie nic takiego, dla czego warto byłoby zawracać głowę FDA.

Pamela usiadła.

– Dlaczego nie załatwiłyście zgody FDA na preparat, którego używałyście do testów?

– Bo został ulepszony. Były pewne drobne problemy związane z oryginalnym preparatem. Potencjalne skutki uboczne.

– Na przykład?

Alice milczała. Pamela pochyliła się do przodu i patrzyła wyczekująco.

– Wystąpiło niewielkie ryzyko wystąpienia raka jąder i prostaty – wyjaśniła Alice.

– Raka?! Testowana przez nas terapia, terapia, która uczyniła mnie prezydentem, powoduje u mężczyzn raka?

– Nie. Po prostu istnieje bardzo niewielkie ryzyko, że mogłaby to spowodować. Ryzyko tak nieznaczące, że praktycznie można je zignorować. Pomyślałyśmy jednak, że lepiej będzie wyeliminować nawet to zagrożenie. Opracowałyśmy więc poprawiony preparat, który testowaliśmy na zdrowych ochotnikach. Ten wirion to wersja 9. Oczywiście wszystkie późniejsze terapie są oparte na nowym wirionie.

Pamela z trudnością panowała nad sobą.

– Okłamałyście FDA? Okłamałyście mnie?

Madeline Naylor pokręciła głową.

– Pamela, tutaj zupełnie nie o to chodzi. Przebadaliśmy ponad szesnaście tysięcy mężczyzn i wszystkim terapia wyszła na dobre. Należało podjąć pewne ryzyko, inaczej cały projekt spaliłby na panewce. Gdybyśmy ci powiedziały, mogłoby to zagrozić twojej pozycji.

– Dopiero teraz moja pozycja jest zagrożona.

– Nieprawda. Gdyby ten dziennikarz miał coś konkretnego, już by to wykorzystał. Kathy Kerr z tylko sobie znanych powodów chce skandalu. Jest zgorzkniałą kobietą, a w jej rodzinie były przypadki chorób psychicznych. Społeczeństwo zaakceptowało twoją wizję świata bez przestępstw. Sprzeczki o szczegóły dotyczące nieznaczących różnic między jedną szczepionką genetyczną a drugą niczego nie zmieniają. Fakty są takie, że w przyszłości wszystkim przestępcom będzie się podawać skuteczną, zatwierdzoną przez Agencję do Spraw Żywności i Leków szczepionkę. To jest ważne dla wszystkich. Gryzpiórek nie ma szans. Zaufaj mi.

Pamela spojrzała na kartkę. Alice widziała, że mięknie.

– Cokolwiek by powiedzieć, źle się stało.

Madeline zacisnęła zęby.

– Nie zrobiłaś niczego złego. To nasza wina. Jeśli jednak chcesz zrezygnować ze wszystkiego, proszę bardzo. Odrzuć szansę tysiąclecia na pozbycie się jednej z największych plag społeczeństwa. Jeśli zechcesz, ja też ustąpię ze stanowiska, ale to nic nie da. Owszem, popełniłyśmy parę grzeszków, ale uzyskałyśmy znacznie więcej dobrych rzeczy.

– A co powiesz na to, że zleciłaś uprowadzenie Kerr i zamknięcie jej w szpitalu psychiatrycznym FBI?

Madeline parsknęła śmiechem.

– To tylko dowodzi, jak zależy jej na wywołaniu skandalu. Moim zdaniem szpital psychiatryczny to idealne miejsce dla niej, ale ja jej tam bynajmniej nie umieściłam. Pamela, z całą pewnością masz na głowie ważniejsze sprawy niż żale obłąkanej biolożki i gryziopórka z aspiracjami do Nagrody Pulitzera. Daj sobie z nimi spokój. Wybacz, że cię zraniłyśmy, nie mówiąc ci wszystkiego, ale chciałyśmy jak najlepiej. Pozwól nam zająć się tymi sprawami, a sama skup się na tym, jak zapobiec wybuchowi III wojny światowej.

Zanim Pamela zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił telefon komórkowy, leżący na stole. Odebrała Alice.

– Tak, agencie Toshack, pani prezydent jest tutaj – potwierdziła. – Tak, będzie gotowa za pięć minut. Dziękuję.

– Pani prezydent, Secret Service czeka, by odwieźć panią do Pentagonu.

Pamela wstała. Alice podniosła się z krzesła, by ją uściskać.

– Pam – powiedziała – nigdy nie zapominaj, że jesteśmy z tobą. Zawsze możesz liczyć na nas.

– Widzę to tak – rzekła Madeline Naylor, wstając, by mocno ją przytulić swymi silnymi ramionami. – Wyruszyłaś w długą podróż i nasza w tym głowa, żebyś dotarła do celu. Zrobie wszystko, żeby tego dopilnować. Wszystko.

Pamela przez chwilę przyglądała się im, a potem uśmiechnęła się i lekko skinęła głową. Wyglądała na wzruszoną.

– Powiedzcie mi jeszcze jedną rzecz. Co zamierzacie uczynić w związku z Kathy Kerr? Zachowuje się jak wściekły pies spuszczonego z łańcucha.

Madeline się roześmiała.

– Tym się nie przejmuj. To nasz problem, nie twój. Porozmawiamy z nią.

Alice patrzyła, jak Pamela wychodzi w eskorcie dwóch agentów Secret Service. Wyglądało na to, że ich występ uspokoił Pamelę. Jednak Kathy Kerr niewątpliwie stanowiła problem.

Po wyjściu pani prezydent Alice przez chwilę milczała, rozważając w myślach to, co zostało tu powiedziane. Spojrzała na zegarek. Za godzinę miała firmowy samolot powrotny do San Francisco.

– Myślisz, że nam uwierzyła? – zapytała, zbierając się do wyjścia.

Madeline skinęła głową.

– Tak, bo nie ma dowodów. I ponieważ chce wierzyć.

– Co zrobimy z Kathy?

Madeline uśmiechnęła się i rozsiadła się w fotelu, splatając dłonie niczym mężczyzna. Jej ciemne oczy lśniły. Wyglądała na zaskakująco pewną siebie. .

– Hank Butcher powiedział mi, że doktor Peters pozwolił jej uciec. Jackson zadzwonił do mnie tuż przed przybyciem Pameli. Zameldował, iż Peters został ukarany, raz na zawsze. Jackson jest na jej tropie. Mówi, że wie, gdzie jej szukać. Wie też, kto pomógł jej uciec.

– Kto?

– Luke Decker.

Alice poczuła skurcz w żołądku. Ostatni raz widziała Deckera, gdy wyprowadzał ją z makabrycznej galerii śmierci, w której jego ojciec umieścił jej córkę.

– A więc to tak Kathy dowiedziała się o Axelmanie?

– Tak. Chyba znają się od dawna. Jednak teraz nie ma to znaczenia. Ludzie Jacksona są fachowcami w tej dziedzinie – powiedziała Madeline, wyprowadzając przyjaciółkę z biura. – Czytałaś ostatniego maila Titanii? Wszystko w jak najlepszym porządku. Pozbyliśmy się już Burbanka, teraz musimy tylko cierpliwie czekać. Kathy Kerr i Luke Decker już wkrótce nie będą stali nam na przeszkodzie.

W czarnej limuzynie mknącej do Pentagonu prezydent Weiss sięgnęła do kieszeni płaszcza. Wyjęła listę pytań i płytę, którą wręczył jej Hank Butcher. Podała dysk Toshackowi, dowódcy oddziału Secret Service. Był jasnowłosym, barczystym mężczyzną średniego wzrostu. Miał dołek w podbródku i dlatego zawsze wyglądał tak, jakby zaraz miał się uśmiechnąć. W rzeczywistości uśmiechał się bardzo rzadko.

– Dostarcz ten dysk generałowi Allardyce'owi z USAMRIID. Powiedz mu, że pilnie potrzebuję szczegółowej analizy. Musisz też sprawdzić niejaką doktor Kathy Kerr. Nie angażuj do tego żadnych innych agencji. Kiedy dostanę odpowiedź?

– Na kiedy ją pani potrzebuje?

– Na wczoraj.

– To nie powinno stanowić problemu, pani prezydent.

Mendoza Drive, Palo Alto
Czwartek, 6 listopada, godz. 19.48

Przyciskając Kathy Kerr do pnia drzewa, Luke Decker czuł, że przegrał. Znalazł się w pułapce. Sprawdził magazynek swojego SIG-a. Zastanawiał się, czy da radę trafić w światło spoza pnia drzewa. Wątpliwe. Sądząc po oślepiającym blasku, był to popularny w FBI ręczny reflektor z dwustuwatową żarówką. Emitował regulowany strumień światła, który oślepił każdego.

– Radzę, żebyście wyszli zza drzewa – powtórzył głos należący do człowieka trzymającego latarkę. – Jeśli tego nie uczynicie, nie będziemy mogli zagwarantować wam bezpieczeństwa.

– Tak... – mruknął Decker. – Jakby nasze bezpieczeństwo było ich największym zmartwieniem. – Spojrzał w lewo. Osłaniając oczy, mógł jedynie dostrzec klatkę Rocky'ego. Ten głos nie należał do Jacksona.

Ale było tu przynajmniej dwóch jego kumpli, co też dobrze nie wróżyło. Jeden z nich trzymał światło, drugi krążył po ogrodzie.

– Kathy – powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił – obserwuj, co dzieje się za nami. Patrz, czy nikt nie zamierza odciąć nam drogi. Śledź strumień światła, każdy cień, ruch.

Mimo że w oczach Kathy widać było strach, zachowywała spokój.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała.

– Nie mam pojęcia, ale trzeba coś zdecydować. – Wziął głęboki wdech, rozważając wszelkie możliwości. Pozostawało mu jedynie przeturlać się na prawo od drzewa i strzelić w kierunku dochodzącego ich głosu. Prawdopodobnie spudłuje, ale zmusi faceta do poruszenia latarką, umożliwiając Kathy ucieczkę. Pewnie zawahają się, zanim strzelą do Kathy. Nawet dyrektor Naylor nie znalazłaby uzasadnienia zabójstwa Kathy Kerr w jej własnym ogrodzie. On sam zamierzał strzelać do każdego, kto mu się nawinie.

– Kathy – wyjaśnił, nie patrząc na nią – kiedy zacznę strzelać, biegnij w lewo, uciekaj, gdzie pieprz rośnie.

– A co z tobą?

– Na miłość boską, ten jeden raz nie kłóć się ze mną.

Zamierzała zaprotestować, ostatecznie jednak tylko westchnęła.

– Dobrze.

Napiął mięśnie, chwycił broń w obie dłonie i już miał wyturlać się zza drzewa, żeby wystrzelić jak najwięcej z posiadanych siedemnastu naboju, kiedy usłyszał ryk i przeszywający wrzask.

Rozległ się głuchy odgłos wystrzału. Snop światła zamigotał jak oszalały, kreśląc na nocnym niebie łuki przypominające pokazy laserów. Decker dostrzegł męczyznę mocującego się z rozwścieczoną bestią. Drugi biegł ku nim z pistoletem w ręce. Nie strzelał,

bo bał się trafić swojego partnera. Nie czekając ani sekundy dłużej, Luke złapał Kathy za ramię i postawił ją na nogi.

– Chodźmy – zawołał.

– Ale co z dowodami?

– Zapomnij o nich. Biegnijmy.

– Nie możemy zostawić Rocky'ego!

W tym momencie ustały krzyki, a latarka wykonała kilka obrotów w powietrzu i upadła tuż przed nimi. Świeciła w przeciwnym kierunku, ciągle zaciśnięta w ręce oderwanej człowiekowi.

– To chyba znaczy, że nie musimy się już martwić o Rocky'ego – powiedział Luke, a Kathy ominęła urwaną kończynę, starając się na nią nie patrzeć. – Myślę, że poradzi sobie sam.

W tym momencie usłyszał dwa stłumione wystrzały i zrozumiał, że się mylił. Rocky ryknął i zamilkł. Jego ciało grzmotnęło o ziemię.

– Chodź! – krzyknął, wciągając Kathy do domu przez otwarte drzwi wychodzące na taras.

Przed frontem domu stał chrysler należący do ludzi Jacksona. Decker wystrzelił dwa pociski w przednie opony i podbiegł do wypożyczonego przez siebie auta. Wsiadł i zaczął na Kathy. Potem włożył kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik. Kiedy zawrócili i pędzili wzdłuż Mendoza Drive, Decker ujrzał we wstecznym lusterku postać wychodzącą z budynku i wyciągającą w ich kierunku broń. Nie martwił się tym, że napastnik będzie do nich strzelał, ale mógł rozpoznać ich samochód i ustalić, kto go wynajął.

A jeśli już odkryto, że jest zamieszany w całą tę sprawę? Fakt, że znalazł się w niebezpieczeństwie, wcale go nie martwił. Bał się nie o siebie.

Sprawy wymykały mu się spod kontroli. A właściwie wymknęły się już całkowicie.

Spojrzał na siedzącą obok niego Kathy. Była blada.

– Musimy się pośpieszyć – powiedział i docisnął pedał gazu.

Kathy Kerr czuła mdłości, kiedy pędzili drogą 101 w kierunku świateł przedmieścia San Francisco. Dowody, których potrzebowali, ich jedyna nadzieja na oddalenie zarzutów, zostały w jej domu.

Nie zwróciła uwagi na szarego chryslera, jadącego w przeciwnym kierunku. W każdym samochodzie, na który spojrzała, jechali uśmiechnięci, normalni ludzie. Żyli sobie spokojnie, nieświadomi tego, przez co ona przechodziła.

Kiedy minęli zjazd na lotnisko, spojrzała na Deckera, który nie odrywał wzroku od drogi. Jechał tak szybko, jak tylko mógł. W pewnym momencie uderzył dłonią w kierownicę.

– Cholera, cholera, cholera! Jak mogłem być tak cholernie głupi?

– Co?

– Jeśli skojarzą mnie z tą sprawą, wykorzystają Matty'ego, żeby nas dorwać. Musimy natychmiast zabrać go w bezpieczne miejsce.

Kiedy Kathy zrozumiała, o czym Decker mówi, cała sytuacja nabrała dla niej nowego znaczenia. Nie chodziło już tylko o powstrzymanie Madeline Naylor i Alice Prince. Może

Luke miał rację, kiedy powiedział, że powinna o wszystkim zapomnieć. Co więcej mogła osiągnąć, poza narażeniem tych, którzy jej pomogli?

W mieście Decker skręcił w aleję South Van Ness w kierunku Marina. Minęli Pacific Heights, jadąc na Broadway. Nic nie mówili do siebie. Kiedy podjechali pod wiktoriański domek Matty'ego, Kathy zobaczyła, jak Decker marszczy brwi i czujnie mruży oczy. Wejściowe drzwi były otwarte na oścież, w oknach nie paliło się żadne światło.

Luke zaparkował samochód i wyłączył silnik.

– Dziadek zawsze zostawia zapalone przynajmniej jedno światło – odezwał się ściszym głosem. – I nigdy nie zostawia drzwi otwartych na oścież. Kathy, zostań tu, a ja sprawdzę dom. – Wskoczył z samochodu, podbiegł do ganku i zniknął we wnętrzu budynku.

Ignorując polecenie Luke'a, Kathy otworzyła drzwi i udała się jego śladem. W przedpokoju bezskutecznie próbowała zapalić światło. Wyglądało to tak, jakby wysadziło wszystkie korki. Stopniowo jej oczy przyzwyczały się do ciemności, rozjaśnianej jedynie światłem księżyca i ulicznych lamp. Po jej lewej stronie znajdowała się spustoszona jadalnia. Wyciągnięto wszystkie szuflady, a ich zawartość rozrzucono po stołach i podłodze. Przewrócono krzesła i zdarto z nich obicie. Po prawej stronie, za podwójnymi drzwiami prowadzącymi do pokoju gościnnego, wszystko wyglądało podobnie. Jeśli była to robota Jacksona i jego ludzi, to w jaki sposób tak szybko dowiedzieli się o Deckerze i Mattym?

– Dziadziu, jesteś tutaj? – głos Deckera dobiegał z pierwszego piętra.

Kathy weszła na górę. Zanim dotarła na piętro, po raz kolejny usłyszała głos Deckera. Tym razem było w nim rozpaczliwe niedowierzanie.

Na górze Kathy skręciła w lewo, w kierunku pokoju muzycznego, którego okna wychodziły na zatokę. Coś leżało na podeście. Przyjrzała się i dostrzegła złotego labradora Matty'ego, Brutusa. Wywalony język. Szeroko otwarte szkliste oczy. Dwie czerwone plamy na szyi. Przebiegł ją zimny dreszcz. Skurwiele zastrzelili psa przewodnika. Stojąc obok Brutusa, zobaczyła otwarte drzwi prowadzące do pokoju muzycznego. Otwarte było też duże okno balkonowe. Silna morska bryza wpadała do pokoju, jakby niosąc ze sobą światło księżyca, które tworzyło na dywanie widmową figurę w kształcie trapezu. Reszta pokoju spowita była w ciemnościach, ale Kathy mogła dojrzeć bałagan: zrzucone z pianina fotografie, leżące na podłodze skrzypce i połamany metronom.

W oświetlonym miejscu na środku dywanu klęczał Decker. Łzy spływały po jego policzkach. Tulił w ramionach dziadka, przyglądając się jego dłoniom. Kiedy się odezwał, każde jego słowo przepelniała żal. Kathy zasłoniła usta dłonią, aby nie wybuchnąć płaczem. Czuła przerażenie zmieszane z poczuciem winy. Napastnicy zrobili to po to, żeby ją odnaleźć.

– Połamali mu wszystkie palce – powiedział Decker przez łzy. – Nawet cholerni naziści nie zrobili mu czegoś takiego.

Przycisnął dziadka mocniej do piersi. Starał się opanować żal i wściekłość, które w nim narastały.

Czuł się winny, kiedy pomyślał, jak ten dzielny starszy człowiek cierpiał i umarł samotnie, próbując go ratować. On, który przeszedł już tak wiele w swoim życiu. Jackson

musiał odkryć udział Deckera w ucieczce Kathy i wysłał jeden samochód, żeby sprawdzić jej dom, a sam przyjechał tutaj. Ale jak dowiedział się o nim? Powiedział mu doktor Peters? Ale Peters nie wiedział, z kim miał do czynienia. Nie mogli namierzyć tak szybko jego samochodu. Pozostawała jedna jedyna możliwość. Hank Butcher się wygadał.

Wściekłość i poczucie winy, jakie odczuwał Decker, były niczym w porównaniu z dojmującym uczuciem straty. Chciał krzyknąć. Bez Matty'ego był jak dryfujący rozbitek bez bezpiecznej przystani na kapryśnym morzu. Nie było już kompasu, liny ratunkowej, mocującej go do przyzwoitego życia. Matty był lekarstwem na świadomość, że w jego żyłach krąży krew Axelmana. Poczucie, że wychował go dziadek, dawało Deckerowi nadzieję.

Teraz jednak Matty już nie żył.

Spoglądając na jego porytą bruzdami twarz, Decker zamknął wpatrzony martwo w przestrzeń błękitne oczy. Pogłaskał Matty'ego po głowie i poprzysiągł, że go pomści, że sprawi, by jego śmierć nie poszła na marne.

Usłyszał, jak Kathy klęka obok, poczuł, jak go obejmuje.

– Tak mi przykro, Luke – wyszeptała. Jej delikatne dłonie głaskały go po szyi z taką samą czułością, z jaką on głaskał dziadka. – Gdybyś mi nie pomógł, pewnie nigdy by się to nie stało.

– Ale się stało – odparł. Obrócił się i spojrzał na nią. Jej oczy pełne były smutku. – Kathy, miałaś rację. Tu chodzi o coś znacznie poważniejszego niż Sumienie. Musimy się dowiedzieć, co tak naprawdę robią, powstrzymać ich. Nie znoję świadomości, że śmierć Matty'ego była bezsensowna...

W tym momencie usłyszał jakiś dźwięk. Decker zamarł. Po płytkim oddechu Kathy poznał, że ona też to słyszała. Kroki. Tuż za nimi. Po chwili usłyszeli głęboki i łagodny męski głos.

– Będziesz potrzebował pomocy. Tyle tylko mi powiedział. Decker obrócił się i zobaczył wielką postać wyłaniającą się z cienia.

Za górującym nad nim mężczyzną stało dwóch innych. Po chwili rozpoznał kruczoczarne włosy i duży rzymski nos Joeya Barziniego. Barzini ukląkł, ale był tak ogromny, że ciągle wydawało się, iż stoi. Światło księżycy oświetlało jego błękitne oczy pełne łez, kiedy tak patrzył na skurczone ciało Matty'ego. Delikatnie, niczym ojciec dotykający swe pierworodne dziecko, oglądał jego połamane palce.

– Przyjacielu, drogi przyjacielu, co oni ci zrobili? – wyszeptał, po czym zwrócił się do Deckera. – Twój dziadek dzwonił do mnie. Powiedział, że masz poważne kłopoty. Wyjaśnił mi, o co chodzi, a ja obiecałem mu, że przyjdę wieczorem. – Zrobił krótką przerwę. – Niestety zjawiłem się zbyt późno. – Joey Barzini spojrzał na Kathy, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Deckera. – Jedyne, co mogę zrobić teraz dla Matty'ego, to pomóc wam dwojgu – podjął. – Chodźcie ze mną. Musicie powiedzieć mi więcej o tym, co się dzieje. – Zamilkł na chwilę. Decker zastanawiał się, co tak naprawdę o nim wie. Władze nic nie mogły zarzucić Barziniemu, ale pochodził z rodziny znanej w świecie przestępczym. Jednak dziadek lubił go i cenił tak bardzo, że wezwał go na pomoc, kiedy on i Kathy mieli kłopoty. – Luke – ciągnął Barzini, jakby odczytując wątpliwości wypisane na twarzy Deckera. – Wiem od

Matty'ego, co myślisz o moich powiązaniach rodzinnych. Nie jestem z nich dumny. – W tym momencie na jego poważnej twarzy zagościł na moment uśmiech. – Ale wierz mi, czasem do czegoś się przydają.

*Alexandria w stanie Wirginia
Piątek, 7 listopada, godz. 2.30*

Dyrektor Naylor była zła, że ta gromadka jakoś umknęła jej uwagi. Pociągnęła za spust i ruszyła dalej. Do furii doprowadzało ją to, że jakkolwiek szybko by je zabijała, to i tak wkrótce wracały. Nigdy nie uda się jej zgładzić wszystkich.

Trzymała w ręce, niczym pistolet, spryskiwacz ze środkiem owadobójczym. Kroczyła wśród równych szpalerów juk, fiołków afrykańskich i rzadkich orchidei w oranżerii przy jej domu w Alexandrii, na ekskluzywnym przedmieściu Waszyngtonu. Z upstrzonego chmurami nieba ponad szklanym dachem klimatyzowanego pomieszczenia spoglądał lodowaty księżyc. Zadaszony ogród był jednym z pomieszczeń w jej domu, przyległym do przestronnego salonu. Zbudowana w całości ze szkła oranżeria umożliwiała jej kontrolę nad wszystkim, co tam rosło.

Gdy usatysfakcjonowana wreszcie skończyła pracę, otworzyła drzwi do salonu, naląła sobie szklaneczkę Jacka Danielsa i ułożyła się w rozkładanym fotelu przed dużym telewizorem. Jedną ze ścian pokoju zajmował duży kamienny kominek. Na drugiej mieściło się wejście do oranżerii. Trzecią i czwartą ścianę od podłogi po sufit pokrywały książki z różnych dziedzin, ale przede wszystkim dotyczące historii i ogrodnictwa, oraz kasyety i płyty kompaktowe.

Naylor wzięła prysznic. Jej długie, białe włosy opadały na okryte niebieską podomką ramiona. Błada twarz, pozbawiona makijażu, sprawiała wrażenie niemal przezroczystej, niczym cieniutka warstwa masy perłowej. Wycelowała pilotem w domowy system multimedialny i pograżyła się w muzyce Wagnera, zapominając o obowiązkach służbowych, Spirali Zbrodni, Kathy Kerr i Deckerze.

Według Titanii, wszystko było w porządku. Naylor wyperswadowała samej sobie, że nie może zrobić już nic więcej. Wkrótce położy się do łóżka i ustawi budzik na szóstą rano. Potrzebuje tylko kilku godzin snu.

Jak zawsze, gdy chciała się odprężyć, myślała o ogrodzie, o pielęgnacji ukochanych roślin. A potem cofnęła się do swych czternastych urodzin i prezentu od Alice.

Jeśli nie liczyć Alice, Madeline nie miała w szkole przyjaciół. Z powodu jej agresywnego usposobienia i białych, nastroszonych włosów większość dzieci uważała ją za dziwną, niebezpieczną. Nic więc dziwnego, że na czternaste urodziny nie dostała żadnych kartek ani prezentów.

Madeline nie była jednak z tego powodu nieszczęśliwa. Jej babcia, pani Preston, zabraniała jej zapraszać chłopców do domu. Sama też unikała mężczyzn. Mówiła, że są „inni” i nie można im ufać. Madeline to nie przeszkadzało, tym bardziej że babcia pozwalała, by odwiedzała ją Alice. Na urodziny babcia zrobiła Madeline świąteczne śniadanie – truskawki z bitą śmietaną i mleko czekoladowe.

Świeciło czerwcowe słońce. Po śniadaniu Madeline wyszła do ogrodu. Dom jej babci to wielka willa w kształcie litery „U”. Madeline uwielbiała penetrować stare pokoje, ale najbardziej lubiła ogród. Był tak wielki, że Madeline mogła mieć tam swój własny kącik. Wolno jej tu było uprawiać, co tylko zechciała. Na przekrzywionych drzwiczkach umieściła tabliczkę z zakazem wstępu. Nawet babcia pukała przed wejściem, gdy przynosiła jej lemoniadę i herbatniki.

W swe urodziny Madeline jak zwykle pielęgnowała kwiaty i wyrywała chwasty. Stworzyła dokładnie uporządkowany świat regularnych grządek i ścieżek. Szpalery słoneczników stały na baczność obok wypielęgnowanych nagietków. Dziś, jak zazwyczaj, większość czasu poświęcała na zabijanie mrówek, od których roiło się na ścieżkach i grządkach. Jej ogród był jedynym miejscem, gdzie mogła eliminować wszystko, czego nienawidzi w świecie zewnętrznym. Marzyła tutaj, że źli ludzie, zabójcy jej ojca, zostaną ukarani. Że matka, która ją porzuciła, wróci. Tu mogła panować nad wszystkim.

Wszędobylskie mrówki wciąż jednak nie dawały jej spokoju. Czegokolwiek by próbowała, nie potrafiła się ich pozbyć. Rabaty były poorane dziurami, które wykopała w poszukiwaniu mrówczych gniazd. We wszystkich narożnikach kwadratowego, otoczonego murem ogrodu stały słoiki po majonezie pełne martwych mrówek. Słoiki miały odstraszać inne mrówki, ale wydawały się tylko potęgować problem. Im szybciej je zabijała, tym szybciej powracały.

– Madeline... Madeline... – zawołał zza muru cichy podniecony głos. – Jesteś tam?

– Tak, wchodź.

Ogródek Alice mieścił się po drugiej stronie przeciwległej ściany. Alice często wspinała się na mur, by bawić się z Madeline w tajemniczym ogrodzie. Madeline śmiała się, gdy przyjaciółka tyłem, niezgrabnie gramoliła się ponad murem.

– Nie śmiej się, bo nie dostaniesz prezentu – ostrzegła Alice, lądując na ziemi przy słonecznikach. Okulary przekrzywiły się jej na nosie. Mimo że było ciepło, miała na sobie sukienkę z długimi rękawami.

– Prezent? – Madeline nie potrafiła opanować podniecenia. – Masz dla mnie prezent?

– Taki drobiazg. – Alice spojrzała na dziury w ziemi. – Ale przyda się. – Gdy sięgnęła do torby, jeden z rękawów sukienki podwinął się i Madeline zobaczyła fioletowo-żółty siniak na przedramieniu Alice. Widać było odciski palców, gdzie duża dłoń ścisnęła jej rękę.

– Kto ci to zrobił? – Nie musiała pytać, co to jest. Jej własny ojciec bił ją tyle razy, że dobrze wiedziała, czym są siniaki.

Alice nerwowo pokręciła głową i szybko opuściła rękaw.

– To nic takiego.

– Czy to twój tata? – drażyła Madeline. Ojciec Alice był szanowanym lekarzem, ale ojciec Madeline był szanowanym gliną i też ją bił. Poczula pewną satysfakcję. Zawsze zazdrościła Alice idealnych rodziców. Poczula się teraz jej bliższa, widząc, że przyjaciółka też ma złego ojca.

– Często cię bije?

Alice nie dała się wyciągnąć na zwierzenia.

– Chcesz prezent, czy nie?

Madeline nie drażyła tematu, odłożyła sprawę na później.

– Jasne.

Gdy Alice wyciągnęła z torebki małe zawiniątko i włożyła je do ręki, pierwszą reakcją Madeline było rozczarowanie. Dostała zawinięty w niebieski papier cylinderek, mniejszy niż jej palec.

– Otwórz – ponagliła ją Alice, nerwowo poprawiając okulary. – Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Madeline zdarła niebieski papier i ujrzała małą buteleczkę. Wyglądała jak jedna z tych, w których jej babcia trzymała krople do oczu. Otworzyła i powąchała.

– Syrop klonowy? – Chciała spróbować palcem, jak smakuje, ale Alice zawołała:

– Nie jedz tego! Nie wolno tego jeść!

– Dlaczego? Co to jest?

Alice zabrała jej buteleczkę i kucnęła przy szpalerze mrówek u podstawy ściany. Zerwała liść słonecznika, położyła go na ziemi i kapnęła nań kropelkę syropu.

– Patrz.

Mrówki najpierw krążyły wokół kropli, a później zaczynały ją jeść.

– Czy to trucizna? – zapytała zachwycona Madeline.

– To lepsze niż zwykła trucizna – odpowiedziała Alice. Jedzące mrówki po chwili poszły dalej, robiąc miejsce dla innych.

– Więc jak to działa?

– Przeczytałam, że syrop klonowy i chemikalia, które z nim wymieszałam, powinny zwabić mrówki. Później, gdy wrócą do gniazda, wymiotują to, co zjadły, aby nakarmić królowe. Chemia powinna zabić królowe, zanim zdążą złożyć jajeczka. Główna trucizna to trichlorofon, ale dodałam trochę według własnego pomysłu. Działa powoli, dlatego zabije nie tylko mrówki, które to zjadły, ale też całe gniazdo. Dlatego nie musisz kopać. Mrówki załatwią za ciebie całą robotę.

Zachwycona Madeline śmiała się z radości.

– Niesamowite. Sama to zrobiłaś?

– Tak. Nie było to specjalnie trudne. Tata ma trochę chemikaliów w szopie, resztę znalazłam w szkolnym laboratorium. To powinno rozwiązać twój problem z mrówkami. Raz na zawsze.

Piii-ppiii-ppiiip.

Natarczywy dźwięk wyrwał Naylor z zadumy. Odtwarzacz płyt kompaktowych zamilkł, a z głośników dał się słyszeć miękki kobiecy głos.

– Połączenie telefoniczne w systemie multimedialnym. Proszę odebrać.

Naylor potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie. Była niezadowolona, że zakłócono jej te chwile wspomnień. Sięgając po telefon, myślami wciąż była w czasach dzieciństwa, kiedy to magiczny eliksir Alice w ciągu kilku tygodni wytępił wszystkie mrówki w jej ogrodzie.

– Madeline, mówi Bill McCloud – usłyszała. – Jestem w Centrum Operacyjnym w

kwaterze głównej i oglądam zdjęcia satelitarne. Chyba zechcesz tu przyjechać i też to zobaczyć. Irak szykuje się do inwazji na Kuwejt.

*Kwatera główna FBI, Waszyngton
godz. 3.07*

Pół godziny później Naylor była już w Centrum Operacyjnym na parterze Hoover Building przy Pennsylvania Avenue. Patrzyła na blisko dwumetrowy ekran. Po prawej ręce miała wicedyrektora Billa McClouda, jeszcze bledszego niż zwykle. W słabo oświetlonym pomieszczeniu wokół stołu siedziało trzech innych wysokiej rangi urzędników Biura. Z dzbanka na podgrzewaczu przy drzwiach rozchodził się aromat kawy.

– Zrobią to – mruknął McCloud, pocierając stalowoszare oczy. W jego napiętym głosie brakowało typowego dla niego luzackiego tekszańskiego akcentu.

– Na to wygląda – zgodziła się Naylor, wpatrując się w ekran. Próbowwała mówić spokojnie, co nie było łatwe. Według Titanii nie powinno być do tego. – Czy wszystkie kontyngenty międzynarodowe są na miejscu?

– Oczywiście – potwierdził Ray Tateb, niski, korpulentny mężczyzna, dowodzący sekcją śledczą biura. – Uaktualnił listę sympatyków Iraku. Najbardziej niebezpieczni są pod obserwacją i można ich zgarnąć w każdej chwili. Wszystkie większe obiekty zagrożone terroryzmem są strzeżone.

Naylor w milczeniu skinęła głową, nie odrywając oczu od ekranu. Przekaz pochodził z CNN, ale jakością nie ustępował transmisjom z satelitów rządowych. W prawym górnym rogu na białym tle niewyraźnie rysowało się złote logo CNN. Na początku obraz – tysiące ciemnych punktów przesuających się po żółtym tle – niewiele jej mówił. Przypominało to mikroskopowy obraz zakażonych komórek, rozprzestrzeniających się w organizmie.

– Może chce pani posłuchać sprawozdania CNN? – zapytał jeden z agentów stojących za nią.

– Tak – odpowiedziała, wpatrzona w ekran.

Nie miała ochoty wdawać się w rozmowę.

– To niesamowite – mówił komentator z brytyjskim akcentem dzięki dostępowi do Kamagachi, satelity wysokiej rozdzielczości, pokazujemy państwu coś, co może okazać się pierwszą w historii telewizyjną relacją na żywo z wybuchu wojny. W tej chwili technicy próbują jeszcze bardziej powiększyć obraz. W Iraku jest bezchmurny dzień i wkrótce powinniśmy zobaczyć sylwetki czołgów. Są już mniej niż piętnaście kilometrów od trzydziestego drugiego równoleżnika. Jeśli Gwardia Republikańska przekroczy tę linię, potwierdzi tym swój zamiar inwazji na Kuwejt. A wówczas siły sprzymierzone ONZ, pod dowództwem Stanów Zjednoczonych, będą zmuszone do działania.

Naylor pochyliła się do przodu. Wybór irackiej armii okazał się usprawiedliwiony dla rozpoczęcia drugiej fazy Spirali Zbrodni. Był to doskonały test w warunkach bojowych przed wydaniem ostatecznej zgody na rozpoczęcie fazy trzeciej. Z powodu kryzysu irackiego przyspieszono nawet fazę drugą. Teraz wyglądało na to, że podjęto decyzję zbyt późno. Nie

powinno dojść do wybuchu wojny.

Wzięła spory łyk czarnej kawy i patrzyła, jak obraz ciemnieje, by po chwili powrócić w znacznym powiększeniu. Teraz wyraźnie widziała ślady na piasku i oznaczenia na czołgach. Po pustyni w równych szeregach posuwało się tysiące maszyn. Dostrzegła nawet wystające z wieżyczek hełmy dowódców. Ciekawe, czy Alice to ogląda. Pamela oglądała na pewno, w Centrum Operacyjnym gdzieś głęboko pod Pentagonem.

– Prezydent Weiss i inni światowi przywódcy potwierdzili, że siły ONZ zaatakują irackie czołgi i zniszczą je, jeśli tylko przekroczą linię demarkacyjną – ciągnął reporter. – Wszyscy zadają sobie pytanie, co wtedy zrobi iracki prezydent. Według naszych źródeł Irak ma co najmniej dziesięć głowic uzbrojonych w wirusy. Rakiety są wycelowane w wybrane miejsca na całym świecie i gotowe do wystrzelenia, jeśli tylko przeszkodzi mu się w odzyskaniu Kuwejtu, który uważa za iracką prowincję. Siły sprzymierzone zagroziły, że dokonają ataku nuklearnego na Bagdad, jeśli Irak użyje broni biologicznej. Nie da się ukryć, że jest to chrzest bojowy dla Pameli Weiss, nowej prezydent Stanów Zjednoczonych. Wkrótce przekonamy się, czy kobieta potrafi prowadzić wojnę.

Obraz satelitarny przesuwiał się po bezmiarze pustyni. Ekran był upstrzony ciemnymi kształtami czołgów. Może Titania się pomyliła? Naylor patrzyła, jak na jej oczach rozpętuje się kolejna wojna światowa.

Przypomniała sobie relację starożytnego historyka Herodota, dotyczącą perskiego króla Kserksesa. Kserkses płakał, patrząc, jak jego liczna armia maszeruje przez Hellespont do Grecji. Opłakiwał tych ludzi, których za sto lat nie będzie już wśród żywych.

Naylor nie uroniła ani jednej łzy. Popijała kawę. Tylko mężczyzna mógł się tak wzruszyć, patrząc na innych mężczyzn, którzy wkrótce mieli wziąć udział w barbarzyńskiej wojnie. Wiedziała, że wszyscy ci mężczyźni na ekranie, jak też i inni, będą martwi w znacznie krótszym czasie. Nie czuła jednak smutku ani wyrzutów sumienia.

Część czołgów wydawała się wyłamywać z szyku. Obraz z kamery wrócił do słabszego powiększenia, a na ekranie nagle pojawiła się czerwona linia. Choć oddalona o wiele kilometrów, zdawała się być nieprawdopodobnie blisko zbliżającego się zwartego roju czarnych punktów. Naylor wyobrażała sobie, jak Weiss w Centrum Operacyjnym, świadoma tego, że przyszłość leży w jej rękach, wspólnie z doradcami podejmuje decyzje.

Nagle falanga punktów zaczęła się rozsypywać. Niektóre przestały się nawet poruszać. Naylor nie była jednak pewna, czy rzeczywiście widzi to, co tak bardzo chciała zobaczyć.

– Są niecałe piętnaście kilometrów od trzydziestego drugiego równoleżnika – coraz bardziej napiętym głosem kontynuował komentator. – Czerwona linia wyznacza granicę, której nie wolno im przekraczać. Chwila! Coś się dzieje!

Pochylona w kierunku ekranu Naylor, ściskając kubek z kawą, obserwowała, jak czołgi coraz bardziej zwalniają, by wreszcie się zatrzymać.

– Zróbcie zbliżenie, do cholery – niecierpliwił się siedzący obok McCloud.

Przełączono ekran na wyższą rozdzielczość. Niemal można było rozróżnić twarze poszczególnych żołnierzy.

– Losy świata wiszą na włosku – ogłosił komentator. – Co oni zrobią? Czy czekają na

ostateczny rozkaz do ataku?

Zwarty szyk zaczął stopniowo przeradzać się w chaos. Niektóre czołgi i transportery zawracały. Żołnierze wyskakiwali z ciężarówek, rzucali broń i odchodzili.

– Jezu! – cicho jęknął McCloud. – Co tu się dzieje?

Naylor patrzyła bez słowa. Pragnęła, żeby to się nie skończyło.

– Nie uwierzyłbym, gdybym nie widział tego na własne oczy – piał komentator. – Czołgi zawracają. Wielu żołnierzy rzuca broń i pieszo odchodzi na pustynię. Oficerowie i inni żołnierze próbują zatrzymać ich siłą. Niektórzy dowódcy strzelają do uciekinierów. Niepojęte jest to, że dezercerzy, których są już tysiące, nie odpowiadają ogniem. Po prostu odwracają się plecami i odchodzą. Od ponad dwudziestu lat jestem korespondentem wojennym, ale ani razu nie widziałem czegoś takiego.

Liczba dezercerów wciąż rośnie. Pozostałe czołgi również zawracają. Wygląda na to, że w ostatniej chwili, na krawędzi wojny, Armageddon został zatrzymany.

Mężczyźni obecni w pokoju razem z Naylor nagle wybuchli spontanicznym aplauzem.

W piersi Naylor wezbrało uczucie dumy. Titania miała rację. Jej prognozy okazały się doskonałe. Zagrożenie wojną nuklearną zostało oddalone. Ludzkości oszczędzono bezmyślnej męskiej agresji.

Wyobraziła sobie, jak reszta świata, w tym Weiss, oddycha z ulgą. Po takim spektaklu z pewnością doceni to, czego dokonały. Spirala Zbrodni zaczęła wreszcie się obracać, a przyszłość przedstawiała się teraz w jaśniejszych barwach.

Tiburon, Kalifornia
Piątek, 7 listopada, godz. 0.11

Kathy Kerr powoli sączyła czerwone wino i dłużyła widelcem w talerzu pełnym parującego makaronu. Nie mogła się odprężyć. Poczucie winy stało gulą w jej gardle, zmusiła się jednak do jedzenia, bo wiedziała, że potrzebuje energii. Nie mogła pozbyć się myśli, że to ona była winna wszystkim wydarzeniom.

Siedziała z Lukiem Deckerem i Joeyem Barzinim przy drewnianym kuchennym stole w jego pięknym rodzinnym domu. Zdjęcia rozwieszane po całej kuchni przedstawiały piątkę dzieci Barzinięgo, w różnym wieku. Kathy ciągle czuła się zagrożona i widziała, że Decker również ma poważne obawy. W tym domu musieli być służący, ale nie widziała ani jednego z nich. Carmela, żona Barzinięgo, ugotowała im makaron i przygotowywała właśnie ich pokoje.

Decker pił wino, nie tknąwszy makaronu. Ciągle był w szoku. Barzini na użytek policji zmyślił historię, jak to przychodząc w odwiedziny do swojego przyjaciela Matty'ęgo, znalazł jego zwłoki. Trzymał Deckera i Kathy z dala od całego zamieszania. Limuzyną zabrał ich do Tiburon.

Kiedy zajechali pod jego dom, Barzini opowiedział im o śmierci prezydenta i zaprzysiężeniu Pameli Weiss. Po wszystkim, co stało się tego wieczoru, był to dla nich dodatkowy wstrząs. Teraz, tuż po północy, Decker czuł się tak samo wykończony, jak Kathy. Zdecydowali jednak, iż nie pójda spać, dopóki nie omówią wszystkiego.

– Zacznięcie od początku i opowiedzcie mi o wszystkim – poprosił Barzini, grzejąc dłonie o wielki kubek espresso.

Kathy, ciągle niepewna, czy może mu zaufać, spojrzęła na Deckera. Decker wzruszył ramionami.

Przez kilkanaście kolejnych minut Kathy opowiadała Barzinięmu o projekcie Sumienie i wszystkim, co wydarzyło się potem. Powiedziała mu o teście DNA Deckera i o tym, jak doprowadziło ją to do Axelmana i innych więźniów skazanych na śmierć w San Quentin, którzy otrzymywali terapię genową podobną do Sumienia. Opowiedziała, jak została porwana przez ludzi Madeline Naylor i uratowana z Sanktuarium przez Deckera.

Wspomniała też o tym, jak Decker skontaktował się z dziennikarzem Hankiem Butcherem, jak chcieli za jego pośrednictwem przekazać dowody Pameli Weiss i jak to wszystko się skończyło.

– Byliście tam dziś wieczorem? Zebraliście dowody? – upewnił się Barzini.

– Tak – odparł cicho Decker. – Wtedy właśnie zabito Matty'ęgo, a my wróciliśmy z pustymi rękoma.

– Jak ważne były te materiały? – zapytał ponownie Barzini. – Czego tak naprawdę dowodzą?

– Dotyczą nielegalnych testów klinicznych Sumienia na przestępcach przy użyciu

potencjalnie niebezpiecznego wiriona – odparła Kathy.

Barzini zmarszczył brwi.

– Innego niż wirion, który został zatwierdzony przez FDA?

– Tak.

Barzini wyglądał na zdziwionego.

– Czyli że w trakcie tych nielegalnych testów ryzykowano życie kilku zatwardziałych kryminalistów, mając nadzieję na stworzenie innego, lepszego leku, który pomoże zlikwidować przestępczość. Jeśli wyszłoby to na światło dzienne przed wyborami, rozumiem, że byłyby kłopoty. Ale teraz, kiedy Sumienie dostało akceptację, a Weiss doszła do władzy, dlaczego mieliby przejmować się tym, że ktoś zna prawdę?

Z łatwością mogliby to wytłumaczyć. Nie zabija się ludzi z takich powodów.

– Ale dysk z DNA Axelmana dowodzi, że ich testy zabiły przynajmniej jedną osobę – dodała Kathy.

Barzini pokręcił głową.

– Mogliby powiedzieć, że to wypadek. A nieszczęśliwą ofiarą był skazany na śmierć przestępca. Korzyści z ich pracy znacznie przewyższają poniesione straty. Ale czemu zabili Matty'ego?

Kathy westchnęła.

– Mogę dowieść, że zamierzali zabić Axelmana. Wiem, jak stworzyć wirion, który może to zrobić. Dlatego nie dają mi spokoju. Coś planują i boją się, że mogę tym planom zagrozić.

Decker pochylił się nad stołem.

– Kiedy dowiemy się, co to za plany, będzie można ich powstrzymać.

Barzini powoli popijał espresso.

– A jak myślicie, co planują?

Kathy wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że próbują zabijać przestępców, ale Luke nie wierzy, żeby było to wykonalne. Jednak ciągle nie przychodzi mi do głowy nic lepszego. Może chodzi o najgroźniejszych więźniów. Gdyby zapadli oni na tajemniczą chorobę i umarli, łatwiej byłoby utrzymać w ryzach innych. A wyborców wcale nie obchodzi, co się dzieje w więzieniach o zaostrożnym rygorze. Grunt, żeby obniżyć koszty ich utrzymania.

Decker zmarszczył czoło.

– To brzmi dość dziwnie, ale nie potrafię wymyślić niczego lepszego. Wiem tylko, że zabili Matty'ego z powodu tej sprawy. Chcę dowiedzieć się, o co tu chodzi, i ich powstrzymać. Kathy, pracowałaś z tymi ludźmi. Gdzie trzymaliby dowody na istnienie tajnego projektu?

– Nie mam pojęcia. Miałam dostęp do Viro-Vectora, ale nigdy na nic nie natrafiłam. Nie wiedziałam nawet o ich potajemnych testach Sumienia.

– Nic nie wydało ci się podejrzane?

– Wszystkie informacje muszą być gdzieś przechowywane! – dorzucił Barzini. – Może doktor Prince miała je w swoim biurze, w sejfie?

Sejf! Kathy przypomniała sobie ostatnie spotkanie z Alice Prince w Viro-Vectorze. To

było w Łonie, zaraz po tym, jak dowiedziała się o decyzji FDA. Alice próbowała ukryć tackę z próbkami, którą pośpiesznie schowała do sejfu. Kathy uznała, że to objaw jej paranoi. Chłodzony sejf Prince od zawsze należał do standardowego wyposażenia Łona. Trzymała w nim próbki związane ze swoimi prywatnymi projektami. Nikt, a już na pewno nie Kathy, nie zwracał na niego uwagi.

Wstała od stołu i podeszła do sterty rzeczy zabranych z domu Matty'ego. Wzięła laptopa i komórkę, leżące na samym wierzchu, po czym wróciła do stołu. Podłączyła modem laptopa do telefonu i zalogowała się do głównego menu menedżera sieci Viro-Vectora. Kliknęła na listę uprawnień dostępu. Jej nazwisko w dalszym ciągu widniało na wykazie – a obok niego srebrny symbol klucza. Alice i Madeline, pewne tego, że Kathy nie stanie już im na drodze, nie wysiliły się nawet, by nakazać Titanii anulowanie jej dostępu do budynków.

– Masz coś? – zapytał Luke.

– Znam jedno miejsce, gdzie warto zajrzeć.

– Tak? – zainteresował się Barzini.

– W lodówkach w Viro-Vectorze wszystkie próbki są oznakowane kodem paskowym. Kiedy laser komputera zeskanuje kod, na ekranie głównego komputera otwiera się plik, niezależnie od tego, kto to zlecił. Plik zawiera wszystkie dane techniczne próbki oraz streszczenie celów projektu i jego założeń. Umożliwia to naukowcom, pracującym w trudnych warunkach, szybki dostęp.

Decker skinął głową. W jego oczach znów zapaliła się iskierka nadziei.

– Z kodu kreskowego możesz odczytać założenia projektu i formułę każdej z próbek? I nie potrzeba innego kodu, żeby się do tego dostać?

– Nie, próbka musi zostać przeskanowana czytnikiem Titanii. Probówki, o których myślę, znajdują się w bardzo dobrze strzeżonym miejscu.

Barzini się uśmiechnął.

– Żadne miejsce nie jest całkowicie bezpieczne – wtrącił.

– Ale to jest bliskie ideałowi. Wszystko znajduje się w sejfie w laboratorium bezpieczeństwa biologicznego poziomu piątego. Nazywamy to Łonem. I wiercie mi, nie jest to wcale zabawne miejsce.

Pokrótce opowiedziała im o Łonie, o jego zabezpieczeniach, o ochronnej odzieży, ryzyku zakażenia i o próbkach zamkniętych w stalowym sejfie, które widziała, gdy była po raz ostatni u Alice Prince.

– Myślę, że ciągle mogę się tam dostać, bo nie usunęły mnie z rejestru dostępu. Titania kontroluje całą ochronę wraz z kamerami, alarmami i kratami. Zamki zaprogramowane są na DNA. Kiedy już tam wejść, będę potrzebowała pomocy w dostaniu się do sejfu i w wydostaniu tych rzeczy na zewnątrz.

– Nie martw się sejfem – pocieszył ją Barzini. – Jeśli go dokładnie opiszesz albo podasz nazwę modelu, z pewnością znajdę kogoś, kto wymyśli, jak go otworzyć.

Kathy zastanawiała się przez kilka sekund.

– Jest czarny, wysoki, z dużym, srebrnym pokrętelem z przodu. Jest chłodzony. Ma czerwony napis wzdłuż górnej części drzwiczek. I numer. Chyba 101.

Barzini skinął głową.

– Duże litery? Chłodzony? To chyba Lenica 10l. Szwajcarska robota. Bardzo dobry, ale da się go pokonać z odpowiednio ustawionym pulsatorem kwantowym.

– Z czym? – zapytała Kathy.

– To elektroniczny łamacz kodów – wyjaśnił Decker. – Zajmiemy się tym później. Jednak to, co znajdziemy, pewnie będzie skażone.

Kathy już o tym pomyślała.

– Zabierzemy tylko dane, nic więcej. – Spojrzała na Barzinię. – Masz może kartkę i ołówek?

Podał jej długopis.

– Użyj serwetki.

Szybko naszkicowała plan głównej kopuły. Zaznaczyła koncentryczne kręgi podziemnych laboratoriów bezpieczeństwa biologicznego wraz ze szpitalem i kostnicą poniżej.

– Większość czynności w Viro-Vectorze wykonywana jest pod ziemią – wyjaśniała. – Tunele bezpieczeństwa prowadzą do laboratoriów, ale tylko pracownicy ze złotym kluczem dostępu znają kody słuz. My będziemy musieli skorzystać z nadziemnego wejścia do głównej kopuły. – Wskazała centrum kompleksu podziemnych laboratoriów, narysowanego na chusteczce. – Dostanę się do Łona tutaj. Zakładając, że Joey powie mi, jak otworzyć sejf, jeśli coś w nim znajdę, zeskanuję. – Wskazała ostatni poziom kopuły. – Luke, będziesz mi potrzebny w poczekalni nad kompleksem. Tam jest terminal, a tu drukarka. Terminalem można przesłać dane na płytę CD i do drukarki, żeby wydrukować kopię. Włączysz drukarkę i włożysz czystą płytę do terminalu. Prześlę nagłówki z terminalu w Łonie do drukarki, a szczegółowe dane na płytę CD. To standardowa procedura, która pozwala uzyskać dane z Łona bez ryzyka zakażenia.

Decker skinął głową.

– Dobra, ale jak dostaniemy się do środka i jak stamtąd wyjdziemy, żeby na nikogo się nie natknąć?

– Ze srebrnym kluczem mogę wprowadzić jedną osobę aż do miejsca, gdzie wymagany jest skan DNA. Pozostaje jednak kwestia...

– Dobra, dobra. Koniec na dzisiaj – odezwał się Barzini, wstając. – Już wiemy, czego szukacie i gdzie to można znaleźć. Świetnie, ale teraz czas, żebyście poszli spać. Zadzwoń w kilka miejsc. Jutro rano powinienem mieć ludzi, którzy pomogą wam w rozpoznaniu terenu i transporcie. Znajdą najlepszą drogę do kampusu i dostarczą wam pulsator i sejf, na którym będziecie mogli poćwiczyć. – Barzini uśmiechnął się. – Ci ludzie są świetni w swoim zawodzie, ale muszę podkreślić, że nie jestem w żaden sposób z nimi związany. – Uśmiechnął się szerzej. – Niestety nie cała moja rodzina przestrzega prawa tak, jak ja.

*Gabinet Ovalny, Waszyngton
Piątek, 7 listopada, godz. 9.30*

Najpierw przyszła ulga i euforia, potem zmartwienie, wreszcie strach. Tego poranka, po dramatycznym irackim odwrocie, członkowie rządu przeżyli całe spektrum skrajnych emocji. Prawdziwe zmartwienia i strach przyszły jednak później, kiedy Pamela Weiss otrzymała więcej danych.

Sekretarz obrony i sekretarz stanu byli zmęczeni, lecz uśmiechali się, towarzysząc umundurowanemu przewodniczącemu szefów sztabów w Gabiniecie Ovalnym o dziewiątej trzydzieści. Zachowywali się niczym skazańcy, którym odroczone wyrok.

Na początku iracki zwrot o sto osiemdziesiąt stopni wydawał się całkowicie niewytłumaczalny. Pierwsze doniesienia o tajemniczej epidemii dziesiątkującej iracką armię dotarły o jedenastej rano z CIA i MI5. Początkowo nikt się tym nie martwił. Wszystko, co osłabiało potencjał militarny Iraku, było postrzegane jako zjawiska pozytywne. Podobne infekcje nieraz zdarzały się w bazach wojskowych, gdzie wielu żołnierzy mieszkało na małej powierzchni.

O godzinie trzynastej czterdzieści okazało się jednak, iż tajemnicza choroba jest poważniejsza niż typowa epidemia, że prowadzi albo do samobójstwa, albo do wylewu i rozprzestrzenia się wśród ludności cywilnej. Inny raport mówił, że ofiary to wyłącznie mężczyźni.

Fakt, że ta epidemia nie była znana i że się rozprzestrzeniała, dał pani prezydent i jej doradcom wiele do myślenia. Uzgodniono z ONZ i WHO, że należy szczelnie zamknąć granice Iraku. Kraj miał zostać poddany kwarantannie.

Weiss najbardziej zmartwiły symptomy opisane w szczegółowych raportach. Sięgnęła do szuflady okazałego biurka, mebla dominującego w Gabiniecie Ovalnym, i wydobyła dwa zadrukowane arkusze papieru. Zmarszczyła czoło, czytając drugą kartkę. Poprosiła doradców, by na chwilę zostawili ją samą. Sięgnęła po telefon na bezpiecznej linii i z pamięci zaczęła wybierać numer. Po chwili jednak odłożyła słuchawkę.

W Waszyngtonie była godzina druga po południu, a więc w San Francisco dopiero jedenasta. Wybrała jeden z dwóch numerów ze stopki strony. Nie uzyskawszy połączenia, wybrała drugi numer, mając nadzieję, że dodzwoni się do biura. Odebrała jakaś kobieta.

– Przykro mi – powiedziała, nie pytając nawet, kto dzwoni. – Jestem jego osobistą asystentką. Spodziewałam się, że wróci z Waszyngtonu wczoraj wieczorem, ale z jakiegoś powodu spóźnił się na samolot. Myślę, że pojawi się lub zadzwoni łąda chwila – trajkotała sekretarka. – To do niego niepodobne, żeby nie poinformował mnie o miejscu swego pobytu. Czy mam przekazać wiadomość? Na pewno skontaktuje się tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

– Nie, dziękuję – odparła pobladła prezydent – zadzwonię później. – Wzięła głęboki

wdech i poprosiła operatora z Białego Domu o połączenie z Fort Detrick w stanie Maryland.

– Mówi prezydent. Muszę natychmiast rozmawiać z generałem Allardyce'em.

Już po chwili usłyszała jego głos:

– Dzień dobry, pani prezydent. Domyślam się, że dzwoni pani w sprawie dysku dostarczonego mi przez agenta Toshacka.

– Tak. Mam nadzieję, że nadal nikt inny o tym nie wie, nawet członkowie personelu USAMRIID.

– Oczywiście.

– Co ma mi pan do powiedzenia?

– Dysk zawiera dwie kopie genomu tego samego osobnika. Tyle tylko, że nie są to dokładne kopie. Druga zawiera drobne zmiany w siedemnastu genach.

– Jakie znaczenie mają te drobne zmiany?

– Zasadnicze.

– Na przykład?

Słuchając jego słów, Weiss porównywała raport z wydrukami otrzymanymi od Hanka Butchera razem z dyskiem. Gdy generał skończył, zadała mu ostatnie pytanie, podziękowała i się rozłączyła.

Przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, próbując poukładać myśli. Podjęła wreszcie decyzję i naciśnięciem guzika na biurku wezwała szefa swej ochrony.

Agent specjalny Mark Toshack wszedł do pokoju. Bez słowa wręczył jej teczkę, którą trzymał w ręce. Weiss przejrzała zdjęcia i notatki. Potwierdziły jej przypuszczenia.

– Dziękuję, Mark – wydusiła wreszcie. – Teraz chciałabym, żebyś zrobił dla mnie coś jeszcze. Tak jak ostatnim razem, posłuż się wyłącznie ludźmi z Secret Service...

*Okolice kompleksu Viro-Vector, Palo Alto
Południe*

– Nie radzę tego robić. Zasada numer jeden w tym biznesie mówi, że nie należy pchać się do gniazda szczurów. Zawsze trzeba zadbać o drogę odwrotu.

Decker zabrał lornetkę kuzynowi Barziniemu, Frankiemu Danzie. Przyjrzał się głównej kopule Viro-Vectora.

– Dzięki, ale takie rady nie są nam potrzebne.

Luke Decker i Kathy Kerr siedzieli w dostawczym mercedesie Frankiego na głównej drodze przebiegającej przez wzniesienie, skąd mieli widok na kompleks Viro-Vectora. Pozostała dwójka mężczyzn, towarzysze Frankiego, nie przedstawiła się, a ich fizjonomie nie zachęcały do zadawania pytań.

To prawdziwa ironia losu, że Decker musiał teraz współpracować z takimi ludźmi. Wcześniej tego ranka, po tym jak Joey Barzini zdawkowo przedstawił mu tych typków spod ciemnej gwiazdy, pojechali razem do magazynu w pobliżu Fisherman's Wharf. Tam dwaj bezimienni mężczyźni wręczyli Kathy pulsator i poinstruowali ją, jak się nim posługiwać. Przez trzy godziny ćwiczyli na sejfie podobnym do tego w Łonie. Przez całą sesję

instruktażową ich rozmowa dotyczyła wyłącznie tego zadania.

A teraz Frankie Danza, łysy i chudy jak patyk jegomość, wyjaśniał problemy związane z wejściem do tych inteligentnych budynków. Trzęsły mu się ręce, a do dolnej wargi miał przyklejonego camela.

Furgonetka Frankiego stała zaparkowana obok okazałego niebieskiego znaku z wysokim na metr napisem: PARK NAUKI BIAŁA GORĄCZKA. Oprócz nielicznych firemek z branży high-tech centrala Viro-Vectora nie miała żadnych sąsiadów. Z pozostałych stron kompleks otaczały duże sztuczne jezioro i pole klubu Bellevue Golf and Country.

Sam kampus mógł się poszczycić wypielęgnowanym trawnikiem i idealnie wymodelowanymi drzewami. Krajobraz psuło tylko kilka kortów tenisowych, lądowisko dla helikoptera, parkingi i duże hale produkcyjne. Najbardziej rzucającym się w oczy elementem była szklana kopuła, stercząca w centrum kompleksu niczym obserwatorium astronomiczne.

Ośrodek otoczony był stalowym płotem, a drogi dojazdowej strzegła brama. Na całej długości ogrodzenia i w strategicznych punktach kompleksu Decker dostrzegł umieszczone na sześciometrowych słupach czujniki ruchu i kamery telewizji przemysłowej.

– Dostać się do środka to nie problem – stwierdził Frankie – zwłaszcza że Kathy ma uprawnienia dostępu. Komputer nie zadaje pytań ani nie stwarza problemów, wystarczy, że masz ważną przepustkę. Zacznie cię jednak obserwować, pokaże twoją twarz na monitorach w kopule. Jeśli ta doktor Prince akurat będzie w środku i cię zobaczy, to wpadłaś w gówno po uszy. Możesz uniknąć wpadki, wkładając coś na głowę. Jeśli wejdiesz tam po godzinach, dodatkowo ograniczysz ryzyko. Największy problem polega na tym, że jest tylko jedna droga ucieczki. Jeśli nie wycofasz się na czas, to komputer zamknie cię w środku. A jeśli doktor Prince zauważy cię na monitorze i uruchomi systemy alarmowe, gdy będziesz w Łonie, to już po tobie. Znałem gościa, który zrobił skok na bank w Hongkongu. Zupełnie nowy budynek inteligentny klasy A, z widokiem na port Koulun. Facet wszedł bez problemu, przechytrzył komputer i oszukał wszystkie sensory. Poszedł prosto do skarbcza. Kwantowym łamaczem kodów załatwił zamek czasowy. I wówczas, gdy byli w skarbcu, komputer zamknął ich w środku. Grube na przeszło pół metra stalowe drzwi odcięły ich od świata, a z pomieszczenia wyszło powietrze. Po zabawie. Znaleźli ich nazajutrz. Kupa sztywniaków. Tak działają inteligentne budynki. Wejdiesz do środka, ale już się z nich nie wydostaniesz.

– Dzięki za słowa otuchy – powiedziała Kathy. – Masz jakiś pomysł?

– Skoro musisz wejść do środka... jedyne, co mogę ci doradzić, to żebyś się streszczała. Słyszałem, że o dziesiątej obiekt zamyka się dla wszystkich, z wyjątkiem tych ze złotym dostępem. Oznacza to, że o dziesiątej masz już być za ogrodzeniem. Jeśli zostaniesz w kopule, komputer uwięzi cię w środku. Ba, dopadnie cię nawet, jeśli wyjdiesz na dwór. To delikatne ogrodzenie jest bardzo groźne. Jeśli spróbujesz się przez nie przedostać, dostaniesz dawkę kilku tysięcy woltów. A zatem zasada numer jeden: przed dziesiątą masz się znaleźć poza terenem firmy. Zasada numer dwa: wchodzisz tak późno, jak to tylko możliwe. Unikniesz w ten sposób spotkania z większością pracowników. O której personel opuszcza to miejsce?

Kathy wzruszyła ramionami.

– Kończą pracę przed siódmą, ale czasami paru ludzi zostaje dłużej. Nie słyszałam jednak, by ktoś wchodził do Łona później niż o szóstej. Zmęczony człowiek łatwiej popełnia błędy.

Frankie skinął głową.

– Zasada numer trzy: zarezerwuj sobie dostatecznie dużo czasu. Tej zasady najtrudniej jest przestrzegać, bo nikt nie wie, ile to jest „dostatecznie”. Ile czasu potrzebujesz na swoje sprawy? Co najmniej pół godziny przeznacz na rozbrojenie sejfu.

Kathy myślała przez chwilę.

– Najpierw muszę włożyć skafander ochronny, a po wyjściu przejść przez prysznice odkażające. Zakładając, że znajdziemy jakąś próbkę, zeskanowanie pliku i skopiowanie go na dysk nie powinno zająć więcej niż dziesięć minut. Powiedziałabym, że potrzebujemy godziny. Maksymalnie.

Frankie skinął głową.

– Niech będą dwie. Czyli wysadzimy was przy głównej bramie o ósmej. Odbierzemy przed dziesiątą. Tymczasem potrenuj jeszcze z pulsatorem. I zacznij się modlić, żeby nikt cię nie przyłapał w Łonie. Coś mi się zdaje, że bardzo łatwo tam umrzeć.

Viro-Vector Solutions
godz. 19.59

O godzinie dwudziestej większość biur Viro-Vectora była wyludniona, natomiast niezmordowana Titania pracowała bez ustanku. Elektroniczne receptory biokomputera przeszukiwały Internet i zbierały wszystkie dane, choćby tylko pośrednio związane ze Spirala Zbrodni. Bardziej istotne nowe informacje były na bieżąco wprowadzane do sieci neuronowej. Przewody wentylacyjne właczały powietrze z precyzyjną regularnością. Wiele z zebranych danych pokryło się z tym, czego prezydent Weiss dowiedziała się od swego wywiadu.

Titania w sposób mechaniczny zarejestrowała wzrost zgonów. Obiektywnie zestawiała zgony i ich przyczyny z wcześniejszymi prognozami. Zarejestrowała śmierć Boba Burbanka i zaprzysiężenie prezydent Weiss, podobnie jak iracki odwrót i szerzenie się epidemii. Titania obliczyła, że w wyniku Spirali Zbrodni na terenie Iraku zmarło ponad dziewięć tysięcy ludzi i że liczba ta będzie rosła w określonych grupach demograficznych.

Biokomputer nie przejął się tymi liczbami, w przeciwieństwie do pani prezydent Stanów Zjednoczonych.

Titania nie wszczęła również alarmu, gdy na podstawowym poziomie sztucznej percepcji zarejestrowała aktywację jednego ze skanerów DNA przy wejściu na teren kompleksu. Główny system operacyjny Titanii, kontrolujący zabezpieczenia Viro-Vectora, stwierdził, że genom pobrany z ludzkiej dłoni przyłożonej do sensora odpowiada wzorcowi w bazie danych. Ponieważ do właściciela genomu przypisano srebrny dostęp, a drugi, nieupoważniony osobnik poddał się skanowaniu DNA, Titania po prostu wpuściła ich, nie angażując swej świadomości poziomu wyższego. Tak samo, jak ludzka podświadomość automatycznie

reguluje oddychanie, alarmując umysł tylko wtedy, gdy coś odbiega od normy.

Śledziła jednak przybyszy, obserwowała każdy ich ruch.

*Campus Viro-Vector , Palo Alto
Piątek, 7 listopada, godz. 20.00*

Proszę przyłożyć dłoń do czujnika – oznajmił głos z syntezy przy głównej bramie Viro-Vectora. Decker wykonał polecenie, nieco zaskoczony faktem, że brama nie była pilnowana. W każdym razie nie przez człowieka.

Wysoki strażnik był jedynie hologramem. Jego oblicze skonstruowano z fragmentów twarzy popularnych gwiazdorów filmowych. Stał wyświetlany nad KREE8, wersja 6 – tak przynajmniej głośiła nalepka na okienku.

– Ma ludzi odstraszać, czy witać? – szepnął Decker do Kathy.

Kathy wzruszyła tylko ramionami, odsuwając rękę od czujnika. Wyglądała na zdenerwowaną. Nic dziwnego.

– Nie przejmuj się nim. Ma tylko świadczyć o zaawansowaniu technologicznym Viro-Vectora.

– No to mu się udało – podsumował, czując ciepło na skórze, gdy czujnik ścierał z niej mikroskopijną warstwę naskórka, by zeskanować jego DNA. Naraz poczuł przypływ irracjonalnej paniki. Począł zastanawiać się, czy skaner nie zidentyfikuje w jakiś sposób genów Axelmana w jego DNA i nie zakaże mu wstępu.

„Witam, doktor Kerr – oznajmił hologram po odczytaniu dłoni Deckera. – Proszę podać imię i nazwisko pani gościa”.

– Luke Decker – odpowiedziała do maleńkiego mikrofonu zamontowanego w ścianie budki strażniczej.

„Dziękuję, doktor Kerr”.

Ogromna brama rozsunała się bezdźwięcznie, wpuszczając ich do środka.

Zerknął przez ramię i zobaczył światła furgonetki Frankiego Danzy, stojącej na drodze sto metrów dalej. Przywiózł ich tu ponad godzinę temu. Przez cały ten czas siedzieli w furgonetce. Obserwowali, jak ostatni maruderzy rozjeżdżają się do domów, a potem czekali jeszcze, by upewnić się, że w firmie nie ma już nikogo. Parking opustoszał. Cały kompleks zdawał się opustoszały. Punkt ósma podeszli do bramy, mając nadzieję, że przepustka Kathy jest nadal ważna. Ryzyko się opłaciło. Ale, jak powiadał Frankie, była to dopiero ta łatwiejsza część zadania. Decker podążył śladem Kathy ku ogromnej kopule, świecącej w ciemnościach niczym jakiś nieziemski statek kosmiczny. Czuł na sobie kłujące spojrzenie setek niewidzialnych oczu.

– Nikogo nie powinno tu być – powiedziała Kathy, kiedy zbliżali się do prowadzących do wejścia schodków. – Ale w razie czego uśmiechaj się, jakby nigdy nic.

U szczytu schodków znajdowały się podwójne drzwi z grubego szkła, z nazwą firmy wygrawerowaną na obu skrzydłach. W środku Decker ujrzał jedynie dwie osoby pogrążone w zażartej dyskusji, stojące nieopodal toalet.

- Żeby otworzyć drzwi, musisz znów położyć dłoń na czujniku – wyjaśniła Kathy.
- Czy każde drzwi mają tu te cholerne czujniki?
- Owszem. Titania lubi wiedzieć, gdzie kto jest.
- No to super – podsumował, kładąc dłoń na stalowej płycie.

Kiedy znaleźli się już w holu, odwrócił się, w samą porę, by dostrzec światła reflektorów na parkingu. Obok kopuły przejechała limuzyna. Dałby sobie głowę uciąć, że na fotelu obok kierowcy zamajaczyły mu śnieżnobiałe włosy dyrektora Naylor.

– Kurde! – zaklął z cicha.

Kathy też ją zobaczyła.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Chodźmy – ponagliła go, chwytając mocniej torbę. Przeszli przez drzwi na końcu holu i znaleźli się w długim korytarzu. Na jego końcu widać było żółte drzwi z czarnym symbolem zagrożenia biologicznego. – Cicho – szepnęła, gdy mijali srebrzyste stalowe drzwi z napisem Centrum Obliczeniowe Titanii. Z wewnątrz dobiegał szum klimatyzacji.

Doszli do żółtych drzwi i znów musieli podstawić do odczytu swe dłonie. Drzwi się otworzyły. Oczom Deckera ukazało się sterylnie białe pomieszczenie, całkiem wyprane z barw, pozbawione ciepła. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, odcinając ich od świata zewnętrznego, mógłby przysiąc, że słyszy, jak otwierają się drzwi centrum obliczeniowego.

Jednak to nie odgłos otwieranych drzwi usłyszał Decker. Było to echo myśli Titanii.

Centrum obliczeniowe ożywiało szum urządzeń. Włączony był zarówno główny wyświetlacz – ekran ścienny o wymiarach trzy na cztery metry – jak i podłogowy wyświetlacz holograficzny KREE8 u szczytu stołu konferencyjnego. Cztery małe monitory w głębi pokoju ukazywały szybko zmieniające się obrazy ośrodka Viro-Vector – takie, jak widziało je sześćdziesiąt kamer przemysłowych, stanowiących oczy Titanii.

Wyświetlany z podłogowego holopadu obraz przedstawiał natomiast półtorametrowej średnicy trójwymiarowy glob, obracający się wolno wokół osi jakiś metr nad ziemią. Rozdzielczość hologramu była tak wysoka, iż srebrzysta kula ziemską wyglądała jak przedmiot materialny – jakby wykonano ją z metalu. Granice zaznaczono cienkimi czarnymi liniami. Każdy z wydzielonych w ten sposób krajów pokrywały trójkolorowe warstwy wskaźników populacji, przypominające trójwymiarowe mapy topograficzne w czerwieni, zieleni i błękitach. W odróżnieniu od statycznych wskaźników demograficznych innych krajów, iracka czerwień pulsowała żywym światłem.

Gdy dotknęło się palcem jakiegoś kraju, kolorowe warstwy rozsuwały się, by wyświetlić wskaźniki liczbowe i procentowe, obrazujące wielkość danej grupy demograficznej. Liczby nieustannie się zmieniały, odzwierciedlając informacje o narodzinach i zgonach, pobierane z rozlicznych internetowych baz danych. Tak samo rosła liczba oznaczająca światową populację, wyświetlana na ekranie ściennym. Obecnie było to 6 567 987 601.

Pod licznikiem populacji znajdowała się nieco enigmatyczna legenda, objaśniająca, co oznacza każdy z kolorów. Czerwony – „cele”, zielony – „nosiciele”, niebieski – „skorygowani”. Przy każdym z kolorów znajdował się kolejny licznik.

Stojąc samotnie na środku pomieszczenia, Alice Prince z trudem panowała nad podnieceniem. W jej oczach zapaliły się iskierki, gdy przez grube okulary obserwowała obracający się glob. Po tym, jak zeszłej nocy miała okazję obserwować rozwój wydarzeń w Iraku, czuła się jak nowo narodzona. Uniknięto wybuchu kolejnej wojny światowej. Wszystkie wątpliwości, jakie ją dręczyły, znikły w mgnieniu oka. Spirala Zbrodni była projektem ze wszech miar słusznym i skutecznym. Faza druga udała się tak dobrze, że wkrótce będą mogły wdrożyć fazę trzecią. Wizja ta zyskiwała na przejrzystości, gdy rozważało się ją z dala od ludzi.

Titania rozpoczęła tymczasem realizację globalnej sekwencji prognostycznej dla fazy trzeciej.

U góry ekranu ściennego wyświetliła linię czasową. Chwila obecna zaznaczona była na osi jako godzina zero. Po niej następowały miesiące i lata symulowanego przebiegu dalszych wydarzeń.

Zaczęły pulsować kolorowe warstwy w każdym z krajów wybranych jako markery fazy trzeciej. Jednak na razie epicentra pozostawały nieoświetlone. Czarne luki, symbolizujące podróże powietrzem, morzem i lądem, rozchodziły się po całym globie niczym cienkie nogi jakiegoś potwornego pająka. Na osi czasu upłynęło zaledwie kilka dni, a już kolorowe obszary na terenie tak zwanych krajów pierwszego świata zaczęły pulsować. Nietknięte pozostały jedynie najodleglejsze regiony Amazonii i Patagonii w Ameryce Południowej, Antarktydy i Afryki Środkowej oraz wyspy na północy Nowej Zelandii.

W ciągu dziesięciu dni w głównych krajach kolor czerwony, odpowiadający „celom”, przestał pulsować i zaczął świecić. Ich śladem podążyły wkrótce kolejne kraje. W ciągu kilku tygodni dziewięćdziesiąt procent sekcji czerwonych płonęło już jasnym blaskiem, zwiastującym ich rychły zmierzch. W ciągu miesiąca wszystkie kraje zostały dotknięte zmianami. Na ekranie głównym rosła liczba na liczniku obok koloru czerwonego zatrzymała się na 2 408 876 654, po czym zaczęła maleć. W dwa i pół miesiąca zmalała niemal o trzysta milionów, w sześć miesięcy spadek ten się podwoił, zaś w ciągu roku liczba zmalała o ponad miliard dwieście pięćdziesiąt milionów. Po trzydziestu sześciu miesiącach i trzech dniach znikły ostatnie ślady czerwonego koloru.

Topografia populacji została spłaszczona do dwóch zaledwie warstw: zielonej i błękitnej, czyli „nosicieli” i „skorygowanych”.

Całkowita liczba członków populacji spadła o niemal dwa i pół miliarda istnień ludzkich – pięćdziesięciokrotnie więcej niż podczas wielkiej pandemii grypy w 1918 roku.

Wskaźnik na osi czasu przesunął się o kolejne dwadzieścia lat i liczebność populacji znów zaczęła stopniowo rosnąć. Topologia tymczasem wzbogaciła się o nowe odcienie błękitu.

Srebrny glob zdominowały teraz kojące błękity i zielenie. Wściekła czerwień wygasła.

Kiedy Titania przedstawiała swą wizję, Alice czuła się, jakby uczestniczyła w jakimś uświęconym rytuale – jakby miała uwolnić oczyszczające wody globalnego potopu.

Tak ją to pochłoneło, że nie zauważyła nawet, jak do pokoju weszła Madeline Naylor.

– Piękne, prawda, Ali? – odezwała się Madeline.

- Nie do powstrzymania – westchnęła rozmarzona Alice.
- Pozostał jeszcze jeden drobiazg, by osiągnąć stan idealny – zauważyła Madeline.
- Cóż takiego?
- Decker i Kerr wciąż nam przeszkadzają. Co prawda Jackson już nad tym pracuje, ale...
- Czy to teraz ma jakieś znaczenie? – zdziwiła się Alice, nie odrywając wzroku od błyszczącego globu, symbolizującego Nowy Eden.
- Pewnie nie. Chciałabym tylko wiedzieć, gdzie się podziewają. Jak na ironię, wystarczyłoby, żeby spytała Titanię, a biokomputer udzieliłby jej wyczerpującej odpowiedzi. Mogłaby też spojrzeć na jeden z czterech ekranów z obrazami z monitoringu ośrodka. Przy odrobinie szczęścia ujrzalaby na nim zarys przemykającej postaci w niebieskim biokombinezonie Chemturion, która właśnie dotarła do Łona.

*Łono, laboratorium bezpieczeństwa biologicznego poziomu 5.
Viro-Vector Solutions, Palo Alto
Piątek, 7 listopada, godz. 20.32*

Kiedy zamknęły się za nią z sykiem szklane drzwi Łona, na czoło Kathy Kerr wystąpiły pierwsze krople potu. W izolowanym gumą skafandrze było niemiłosiernie gorąco. Wkraczając na teren ośrodka, czuła co prawda zdenerwowanie, ale miała poczucie, że panuje nad sytuacją. Nawet widok dyrektora Naylor zdopingował ją raczej, niż sparaliżował. Teraz jednak, gdy znalazła się już w Łonie, czuła, jak spina się wewnątrz. Była całkiem sama. Słyszała tylko świst własnego oddechu. Niby wszystko tak samo, jak podczas poprzednich odwiedzin w tym miejscu. A przecież sytuacja była całkiem inna.

Zegar nad wejściem pokazywał dwudziestą trzydzieści dwa. Titania zamykała Łono o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Wliczywszy niezbędne pół godziny, które trzeba było poświęcić na procedury dekontaminacyjne, Kathy musiała wyjść stąd o dwudziestej drugiej. Miała pięćdziesiąt osiem minut, by użyć pulsatora, otworzyć sejf, znaleźć, czego szukała, utrwalić dane na komputerze i przesłać do drukarki na górę, gdzie czekał Decker. A jak nie wystarczy czasu? Żeby tylko nikt inny nie wszedł do kompleksu. Nawet nie chciała o tym myśleć. Oznaczałoby to koniec jej misji.

Wzięła głęboki oddech. Minęła pierwszy rząd lodówek i przeszła do narożnika, gdzie znajdował się sięgający jej do pasa czarny sejf. Klapka z przodu zasłaniała klawiaturę numeryczną. Była dokładnie taka, jak pamiętała. Wyglądała niemal dokładnie tak, jak Lenica 101, na której ćwiczyła. Trochę to ją uspokoiło, ale pamiętała, by nie dać się zwieść poczuciu bezpieczeństwa.

Obok sejfu Alice Prince stał terminal komputerowy. Kathy włączyła go i połączyła się z terminalem na parterze, gdzie czekał Decker, gotów skopiować na dyski wszystko, co tu się znajdzie.

Klawiatura była dwa razy większa od normalnej. Duże, płaskie klawisze przykryte były sterylnym plastikowym pokrowcem. Palcami w rękawiczkach niezdarnie wpisała wiadomość:

„Weszłam. Znalazłam sejf. Masz dyski i drukarkę?”

Pauza. Serce jej zamarło.

„Mam. Na górze wszystko w porządku. Powodzenia”.

Spojrzała na spoczywające w jej lewej dłoni płaskie chromowane pudełko wielkości książeczki czekowej – pulsator, stanowiący klucz do powodzenia całej operacji. Wykorzystujący technologię rezonansu magnetycznego i płynne molekuly kwantowy łamacz kodów korzystał z qubitów, które, w odróżnieniu od bitów binarnych, mogły przyjmować jednocześnie wiele stanów, co pozwalało na równoległe odszyfrowywanie elementów kodu

zamiast rozszyfrowania sekwencyjnego. Czy to jednak wystarczy? Przyglądała się wyświetlaczowi LCD urządzenia i dwóm cienkim na podobieństwo jedwabnych nici przewodom, wystającym z jednego końca niby wiotka antenka. W myślach powtórzyła sobie całą procedurę. Korzystając z magnetycznej płytki z tyłu kwantowego pulsatora, przymocowała pudełko nad klawiaturą sejfu. „Jak to upuścisz, masz przechlapane” – przestrzegł ją Frankie. Mając w pamięci te słowa, upewniła się, że urządzenie jest solidnie przymocowane, po czym ostrożnie uniosła pokrywkę klawiatury i przymocowała ją taśmą, by odsłonić klawisze. Następnie ujęła w ręce dwa przewody i wyszukała dwa mikroskopijne otworki przy górnej krawędzi klawiatury. „Troszkę treningu i poradzisz sobie bez trudu” – pocieszał ją.

Jednak trening to jedno, a prawdziwa akcja – coś całkiem innego. Z początku nie mogła nawet znaleźć otworków. Rękawice ochronne okazały się jeszcze grubsze od tych, w których ćwiczyła. Co prawda zaprojektowano je tak, by nie ograniczały ruchów, jednakże projektanci zapewne nie przewidzieli, iż posłużą do umieszczania dwóch cieniutkich przewodów w mikroskopijnych dziurkach.

Odpręż się. Bez pośpiechu, mówiła sobie. Jednak pośpiech niestety był konieczny. Starając się zachować spokój umysłu, jedną ręką rozprostowała kilkucentymetrowe przewody, przymierzając je do otworów. Gdyby natrafiły na jakąkolwiek przeszkodę, zgięłyby się od razu. Musiała je wsuwać w ślimaczym tempie. Ludzie Frankiego nauczyli ją, jak nimi delikatnie poruszać, żeby zmieściły się w otworze. Jednak wymagało to czułych palców bez kosmicznych rękawic.

Czuła, jak po łuku brwiowym spływa jej kropla potu. Nie zważając na to, skoncentrowała się na swoim zadaniu. Miała ochotę zerwać hełm i otrzeć pot z czoła, ale mogła tylko mrugać powiekami, by strząsnąć z rzęs jego krople. Ciągłe któryś z przewodów zaczepiał o coś i musiała zaczynać wszystko od początku. Wreszcie po dwudziestu sześciu minutach, gdy ramiona już jej omdlewały z bólu, usłyszała pisk i pulsator ożył. Na wyświetlaczu zaczęły migać cyferki – coraz szybciej i szybciej, kiedy symultanicznie wyszukiwał każdy znak składający się na kod.

Kathy natychmiast zawróciła do terminala. Z uchwytu zdjęła czytnik kodów paskowych. Przeciągnęła nim wzdłuż kodu na jednej z próbek z głównej lodówki, by sprawdzić, czy działa. Na ekranie natychmiast pojawiło się menu, przedstawiające genetyczny skład zawartości próbki, historię badań klinicznych oraz przewidywane zastosowanie. W pełni usatysfakcjonowana, włożyła próbkę na miejsce i cierpliwie czekała, aż pulsator skończy pracę.

Zajęło to tylko pięć i pół minuty. Potem na ekranie łamacza kodów ukazało się sześć znaków: 666%£5. Ostrożnie wyciągnęła palec w rękawicy i wystukała je na klawiaturze sejfu. Drzwiczki otworzyły się bezszelestnie.

„Weszłam” – napisała na klawiaturze komputera, zerkając jednocześnie na zegar. Pozostało jej tylko nieco ponad pół godziny, by skopiować wszystko, czego potrzebowała. Powinno starczyć. Wyjęła tacę z kolorowymi próbkami, odłożyła ją na stół roboczy obok terminalu i zaczęła odczytywać etykiety. Dwie czerwone próbki oznaczono „Sumienie”.

Te zignorowała. Jednak słowa wypisane na etykietach trzech zielonych sprawiły, że poczuła gęsią skórę.

„Spirala Zbrodni”.

Co odróżniało od siebie te trzy próbki? Aby zdobyć wszystkie dowody, będzie musiała przechwycić dane z każdej z nich. Naraz odkryła, że pozostałe dwadzieścia siedem minut to wcale nie tak wiele czasu.

„Sądzę, że projekt nazywa się *Spirala Zbrodni* – napisała. – *Przygotuj dwa kolejne dyski. Są tu co najmniej trzy próbki. Wszystkie mogą być ważne*”.

Kathy chwyciła za próbkę opisaną jako „Spirala Zbrodni, faza pierwsza” i przeciągnęła czytnik nad kodem paskowym.

Nie trudząc się nawet, by odczytać wyświetlone na ekranie dane, natychmiast kliknęła ikonę kopiowania, wybierając twardego dysk komputera na parterze.

Plik był duży. Pasek postępu przesuwiał się niemiłosiernie wolno. Pobranie całości zajmie siedem minut. Zakładając, że pozostałe pliki dorównują wielkością pierwszemu, będzie miała szczęście, jeśli skopiuje je, nim Titania zamknie Łono. W Łonie były jeszcze dwa inne terminale, jednak Decker miał do dyspozycji tylko jeden komputer, zatem jednoczesny transfer niczego nie zmieni.

Nie mając do roboty nic poza czekaniem, wyjęła przewody i zaczęła szukać miejsca, gdzie by ukryć pulsator. Nie mogła zabrać go z Łona, bo został już skażony. Nie mogła go też zostawić na widoku – bo zaalarmowałoby to Alice Prince. Wreszcie umieściła urządzenie w pojemniku na próbki, zamknęła wieczko i postawiła go z tyłu na najniższej półce największej z lodówek. Nim skończyła i powróciła do monitora, plik wirionu fazy pierwszej Spirali Zbrodni został przekopiowany. Pozostało osiemnaście minut.

„*Drugi dysk gotowy?*” – zapytała Luke’a.

„*Gotów*”.

Bez chwili wahania sięgnęła po próbkę oznaczoną „Spirala Zbrodni, faza druga” i przeciągnęła nad nią czytnik. Kiedy tylko komputer otworzył plik, kazała go skopiować. Znow zerknęła na zegar na dole ekranu. Przesyłanie pliku zajmie osiem minut. Na trzeci nie starczy czasu.

Czując, jak cenne minuty przeciekają jej przez palce, zdecydowała się jednak zeskanować ostatnią próbkę na drugim terminalu, żeby choć sprawdzić jej zawartość. Włączyła terminal w sąsiedztwie genoskopu.

W tym momencie odezwał się łagodny żeński głos:

„*Godzina dwudziesta pierwsza piętnaście. Pomieszczenia poziome czwartego i piątego zostaną zamknięte za piętnaście minut. Proszę uporządkować stanowiska pracy i przygotować się do wyjścia. O godzinie dwudziestej drugiej ośrodek Viro-Vector kończy pracę*”.

Kathy zerknęła na ekran, na którym widać było pasek postępu kopiowania pliku fazy drugiej Spirali Zbrodni. Zostały ponad trzy minuty. Kątem oka obserwując zegar nad drzwiami do Łona, odwróciła się do drugiego terminalu.

Przewinęła plik, dochodząc do specyfikacji technicznych fazy trzeciej Spirali Zbrodni. Przebiegła wzrokiem streszczenie. Przed oczyma przelatywały jej słowa i frazy:

„zmodyfikowany wirion grypy”... „chimera”... „przenoszony drogą kropelkową”... „chromosom Y”... „geny kontrolne projektu Sumienie”... „brak równowagi hormonalnej”... „czas uwolnienia zależny od telomerów”. Każde z nich samo w sobie brzmiało niewinnie, jednak ich połączenie niosło ze sobą przerażające implikacje.

Serce Kathy zatrzepotało jak ptak w klatce. Szybko przewinęła dokument do podsumowania celów. To, co tam przeczytała, było tak koszmarnie, że aż zaparło jej dech w piersiach. Jednak najbardziej zaszokował ją fakt, że od strony naukowej wszystko to miało sens. Z przeraźliwą jasnością Kathy zdała sobie sprawę, że Spirala Zbrodni to wynaturzone dzieło jej życia. A więc po części ponosiła odpowiedzialność za to, co robiły Alice Prince i Madeline Naylor.

Poczuła, jak wokół jej serca zaciska się lodowata pięść.

„Pozostało dziesięć minut do zamknięcia pomieszczeń poziomu czwartego i piątego” – poinformował ją ten sam łagodny głos.

Kathy wzięła głęboki oddech i podeszła do pierwszego monitora.

„Trzeci dysk gotowy?” – zapytała.

„Nie ma czasu. Zwiewaj” – odpisał Decker.

„Muszę to zrobić. Wyjaśnię później” – napisała Kathy.

„Twoja decyzja. Trzeci dysk gotowy. Pośpiesz się!” – natychmiast odpisał Decker.

Popędziła do drugiego terminala, po czym rozpoczęła kopiowanie. Jeśli po zakończeniu kopiowania ma wyłączyć jeszcze terminale, zostanie jej tylko kilka sekund. Ale przecież musi to zrobić. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu była.

Nie spuszczać wzroku z zegara nad wejściem, Kathy szybko odłożyła próbówki na tacę, pamiętając, by nie zmieniać ich położenia, po czym całość wstawiła do sejfu.

„Laboratoria poziomu czwartego i piątego zostaną zamknięte za pięć minut”.

„SPADAJ!” – odczytała na ekranie krótki komunikat od Luke’a.

Ale musi przecież jeszcze ukryć wszelkie ślady swego wtargnięcia na teren laboratorium.

Cztery minuty.

Gdyby Naylor lub Prince dowiedziały się, mogłyby wcześniej aktywować fazę trzecią. Jeśli jeszcze tego nie zrobiły. Zatrzasnęła drzwi sejfu.

Trzy minuty.

Pognała do wielkiej lodówki, by upewnić się, że dobrze ukryła pulsator.

Dwie minuty.

Wyłączyła pierwszy terminal i sprawdziła, czy wszystko uprzątnęła.

Minuta.

No szybciej, niemal krzyknęła w kierunku ekranu drugiego terminala.

Kopiowanie się zakończyło. Wyłączyła drugi terminal i tak szybko, jak tylko pozwalał jej kombinezon, podeszła do drzwi, nacisnęła otwierający je przycisk i wyszła z Łona.

Hermetyczne drzwi z sykiem zamknęły się za nią czterdzieści trzy sekundy przed upływem czasu.

„Łono zostało zamknięte” – oznajmił elektroniczny żeński głos. – *Brama główna ośrodka Viro-Vector zostanie zamknięta za dwie godziny. O godzinie dwudziestej drugiej ośrodek*

kończy pracę. Proszę przygotować się do opuszczenia terenu ośrodka”.

– Dobra, słyszę, słyszę – powiedział na głos Decker. Miał nadzieję, że Kathy zdążyła na czas opuścić Łono. Nie rozległ się żaden alarm. Jak na razie.

Stał w sterylnym białym westybulu, obok komputera z drukarką. Po lewej ręce miał drzwi wiodące do przedsionka, gdzie weszła Kathy, by zjechać na dół, do laboratoriów i Łona. Po prawej – główne wyjście, prowadzące na korytarz i do holu.

Wydobywszy z komputera trzeci dysk, Decker oznaczył go i umieścił razem z dwoma pozostałymi w stojącej u jego stóp torbie. Następnie wyłączył terminal i przysiadł na biurku. Pozostało mu tylko oczekiwanie. Co kilka sekund zerkał w kierunku wyjścia.

Zerknął na zegarek. Kathy musiała przejść przez prysznice dekontaminacyjne i zdjąć kombinezon, zanim będzie mogła opuścić ten technologiczny labirynt.

Zastanawiał się, dlaczego zaryzykowała zatrzaśnięcie się w Łonie po to tylko, by skopiować dane o trzeciej próbówce Spirali Zbrodni, jakby dwie nie wystarczyły.

– Idziemy – powiedziała Kathy, pojawiając się w drzwiach.

Decker zerwał się z miejsca, chwytając torbę.

– Mamy około dwanaście minut. Spadajmy stąd w cholerę.

Idąc korytarzem, minęli centrum obliczeniowe i chłodnię, by wreszcie znaleźć się w holu. Wszystko wokół pogrążone było w martwej ciszy.

Przy głównej bramie Decker przyłożył dłoń do czytnika. Kiedy tylko wrota rozwarły się, by ich wypuścić, poczuł się lepiej. Kilka sekund później pojawiła się furgonetka Frankiego Danzy, która zatrzymała się tuż przy bramie. Szerokie opony zapiszczały na asfalcie.

Z westchnieniem ulgi podszedł do samochodu od strony kierowcy. Kathy szła krok za nim. Przez zaciemnioną szybę nie sposób było zajrzeć do środka. Otworzył drzwi... i zamarł.

Przy kierownicy siedział ktoś inny, nie Frankie Danza. I mierzył w niego z pistoletu.

– Puszczaj torbę! Ale już! – polecił, przyciskając lufę do czoła Deckera.

Plaga Pokoju, jak media ochrzciły nową epidemię, szalała w szeregach irackiej armii. Niektóre amerykańskie i brytyjskie tabloidy uznały ją nawet za klątwę zesłaną na wojennych podżegaczy.

Następnego ranka po odwołaniu sił irackich Światowa Organizacja Zdrowia, przy pełnym poparciu Rady Bezpieczeństwa ONZ, zarządziła kwarantannę na granicach Iraku. Sąsiednie kraje surowo jej przestrzegały, obawiając się, iż tajemnicza zaraza może rozprzestrzenić się na ich terytorium. Liczbę zgonów szacowano już na ponad trzydzieści tysięcy. Z każdą godziną przybywało zarażonych Irakijczyków – zarówno wojskowych, jak i cywili. Ciągłe jednak wśród chorych nie było kobiet ani dzieci.

Światowa Organizacja Zdrowia, Lekarze bez Granic oraz Czerwony Krzyż natychmiast wysłały specjalnie wyposażone zespoły w celu zrozumienia charakteru tej tajemniczej epidemii i opracowania strategii izolacji chorych. Nawet armia amerykańska zdecydowała się na posłanie zespołu specjalistów z Wywiadu Epidemiologicznego z Centrum Kontroli Chorób w Atlancie. W ciągu kilku godzin na oczach całego świata zagrażający światu Irak zmienił się w kraj potrzebujący natychmiastowej pomocy.

Poczynione do tej pory ustalenia sugerowały, że choroba wpływa na poziom hormonów pacjenta oraz gospodarkę chemiczną mózgu. Ciągłe miano nadzieję, że ta choroba nie przenosi się drogą kropelkową, że można powstrzymać jej rozprzestrzenianie przy zastosowaniu bezwzględnej kwarantanny.

Raporty podkreślały, że nawet bezlitosny dotąd iracki prezydent zaczął okazywać skruchę wobec ofiar swych dawnych zbrodni i wysłał przeprosiny za agresywną postawę wobec Kuwejtu. Z początku działania te – jeśli istotnie miały miejsce – postrzegano tylko jako cyniczną próbę przypochlebiania się wrogom w ciężkich czasach. Potem jednak uznano, że również prezydent uległ Pladze Pokoju.

Wobec rosnącej fali hysterii, dziennikarze ruszyli na Biały Dom, domagając się, by nowa pani prezydent wygłosiła oświadczenie. Co poniektórzy reporterzy z szukających taniej sensacji gazet pytali nawet, czy plaga nie jest działaniem celowym – genialnym uderzeniem wyprzedzającym nową administrację. Może sukces projektu Sumienie – biologicznego rozwiązania kwestii przestępczości – zainspirował kolejny krok, Plagę Pokoju – biologiczne rozwiązanie kwestii wojen?

Prezydent Weiss stanowczo zaprzeczyła tym pogłoskom. Podkreśliła, iż poważnie podchodzi do kwestii irackiej plagi i że władzom w Bagdadzie zaoferowano wszelką możliwą pomoc. Dodała, że bez względu na dzielące jej przedstawicieli różnice, ludzkość musi się zawsze jednoczyć przeciw wspólnemu wrogowi, jakim są choroby.

Zaskakująco niewielu dziennikarzy krajowych mediów interesowało to, czy Plaga Pokoju może rozprzestrzenić się na terytorium Ameryki Północnej. A jeśli tak, to jak szybko tu dotrze?

Na to pytanie Pamela Weiss nie miała jednak odpowiedzi.

*Sobota, 8 listopada,
rano*

Kathy Kerr przez długi czas miała przepaskę na oczach. Lot trwał co najmniej cztery godziny. Może nawet więcej. Monotonny szum silników i krępujące ją nylonowe kajdanki zwiększały poczucie izolacji. Kabina pachniała tanią wodą kolońską i toaletą, co było charakterystyczne dla tanich linii lotniczych. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nie był to samolot tego rodzaju.

Prócz nich w kabinie znajdowało się co najmniej dwóch mężczyzn, nie mogła się jednak zorientować, gdzie siedzą. Z Deckerem zamienili ledwie parę słów od czasu, gdy wepchnięto ich do furgonetki, a potem do samolotu. Szeptem wyjawiała mu podstawowe założenia Spirali Zbrodni – a przynajmniej jej fazy trzeciej. Od tego czasu nie rozmawiali. Bo i co mogli powiedzieć?

Zalała ją fala rozpaczy. Projekt był ogromny, przedziwny. Powiadomienie władz nagle okazało się bez sensu. Decker miał rację. Powinna była się wycofać, gdy miała jeszcze sposobność. Nie musiała uczestniczyć w tym koszmarze dlatego tylko, że pomogła w jego rozpoczęciu. Sytuacja miała charakter globalny, nieunikniony i nieodwracalny.

Próbując usadowić się wygodnie w niewygodnym fotelu, Decker bezskutecznie głowił się, czemu ich jeszcze nie zabito. Jeśli to, co Kathy powiedziała mu o Spirali Zbrodni, było prawdą, powinni już być martwi. Naylor powinna była założyć, że wiedzą wszystko o projekcie, i zaaranżować ich śmierć.

Decker pokręcił głową. Bez sensu. Alice Prince działała pod wpływem traumy. Jej zaangażowanie w Spiralę Zbrodni to idealistyczne fantazje, w których brak miejsca na koszty, jakie poniesie ludzkość. Dominującym partnerem była tu Naylor. Pewnie tak, jak zawsze.

Dlaczego więc wciąż jeszcze żyją?

Gdy usłyszał, jak wysuwa się podwozie i poczuł, że samolot podchodzi do lądowania, pomyślał, że wkrótce się tego dowie.

Kiedy samolot już się zatrzymał, wypchnięto ich na zewnątrz, w chłód poranka, i zapakowano do kolejnej furgonetki. Kiedy ruszyła, wreszcie zdjęto im przepaski z oczu. Decker mógł przyjrzeć się dwóm mężczyznom siedzącym razem z nimi w pozbawionej okien tylnej kabinie. Torba z dyskami leżała u stóp niższego, z włosami piaskowego koloru. Typowi agenci – ciemne garnitury i nieprzeniknione twarze. Nie znał jednak żadnego z nich.

Decker podsumował w myślach znane sobie fakty. Samolot był rządowy lub wojskowy. Furgonetka podjechała wprost na pas startowy, co świadczyło o tym, że nie wylądowali na cywilnym lotnisku.

Na ziemi mieli przynajmniej szanse na ucieczkę.

Decker uśmiechnął się niepewnie do Kathy. Choć była blada i zmęczona, również odpowiedziała mu uśmiechem.

Następnie Decker odwrócił się do niższego agenta, który zapewne był tu dowódcą.

– Wiecie, co jest na tych dyskach, które nam zabraliście? – zapytał go.

Twarc mężczyzny nie zmieniła wyrazu, jakby nie usłyszał pytania.

Decker nie dał za wygraną.

– Nie chcecie nawet wiedzieć, co tam jest? – spytał. – A powinniście, bo wkrótce będzie to dotyczyć was obu... i to szybciej niż myślicie.

Agent pozostał obojętny.

Decker zawsze dumny był z tego, że potrafił panować nad sobą. Teraz jednak górę wzięły gniew i poczucie krzywdy. Kiedy wreszcie furgonetka zatrzymała się, postanowił działać.

Nie było czasu na planowanie. Nie miał żadnej przemyślanej strategii. Skorzystał po prostu z okazji, dając upust nagromadzonej w nim energii. Kiedy ucichł silnik samochodu obaj strażnicy najwidoczniej odprężyli się i spojrzeli na kabinę kierowcy. W tym momencie Decker skoczył do przodu, waląc oburącz w skroń wyższego z nich i obalając go na podłogę. Potem zamachnął się znów związanymi rękoma, jakby trzymał w nich raketę tenisową, trafiając niższego z mężczyzn w szczękę, tak że jego głowa odbiła się od burty furgonetki. Kłykcie zabolowały od uderzenia. Chyba złamał sobie jeden palec.

– Bierz jego broń! – zawołał do Kathy, czując, jak przepelnia go adrenalina.

Kathy schyliła się i przeszukała ubranie leżącego mężczyzny. Wreszcie znalazła czarny pistolet. Decker zrobił to samo z drugim facetem, który, choć przytomny, leżał rozplaszczony przy burcie auta, trzymając się za głowę. Potem podniósł torbę i kopnął ją ku drzwiom. Przez moment zastanawiał się, jak je otworzyć, nagle jednak same się rozwarły.

Uniósł pistolet, mierząc w sylwetki rysujące się na tle ciemnego jeszcze nieba. Zorientował się, że stoi tam kobieta, którą otaczało czterech mężczyzn, celujących do nich z pistoletów.

– O mój Boże! – odezwała się za jego plecami Kathy. Deckerowi dosłownie opadła szczeka. Co ona tu robi?

– Co tu się do diabła wyprawia? – Głos kobiety był donośny, stanowczy. Spojrzała na Kathy, potem na Deckera, wreszcie mężczyznę o piaskowych włosach, wstającego niepewnie na nogi. – Agencie Toshack, co się stało? – zapytała go ostro. Wyglądała na zmęczoną, twarz miała pobladłą, jednak zdawała się całkowicie kontrolować sytuację. – Mówiłam, żeby pan ich tu przywiózł, a nie walczył z nimi.

Toshack potarł podbródek i uśmiechnął się ponuro.

– Agent specjalny Decker miał na ten temat własne zdanie. Trzeba przyznać, że potrafi być cholernie przekonujący.

– Co z Brownem?

Toshack dokonał szybkich oględzin swego pojękującego partnera.

– Będzie żył.

Kobieta z niesmakiem pokręciła głową. Następnie, całkowicie ignorując pistolet Deckera, wyciągnęła rękę do Kathy.

– Witamy w Fort Betrick, doktor Kerr. Kiedy mam już pewność, że stoimy po tej samej stronie, miło mi panią poznać. Jestem Pamela Weiss.

Kathy nadal nie mogła wyjść ze zdumienia. W milczeniu uściśnęła podaną jej dłoń.

Następnie Weiss zwróciła się do Deckera, gestem wskazując torbę u jego stóp.

– Agencie specjalny Decker, ma pan zamiar mnie zastrzelić? Bo jeśli nie, to chciałabym

zobaczyć, co zabraliście z Viro-Vectora.

Decker przez sekundę stał bez ruchu, wciąż nie będąc pewny, jaką rolę odgrywa tu Pamela Weiss. Wreszcie opuścił broń i podniósł torbę, ale nie wypuszczał jej z ręki.

– Pani prezydent – odezwał się – sądzę, że wszyscy chcemy zobaczyć, co jest na tych dyskach.

Viro-Vector Solutions, Palo Alto
Sobota, 8 listopada, godz. 10.09

W piątek rano dwójka naukowców z Viro-Vectora znalazła w Łonie chromowany elektroniczny gadżet. Śpieszyli się, by na czas przygotować wirion przeciwko chorobie Alzheimera, i byli oburzeni, że ktoś zajął wyznaczone dla nich miejsce w chłodziarce.

Gdy poskarżyli się Alice Prince, jej pierwszą reakcją była złość. Że też akurat teraz ludzie muszą się kłócić o takie rzeczy. Gdy jednak nikt nie potrafił zidentyfikować chromowanego przedmiotu ani stwierdzić, jak się tam znalazł, poczuła się zaniepokojona.

Włożyła skafander ochronny i weszła do Łona, by przyjrzeć się pudełeczku, które najwyraźniej ktoś ukrył w jednej z chłodziarek. Titania udzieliła jej informacji, że przez ostatnich kilka dni do Łona nie wchodził nikt spoza upoważnionego personelu. Biokomputer wyświetlił listę wszystkich osób wchodzących do kompleksu laboratoryjnego i do Łona. Przeglądając listę, Alice głośno westchnęła na widok nazwiska Kathy Kerr. Doznała wstrząsu, gdy poniżej znalazła nazwisko Deckera. Minionego wieczoru byli tu, w firmie. To niemożliwe. Przypomniała sobie nagle, że nie anulowała srebrnego dostępu Kathy. Madeline stwierdziła, że nie jest to konieczne. A dla Titanii Kathy Kerr wciąż miała prawo wchodzić i wychodzić z kompleksu, kiedy tylko ma na to ochotę.

Serce waliło Alice jak młotem, gdy podeszła do sejfu i na elektronicznej klawiaturze wstukała kod. Otworzyła drzwiczki, zajrzała do środka i wyjęła stelaż. Obejrzała plomby na fiolkach. Wszystko wydawało się w porządku. Wyjęła jedną z fiolek Spirali Zbrodni i zeskanowała kod paskowy. Na najbliższym monitorze ukazało się menu projektu. W prawym dolnym rogu widniała data ostatniego skanowania: 7 listopada, 21.16. Wczoraj.

Alice się cofnęła. Z ciężkim sercem szykowała się, by powiedzieć o tym Madeline Naylor.

Port Lotniczy Heathrow, Londyn
Tego samego dnia, godz. 14.12

Lotnisko Heathrow zawsze było jednym z najruchliwszych portów lotniczych na świecie. W 2005 roku, gdy oddano do użytku Terminal 5, lotnisko stało się niekwestionowanym numerem jeden. Zatrudniało ponad sto tysięcy osób i obsługiwało blisko osiemdziesiąt milionów pasażerów rocznie.

W sobotnim ścisisku nikt nie zauważył, że przez dwie godziny trzy tunele łączące terminal z pasami startowymi były zamknięte. Pasażerów kierowano do innych bramek, a niedogodności ograniczono do minimum. Niewielu podróżnych zwróciło uwagę na dwóch ludzi w niebieskich kombinezonach, którzy weszli do zamkniętych tuneli, pchając przed sobą wózek z białymi kartonowymi pudłami. Obaj technicy mieli na plecach logo AirShield

Industries. Na każdym kartonie widniała napisana małymi literkami informacja, że AirShield Industries należy do koncernu Viro-Vector Solutions.

To była rutynowa procedura. Komputer zgłosił pracownikom, że pojemniki są puste i należy je zastąpić nowymi. Wyszczególnił nawet numery seryjne zasobników, które należało pobrać z magazynu. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, by kwestionować to zadanie. Nie mogli znać jego konsekwencji.

Bramka przed nimi była pusta. Na wyświetlaczu, gdzie zazwyczaj widniały numer lotu i lotnisko docelowe, teraz migał krótki komunikat: „Konserwacja. Nieczynne”. Podobnie jak większość dużych portów lotniczych, Heathrow korzystało z bakteriofagowych systemów oczyszczania powietrza w tunelach dla odlatujących i przylatujących. Pasażerowie na ogół nie zdawali sobie sprawy, że podczas wsiadania czy wysiadania z samolotu są poddawani dezynfekcji. Nasycone fagami powietrze odczuwali jedynie jako delikatny wiaterek o kwiatowym aromacie.

Technicy przeszli przez opuszczone stanowisko kontroli paszportowej i biletowej, minęli puste rzędy krzesełek dla oczekujących podróżnych, by zniknąć w przejściu oznaczonym tabliczką: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Korytarz prowadził do labiryntu przecinających się chodników pod każdym z tuneli, umożliwiających dostęp do wszystkich pojemników fagowych systemów dezynfekcyjnych. Robotnicy zostawili wózek u szczytu schodów i znieśli kartony na dół. Przed sobą mieli długi, chromowy korytarz z rzędami hermetycznych drzwi po lewej stronie. Drzwi były oznaczone numerami odpowiadającymi kolejnym bramkom odpraw.

Za pomocą klucza jeden z mężczyzn otworzył drzwi numer 28, za którymi krył się niski chodnik techniczny, biegnący pod tunelami dezynfekcyjnymi. Drugi z mężczyzn wszedł do sąsiedniego otworu. Pierwszy technik ukucnął i wgramolił się do małej komory rewizyjnej. Szybko zlokalizował wystający z sufitu kanał wentylacyjny o nieco ponad półmetrowej średnicy. Po usunięciu kratki zabezpieczającej jego oczom ukazały się czerwony guzik oznaczony „Blokada” i zielona lampka. Obok przycisku znajdowała się dźwignia, uwalniająca cylindryczny zasobnik z sześcioma naczyniami, z których każde zawierało bakteriofagi przeznaczone do zwalczania określonego typu bakterii.

Nacisnął guzik i patrzył, jak hermetyczne drzwi zasuwają się za nim. Światelko zmieniło kolor z zielonego na czerwony, co znaczyło, że powietrze ani nie dociera do tunelu, ani się z niego nie wydostaje. Technik sprawdził numer na kartonie, otworzył go, wyjął zasobnik i odłożył go na podłogę.

Pociągnął za dźwignię, uwalniając zainstalowany pojemnik. Upewnił się, że zasobnik nie jest uszkodzony, ostrożnie go wysunął i włożył do pustego kartonu. Jak zwykle pobieżnie obejrzał cylindryczny zasobnik z sześcioma fiolkami. Zdziwił się, bo większość z nich nie była zużyta nawet w połowie. Nie zastanawiał się jednak nad tym. Wykonywał tylko polecenia komputera.

Bez wahania szybko zainstalował nowy zasobnik. Pojemniki niczym się od siebie nie różniły. Nie przywiązał wagi do tego, że zawartość jednej z fiolek była nieco innego koloru. To nie jego sprawa. Zignorował też fakt, że w narożniku obudowy znajdowała się

miniaturowa antena radiowa. Założył kratkę ochronną, podniósł karton i wyczołgał się z chodnika. Zadanie wykonane.

Kiedyś lubił myśleć, że ma odpowiedzialną pracę, bo pomaga chronić ludzkie zdrowie. Teraz nie obchodziło go, czym się zajmuje. Zarabiał na spłatę hipoteki.

Dzisiejsze zadanie mogłoby go jednak zainteresować. Gdyby tylko wiedział, że wraz z dziewięcioma innymi konserwatorami z czterech innych portów lotniczych rozsianych po Ziemi właśnie przyczynił się do zaprowadzenia nowego porządku na świecie.

*USAMRIID, Fort Detrick, Maryland
Sobota, 8 listopada, godz. 12.23*

Zapoznali się państwo z rewelacjami zawartymi na dyskach, które doktor Kerr i agent specjalny Decker wynieśli z Viro-Vectora. Z dysku dotyczącego fazy trzeciej dowiedzieliśmy się, że zdalna aktywacja ma nastąpić w bardzo niedalekiej przyszłości. Musimy więc założyć najgorsze i dobrze się na to przygotować. Ponadto potrzebny nam jest plan postępowania z epidemią fazy drugiej w Iraku. Musimy wziąć pod uwagę ewentualność, iż zaraza wydostanie się poza jego granice. Darujmy sobie formalności. Mówcie, co myślicie. Jeśli w tym zespole kogoś brakuje, to ściągnijcie go tutaj. Dyrektywa o bezpieczeństwie narodowym numer 7. Sytuacja nie może już być poważniejsza.

Prezydent Weiss wyglądała na przybitą, gdy kierowała te słowa do sztabu kryzysowego zebranego przy stole w głównej sali konferencyjnej. Kathy doskonale ją rozumiała. Przecież Alice Prince i Madeline Naylor były jej zaufanymi przyjaciółkami. Dzięki Sumieniu wygrała wybory. A teraz okazało się, że Alice Prince i Madeline Naylor obróciły w koszmar ich wspólne marzenie.

Jak Kathy zdążyła się dowiedzieć, Weiss przekonały niepokojące podobieństwa symptomów Axelmana do tych z irackiej Plagi Pokoju. Wysłała Toshacka, by ją znalazł. Zaopatrzone w zdjęcie wykładowców ze Stanforda, Toshack ze swoimi ludźmi śledził dyrektor FBI, wierząc, iż doprowadzi ich do Kathy. Ostatniej nocy, po tym, jak za dyrektor Naylor trafili do kompleksu Viro-Vectora, obezwładnili ludzi Frankiego Danzy i czekali na pojawienie się Luke'a i Kathy.

Kathy siedziała teraz oparta wygodnie i przyglądała się osobom przy stole. Obok Deckera siedziała tam prezydent Stanów Zjednoczonych wraz z szóstką innych ludzi, próbujących ogarnąć całe to szaleństwo.

Postawny ciemnoskóry umundurowany mężczyzna po prawej ręce Weiss to generał Linus Cleaver, dowódca szefów sztabów. Również umundurowany mężczyzna o kwadratowej szczęce, siedzący po jego prawej stronie, to generał doktor Thomas Allardyce, szef USAMRIID. Prosił, by wszyscy mówili mu po imieniu. Obok niego siedziała kobieta o pociągłej twarzy, ciemnych włosach i nieco rozbieganych, inteligentnych oczach. Doktor Sharon Bibb kierowała Wywiadem Epidemiologicznym w CDC w Atlancie. Miejsce przy Bibb zajmował wicedyrektor FBI Bill McCloud – ostrzyżony na wojskowego jeża, wysoki i szczupły facet z południowym akcentem. On i Luke znali się od dawna. McCloud miał spore doświadczenie w postępowaniu z niebezpiecznymi materiałami. Pozostali dwaj mężczyźni to Todd Sullivan, nowy szef sztabu Pamela Weiss, oraz Jack Bloom, dowodzący Komitetem Kryzysowym. Zadaniem Komitetu Kryzysowego wydziału NSA było przewidywanie najbardziej pesymistycznych okoliczności i opracowywanie planów na wypadek ich wystąpienia. Jego obecność tutaj sama w sobie napawała przerażeniem.

Generał Allardyce przemówił pierwszy, wskazując na stosiki papierów ułożone przed każdym z obecnych. Wykresy i tabele stanowiły streszczenie zawartości dysków.

– Zanim podzielimy się obowiązkami i ustalimy dalsze plany, wszyscy powinniśmy dobrze pojąć wagę Spirali Zbrodni. Kathy, pani jest tu najbardziej kompetentna. Czy może pani krótko omówić fazy?

Oglądając wykresy, Kathy przedstawiła w skrócie historię projektu Sumienie. Pamela Weiss spochmurniała, gdy Kathy tłumaczyła, jak Alice Princee i Madeline Naylor wykorzystały jej badania nad Sumieniem, by opracować wirion rozróżniający płęć.

Kathy łyknęła wody ze szklanki.

– Fazę pierwszą testowano na sześciu więźniach z San Quentin. Jednym ze skazanych był Karl Axelman. Do osłabionego wiriona wprowadzono zmodyfikowane geny. Wirion zainstalował się w komórkach macierzystych pacjenta. Oznaczało to, że terapia, jeśli można to tak nazwać, oddziaływała wyłącznie na osobę, której wstrzyknięto preparat. Wirion atakował komórki mózgu i jąder. Gwałtownie podnosił poziom hormonów i neurotransmiterów. Stymulował agresję pacjenta, a równocześnie torturował go samobójczym poczuciem winy. Głównym celem tej fazy było sprawdzenie, czy terapia potrafi najpierw pozbawić pacjenta wszelkiej agresji, a później zabić go w określonym przedziale czasowym.

– Określonym przedziale czasowym? – powtórzył Todd Sullivan, szef sztabu pani prezydent.

– Jeśli wirion i zawarte w nim geny zostały właściwie zmodyfikowane, to na podstawie genomu wirus decydował, w jakim wieku pacjent umrze.

– Na podstawie długości telomerów? – zainteresowała się doktor Bibb, oglądając swoje zestawienia.

– Tak.

– Co to są telomery? – zapytał generał Cleaver.

Kamy spojrzała na Sharon Bibb, ale ona uśmiechała się tylko, jakby oddając jej głos.

– To takie zatyczki ochronne na końcach chromosomu. Coś w rodzaju zakończeń sznurowadeł. Gdy się starzejemy, komórki dzielą się i telomery erodują. Odpowiednio zaprojektowany wirus potrafi określić wiek nosiciela na podstawie ich długości. Proszę pamiętać, że Alice dysponuje ogromną kolekcją wirionów. Może stworzyć praktycznie wszystko, co zechce. Założeniem fazy drugiej było przejście z testów laboratoryjnych do praktyki. Naylor i Princee wybrały Irakijczyków, bo chciały zademonstrować skuteczność swojej wizji. Zrobić wrażenie na opinii publicznej. Pokazać, że potrafią powstrzymać wojnę. Bo przecież wojna jest największą zbrodnią, jaką znamy.

– Myślę, że przede wszystkim chciały zaimponować pani, pani prezydent – wtrącił się Decker.

Pamela Weiss zmarszczyła brwi, lecz nie skomentowała tego.

– Z zawartości dysku jasno wynika – podjęła Kathy – że użyły pojedynczej uszkodzonej próbki szczepionki BioShield, żeby zainicjować infekcję. Irak, jak większość mocarstw wojskowych, jest klientem Viro-Vectora. Prawdopodobnie zamówili partię szczepionek genetycznych dla swoich żołnierzy. Najwidoczniej Alice Princee nakazała Titanii,

komputerowi zarządzającemu Viro-Vectorem, umieszczenie felernej próbki w partii przeznaczonej do Iraku. W przeciwieństwie do fazy pierwszej, ten wirion jest zakaźny i przenosi się przez dotyk.

– Dlaczego zatem od razu nie użyły tego groźniejszego wiriona? – zapytał Jack Bloom.

– Prawdopodobnie chciały się upewnić, czy w razie potrzeby będzie można go powstrzymać – wyjaśniła Kathy. – Irak stał się poligonem na szerszą skalę. Należało sprawdzić, na kogo oddziałuje wirus i, co ważniejsze, na kogo nie oddziałuje. Wirion infekuje każdego bez wyjątku, lecz skutek modyfikacji genetycznych atakuje wyłącznie mężczyzn. Alice Prince i Madeline Naylor chciały mieć gwarancję, że ich sprytny zabójca zabije tylko tych, których trzeba.

– Według naszego wywiadu właśnie tak się teraz dzieje – wtrącił generał Cleaver. – Dzieci i kobiety w Iraku są zdrowe.

Kathy zagryzła wargę.

– Nie przejawiają symptomów choroby, ale są jej nosicielami. Istota Spirali Zbrodni polega na tym, że wirus atakuje tylko wyznaczone jednostki, lecz każdego może wykorzystać jako nosiciela. Wirusy Eboli i Marburga szybko przestają być groźne, bo ofiary zwykle umierają, zanim zdążą kogoś zarazić. Spirala Zbrodni działa inaczej. Faza druga nie będzie miała końca.

– Ale jak one to robią? – zapytał McCloud z FBI. – Czy uważają, że mogą dowolnie sterować epidemią?

– Mogą to czynić dzięki Titanii, superkomputerowi Viro-Vectora – wyjaśniła Kathy. – Titania kieruje wszystkim, monitoruje każdą fazę, zanim przejdzie do kolejnej. Wirion fazy trzeciej to prawdziwy seryjny morderca. – Kathy przewertowała leżący przed nią stos materiałów. – Wirion ten przejmuje kontrolę i anuluje wszystkie wcześniejsze zmiany. Jeśli ktoś był poddany działaniu fazy drugiej, faza trzecia zastąpi zmiany genetyczne swoimi własnymi. Ten wirion to arcydzieło. Podobnie jak faza druga, zaraża każdego, lecz atakuje tylko wybrany fragment populacji. Co więcej, symptomy są różne w zależności od wieku ofiary. Faza trzecia łączy to, co najlepsze w Sumieniu, z tym, co najgorsze w Spirali Zbrodni. Wirus jest przerażająco sprytny.

– Proszę to wyjaśnić – poleciła Weiss.

– Wirion ten ma bezobjawowo zakażać dziewczęta i kobiety w każdym wieku. Nosicielki przenoszą wirion poprzez układ oddechowy, wcale nie chorując, jeśli nie liczyć słabego kaszlu. Oznacza to, że wirus na stałe pozostanie aktywny. W przypadku osobników męskich przed wiekiem dojrzałości, ich genom zmienia się, lecz tylko w takim stopniu, w jakim modyfikował go wirion Sumienia. Wirus jest nieśmiertelny. Zainfekowani chłopcy doświadczają tylko takiej modyfikacji genów, aby byli mniej skłonni do przemocy, niezależnie od wrodzonych predyspozycji. Zmiany dotyczą też komórek rozrodczych, są genetycznie przekazywane całemu potomstwu zarażonych. W porównaniu jednak z zakażonymi dorosłymi mężczyznami, mogą oni uważać się za szczęściarzy. – Przerwała, by zaczerpnąć powietrza. – Podobnie jak w przypadku wiriona fazy drugiej wirus fazy trzeciej najpierw pozbawi każdego zakażonego mężczyznę zdolności do popełniania agresywnych

czynów, a potem go zabije. Ale ten wirus, dzięki telomerom, na podstawie wieku ofiary decyduje o czasie jej zgonu. Krótko mówiąc, młodzi umrą jako pierwsi. Mężczyźni w wieku do dwudziestu pięciu lat zginą za kilka miesięcy. Ostatni odejdą starsi mężczyźni, którzy są najmniej agresywni, a mają do przekazania najwięcej wiedzy. Ci umrą dopiero po jakichś trzech latach. Wirion jest oparty na wirusie grypy, a co za tym idzie, rozprzestrzenia się w powietrzu. Zassanie wiriona do płuc oznacza zakażenie. Przy dzisiejszym rozwoju komunikacji lotniczej wirus opanuje cały glob w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwała Sharon Bibb. Jej nienaturalnie monotony głos zdradzał, że jest w szoku.

– Największa do tej pory pandemia miała miejsce w 1918 roku, tuż po I wojnie światowej. Grypa rozprzestrzeniała się błyskawicznie po Azji, Ameryce oraz i tak już wyniszczonej Europie. Wszyscy wiemy, że wojna pochłonęła miliony istnień ludzkich, lecz liczba ta wydaje się całkiem mizerna w porównaniu z pięćdziesięcioma milionami ofiar hiszpanki. Dwadzieścia milionów ludzi zmarło na grypę w samych tylko Indiach. To, z czym mamy tu do czynienia, przyćmi nawet te liczby. Jeśli faza trzecia dojdzie do skutku, to w ciągu trzech lat zginie prawie dwa i pół miliarda ludzi.

– Mężczyzn – sprostował Decker. – Nie można temu odmówić logiki. Najbardziej brutalni przestępcy to mężczyźni. Eliminacja mężczyzn jest jednoznaczna z eliminacją przestępczości. Na planecie ostaną się tylko kobiety i chłopcy o zmodyfikowanych genach. Przystępstwa z użyciem siły, wojny i wszelkie akty bezsensownej przemocy zostaną usunięte jednym ruchem, przez jeden, gigantyczny akt przemocy. W ciągu kilkudziesięciu lat pojawi się nowy gatunek łagodnych samców, a agresywni mężczyźni pozostaną tylko wspomnieniem. – Odetchnął głęboko. – Trzeba przyznać, że jest w tym jakaś wizja. Co więcej, pani prezydent, obie one uznały, że stanowi pani jej nieodłączny element.

Pamela Weiss obróciła się do Luke'a. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Jak mogę im pomóc przejrzeć na oczy?

Gdy Decker wysłuchał wykładu o trzech fazach Spirali Zbrodni, stało się dla niego jasne, jaką rolę miała odegrać prezydent w nowym świecie Madeline Naylor i Alice Prince.

Projekt Sumienie był nie tylko prekursorem Spirali Zbrodni, lecz także receptą na jej zwycięstwo w wyborach. Chociaż Prince i Naylor planowały rozłożyć zagładę na okres trzech lat, to i tak skutki byłyby niezmiernie trudne do opanowania. Potrzebowały silnej kobiety u władzy, która zapewni stabilność państwu i nie pozwoli światu, a zwłaszcza Stanom Zjednoczonym, zginąć w chaosie spowodowanym lawiną zgonów.

– Dlaczego Prince i Naylor jeszcze nie aresztowano? – zapytał Jack Bloom.

– Bo trzeci dysk nie wyjaśnia, jak ani gdzie zostanie uwolniony wirus roznoszony drogą kropelkową – odparł wicedyrektor McCloud. – Można do tego użyć różnych rzeczy. Według harmonogramów zapisanych na dysku termin rozpoczęcia fazy trzeciej wypadnie nie wcześniej niż za kilka dni. Naylor jest bardzo przebiegła. Obserwujemy zarówno ją, jak i Alice Prince. Nie chcę doprowadzać do konfrontacji, dopóki nie będziemy wiedzieć, jak z nimi postąpić.

Bloom zmarszczył czoło.

– Przecież mogą uwolnić wirusa choćby teraz. Lepiej je natychmiast uwięzić niż pozostawiać na wolności.

Decker pokręcił głową.

– Bill ma rację. Na naszą korzyść przemawia fakt, że Naylor i Prince nie wiedzą, czego się dowiedzieliśmy. Nie spieszą się, a to daje nam przewagę. Uważają, że nie są terrorystkami, psychopatkami, ale tylko leczą straszliwie groźną chorobę. Skrupulatnie to zaplanowały i nie będą wykonywały żadnych gwałtownych ruchów, chyba że je do tego zmusimy. One nie chcą zniszczyć świata. Ubzdurały sobie, że w ten sposób go naprawią.

– Co zatem pan proponuje? – zapytała Weiss. – Siedzieć i czekać, aż uratują świat?

– Nie, pani prezydent. Sądzę, że powinna pani porozmawiać z nimi w cztery oczy. Robią to częściowo dla pani i oczekują od pani pomocy. Niech się pani nie zdradzi, że coś pani wie. Proszę wezwać je pod pretekstem Plagi Pokoju. Niech pani rozmawia z nimi, jak z przyjaciółkami. Proszę uświadomić Alice Prince odpowiedzialność za życie ludzi. Alice jest słabym ogniwem. W przeciwieństwie do Naylor, której nie da się już zmienić. Z tego, co wiem, Prince popiera założenia Spirali Zbrodni, lecz boi się konsekwencji. Czy jest bliżej związana z pani rodziną?

Weiss zbladła.

– Mój trzeci syn, Sam, jest jej chrześniakiem.

Decker skinął głową.

– Ile ma lat?

– Jest już dojrzały, jeśli o to panu chodzi. Ma trzynaście lat. – Weiss wzięła głęboki oddech. – Jest jednym z pierwszych w kolejce.

Decker milcząco kiwnął głową.

– Proszę to wykorzystać. Niech Alice skojarzy pani potencjalną stratę z utratą własnej córki, Libby. Proszę jej jasno uświadomić, że chce zamordować pani dziecko nie mniej brutalnie, niż Axelman zabił jej córkę. Jeśli Alice zrozumie, być może uda się nam zapanować nad Naylor, zanim wypuści dzina z butelki. Kto wie, może nawet pomoże nam z Plagą Pokoju.

– Spotkam się z nimi w Viro-Vectorze – powiedziała Weiss z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Doskonale – stwierdził Allardyce. – Otoczymy kompleks i uwięzimy je wraz ze wszelkimi niebezpiecznymi substancjami, które mogą się tam znajdować. Będziemy je mieli na widelcu niezależnie od wyniku spotkania.

Sharon Bibb bębniła palcami o blat stołu.

– Wszystko to bardzo pięknie. Musimy jednak założyć najczarniejszy scenariusz. Na wypadek rozpowszechnienia się epidemii trzeba opracować szczepionkę przeciwko Pladze Pokoju i fазie trzeciej.

Allardyce potwierdził skinieniem głowy.

– Problem polega na tym, że są to niezwykle skomplikowane wiriony. Moi ludzie nie mają odpowiedniego doświadczenia w tej dziedzinie. Prince opracowanie wiriona zajęło wiele lat. A my mamy ile czasu? Parę miesięcy?

Bibb westchnęła, przyznając mu rację.

– Taka sama sytuacja jest w Atlancie. Specjalizujemy się w walce z wirusami występującymi w naturze.

Teraz wszystkie oczy zwróciły się ku Kathy.

– Kathy, od jak dawna pracuje pani w tej dziedzinie? – zapytała prezydent.

Kathy nerwowo zmierzwiła włosy. Jej ramiona opadły, jakby nagle obciążone ciężkim balastem.

– Prawie dziesięć lat.

– Z Alice Prince? – dopytywała się Sharon Bibb.

Kathy skinęła głową.

– A Spirala Zbrodni opiera się na pani badaniach, tak? – dociekał Allardyce.

– Obawiam się, że tak – wyszeptała Kathy.

Pamela Weiss pochyliła się do przodu i spojrzała wprost na Kathy.

– Chcę, żeby pokierowała pani zespołem, który opracuje szczepionkę. Da pani radę?

Luke patrzył, jak Kathy waha się, by wreszcie niepewnie skinąć głową.

Prezydent zwróciła się następnie do Sharon Bibb i Allardyce'a.

– Macie zapewnić doktor Kerr personel i wszystko to, czego będzie potrzebowała.

Oboje przytaknęli ruchem głowy.

– Gdzie zorganizujemy główne laboratorium? W Atlancie czy tu, w USAMRIID?

– Osobiście wolałabym pracować w miejscu, które znam – stwierdziła Kathy – gdzie pod ręką miałabym odpowiednie próbki. Co powiecie na Viro-Vector? Łono jest najnowocześniejszym laboratorium wirusologicznym, z jakiego kiedykolwiek korzystałam.

Allardyce wzruszył z rezygnacją ramionami.

– Przejmemy cały kompleks po spotkaniu pani prezydent z Alice Prince i Naylor, więc nie widzę problemu. Jest tam też szpital czwartego poziomu zagrożenia biologicznego i kostnica, prawda?

– Tak.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

– No dobrze – rzekła Weiss – czyli to już ustalone. Idźmy dalej. Jakie grożą nam konsekwencje, jeśli nie uda się opracować szczepionki?

Bloom odsunął z czoła kosmyk czarnych włosów i wyjął z teczki kartkę papieru. Decker zwrócił uwagę na to, że jest to papier nitrocelulozowy. Wystarczyłaby iskierka ognia, a kartka zdematerializowałaby się w obłoku dymu.

– Oczywiście te informacje muszą pozostać tajne. Przygotujmy się na najczarniejszy scenariusz, lecz za wszelką cenę należy zapobiec panice, podając do wiadomości tylko optymistyczne informacje. Dotyczy to też polityki międzynarodowej. Nie ujawniamy całej prawdy o fazie trzeciej żadnym innym światowym przywódcą, dopóki nie będziemy pewni, że się rozpoczęła. Niech więc pretekstem działania będzie Plaga Pokoju w Iraku. Pomagamy znaleźć szczepionkę, a równocześnie zachowujemy ostrożność na bardzo mało prawdopodobną ewentualność, że epidemia przedostanie się poza granice. Nie określimy jasno, jakie to są środki ostrożności. Jeżeli ktoś będzie węszył, powiemy, iż jesteśmy po prostu wyjątkowo przezorni. Zaczniemy od najczarniejszego scenariusza. W całym kraju

mamy pięćdziesiąt pięć zbiorowych mogił, co najmniej po jednej w każdym stanie. Istnieją od dziesięcioleci, a największe z nich mogą pomieścić do pięćdziesięciu tysięcy ciał. Większość z nich to wycofane z eksploatacji szyby górnicze, kamieniołomy i naturalne jaskinie. Ich pojemność nie rozwiąże jednak problemu. Musimy więc już teraz zacząć szukać więcej miejsca. – Podniósł wzrok i uśmiechnął się kwaśno. – Dyrektor Naylor i doktor Prince, nasze dwa anioły śmierci, dały nam przynajmniej trochę czasu na pochowanie zmarłych. Kolejna sprawa. Uaktualniono listę personelu niezbędnego do zachowania podstawowej infrastruktury kraju. Wszystkim osobom z listy wyznaczono miejsce w hermetycznych lokalach. Trzeba przyznać, że nasze anioły śmierci dobrze to przemyślały. Jeśli przeszkolimy kobiety tak, by mogły pełnić kluczowe funkcje, to zamieszanie będzie można ograniczyć do minimum, nawet jeśli zdarzy się najgorsze. – Bloom przerwał i rozejrzał się po pobladłych twarzach wokół stołu. – Nie jest najgorzej. W każdym razie jeszcze nie teraz – stwierdził z sardonycznym uśmiechem. – Na pocieszenie mamy mnóstwo planów awaryjnych, żeby zminimalizować straty. – Obrócił się do McClouda. – Bill, czy możesz powiedzieć, co ma w zanadrzu FBI?

McCloud pochylił się do przodu i położył dłonie na stole.

– W zasadzie są to standardowe procedury, ale mamy ich całe mnóstwo. Jeśli chodzi o stronę operacyjną, to w ciągłej gotowości mamy komandosów z zespołu do ratowania zakładników. Oddział jest wyposażony w lekkie opancerzenie, skafandry ochronne Racal i spreje Envirochem. Podobne oddziały zostaną wyznaczone do obstawienia Viro-Vectora. Zorganizuję też grupę informatyków, żeby przejęli kontrolę nad Titanią.

Decker miał okazję widzieć tych antyterrorystów, gdy odziani w czarne jak smoła skafandry ochronne i kamizelki kuloodporne ćwiczyli w Quantico. Miał jednak nadzieję, że ich skafandry nie przydadzą się.

Spotkanie dobiegało końca. Gdy Weiss już wyznaczyła wszystkim zadania, Decker pomyślał o tym, co czekało go nazajutrz. Zanim przyszedł tutaj, zadzwonił do Barziniego. Nie wolno mu było mówić o Spirali Zbrodni, ale przynajmniej uspokoił go, że z nim i z Kathy wszystko jest w porządku. Barzini powiedział, że pogrzeb Matty'ego odbędzie się jutro, a Decker obiecał, że na pewno tam będzie.

Wstając od stołu, zagadnął McClouda.

– Bill, nie zapominaj o mnie, dobrze? Jutro muszę iść na pogrzeb i zniknę na kilka godzin, ale chcę trzymać rękę na pulsie.

McCloud poklepał go po ramieniu.

– Rękę? Siedzisz w tym po uszy.

Centrum obliczeniowe, Viro-Vector Solutions, Palo Alto
Niedziela, 9 listopada, godz. 10.30

Alice Prince próbowała opanować niepokój. Nie widziała nic szczególnie dziwnego w tym, że Pamela poprosiła je o radę w sprawie epidemii w Iraku. Były jej przyjaciółkami, a Viro-Vector mógł zaproponować naprawdę istotną pomoc. Dziwiła się tylko, że Pamela nie szukała u nich pomocy wcześniej. Znaleziony w Łonie pulsator zwiastował niebezpieczeństwo. Ale przecież to, że Kathy Kerr wie o Spirali Zbrodni, nie musi oznaczać, iż wie o niej Pamela Weiss.

Alice siedziała obok Madeline u szczytu stołu konferencyjnego. Ze swojego miejsca widziały główne drzwi centrum obliczeniowego. Za plecami miały ściany z ekranami.

Madeline stała się paranoiczką. Była tak przesadnie ostrożna, że nawet Alice zaczęła myśleć o tym, co najgorsze. A jeśli prezydent faktycznie dowiedziała się o ich udziale w Spirali Zbrodni? Sama myśl o tym napawała ją przerażeniem.

Jeśli jednak prezydent rzeczywiście potrzebowała pomocy przy irackiej epidemii, to spotkanie było świetną okazją, by w jej głowie zaszczepić myśl o potencjalnych możliwościach, przygotować ją na prawdę o Spirali Zbrodni.

Alice nawijała łańcuszek wisiorka na mały palec. Miała nadzieję, że człowiek Madeline, wicedyrektor Jackson, dobrze wyczuł, gdzie należy dzisiaj szukać Luke'a Deckera i Kathy Kerr. Koniecznie trzeba ich wyeliminować.

Głos w interkomie doniósł, że przybyła prezydent. Alice wstała, lecz nie odeszła od stołu. Patrzyła, jak dwie osoby z obsługi otwierają drzwi, wprowadzając Pamelę Weiss, po czym wychodzą. Pamela nie podeszła bliżej, by je uściskać. Poprzestała na chłodnym powitaniu. Wyglądała na krańcowo wyczerpaną.

Ku zdumieniu Alice, Pamela przyszła sama. Bez doradców, bez ochrony.

Serce zaczęło jej bić nieco szybciej.

– Od jak dawna się znamy? – Ze smutnym uśmiechem zaczęła Pamela. – Będzie pewnie z trzydzieści lat...

Alice rzuciła Madeline nerwowe spojrzenie, lecz dyrektor FBI miała twarz pokerzystki.

– Tak, coś koło tego – potwierdziła Alice.

Pamela skinęła głową.

– Jesteśmy przyjaciółkami, prawda?

– Najlepszymi przyjaciółkami – przytaknęła Madeline.

– Nigdy was nie okłamałam. Nigdy celowo nie wprowadziłam was w błąd.

Serce Alice biło tak mocno, że była pewna, iż słyszy to Madeline, siedząca na drugim końcu stołu.

– Ja też nigdy nie okłamałam ciebie – odparła Madeline.

– A kłamstwa o Sumieniu?

– Były niewinne. Miały cię chronić – tłumaczyła z zimnym spokojem Madeline.

Pamela umilkła i spojrzała na Alice. Swymi przepięknymi niebieskimi oczami zaglądała prosto w jej duszę.

– Wiesz, że symptomy epidemii w Iraku są identyczne z zaobserwowanymi u Axelmana i pozostałych skazańców z San Quentin?

Alice nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Potrzebuję waszej pomocy. Muszę rozwiązać pewien problem. Zadam wam tylko jedno pytanie. Jeśli nasza przyjaźń coś dla was znaczy... musicie powiedzieć mi prawdę: mnie, waszej przyjaciółce, mnie, prezydentowi.

– Wiesz, co się kryje za epidemią w Iraku? – zapytała Pamela i zwróciła się do Madeline.

Alice czuła na karku fale zimna i gorąca na przemian. Teraz miały okazję wszystko wyznać, powiedzieć o wszystkim Pameli i wciągnąć ją w swoje plany.

– Nie! – zaprzeczyła Madeline. Wyrazem twarzy sugerowała, że pytanie jest niedorzeczne. – Oczywiście, że nie.

Pamela odwróciła się do Alice, która mogłaby przysiąc, że w jej oczach dostrzeża łzy.

– A co na to moja druga przyjaciółka?

Alice rozpaczliwie chciała powiedzieć prawdę, lecz Madeline posłała jej lodowate spojrzenie.

– Nie wiem – odparła i w tym samym momencie uświadomiła sobie konsekwencje tych słów.

Nie spuszczać oczu z Alice, Pamela powoli pokiwała głową.

– Potrafiłybyście mnie zranić?

– Oczywiście, że nie – szybko zaprzeczyła Madeline.

– A moją rodzinę?

– Nie – odparła Madeline.

Alice nie potrafiła tak gładko kłamać.

– Nie – wyszeptwała wreszcie.

– A więc, Alice, pomóż mi coś zrozumieć – ciągnęła Pamela. Oczy miała już wyraźnie wilgotne. Alice nienawidziła takich sytuacji. – Powiedz mi, dlaczego chcesz zamordować mojego męża i synów? Dlaczego chcesz zabić własnego chrześniaka?

Alice zatkało. Ledwie mogła złapać oddech.

– Pamela, o czym ty mówisz? – zapytała wciąż opanowana Madeline.

Alice była daleka od opanowania.

– Ależ ja nie chcę mordować ci rodziny! – zawołała.

– A zatem, ze względu na moje dzieci i na Libby, pomóż mi zatrzymać Spiralę Zbrodni.

Cisza przeciągała się w nieskończoność. Alice spojrzała błagalnie na Madeline.

– Musisz zrozumieć, Pamela – rzekła Madeline, wstając od stołu – że zrobiliśmy to dla ciebie. – W jej głosie wyczuwało się gniew. – Możemy ci wszystko wyjaśnić.

Prezydent wstała i podeszła do drzwi.

– Chcę, żeby tego posłuchał ktoś jeszcze. Wasza stara znajoma, która znacznie lepiej niż ja rozumie szczegóły techniczne.

Alice patrzyła, jak Kathy Kerr, druga zdradzona przez nią kobieta, wchodzi do pokoju.

– Opowiedz nam wszystko – rozkazała prezydent, gestem zapraszając Kathy Kerr na miejsce obok siebie. – Zamieniamy się w słuch.

Cmentarz Hills of Eternity, Colma, Kalifornia
Niedziela, 9 listopada, godz. 11.00

Colma było jedynym miastem na świecie, gdzie liczba zmarłych przewyższała liczbę żywych. Położona na zachód od lotniska w San Francisco nekropolia została założona w 1902 roku, kiedy władze zakazały grzebania zmarłych w obrębie miasta.

Luke Decker wraz z innymi żałobnikami niósł trumnę Matty'ego, wspinając się na łagodne wzniesienia cmentarza Hills of Eternity, jednego z trzech kirkutów na terenie Colmy. Kiedy był dzieckiem, pewien nauczyciel powiedział mu kiedyś, że gdyby zsumować wszystkich zmarłych od zarania dziejów, liczba ta byłaby mniejsza od miliardów obecnie żyjących ludzi. Teraz zaczął się zastanawiać, czy jeśli trzecia faza Spirali Zbrodni dokona swego niszczycielskiego dzieła, statystyka ta nie ulegnie zmianie.

Przy grobie opuścili trumnę. Decker nie mógł uwierzyć, jaka jest ciężka. Przecież Matty był tak drobny.

– W porządku? – szepnął Joey Barzini, kiedy kładli trumnę na pasach, na których miała zostać spuszczone do dołu.

Decker pokiwał tylko głową i uśmiechnął się do niego. Był poruszony faktem, że pod jego nieobecność Barzini, przecież katolik, skontaktował się ze wszystkimi przyjaciółmi Matty'ego i pomógł zorganizować ceremonię pogrzebową zgodną z żydowską tradycją. Decker nigdy nie był szczególnie religijny, a matka wychowała go w katolickiej wierze ojca. Mimo wszystko podobało mu się, że Matty'ego pochowano zgodnie z jego własnym obrządkiem.

Zgodnie ze zwyczajem pogrzeb zorganizowano jak najszybciej – tak, by rany mogły się szybciej zagoić. Po modlitwie członkowie bractwa Chewra Kadisza przygotowali ciało do ceremonii. Umyli Matty'ego, ubrali w ręcznie szytą ceremonialną szatę z lnu i złożyli do drewnianej trumny.

Decker ze zdumieniem odkrył, iż pogrzeb i poprzedzająca go ceremonia są nadspodziewanie radosne. Ponad dwieście osób zgromadziło się pod przeczystym niebem w ten piękny dzień na szmaragdowych wzgórzach cmentarza – w tym dwóch agentów FBI, przydzielonych przez McClouda do ochrony Deckera. Przyjaciele Matty'ego z Orkiestry Symfonicznej San Francisco odegrali jego ulubione pasażę Paganiniego i Debussy'ego. Pogrzeb okazał się upamiętnieniem wielkiego umiłowania życia przez zmarłego.

Słuchając odmawianego kadiszu, Decker poczuł się naraz dziwnie osamotniony. Ku swemu zaskoczeniu pomyślał, jak bardzo chciałby teraz mieć u swego boku Kathy. Zdawało się dziwne, że po tym wszystkim, co razem przeszli, była teraz nieobecna.

Przypomniawszy sobie, jak to jego dziadek zawsze uważał, że człowiek jest czymś więcej niż tylko sumą swych genów. Jak Matty pocieszał go tego wieczoru, gdy dowiedział się, że jego biologicznym ojcem jest Axelman. Jak dotykał jego twarzy, tłumaczył mu, że dobry z niego

człowiek, że jest bardziej synem swojej matki niż Karla Axelmana, niezależnie od tego, co by mówiły wyniki analizy krwi.

W całym tym zamieszaniu wokół Spirali Zbrodni Luke uświadomił sobie mądrość słów dziadka. Człowieka można ocenić tylko po jego czynach. Oczywiście różne czynniki, zarówno z przeszłości, jak i z teraźniejszości, wpływają na dokonywane przezeń wybory, jednak czyny to jego wybór, na jego własną odpowiedzialność. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Decker poczuł się pogodzony ze sobą.

Kiedy jednak grób zaczęła wypełniać ziemia, do oczu napłynęły mu palące łzy. Nie należał do ludzi mściwych – zbyt wiele w życiu widział, by sądzić, że zemsta może przynieść coś więcej niż chwilową satysfakcję – jednak gdyby kiedykolwiek jeszcze spotkał wicedyrektora Williama Jacksona lub któregoś z jego ludzi, mogłoby się okazać, że nie potrafi im tego darować.

Poprzez łzy nie dostrzegł chryslera zatrzymującego się za drzewami jakieś pięćdziesiąt metrów od szpaleru żałobników. W samochodzie siedziało trzech mężczyzn. Twarz potężnego faceta na przednim siedzeniu pasażera zasłaniała trzymana przy oczach lornetka, przez którą przyglądał się uważnie tłumowi. Uśmiechnął się na widok blondyna stojącego obok postawnego mężczyzny tuż przy grobie.

Gdyby tylko Luke Decker odwrócił się w tym właśnie momencie, mógłby rozpoznać samochód i zdałby sobie sprawę z tego, że ponowne spotkanie z Jacksonem nie nastęczy mu żadnych trudności.

Wicedyrektor William Jackson już go bowiem znalazł.

*Centrum obliczeniowe Viro-Vector Solutions, Palo Alto
godz. 11.12*

Kathy Kerr, stojącą obok prezydent Weiss w centrum obliczeniowym Viro-Vectora, zaszokowało to, jak obie kobiety wierzyły w swoją misję.

Kathy знаła Madeline Naylor i Alice Prince od niemal dziesięciu lat – a jednak tydzień temu próbowały ją zabić. W oczach Naylor dostrzegała teraz jedynie nienawiść, a Alice Prince nawet na nianie spojrzała. Z tyłu, na ścianie z ekranem, Kathy dostrzegła maleńkie kamery umieszczone w narożnikach, śledzące każdy ich ruch. Jakby Titania im się przyglądała.

– Musisz to zrozumieć, Pamelo – perswadowała Prince, pochylając się do przodu. Kathy nigdy nie widziała jej tak podekscytowanej, z oczyma błyszczącymi zapalem za grubymi szklami okularów. – Spirala Zbrodni to lek na całe zło świata. W ciągu trzech lat wyeliminujemy wszystkie zbrodnie, w tym również wojny. Kto jak kto, ale ty, Pam, musisz zdawać sobie sprawę z tego, że posiadając broń masowej zagłady, *Homo sapiens* jest jedynym na Ziemi gatunkiem zdolnym do samozagłady. Kryzys irański, który nieomal doprowadził do wojny atomowej, dowodzi, iż ludzkość ma tylko jednego śmiertelnego wroga: człowieka. A właściwie mężczyznę. Wiele lat temu potrzebowaliśmy mężczyzn. Chronili nas przed drapieżnikami, zapewniali wyżywienie i opiekę... że nie wspomnę o prokreacji. Ich agresja i

popędy pomogły nam w rozwoju i zdobyciu panowania nad światem. Jednak jako gatunek osiągnęliśmy wielki sukces zbyt prędko. Reszta stworzeń nie nadążała za nami. Wyprzedziliśmy ewolucję. Teraz, gdy już zdominowaliśmy Ziemię, rola mężczyzn uległa zmianie; sami mężczyźni jednak się nie zmienili. Postęp technologiczny w wielu dziedzinach oznacza, iż nie potrzebujemy już ich ochrony. Po co nam dzisiaj zbieracze czy łowcy? Ich podstawowa zaleta, siła fizyczna, jest teraz zbędna. Prawdę mówiąc, nie potrzebujemy ich nawet do prokreacji.

Alice mówiła szybko i płynnie. Słowa wylewały się z jej ust nieprzerwanym potokiem. Twarz pałała jak w gorączce. Wydawało się, iż rozpaczliwie pragnie nie tylko wytłumaczyć Weiss swe motywy postępowania, ale i przekonać ją do nich. Gdyby nawet prezydent chciała jej przerwać, byłoby to daremne. Alice Prince niemal nie robiła przerw na oddech. Przez cały ten czas Pamela Weiss stała, przenosząc ciężar ciała z palców na pięty, jakby próbowała oprzeć się nurtowi rwącego strumienia.

– Męskie popędy, które przez stulecia były potrzebne – kontynuowała tymczasem Alice – popychały ich do walki o zachowanie dominującej pozycji gatunku ludzkiego i eksploatację zasobów planety. Teraz mężczyźni zwracają swe instynkty drapieżców przeciw samym sobie. Pamela, oni nie są już do niczego potrzebni. Ponad dziewięćdziesiąt procent zbrodni z użyciem przemocy popełniają mężczyźni. A reszta też ma jakiś związek z nimi. Każdą wojnę wywoływali i prowadzili mężczyźni, bez jakiegokolwiek korzyści dla nas. Nasz gatunek degeneruje się, ponieważ mężczyźni nie ewoluowali. Ewolucji trzeba pomóc. Dzięki Spirali Zbrodni możemy tego dokonać. Za trzy lata pozostaną tylko kobiety i dzieci. Wszyscy poprawieni chłopcy dorosną, by spłodzić rasę mężczyzn, których budowa genetyczna lepiej odpowiada współczesnym potrzebom. Wystarczy jedno pokolenie i świat się odrodzi, a jego przyszłość nie będzie już zagrożona. Koniec z przestępstwami z użyciem przemocy, koniec z wojnami i ludobójstwem. Nie dostrzegasz tego?

Zanim prezydent mogła cokolwiek odpowiedzieć, włączyła się Madeline. Mówiła spokojniej, przedstawiała sytuację bardziej pragmatycznie niż Alice, jednak w tonie jej głosu dało się słyszeć to samo przekonanie. Jej czarne jak smoła oczy lśniły niezwykłym blaskiem. Zazwyczaj bladą twarz zalały rumieńce.

– Tylko o tym pomyśl, Pamela: jedna oczyszczająca fala, jeden odstrzał chorych sztuk, i świat zmieni się na lepsze. Na pewno tak się stanie, przetestowałyśmy to. Po tym, co miało miejsce w Iraku, wiemy już, iż mężczyźni będą niezdolni do popełniania aktów przemocy. Draga faza Spirali Zbrodni powstrzymała konflikt, który mógł przerodzić się w wojnę światową. Wiemy też, że żadna krzywda nie stanie się dzieciom przed wiekiem dojrzewania. Chłopcy staną się mężczyznami, tyle tylko, że lepszymi. Nie będzie już gwałtów, nie będzie bezsensownych morderstw...

– Nigdy więcej tragedii Libby – wtrąciła się Alice.

– Niepotrzebne będzie FBI – ciągnęła Madeline – armie ani arsenały. Chryste, nie uwierzyłybyś, jakie rzeczy przyszło mi oglądać w Biurze i w sądach. Te potworności, które popełniają mężczyźni bez żadnego widocznego powodu. Ich skłonność do przemocy nie przynosi im nawet żadnego widocznego pożytku. Pamela, Spirala Zbrodni jest jedynym

sposobem, by to powstrzymać. Chronimy mężczyzn przed nimi samymi. Jeśli kiedykolwiek istniało usprawiedliwione zło, masz je właśnie tutaj. Naprawdę tego nie widzisz? Tu nie chodzi o zabijanie ludzi. Tu chodzi o ich ratowanie. O ratowanie nas wszystkich.

– Ale czemu nie poprzestałyście na projekcie Sumienie? – przerwała jej Kathy, próbując pojąć tę szaleńczą logikę. – Jestem skłonna zrozumieć sens zarażenia wszystkich wirionem Sumienia. Ale zabić niemal dwa i pół miliarda ludzi, by wyeliminować przemoc?!

– Nie rozumiesz, w czym rzecz – skwitowała Alice. – Projekt Sumienie działałby w niewystarczającym zakresie. Wszyscy żyjący dziś mężczyźni są skażeni. Zarówno przez geny, jak i przez środowisko, w jakim żyją. Mężczyźni stali się rakiem tej planety. Zagrożają istnieniu całego gatunku. By wyleczyć raka, trzeba usunąć złośliwe komórki, i to wszystkie, ponieważ każda pozostawiona komórka rozprzestrzeni chorobę. Musimy zacząć wszystko od początku. Musimy to zrobić właśnie po to, by mężczyźni nie wyginęli. Aby ich ochronić, musimy im pomóc ewoluować.

– Spójrz na tę kwestię we właściwym kontekście – dodała Naylor. – Czymże jest trochę zgonów wobec wieczności? Ewolujemy od tysięcy lat. Jeśli zadziałamy teraz, przetrwamy, by ewoluować przez kolejne tysiąclecia. Za trzydzieści czy czterdzieści lat mężczyźni dostrzegą w naszych czynach wielką mądrość. Będą żyć w bardziej zrównoważonym społeczeństwie matriarchalnym. Ich agresywna, destrukcyjna przeszłość pozostanie złym wspomnieniem. Pamela – ciągnęła Naylor, złożony ręce jak do modlitwy – ty sama możesz... powinnaś stanąć na czele tych zmian. Przewodzisz dziś światowemu mocarstwu. Masz wszelkie dane, aby poprowadzić ten kraj i cały świat naprzeciw zmianom.

Twarz Weiss poszarzała pod wpływem szoku. Dawne przyjaciółki stały się jej tak obce, jakby je widziała po raz pierwszy w życiu.

– Ale co z dobrymi mężczyznami? – zaproponowała. – Nie wszyscy mężczyźni są źli! Co z moim mężem? Co z moimi synami, Alice? Na miłość boską, Sam jest twoim chrześniakiem, a właśnie wszedł w wiek dojrzewania. Jak możesz usprawiedliwiać zabicie ich wszystkich! Zabicie moich dzieci nie przywróci życia twojemu!

Kathy dostrzegła wahanie Alice.

– Wszystko ma swoją cenę – powiedziała Naylor. – Z pewnością to rozumiesz. Nie ma nic za darmo.

– Alice, musi istnieć szczepionka na drugą i trzecią fazę – przerwała jej Kathy. – Przecież tworzysz szczepionkę dla każdego opracowywanego wirionu. Zawsze mi mówiłaś, że to dobry nawyk na wypadek ich mutacji i konieczności neutralizacji.

– Alice – błagała prezydent – jeszcze nie jest za późno. Wciąż jeszcze możemy zatrzymać falę zgonów w Iraku. Możesz pomóc nam zakończyć to szaleństwo.

Alice Prince zerknęła niepewnie na Naylor.

– Nie ma lekarstwa na Spirale Zbrodni – stwierdziła twardo Madeline. – To Spirala Zbrodni jest lekarstwem. Musisz zaakceptować tę prawdę, Pamela.

Kathy nie była w stanie tego słuchać. Ruszyła wzdłuż stołu, ku obu kobietom. Ale nim do nich doszła, Weiss odwróciła się do drzwi i je otworzyła. Do pomieszczenia wszedł Bill McCloud w eskorcie czterech uzbrojonych mężczyzn.

– Nie mogę uwierzyć, że tak mnie zwiodłyście – odezwała się pani prezydent do swych byłych już przyjaciółek. – Jak mogłyście pomyśleć, że zechcę uczestniczyć w tym okropieństwie? – Po czym zwróciła się do Billa: – Aresztuj je i pilnuj dobrze.

– Nie zapobiegiesz Spirali Zbrodni, Pamelu – tryumfowała Madeline. – Nie uciekniesz przed przeznaczeniem.

Alice tylko wpatrywała się we własne stopy.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytała stojąca obok Naylor Kathy.

I wówczas Naylor otworzyła zaciśniętą prawą dłoń, w której spoczywał niewielki czarny przedmiot, coś w rodzaju pilota.

– Czas, żeby faza trzecia już się zaczęła – powiedziała.

Kathy rzuciła się, by wyrwać Naylor pilota.

Jej ręka przecięła powietrze i na moment straciła równowagę. Usiłując ją odzyskać, zrobiła krok do przodu i wpadła na Naylor. A właściwie wpadłaby na nią, gdyby Naylor faktycznie tam była.

Na ułamek sekundy Kathy straciła orientację. Potem popatrzyła w dół i ujrzała czarną płytkę na podłodze. Zielone światło było zapalone.

I naraz wszystko zrozumiała. W końcu sama korzystała z technologii KREE8 przy prezentacji i badaniu powiększonych trójwymiarowych obrazów molekuł DNA wirionów. Pomyślała o strażniku przy bramie. Przypomniała sobie patrzące na nich ze ściany obiektywy kamer, które umożliwiły Prince i Naylor obserwowanie gości za pośrednictwem Titanii.

Odwróciła się do zdumionego McClouda i nic nierozumiejącej prezydent Weiss.

– Nie ma ich tu – powiedziała, z trudem wymawiając słowa. Nie chciała uwierzyć w to, co właśnie się stało. – Ani Madeline Naylor, ani Alice nie są tu fizycznie obecne.

– Co pani ma na myśli? – nie rozumiał McCloud.

Cała krew odpłynęła z jego twarzy. Przecież jego ludzie widzieli, jak Alice i Madeline wchodzą na teren ośrodka, który teraz całkowicie opanowali. – Muszą tu być.

– To tylko holopad. Titania wyświetliła ich trójwymiarowe projekcje z innego źródła.

– Gdzie zatem są? – spytała Weiss, wpatrując się w uśmiechnięte holograficzne twarze dawnych przyjaciółek. – Ali, Madeline, gdzie jesteście, na miłość boską?

– Kończymy, co zaczęłyśmy – oznajmiła Naylor, przyglądając się trzymanemu pilotowi.

– W chwili, gdy to mówię, w co najmniej sześciu portach lotniczych na świecie zainstalowano już urządzenia gotowe do uwolnienia wirionu fazy trzeciej Spirali Zbrodni do tuneli bakteriofagowych oczyszczaczy powietrza. Każde z nich mogę aktywować osobiście. – Po czym zaszczyciła ich ostatnim chłodnym uśmiechem i obie znikły.

Kathy aż złapała się za głowę.

– Chryste, musimy je znaleźć! – wykrzyknęła. – Mogą przecież... – umilkła, nie wiedząc, co powiedzieć.

Ale sądząc po przerażeniu na twarzach Weiss i McClouda, nie trzeba było nic dodawać.

Madeline Naylor czuła gniew, ale też i ulgę. Gniew na Pamelę Weiss, która odkryła prawdę o Spirali Zbrodni, nim zdołały uciszyć Kerr i Deckera. Ulgę, że miała na podorzędziu plan awaryjny. Może Jackson wykończy Deckera. Byłaby z tego bardzo zadowolona. Pakując do torby trzy kamery KREE8 do filmowania trójwymiarowego, zerknęła przez okno na salę odlotów.

– Rozchmurz się, Ali – pocieszała przyjaciółkę – to nie koniec świata. – Z uśmiechem nacisnęła pilota, uruchamiając oczyszczacze. – To dopiero początek – dodała.

Jednak Alice nie odpowiedziała uśmiechem.

– Żałuję, że skłamałyśmy – odparła. – Może mogłyśmy przekonać Pamelę, gdyby zrozumiała, co próbujemy osiągnąć.

Naylor pokręciła głową.

– Bez szans. Przed Pamelą zawsze trzeba było ukrywać prawdę. To demokratka. Liberałka. Nigdy by się na to nie zgodziła. Ale teraz nie ma wyboru.

To Naylor wpadła na pomysł, by udać się do Viro-Vectora przed godziną szóstą trzydzieści, skonfigurować centrum obliczeniowe, a potem użyć złotego kodu dostępu, by wydostać się jednym z podziemnych tuneli inspekcyjnych i odjechać wynajętym samochodem. Natychmiast udały się na lotnisko, gdzie zajęły apartament dla VIP-ów na półpiętrze nad główną salą odlotów, korzystając przy tym z jednej z sześciu kart kredytowych, jakie Naylor wyrobiła sobie na różne nazwiska. Wyposażony w pokój konferencyjny i łazienkę apartament zapewniał całkowitą prywatność.

Następnie, korzystając z gniazdka telefonicznego, Alice połączyła laptopa i trzy kamery KREE8 z Titanią, aby móc udawać, że znajdują się w centrum obliczeniowym, na konferencji z Pamelą.

– No, Alice, trzeba się szykować. Nie ma czasu na zamartwianie się. – Z tymi słowy Naylor sięgnęła do jednej z oliwkowych toreb, które ze sobą przyniosły. Wydobyła z niej czarną i kasztanową farbę do włosów oraz soczewki kontaktowe. Może za kilka lat, gdy będzie już po wszystkim, świat zrozumie, jak mądrą podjęły decyzję. Może staną się bohaterkami. Tymczasem jednak musiały rozplynać się w powietrzu.

Naylor przeszła do łazienki. Odwróciła się do Alice, która wciąż siedziała przy stole konferencyjnym, wpatrzona w przestrzeń.

– Mamy jeszcze parę rzeczy do zrobienia. I musimy zdążyć na samolot – powiedziała.

– Czy na pewno postąpiłyśmy słusznie? – spytała nieoczekiwane Alice.

Naylor podeszła do laptopa i znalazła rozkład lotów. Sprawdziła Heathrow. Pasażerowie lotu British Airways numer BA344 zaczęli już wsiadać na pokład. Tak samo w Sydney, Rio, Singapurze, Nairobi i Los Angeles. Uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Oczywiście, że tak. Zresztą za późno już, by zaprzętać sobie tym głowę. Mamy to za sobą. Ewolucja się zaczęła.

*Cmentarz Hills of Eternity, Colma
Niedziela, 9 listopada, godz. 12.01*

Natrętne uczucie, że jest obserwowany, sprawiło, iż Luke Decker odwrócił głowę. Dzięki temu, wracając przez nieskazitelną zieleń cmentarnych trawników do pożyczonego od Joeya Barziniego czarnego mercedesa, dostrzegł tamten samochód.

Pogrzeb dobiegł już końca. Większość żałobników pojechała na stypę do domu Barziniego, jednak Decker chciał pobyc chwilę sam, by pożegnać się z Mattym. Miał dołączyć do reszty później. Odesłał też ochroniarzy z FBI, obiecując, że spotkają się za dwadzieścia minut.

Wsiadł do mercedesa, ustawił lusterko i przyjrzał się szaremu chryslerowi, zaparkowanemu sto metrów dalej, w cieniu kępy drzew. Siedziało w nim trzech mężczyzn. Miejsce obok kierowcy zajmował wicedyrektor William Jackson.

Decker zapuścił silnik i wolno odjechał, ani na moment nie spuszczać wzroku z chyslera. Nie czuł strachu.

Oczyrna duszy widział kręte alejki na zewnątrz rozległego kompleksu cmentarzy. Próbował przewidzieć, gdzie Jackson zdecyduje się wykonać swój ruch. A potem wybrał miejsce, gdzie sam zaatakuje.

Sprawdził broń i zapiął pas. Widział, jak śledzący go chrysler zbliża się, ale nie zwiększył prędkości, żeby uciec. Jechał powolutku trzydzieści kilometrów na godzinę. Droga przed nim była całkiem pusta. Za bramą cmentarza łączyła się z główną drogą, wiodącą na inne cmentarze. Również na niej nikogo nie było. Wydawało się, że wlokące się w żółtym tempie ich dwa samochody są całkiem same w tym mieście umarłych.

Chrysler był kilka metrów za nim. Wyraźnie widział teraz Jacksona. Uśmiech na jego twarzy.

Za bramą Decker skręcił w prawo i ruszył główną drogą wysadzaną drzewami, mijającą kolejne nekropolie. Nadal nie przekraczając trzydziestu kilometrów na godzinę, odczekał, aż chrysler się zbliży. Zobaczył wahanie na twarzy kierowcy. Przyśpieszy i go wyprzedzi? Zrówna się z nim? A może zaczeka? Jackson nie udzielał mu chyba żadnych wskazówek.

Decker zdecydował zatem za niego. Nagle nacisnął hamulec, zatrzymując się niemal w miejscu, wrzucił tylny bieg i wcisnął pedał gazu.

Siła uderzenia była miażdżąca, jednak Decker był na nie przygotowany. Kiedy chrysler stanął i Jackson odciągał głowę kierowcy od deski rozdzielczej, Decker wrzucił w automatycznej skrzyni mercedesa przedni bieg i znów nacisnął gaz. Zdażył przejechać jakieś trzysta metrów, kiedy również chrysler ruszył do przodu. Zamiast uciekać, Decker znów wcisnął hamulec, wyskoczył z samochodu i stanął na środku drogi. Wydobył pistolet, trzymając go oburącz, wycelował w zbliżającego się chyslera. Samochód przyśpieszył. Ale on podczas ćwiczeń trafiał w o wiele trudniejsze cele.

Pierwszy pocisk przebił przednią lewą oponę. Samochodem szarpnęło w bok. Wszystko razem nie trwało nawet sekundy. Przewracając się na bok, auto uderzyło w ogromny sękaty dąb. Decker podbiegł do wraku. Nie zwracał uwagi na nieprzytomnego kierowcę i trzeciego z mężczyzn, leżącego na tylnym siedzeniu. Jackson walczył z drzwiami, usiłując wydostać się na zewnątrz. Na jego czole widać było wielką ranę. Lewa ręka wyglądała na złamaną.

Decker otworzył drzwi, wyciągnął Jacksona z wozu i rzucił go na trawiaste pobocze. Wepchnął lufę SIG-a między jego łopatki.

– Czemu musiałeś łamać mu palce? – zapytał.

– To nie moja wina – zaskomlał Jackson. Jego żalony głos jeszcze bardziej wkurzał Deckera. – Dyrektor Naylor kazała cię znaleźć. Jakby nam powiedział, gdzie jesteś, nic by mu nie było.

– No to mnie, kurwa, znalazłeś. Zadowolony?

– Ale ja nie chciałem cię zabijać. Miałem odstawić cię na lotnisko. Ciebie i Kathy. Zadzwończyły, żebym...

– Kiedy zadzwoniły?

– Kilka godzin temu.

– A ty miałeś zabrać mnie na lotnisko?

– Tak.

Decker poczuł naraz obezwładniający spokój. Sięgnął do kieszeni, z której wyjął komórkę. Zadzwończył do Billa McClouda. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, McCloud opowiedział mu o sztuczce Naylor i Prince.

– Mogą być wszędzie – mówił McCloud napiętym głosem. – Według naszych informatyków, mogły wykonać tę sztuczkę z hologramem z dowolnego miejsca, mającego połączenie z siecią. Informatycy przejęli już kontrolę nad większością systemów Titanii, ale część funkcji, jak to określają, wymaga innego rodzaju uprawnień. Pracują nad tym, a my nie wiemy, gdzie się podziały te cholery.

– Ja chyba wiem – przerwał mu Decker.

– Serio? – McClouda zamurowało.

– Mam tu Williama Jacksona. Powiada, że pojechały na lotnisko.

– O kurde! Natychmiast je zamkniemy i otoczymy kordonem. Zrobimy to tak, żeby nie zaalarmować nikogo w środku. – Decker usłyszał, jak McCloud wydaje rozkazy. Po chwili znów był na linii. – Możemy odciąć lotnisko w ciągu kilku minut. Musimy jednak dotrzeć do Naylor i Prince, zanim cokolwiek zrobią... jeśli już tego nie zrobiły.

– Mam pewien pomysł – rzekł Decker. – Będę jednak potrzebował pomocy.

– Co tylko sobie zażyczysz. Co chcesz zrobić?

– Wykorzystać siebie jako przynętę. Naylor rozkazała Jacksonowi, by mnie dostarczył na lotnisko. – Mówiąc to, Decker docisnął lufę pistoletu do karku Jacksona. – A on zrobi dokładnie to, co mu kazano.

Dla Madeline Naylor było to kompletne zaskoczenie. Żaden z jej planów awaryjnych tego nie przewidywał.

Stała w łazience apartamentu VIP-ów, podziwiając w lustrze nad umywalką swoją nową fryzurę: krótkie miedziane włosy z czarnymi odrostami. Jej nieskazitelnie białe, długie do ramion loki znikły bez śladu. Naylor przefarbowała je dwukrotnie, aby uzyskać wygląd naturalnej brunetki, która zmieniła kolor włosów. Udało się doskonale. Zmiana wyglądu całkowicie ją zadowalała. Przemiany dopełniły niebieskie szkła kontaktowe oraz długa sukienka z kwiecistym wzorem. Rzadko nosiła sukienki, a już na pewno nie takie w kwiaty.

– Twoja kolej, Alice – powiedziała, wchodząc do sali konferencyjnej.

Ale Alice nadal siedziała bez ruchu w tym samym miejscu.

– No, dalej! Nic nie robisz.

– Wiem.

– No to się pośpiesz! Musimy się zbierać.

Alice zmarszczyła brwi, bawiąc się swym wisiorkiem, jakby nie mogła się skoncentrować.

– Alice...

Przerwał jej dzwonek telefonu. Naylor podeszła do zielonych toreb i wydobyła komórkę.

– Tak? – rzuciła do słuchawki.

– Mam Deckera – oznajmił Jackson. Kiepsko go było słyhać. Jednak mimo zakłóceń można było rozpoznać charakterystyczny, nosowy głos. – Mówiła pani, żeby go tu dostarczyć. Jestem na lotnisku. Tam, gdzie budują nowe centrum handlowe. Na wschodniej antresoli, przy billboardzie Calvina Kleina.

Naylor zmarszczyła brwi. Tego jeszcze jej teraz potrzeba!

– Kto dzwoni? – zapytała Alice.

– Jackson. Ma Deckera – wyjaśniła Naylor. – Zabij go! – rzuciła do telefonu.

– Czeka! – krzyknęła nagle Alice, wrywając jej komórkę. – Nie, zostaw go. Chcę z nim porozmawiać. Gdzie on jest?

Naylor zaśmiała się z niedowierzaniem.

– Nie możesz z nim rozmawiać. Odbiło ci? Nie ma na to czasu. Chciała wyrwać telefon przyjaciółce, jednak Alice nie puściła go, zanim nie umówiła się z Jacksonem. Następnie odwróciła się plecami do Naylor i przysiadła obok toreb.

Teraz Naylor naprawdę się wściekła. Nigdy nie widziała, żeby Alice była tak bezczelna.

– Alice, mowy nie ma, żebyś się zobaczyła z Deckerem. Przebierasz się i wychodzimy. Ale już!

– Nigdzie nie idę – sprzeciwiła się cichutko Alice, wkładając rękę do jednej z toreb.

Naylor ruszyła w jej kierunku, ale zanim do niej dotarła, Alice odwróciła się ku niej, drżącymi dłońmi ściskając mały pistolecik.

– Madeline – odezwała się – nie chcę cię zastrzelić, ale zrobię to, jeśli mnie zmusisz. Puść mnie.

Naylor nie wiedziała, co powiedzieć. Gapiła się na przyjaciółkę z niedowierzaniem. Okrągła twarz Alice poczerwieniała, do oczu napłynęły jej łzy. Naylor nie miała wątpliwości,

że jej delikatna, nieśmiała przyjaciółka naprawdę gotowa jest strzelić.

– Nie rozumiem – powiedziała zaskoczona. – Co chcesz zrobić?

– Wejdz z powrotem do łazienki.

Naylor usłuchała.

– Zrobiliśmy wszystko, jak planowaliśmy. O co ci chodzi?

Alice zamknęła drzwi łazienki na klucz, który schowała do kieszeni.

– Po wszystkim wrócę po ciebie – wyjaśniła jej zza zamkniętych drzwi.

Naylor nie mogła uwierzyć w to, co się tu działo.

– Na miłość boską, powiedz mi tylko, co chcesz zrobić! – zażądała. Cisza. Potem stłumione łkanie. Wreszcie powoli, łamiącym się głosem, Alice zaczęła wyjaśniać.

Kiedy tylko skończyła, Madeline Naylor z całym impetem runęła na drzwi łazienki, chcąc wyrwać je z zawiasów.

Port lotniczy San Francisco
Niedziela, 9 listopada, godz. 12.27

Alice Prince nie widziała po prostu innego sposobu. Madeline z pewnością to zrozumie, gdy się uspokoi. Musi zrozumieć.

Idąc przez salę pełną śpieszących się pasażerów, zerknęła w górę, ku billboardowi Calvina Kleina i niepomalowanym jeszcze betonowym filarom na opustoszałej budowie nowego centrum handlowego na wschodniej antresoli.

Przekroczyła niebieską taśmę, wyznaczającą strefę prac budowlanych, minęła znak ostrzegawczy, otworzyła drzwi i zaczęła wspinać się w górę schodami pożarowymi, lawirując między puszkami z farbą i drabinami pozostawionymi przez budowlańców.

Nie chciała grozić Madeline bronią, ale nie miała wyboru. Madeline przesadziła tym razem. Zawsze miała nad nią władzę. Od czasów dzieciństwa, kiedy wyjaśniła, czemu należało ukarać ojca Alice. Na samo wspomnienie tego dnia na ślizgawce poczuła, że brak jej tchu.

Zamarznięte jezioro w pobliżu jej domu w Baddington było piękne. Alice uwielbiała jeździć po nim na łyżwach. Z wyjątkiem dni, kiedy dołączał do niej jej ojciec. Alice nie była pewna, czy naprawdę ją kochał. Kiedy się upijał, bił jej matkę i ją samą. Przywykła już do tego. Wstydziała się tylko, że dowiedziała się o tym jej przyjaciółka, Madeline.

W styczniu, na tydzień przed swymi piętnastymi urodzinami, Alice wybrała się na łyżwy z Madeline. W to późne sobotnie popołudnie było tak zimno, że para oddechu niemal zamarzała w powietrzu. Niebo było jasnoblękitne, zaś okolone jodełkami jezioro błyszczało w słońcu. Przeciwległy brzeg został odgradzony liną. Postawiony znak ostrzegał przed cienkim lodem.

Z powodu zimna ślizgało się niewielu łyżwiarzy.

Nagle pojawił się ojciec Alice. Od razu widać było, że jest pijany, ponieważ kazał jej jeździć razem z nim. Alice zamierzała uciec, ale Madeline ją powstrzymała. Jej przyjaciółka miała na sobie jasnoczerwoną kurteczkę z kapturem. Białe włosy wystawały spod niego jak sople lodu. Ciemnymi oczami wpatrywała się w ojca Alice. Podjechała do niego, ciągnąc za sobą Alice. Niczym kacuszki za kaczką, krążyły za nim wokół jeziora.

Ojciec Alice był potężnym mężczyzną z czerwonym nochalem na czerwonej twarzy. W futrzanej czapie wyglądał jak wściekły grizzly.

– Jedźcie za mną! – zawołał.

Potem zaczął wesoło tańczyć po lodzie. Był świetnym łyżwiarzem. Zataczając kolejne kręgi, coraz bardziej nabierał szybkości. Alice dobrze знаła tę zabawę. W końcu ojciec zdubluje ją, a mijając, przewróci, śmiejąc się, że taka z niej niezdara.

Dzisiaj jednak była z nią Madeline. Wysportowana Madeline śmigała na łyżwach niczym

wiatr. Sunąc po lodzie, ciągnęła Alice za sobą.

Im szybciej jechał ojciec, tym bardziej przyspieszała Madeline. Starła się tylko dotrzymać mu kroku. Nie jechać ani szybciej, ani wolniej. Jednak ojciec Alice był uparty. Ścigał się tak przez godzinę, próbując zmniejszyć dystans.

Zrobiło się późno. Pozostali łyżwiarze opuścili jezioro. Jadąca za Madeline Alice czuła się tak, jakby miała skrzydła u ramion.

Po kolejnych dziesięciu minutach ojca Alice zmęczyła ta zabawa w kotka i myszkę. Zdał sobie sprawę z tego, że tym razem nie wygra. Zostali na jeziorze sami. Ojciec zatrzymał się nagle i wskazał niebezpieczny brzeg.

– Jedziemy do liny – rozkazał. W jego oczach błyszczała złośliwa, okrutna radość, której Alice tak nienawidziła. – A może masz pietra?

Nie, nie bała się, mając u swego boku Madeline. A wówczas Madeline zaproponowała:

– Przejadę na drugą stronę liny, jeśli pan za mną przejedzie. A może ma pan pietra?

Zmarszczył groźnie brwi i Alice naprawdę zaczęła się bać. Madeline odwróciła się, wzięła Alice za rękę i pojechały w stronę liny.

– Wracajcie tu! – zawołał ojciec.

Jednak Madeline ciągnęła ją za sobą. Łyżwy zgrzytały na lodzie. Po raz pierwszy w życiu Alice poczuła się silna. Nie ma znaczenia, co ojciec jej zrobi, jak już wrócą do domu.

– Nie! – zawołała. – Chodź tu i złap mnie.

Madeline kucnęła i przejechała pod liną ciągnąc za sobą Alice. Zahamowała i odwróciła się do ojca Alice, który mierzył ją groźnym wzrokiem z drugiej strony liny.

– Alice, wracaj tu natychmiast! – powiedział. – Rób, co ci każę. Ale już!

– Nie ruszaj się – szepnęła jej do ucha Madeline. – Tu jesteś bezpieczna.

Oczy Madeline błyszczały podnieceniem. Na twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech. Alice spojrzała w dół. Lód był tak cienki, że widziało się pod nim ciemną toń jeziora.

– Jeśli chce pan uderzyć Alice, musi pan tu przyjść! – zawołała Madeline.

Jego twarz poczerwieniała ze złości.

– Uważaj, Madeline – ostrzegła Alice przyjaciółkę. Dobrze wiedziała, jak okrutny potrafi być jej ojciec. – Ciebie też może skrzywdzić.

Madeline pokręciła głową.

– Nie skrzywdzi mnie.

Alice podziwiała jej odwagę, ale nie podobał się jej ten wyraz twarzy.

– Czekamy! – prowokowała go Madeline. – A może ma pan pietra? Ojciec nie wierzył własnym uszom, że ta smarkula może być tak bezczelna. Prychnął niczym dzikie zwierzę i przelazł przez linę. Ostrożnie zrobił jeden krok na cienkim lodzie, potem drugi. Kiedy przekonał się, że lód wytrzyma jego wagę, uśmiechnął się triumfalnie.

– I kto się teraz boi?

Nagle rozległ się trzask lodu. Madeline pociągnęła Alice wzdłuż liny na bezpieczną stronę.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu kilku sekund.

Ojciec Alice stał tam, patrząc na nią spode łba, a chwilę później wpadł do wody, usiłując

złapać się krawędzi lodu i wczołgać z powrotem po śliskiej powierzchni.

– Podaj mi linę – rozkazał. Na jego twarzy widać było wściekłość, ale po raz pierwszy Alice dostrzegła w jego oczach także strach.

Zanim Alice zdecydowała się ruszyć mu na pomoc, Madeline powstrzymała ją.

– Stój tylko i patrz! – szepnęła.

– Pośpiesz się! – zawołał ojciec. – Dłużej nie wytrzymam! – W głosie dało się słyszeć błagalną nutę. Zdał sobie sprawę z tego, że córka wcale nie pośpieszy mu na pomoc. Patrzył na nią, próbując nie wypuścić z rąk zdradliwie śliskiego lodu. W oczach widać było przerażenie. – Proszę, Alice, pomóż tatusiowi – błagał. – Pomóż mi. Rzuć mi linę.

Ona jednak nie mogła się ruszyć. Nie, Madeline już jej nie powstrzymywała. Jednak patrzeć na to, jak ojciec błaga o pomoc, sprawiało jej niewymowną przyjemność. Ileż to razy on ignorował jej błagania.

Kiedy jednak jego palce zaczynały się ześlizgiwać z lodu, chciała mu pomóc.

A wówczas Madeline szepnęła jej do ucha:

– Nic nie rób. Niech odejdzie z twego życia. Nie potrzebujesz go. Nie kochasz. Sprawia ci tylko ból.

Ojciec zaczął tonąć. Alice płakała, ale nie mogła się ruszyć, choć Madeline nawet jej nie dotykała.

– Pomocy! – zawołał ojciec w panice. Jednak Alice była zbyt przerażona, żeby pomóc.

Ojciec wciąż walczył, próbował jeszcze raz wydobyć z gardła krzyk, jednak zsunął się głębiej i woda zalała mu usta. Alice stała na lodzie i patrzyła, jak bezwładne ciało jej ojca unosi się pod lodem u jej stóp. Madeline wzięła ją za rękę i prowadziła w stronę brzegu.

– Nie potrzebujesz ojca – zapewniła ją. – Patrz, ja nie mam ojca. Potrzebujemy tylko siebie nawzajem. Potrafię dochować tajemnicy. Nie zrobiłaś przecież nic złego.

To jednak nieprawda. W głębi duszy Alice zawsze wiedziała, że zrobiła coś złego. Coś tak złego, że za karę dziesięć lat temu odebrano jej córkę. Całe swe życie podążała za Madeline, związana z nią poczuciem winy. Zawsze wierzyła, że Madeline ma we wszystkim rację. Gdyby przestała w to wierzyć, musiałaby stawić czoło prawdzie – że dopuściła do śmierci ojca i że było to złe. Ona jednak zaakceptowała to. Tak, jak prawdę o innych złych uczynkach, jakie popełniła.

Kiedy dotarła do drzwi pożarowych wiodących na antresolę, przystanęła obok pustych puszek po farbie i pudeł zawałających klatkę schodową. Jackson powiedział, że pozostawi Deckera przy plakacie Calvina Kleina. Wolno otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz, całkowicie ignorując znak zakazu.

Przez szparę w planszach reklamowych dostrzegła w dole rojący się tłum. Do holu weszła właśnie grupa biznesmenów w ciemnych garniturach. Najwyraźniej wracali z jakiegoś zjazdu i groziło im, że spóźnią się na samolot, bo przeciskali się niecierpliwie przez tłum, omal nie przewracając dziecięcego wózka.

Zamglonym wzrokiem ogarniała kłębiących się ludzi. Nie przypominali już istot ludzkich, lecz komórki na szalce Petriego. Niektóre z nich były zdrowe, inne jednak złośliwe

– te męskie. Pomyślała o eliminacji tych ciemnych komórek rakowych, by pozostałe miały większą przestrzeń życiową. Wyobraziła sobie, jak wszystkie poruszają się spokojniej, współpracując ze sobą a nie walcząc. Ta wizja na moment wprawiła ją w dobry nastrój i podniosła na duchu, ale gdy znów spojrzała na ludzką masę, powróciła do rzeczywistości.

Obróciła się i zobaczyła Deckera. Siedział pod filarem obok billboardu Calvina Kleina. Tak, jak obiecał Jackson. Ubrany w ciemny garnitur, zakneblowany, z rękoma skrepowanymi na plecach. Kiedy zajrzała w jego zielone oczy, wyczytała z nich raczej zdumienie niż przerażenie. Wciąż zerkał na jakiś punkt za jej plecami, jakby kogoś jeszcze się spodziewał.

Uklękła przy nim i bez trudu zerwała taśmę z jego spierzchniętych warg.

– Gdzie Naylor? – spytał Decker. Nie było czasu na bawienie się w subtelność. Przewidywał, że stawią się tu obie. Jeśli Naylor pozostanie na wolności, uruchomi fazę trzecią...

Alice uśmiechnęła się rozbrajająco.

– Ona się już nie liczy.

Decker próbował zachować spokój. Po tym, jak zmusił Jacksona, by zadzwonił do Naylor, zostawił go pod opieką ludzi McClouda i pośpieszył na miejsce spotkania. McCloud zabezpieczył całe lotnisko. Choć Luke nie widział żadnych komandosów, niewątpliwie znajdowali się w pobliżu, czekając na sygnał.

– Co zrobiliście z fazą trzecią? – zapytał.

Kiedy mu powiedziała, serce w nim zamarło.

Potem jednak wyjaśniła mu wszystkie inne sprawy. Aż pochylił się do przodu, niepewny, czy dobrze słyszy. Nagle Alice sięgnęła po swój amulet w kształcie łyzy i uniosła do ust, jakby chciała go ugryźć.

W tym samym momencie, jak spod ziemi wyrosli dwaj komandosi McClouda, z bronią wymierzoną w Alice i trzymanymi w pogotowiu spryskiwaczami odkażającymi.

Czas jakby zwolnił bieg.

Alice podążyła spojrzeniem za jego wzrokiem. Wstała, zerwała amulet z łańcuszka i rozgryzła na dwoje. Jedna część wyposażona była w malutką igłę.

Komandosi rzucili się w jej kierunku.

– Nie! – krzyknął Decker. Widział panikę w oczach Alice. Zrobiła krok do tyłu i oparła się o sięgający jej do pasa parapet.

I naraz runęła w tył.

Decker rzucił się ku niej, zdołał jednak tylko uchwycić rozerwany naszyjnik. Zawartość amuletu zaczęła skapywać na kłębiący się poniżej tłum.

Zmysły wyostrzyły mu się do tego stopnia, iż zdało mu się, że widzi, jak maleńkie krople płyną majestatycznie przez powietrze. Pięknie rozszczepiały światło, błyszcząc wszystkimi kolorami tęczy. Spadały ku nieświadomym ich istnienia ludziom w sali odlotów.

– Nie! – krzyknął znów, rzucając się na Alice Prince. A ona rozłożyła szeroko ramiona, wzięła go w objęcia i oboje wypadli za balustradę antresoli.

– Luke! – zawołał z tyłu McCloud. Było już za późno, by powstrzymać upadek Deckera. Alice spadała razem z nim, wbijając igłę ampułki w jego ramię. Ludzie w dole zaczęli

krzyczeć...

Alice uśmiechnęła się, przyciskając twarz do jego twarzy, obejmując go mocno.

– To dla Libby – wyszeptwała.

Potem była już tylko pustka.

Alice Prince aż zamarła zaskoczona widokiem uzbrojonych mężczyzn w kombinezonach. Kiedy jednak zrozumiała, że to pułapka bez wyjścia, opuścił ją wszelki strach.

Nie bała się śmierci. Wkrótce połączy się z Libby. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Wydawało się słuszne, że Decker, syn mordercy jej córki, zostanie wybrańcem.

Nawet wówczas, gdy przekreśliła się w locie tak, by zamortyzować upadek Deckera, gdy zderzyła się z wózkiem bagażowym, który złamał jej kark, powodując natychmiastową śmierć, Alice nie przestała się uśmiechać.

Madeline Naylor przybyła za późno. Wprost nie mogła w to uwierzyć. Stała jak wmurowana w ziemię pośród kłębiącego się tłumu, patrząc na szybujące w powietrzu dwa ciała. Dźwięk uderzenia przypominał hałas wydawany przy trzepaniu materaców.

Gdy tylko sforsowała liche drzwi łazienki, pobiegła tu, by powstrzymać Alice, uratować ją przed samą sobą. Jednak jej przyjaciółka była martwa. Odeszła na zawsze.

Oszołomiona przepychała się przez tłum, aż wreszcie ujrzała dwa ciała na stercie potrzaskanych bagaży. Decker leżał na Alice. Wyglądali niczym okrutna parodia wyczerpanych miłosną grą kochanków.

Spod przymrużonych powiek zerknęła na kark Alice. Potem odwróciła się, by odejść.

Mimowolnie odnotowała obecność komandosów w kombinezonach bojowych, rojących się wokół ciał i spryskujących je sprejem antybakteryjnym. Obsadzali też główne wejścia. Ich nieziemski wygląd zwiększał poczucie nierealności całej sytuacji. Niemniej jednak pozostała wyczulona na niebezpieczeństwo. Jej przebranie nie każdego nabierze. Musi szybko się stąd wydostać. Przypomniała sobie procedury zamykania lotniska, ćwiczenia w porcie lotniczym JFK.

Zarzuciła na ramię zieloną torbę, włożyła rękę do środka i wymacała glocka. Trzymając go mocno, wolno przeciskała się przez tłum w sali odlotów, zmierzając ku drzwiom pożarowym obok księgarni Barnes Noble. Większość komandosów zajęta była blokowaniem głównych wyjść. Nikt nie widział, jak zapuściła się w labirynt tuneli dla obsługi.

Alice wspominała kiedyś, że technicy AirShield, zajmujący się wymianą filtrów bakteriofagowych, mają pod salą odlotów przebieralnię i prysznic. U stóp schodów Naylor znalazła szeroki korytarz. Wzdłuż ścian biegły rury, a wzdłuż sufitu lampy. Już miała skrócić w prawo, gdy ujrzała po lewej stronie znak wskazujący drogę do przebieralni. Umieszczono na nim logo sześciu firm, w tym AirShield.

Drzwi były zamknięte, ale bez trudu wyważyła je kopniakiem. W ciemnym pokoiku nałożyła na siebie kombinezon AirShield i czapkę baseballową. Zerknęła na plan lotniska, przyklejony na ścianie za plastikową tarczą – symbolem firmy. Odgięła plastik i wyjęła

mapę. Wybrała korytarz, który zaprowadzi ją obok przechowalni bagażu i pod pasami startowymi aż do ogrodzenia przy wyjściu awaryjnym 3C. Stamtąd będzie już można uciec.

Przemierzając długie korytarze, wzdłuż przypominających świecące kręgosłupy rzędów fluorescencyjnych lamp, całkowicie ignorowała nielicznych mijanych ludzi, w myślach licząc tylko, ile czasu pozostało jej, nim FBI całkowicie odetnie lotnisko od świata. Od telefonu Jacksona – który z pewnością był pułapką – McCloud miał mnóstwo czasu, by obstawić główne wejścia. Podczas ćwiczeń, jakie kiedyś przeprowadzała, nie zajmowało to więcej niż piętnaście minut. Jednak ograniczenie rozprzestrzeniania się przenoszonych drogą kropelkową patogenów było znacznie trudniejsze. Każdy zaangażowany w to człowiek musiał nosić pełny kombinezon ochronny. Należało skoncentrować się na największych skupiskach ludzi. Strefa zewnętrzna była gorzej strzeżona – a przynajmniej pozostanie tak jeszcze przez jakąś godzinę.

Na mapie wypatrzyła znajdujące się tuż przed nią duże skrzyżowanie. Rozchodziły się tu na wszystkie strony tunele pod pasami startowymi. Gdyby organizowała kwarantannę, umieściłaby tam człowieka, by pilnował tych tras. Znajac McClouda, wiedziała, że tak właśnie postąpił. Naylor mogła spróbować ominąć to miejsce, albo wykorzystać skrzyżowanie do swoich celów.

Zwolniła kroku. Otarła pot z czoła. Wielkie rury biegnące wzdłuż prawej ściany korytarza były gorące, a McCloud na pewno wyłączył klimatyzację, by zapobiec rozprzestrzenianiu się skażonego powietrza. Naylor zatrzymała się jakieś dziesięć metrów od podziemnego skrzyżowania i położyła zieloną torbę na podłodze. Przez chwilę nasłuchiwała. Usłyszała dwa głosy. Mężczyzna i kobieta. Posłuchała jeszcze minutę, by upewnić się, czy są sami. Następnie ruszyła ku skrzyżowaniu. Nie starała się zachowywać cicho. Szła po prostu wolno i spokojnie – ot, serwisantka wykonująca swe obowiązki.

Ujrzała dziwaczną postać w czarnym kombinezonie.

– Stój, FBI! – krzyknął na jej widok. Głośniki w kombinezonie nadały jego głosowi dziwne brzmienie – jakby znajdował się po drugiej stronie linii telefonicznej. – Niestety nie może pani tędy przejść. Musi pani wrócić do głównego budynku.

– Co się dzieje? – spytała, starając się zmienić głos, żeby jej nie rozpoznał. – Mam jeszcze masę rzeczy do sprawdzenia. – Mówiąc to, sięgnęła do torby. – Pokażę przepustkę.

Mężczyzna wycelował w nią broń. Dołączyła do niego jego partnerka.

– Tu nie chodzi o przepustki – powiedziała. – Dalej wstęp wzbroniony. Proszę wracać. Nie chcemy kłopotów.

– Ale co się dzieje? Czy coś się stało? – spytała Naylor, udając strach. – Czemu jesteście tak ubrani?

Mężczyzna opuścił broń i uśmiechnął się do niej przez szybę maski.

– Proszę się nie martwić. Niech pani wraca do głównego budynku. Tam pani wszystko wyjaśnią.

Wzruszyła z rezygnacją ramionami.

– No dobra.

– Proszę na siebie uważać – dodał, odwracając się już, by odejść w ślad za swą partnerką.

Naylor wyciągnęła broń z torby w niecałą sekundę. Oboje agentów – jej agentów – uśmierciła w niecałe cztery.

Przebrała się w czarny kombinezon kobiety. Korzystając z jej komunikatora, mogła śledzić ruchy innych agentów. Po szesnastu minutach wydostała się poza kordon sanitarny i skradzionym samochodem pojechała do miasta.

Faza trzecia Spirali Zbrodni już się rozpoczęła. Jednak przez komunikator usłyszała coś niepokojącego o Alice Prince i Deckerze. Coś, co oznaczało, że jeszcze nie może odpocząć. Prowadząc samochód, starała się nie myśleć o Alice. Będzie jeszcze czas ją oplakiwać. Najpierw jednak musi ochronić dzieło jej życia.

Część trzecia

SPIRALA ZBRODNI

*Lot BA186, Kalkuta, Indie
Poniedziałek, 10 listopada, godz. 8.00*

Lot BA186 z Londynu do Kalkuty był pierwszym lotem z pasażerami zarażonymi Spirala Zbrodni przez skażony oczyszczacz powietrza. Początek infekcji przypomina zwykle przeziębienie.

Każdy wirus wybiera komórkę nosiciela, niezależnie od tego, czy jest to liść tytoniu zarażonego wirusem mozaiki, czy receptor CD4 limfocytów T u człowieka cierpiącego na AIDS. Stworzony dzięki manipulacji genetycznej wirus Spirali Zbrodni fazy trzeciej nie był pod tym względem wyjątkiem. Przenosił się drogą kropelkową i atakował najpierw komórki płuc. Kiedy już się tam znalazł, wyszukiwał komórki docelowe w mózgu, układzie oddechowym i, w przypadku mężczyzn, w jądrach. Następnie zaczynał przekształcać DNA tych komórek. Używając genetycznych informacji, które tam znalazł, wirus reprodukuje się na trzy różne sposoby.

U stu osiemnastu pasażerek lotu BA186 wirus nie spowoduje żadnych szkód, poza łagodnym kaszlem, który potrwa kilka dni i ułatwi roznoszenie się infekcji.

Dla trzydziestu sześciu chłopców w wieku dojrzewania kaszel będzie jedynym nieprzyjemnym objawem. W ciągu kilku dni wirion wyprodukuje szereg kontrolnych sekwencji w docelowych komórkach mózgu. Te sekwencje dostroją siedemnaście niezależnych genów, odpowiedzialnych za agresję i zahamowania u chłopców. Ich genomy ulegną zmianie. Poziom neurotransmitera serotoniny podniesie się, jeśli będzie za niski, lub utrzyma na tym samym wysokim poziomie. Zmodyfikowane zostaną inne stymulujące transmittery, takie jak dopamina i noradrenalina, jeśli ich poziom okaże się zbyt wysoki. Potencjalny poziom testosteronu zostanie wyregulowany, aby mieścił się w ustalonych z góry granicach. Chłopcy bez ich wiedzy zostaną odmienieni. Potencjalna agresja ustąpi miejsca chęci do pokojowej współpracy. Nie będzie żadnych innych objawów.

U dwustu dziesięciu dorosłych mężczyzn kaszel ustąpi miejsca innym symptomom. Moment ich wystąpienia zależny będzie od wieku pasażera. Początkowe genetyczne przeprogramowanie podobne będzie do tego u chłopców. Każdy z mężczyzn doświadczy stanu ograniczonej agresji. W podobny sposób nosiciel HIV doświadcza uspokojenia tuż przed wystąpieniem pełnych objawów AIDS.

Moment nadejścia kryzysu zależeć będzie od długości zakończeń ich chromosomów – telomerów. Młodszy doznają zapaści i umrą w ciągu siedmiu lub ośmiu dni, starsi po trzech latach.

W trakcie zapaści dominujący kod wirusa dodatkowo podniesie poziom inhibitorów serotoniny i pobudzi do pełnego działania neurotransmitery i androgeny.

Pierwszymi objawami fizycznymi zapaści będą stany lękowe, utrata włosów, trądzik oraz kurczenie się jąder. Mężczyźni ci doświadczą lęków chronicznych, halucynacji, urojeń

paranoicznych oraz natręctwa myśli. Śmierć w wyniku wylewu krwi do mózgu uwolni ich od cierpienia w ciągu kilku dni. Część z nich sama odbierze sobie życie.

Wszyscy mężczyźni podróżujący lotem BA186 umrą w ciągu trzech lat. Wcześniej jednak każdy mąż, ojciec, brat, syn, kochanek czy dziadek przeniesie Spirale Zbrodni na każdego, kto się do niego zbliży.

W przeciągu paru dni ten lot z Londynu do Kalkuty rozprzestrzeni Spirale Zbrodni na cały świat. Liczba zainfekowanych osób dojdzie do stu milionów. W ciągu tygodnia tylko najodleglejsze rejony globu pozostaną nietknięte.

Viro-Vector Solutions, Palo Alto

Tego samego dnia, godz. 3.00

Inni naukowcy nazywali go wirusem pętłkowym. Jednak dla Kathy Kerr wyglądał raczej jak pętla wisielca, wirusowy kat, który wymorduje wszystkich mężczyzn, jeśli się go nie powstrzyma. Do drzwi pokoju konferencyjnego poziomu pierwszego w zewnętrznym pierścieniu kompleksu Viro-Vectora przypięto powiększone zdjęcie z mikroskopu elektronowego. Przedstawiało ono krew Luke'a Deckera w stutysięcznym powiększeniu. Najwięcej miejsca na zdjęciu zajmowało coś, co wyglądało jak pętka z zakręconym diablیم ogonkiem. Był to wirus Spirali Zbrodni. We krwi Luke'a było go pełno.

Kathy nadal zastanawiała genetyczne różnice między wirusem, którym Alice zaraziła Luke'a, a Spirale Zbrodni fazy trzeciej. Kiedy jednak zasugerowała, by przyjrzeni się im nieco bliżej, Bibb i inni naukowcy stwierdzili, że mają znacznie ważniejsze sprawy na głowie. Prince prawdopodobnie stworzyła wiele wersji wirusa Spirali Zbrodni, a ta, którą miała w swoim wisiorku, była wersją wcześniejszą. Pomimo wszelkich wątpliwości Kathy wiedziała, że musi skupić się na fazie trzeciej.

– W tydzień? To niemożliwe. Nie ma mowy! – zarzekał się Jim Balke, niski, niechlujny dyrektor operacyjny Viro-Vectora. Nerwowo potarł zaczerwienione już oczy i łyknął kawy. – Trzeba skupić się na bardziej realnym celu. Musimy zaakceptować fakt, że ludzie zaczną umierać. Wielu z nich skona i nic na to nie możemy poradzić.

– Ale po to właśnie tu jesteśmy – warknęła Sharon Bibb. – Żeby sprawdzić, jak można ograniczyć straty. – Odgarnęła ciemne włosy z wąskiej twarzy. W jej oczach widać było napięcie. Przed nią leżały otwarty laptop i sterta papierów, dowody wielogodzinnej pracy. Po jej lewej stronie genialne bliźniaki, Mel i Al Schlossbergowie, sprowadzeni z jej zespołu z CDC w Atlancie, bez słowa bazgrali po papierze. Minęła trzecia rano i wszystkie ściany pomieszczenia obklejone były płachtami papieru z różnymi pomysłami.

– Ale w tydzień nic tu nie zdziałacie – powtórzył Balke. – W najlepszym wypadku potrzeba na to roku. – Nawet jeśli mielibyśmy szczepionkę już teraz, przemysł farmaceutyczny potrzebowałby sześciu miesięcy, żeby ją wyprodukować i rozprowadzić po kraju. Nie będziemy mieli czasu na jej przetestowanie.

– Na miłość boską, Jim – mruknął Tom Allardyce. Wstał z krzesła i przeszedł się po pomieszczeniu. Dwoje naukowców z USAMRIID usiadło po przeciwnej stronie stołu.

Wpatrywali się w wyświetlacz laptopa, gorączkowo porównując sekwencje oligonukleotydów antysensowych z genomem Spirali Zbrodni. Szukali wskazówek, które doprowadziłyby ich do szczepionki. – Oczywiście, że tydzień to cholernie mało. Ale nie mamy innego wyjścia. Chcesz pogodzić się ze śmiercią zarażonych? Twoja sprawa. Ale przestań marudzić. Kiedy odkryjemy lekarstwo, wyprodukują je inne kraje. Od początku epidemii Spirali Zbrodni pani prezydent poinformowała przywódców wszystkich państw. Zgodzili się nie powiadamiać jeszcze swoich obywateli, przygotowując jednocześnie plan awaryjny. Rosjanie zaoferowali swoje ośrodki produkcyjne oraz ekspertyzy.

Kathy Kerr potarła skronie i spojrzała na tablicę z arkuszami papieru stojącą przy drzwiach. Narysowano na niej niebieskim markerem dwie osie i czerwoną linię krzywą. Na poziomej osi zaznaczony był czas, poczynając od dnia poprzedniego – 9 listopada. Pionowa oś reprezentowała pogrupowanych według wieku mężczyzn. Trzy czarne linie łączyły oś poziomą z czerwonym wykresem – pierwsza na siódmym dniu, druga na roku, a trzecia na trzech latach. Przy pierwszej z linii widniał napis: „Zaczynają umierać pierwsi mężczyźni – 30 milionów w ciągu tygodnia”. Przy drugiej: „Ponad 1, 2 miliarda zgonów”. Przy trzeciej widniały tylko trzy słowa: „Nie ma mężczyzn”.

Wzięła głęboki oddech, próbując pocieszyć się tym, że otaczający ją zespół tworzyli specjaliści najwyższej klasy. Na wzór Sharon Bibb i Allardyce’a, każdy miał przy sobie dwóch najlepszych współpracowników. Kathy paradoksalnie cieszyła się z powściągliwości Jima Balke’a. Mobilizowało to innych do działania.

Każdy z zespołu ubrany był w zieloną, szpitalną odzież. Nikt z nich nie spał od czasu, kiedy agenci McClouda potwierdzili, że tunele oczyszczaczy powietrza na lotnisku w Los Angeles zostały skażone Spirale Zbrodni i że przynajmniej dwa samoloty pełne zarażonych pasażerów rozniosły wirusa po świecie. Sprawdzono inne międzynarodowe lotniska, odnajdując wirion na londyńskim Heathrow. Cała akcja była jednak zwykłą formalnością. Wystarczyło jedno skażenie, by rozprzestrzenić Spirale. Świat stanął w ogniu.

– Skupmy się na najważniejszych rzeczach, które musimy zrobić – zaproponowała Kathy. Spojrzała na dwoje naukowców z USAMRIID pracujących na laptopie. Pierwszy, Floyd Harte, był wysokim, flegmatycznym człowiekiem o gęstej, radej brodzie. Dragą osobą była Rose Patterson, czarna kobieta o wielkich oczach i równie wielkim intelekcie. – Jeśli chodzi o podstawową szczepionkę, musimy pomyśleć o stworzeniu antysensowych oligonukleotydów, które zablokują informacje genetyczne Spirali Zbrodni. Macie rację, zajmie to sporo czasu. Ciągle jednak twierdzą, że Alice stworzyła już swoją szczepionkę. Zawsze tak robiła. Kiedy informatycy zdobędą pełny dostęp do Titanii, będziemy mogli poszukać kodu. Może przyspieszy to nasze prace. – Spojrzała na Jima Balke’a. – A skoro już mowa o rozprzestrzenieniu szczepionki na cały świat – ciągnęła – niekoniecznie oznacza to metodę dożylną. Musimy pamiętać, że ogień zwalcza się ogniem. Stworzymy wirion, który rozniesie szczepionkę za nas.

– Tak, to może się udać – odezwał się nagle Al Schlossberg, zwracając się do swojego brata, Mela. Byli wirologami. Obaj mieli metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ciemne, kręcone włosy, okulary w metalowych oprawkach i wydatne grdyki. Nosili muszki, dopasowane do

zielonych strojów. Rzadko widywano ich osobno. Stanowili żywy dowód potwierdzający przysłowie, że co dwie głowy to nie jedna.

Mel zastanawiał się nad tym, co powiedział Al.

– Jasne, może, ale musimy...

Al skinął głową.

– Oczywiście, ale jeśli...

– Tak, to może załatwić sprawę – mruknął Mel.

– O czym mówicie? – zapytała zniecierpliwiona Bibb.

– Wiemy już – odparł Al obojętnym tonem – że Spirala Zbrodni w fazie trzeciej używa lekoodpornego wirusa grypy, należącego do rodziny orthomyxoviridae, typu A, podtypu H2N28, przenoszącego antygeny H2 i N28 na białkach swojej otoczki.

– To dobry wybór – podjął jego brat – gdyż ten typ jest łączony z poważnymi epidemiami i zabójczymi pandemiami. Jego jądra komórkowe mają mniej niż cztery mikrony średnicy i potrafią unosić się w powietrzu przez wiele godzin.

– Wilgotność rozpylonych kropli – kontynuował AL – utrzymuje się dłużej niż w wypadku wirusa odry. – Zrobił pauzę. – Pozostaje nam teraz odnaleźć albo stworzyć wirion z jeszcze lepszymi zdolnościami zarażania. Dzięki temu będziemy mogli szybko rozprzestrzenić szczepionkę.

– Ciągle jednak nie wiem, jak wyprodukować odpowiednią jej ilość – marudził Jim Balke.

– Jim, właśnie o to tutaj chodzi – odparła Kathy. – Musimy jedynie stworzyć wirion, który samoczynnie się rozprzestrzeni. Możesz to nazwać zaraźliwym lekarstwem. Spirala Zbrodni rozprzestrzenia się przy udziale ludzi. Jeśli chcemy mieć szansę na jej pokonanie, musimy zrobić to samo. Dlatego nie musimy produkować wielkich ilości szczepionki, pod warunkiem, że wirion będzie rozprzestrzeniał się szybko i skutecznie.

Kathy urwała i zerknęła w leżące przed nią notatki. Przez ile etapów będą musieli przejść, by osiągnąć cel? Gdyby tylko udało się opracować antidotum.

– Kiedy będziemy mieli antidotum i wirion, zrobimy z nich zdolną do samodzielnego życia szczepionkę. A wtedy – zwróciła się do Toma Allardyce'a – ty zaczniesz działać.

– Oczywiście – odparł Allardyce. – Szukamy już ochotników wśród zarażonych. Przetestujemy na nich wyprodukowane antidotum. Wraz z Brytyjczykami, Izraelczykami i Rosjanami pracujemy nad kwestią rozprzestrzenienia szczepionki. Rozważamy wszystkie możliwości, łącznie z użyciem bomb kasetowych. Badamy prognozy pogody. Jeśli stworzycie szczepionkę, my ją rozprowadzimy.

Kathy skinęła głową. Starła się wyglądać na tak pewną siebie, jak Allardyce. To jednak nie było łatwe. Musieli stworzyć tę szczepionkę. Kathy otworzyła leżące przed nią laptopa i zaczęła wypisywać główne punkty planu działań.

– Dobra, Rose i Floyd z USAMRIID będą ze mną pracowali nad antysensową szczepionką, a Sharon, Al i Mel zajmą się wirionem. Produkcją zajmie się Jim, a Tom będzie odpowiedzialny za rozprowadzenie szczepionki. – Rozejrzała się dokoła. – Proponuję spotkanie co sześć godzin, abyśmy mogli wymieniać swoje uwagi. Coś jeszcze?

– Jak nazwiemy to, nad czym będziemy pracować? – zapytał Allardyce.

Floyd Harte, naukowiec z USAMRIID, nieśmiało podniósł rękę.

– Mężczyźni na całym świecie dostali wyrok śmierci. Jedni straceni zostaną wcześniej, inni później, ale i tak za trzy lata umrą wszyscy. To, co próbujemy tu zrobić, to swego rodzaju amnestia.

Wszyscy przytaknęli.

– A więc – podjęła Kathy, zapisując w laptopie notatki ze spotkania – tak to nazwiemy: Projekt Amnestia.

Hotel Fairview, Fisherman's Wharf, San Francisco
Poniedziałek, 10 listopada, godz. 9.18

Billy Caraso patrzył, jak kobieta wchodzi przez wahadłowe drzwi do ponurego hotelowego lobby i zmierza ku niemu po wyblakłym, wyliniałym dywanie. Z daleka oceniał ją wprawnym okiem. Był baczny obserwatorem wszelkich aspektów życia. Przez czterdzieści dwa lata napatrzył się na wszelkie przejawy życia przez pryzmat swego małego, rodzinnego hoteliku. Nic nie było go już w stanie zaszokować. Szczycił się tym, że starczyło, by raz spojrzeć na kogoś i już znał historię jego życia.

Swoją klientelę dzielił na dwa typy: tych, którzy opłacali pokoje na godziny – zazwyczaj były to dziwki i ich klienci – i tych, którzy zostawali na dłużej... często na dużo dłużej. Jeden facet – mówił, że nazywa się Frank Smith, ale co to kogo obchodziło – niemal przez miesiąc zajmował pokój numer 11. Wreszcie wzeszły wtorek, z samego ranka, Billy'ego obudził pisk opon, po którym nastąpiły trzy strzały. Billy wiedział, kiedy lepiej stać z boku. Nie miał najmniejszego zamiaru dzwonić na policję. Następnego dnia z rana wcale nie zdziwił go widok jakiegoś typu, który czekał przy kontuarze ze zwitkiem banknotów. „Pan Smith się wymeldował – oświadczył, podając kasę. – Trzeba posprzątać jego pokój”.

Rzecz w tym, że od pierwszego spojrzenia na „pana Smitha” Billy wiedział, że nawiewa on przed mafią. Świadczył o tym dobitnie każdy szczegół jego wyglądu: wypchana sportowa torba, ciemne okulary, odór alkoholu – no i drżące ręce. A kiedy gość ściągnął wreszcie okulary i Billy spojrział mu w oczy – nie miał już wątpliwości, że facet żyje na kredyt. I że niewiele już mu go zostało. W oczach tych zobaczył przerażenie. Czaiła się w nich śmierć.

Obserwując zbliżającą się kobietę, Billy wyjął z leżącej na obdrapanym kontuarze paczki kolejny listek gumy i zaczął go powoli żuć. Billy rzadko pił, nigdy nie brał narkotyków, a na dziwkę mógłby sobie pozwolić tylko wówczas, gdyby żona wyjechała z miasta, co nigdy się nie zdarzyło. Najbardziej podniecało go obserwowanie życia innych. Tak było bezpiecznie.

– Czym mogę służyć? – zagadnął z uśmiechem. Jak mawiała mama, świeć Panie nad jej duszą, dobre maniery nic nie kosztują.

– Potrzebuję pokoju.

Przyjrzał się jej uważniej. Ufarbowała włosy na jakiś miedziany odcień, ale widać było ciemne odrosty. Była wysoka i chuda – dzięki czemu łatwiej jej było ukryć prawdziwy wiek. Równie dobrze mogła mieć czterdziestkę, jak i sześćdziesiątkę. Miała na sobie lekki sweterek i długą sukienkę w kwiaty. W prawej ręce trzymała wypchaną zieloną torbę. Nie obyło się też bez ciemnych okularów. Z wyliczeń Billy'ego wynikało, że co najmniej osiemdziesiąt procent jego gości nosiło ciemne okulary. W sumie dość dziwne, biorąc pod uwagę, jak ciemno było w lobby.

– Na jak długo? – zapytał, z góry wiedząc, że nie otrzyma precyzyjnej odpowiedzi.

– Na kilka dni – odpowiedziała drżącym głosem.

– Jak się pani nazywa?

– Simone Gibson.

Jasne, pomyślał Billy, a ja jestem Martin Luther King.

– Gotówka czy karta?

Mógł się założyć, że wybierze gotówkę. Nie mylił się. Sięgnęła do torby i pośpiesznie wydobyła z niej kilka banknotów. Drżącymi rękami podała mu pieniądze. Najwyraźniej chciała jak najszybciej znaleźć się już w pokoju. Domyślał się, że gdyby podwinął jeden z rękawów jej sweterka, odkryłby całą siateczkę śladów po nakłuciach. Ćpunka... pewnie podstarzała prostytutka uciekająca przed alfonsiem.

Kiedy już odgadł, z kim ma do czynienia, Billy stracił zainteresowanie tą kobietą. Zastanawiał się tylko od niechcienia, kiedy zjawi się po nią jej alfons. A może jest już tak stara, że ją całkiem oleje?

– Jedenastka – rzucił, wręczając jej klucz. Pewnie nie zauważy nawet plamy na dywanie. Jak będzie marudzić, powie się jej, że to keczup. Włożył do ust kolejny listek gumy. Może następny gość będzie trudniejszą zagadką. Bo niektórzy to wszystko mają wypisane na twarzy.

Kiedy tylko Madeline Naylor weszła do pokoju numer 11, zamknęła za sobą drzwi i podparła klamkę krzesłem. Nie zwracała sobie nawet głowy rozpakowywaniem. Wyjęła tylko z torby laptopa i położyła go na rozchwierutanim biurku pod oknem. Samochód i czarny kombinezon ochrony biologicznej, zabrany na lotnisku komandosowi z FBI, ukryła w wynajętym garażu.

W dwie minuty podłączyła laptopa do zasilania i do gniazdka sieci telefonicznej Titanii. Nie próbowała nawet korzystać ze swojego złotego kodu dostępu. Mogli go już dezaktywować. Ludzie McClouda mogli też monitorować dostęp. Zamiast tego, uważając, by się nie pomylić, wpisała dziesięć znaków stanowiących hasło otwierające elektroniczne tylne drzwi, z których często korzystała Alice. Dawały one dostęp do wszystkich plików Titanii. Wątpliwe, aby wiedzieli o tym informatycy z FBI. A jeśli nawet, i tak nie będą mogli jej wyśledzić.

Na ekranie laptopa pojawiła się lista opcji. Na turkusowym tle, niczym znak wodny, widniało logo Viro-Vectora.

Kliknęła ikonę wyszukiwania w górnej części ekranu. Musiała pośpieszyć się ze znalezieniem pliku, zanim dotrze do niego Kathy Kerr. Wierzyć jej się nie chciało, że Alice mogła zrobić coś takiego w tajemnicy przed nią.

W polu wyszukiwania wpisała: „spirala zbrodni antidotum”.

W ciągu kilku sekund nadeszła odpowiedź Titanii. Znalaziono jeden plik na zabezpieczonym twardym dysku, oznaczonym literą X. Plik opisany był jako „Spirala Zbrodni, faza 3, zmodyfikowany produkt antysensowy”.

Naylor uśmiechnęła się do swego odbicia na turkusowej powierzchni ekranu. Jej palce zatańczyły na klawiaturze. Wprowadziła niezbędne parametry i wykonała komendę. Najpilniejsze zadanie miała już z głowy.

Następnie wyświetliła plany Viro-Vectora. Na ekranie pojawiła się mapa ośrodka, z

wszystkimi nadziemnymi i podziemnymi instalacjami, w tym tunelami umożliwiającymi dostanie się do środka.

Kliknęła ikonę personelu i ujrzała wykaz wszystkich osób obecnych na terenie ośrodka. Wielu z nich oznaczono jako „odwiedzających”. Naylor domyślała się, że to agenci przydzieleni do ochrony budynku. Później sprawdzi te nazwiska w bazie danych personelu FBI. Musi zidentyfikować tych, z którymi przyjdzie się jej zmierzyć. Tymczasem wybrała z listy dwa nazwiska: Kathy Kerr i Luke’a Deckera. Kerr podświetliła na czerwono, Deckera na zielono. Kliknęła ikonę lokalizacji.

Musiała poczekać, aż Titania sprawdzi rejestry czujników zamontowanych w drzwiach. Wreszcie czerwona plamka pojawiła się w zewnętrznym kręgu podziemnych pomieszczeń laboratoryjnych. Na oczach Naylor zaczęła przesuwać się w kierunku centrum koncentrycznych pierścieni. Kerr przechodziła przez kolejne drzwi, zmierzając do Łona. Śledzenie ruchów swej ofiary dawało Naylor poczucie władzy.

Zielona plamka pojawiła się w podziemiach pod kompleksem laboratorium biologicznego. Nie poruszała się. Decker znajdował się w szpitalu ochrony biologicznej poziomu czwartego. Te dwie migające plamki przypominały Naylor, dlaczego nie może teraz poczekać w ukryciu na przemiany, które zajdą w nadchodzących latach. Aby ochronić Spirale Zbrodni, musi wygasić obie te plamki.

Najpierw jednak postanowiła odpocząć. Wstała i podeszła do łóżka. Nie należało do wygodnych, ale nie dbała o to. Ze stolika przy łóżku wzięła pilota i włączyła wiadomości CNN. Na ekranie jakiś mężczyzna stał na tle tłumu kobiet, wymachujących transparentami. Większość nosiła T-shirty z nadrukowanymi sloganami, takimi jak „Rodzaj męski – rodzaj klęski” czy „Silna słaba płeć”.

– Istnieje obawa, że tak zwana Plaga Pokoju rozprzestrzeniła się już poza terytorium Iraku – mówił reporter. – Są jednak ugrupowania na terenie Stanów Zjednoczonych, które witają epidemię z radością, mając nadzieję, że dotrze ona do naszych brzegów. Jak dotąd wszystkie ofiary były płci męskiej. Niektóre organizacje feministyczne postrzegają to jako ostateczny rozrachunek po wiekach męskiej tyranii.

Naylor pokręciła głową.

– Och, Alice, czemu musiałaś to zrobić? – wyszeptała, czując, jak ogarniają dojmujący smutek.

W myślach wspominając przyjaciółkę, patrzyła, jak kobiety na ekranie zaintonowały wspólną pieśń. Kiedy wyswobodziły się z więzów związków ze swymi kochankami i mężami, mogły wreszcie przyznać, że mężczyźni są zbędni. W głębi duszy każda z nich od dawna wiedziała, że całe zło na świecie pochodzi od mężczyzn.

– Ali, wszystkie by to zrozumiały. Stałabyś się bohaterką. Naylor poczuła, jak ciężą jej powieki. Wiedziała jednak, co ma robić dalej. Kiedy już odpocznie i poczyni niezbędne przygotowania, zniszczy wszelkie przeszkody na drodze Spirali Zbrodni. Świat zacznie wreszcie wykorzystywać swe zasoby dla tworzenia lepszej przyszłości, zamiast walczyć o zachowanie chorego status quo.

Viro-Vector Solutions, Palo Alto
Czwartek, 13 listopada, godz. 14.06

Kathy Kerr wpatrywała się w pusty ekran. Nie wierzyła własnym oczom.

– Co ty mówisz? Jak to „zostało usunięte”?

Louis Stransky, technik pracujący przy Titanii, wzruszył ramionami.

– Już ci mówiłem, Kathy. Mamy złoty klucz dostępu. Możemy zrobić z Titanią wszystko, co chcemy. Ale nie ma tu tego pliku. Kiedyś był w katalogu Alice Prince, a teraz nie ma po nim śladu.

Ramiona Kathy opadły, kiedy usiadła naprzeciwko ekranu w pokoju konferencyjnym poziomu pierwszego. Niewiele spała w ciągu tych ostatnich dni. Korzystała z koi w kopule na górze, żeby zdrzemnąć się przez godzinę lub dwie. Od poniedziałku wraz z Harte i Patterson próbowali poznać sekwencje, rozgryźć informacje dotyczące Spirali Zbrodni. Gdyby im się udało, mogliby stworzyć zapobiegawczą szczepionkę. Jednak im więcej skomplikowanych prób przeprowadzili na genoskopie, tym bardziej Kathy upewniała się, że będą potrzebowali więcej czasu. Dużo więcej czasu.

W głębi duszy liczyła na szczepionkę Alice Prince. Znając jej sposób działania, była pewna, że odnalezienie informacji to tylko kwestia czasu. Kiedy Stransky wezwał ją do Łona, żeby poinformować ją o przejęciu złotego dostępu Titanii, była przekonana, że jej poszukiwania właśnie zakończyły się sukcesem. Tak się jednak nie stało. Plik został wykasowany, a Kathy nie miała pojęcia, gdzie jeszcze można go szukać. Pozostawało teraz kontynuowanie żmudnej pracy nad stworzeniem od początku antidotum. Cały czas mieli świadomość, iż z każdą mijającą chwilą będą umierać dziesiątki milionów mężczyzn.

– Wiesz, kto go usunął? – spytała. – Kiedy to się stało?

Stransky pokręcił głową.

– Nie. Został całkowicie wykasowany, brak jakichkolwiek śladów. Musiało to nastąpić niedawno. W przeciwnym wypadku pusty katalog również zostałby automatycznie usunięty. Myślisz pewnie, że zrobiła to Madeline Naylor, ale usunąłem jej złoty klucz dostępu. Nie miałyby jak się tu dostać.

Nagle rozległo się natarczywe brzęczenie. Pograżona w myślach Kathy nawet nie drgnęła.

– Nie sprawdzisz, o co chodzi? – zapytał Stransky.

– Co?

– Twój pager.

Bezwiednie sięgnęła do zamocowanego przy pasku pagera. Spojrzała na ciekłokrystaliczny wyświetlacz i odczytała treść wiadomości. Od razu poprawił jej się humor.

Decker obudził się ze śpiączki.

Pochowano go żywcem, a teraz miał się odrodzić.

W mroku, przez półprzezroczyste jak mgła ściany, widział wpatrzone w niego duchy. W uszach rozbrzmiewał mu szum krwi płynącej w jego żyłach. Czuł zapach chemikaliów.

Był jedną z zabalsamowanych ofiar swego ojca, uwięziony w przeźroczystym, podziemnym więzieniu. To dlatego odczuwał straszliwy ból w każdej części ciała.

Z wielkim trudem przekręcił się na bok. Jego ciało podłączone było do rzędu piszczących chromowanych urządzeń i monitorów. Okazało się, że szum, który słyszał, dobiegał z rurki doprowadzającej powietrze. Kiedy się obrócił, poczuł ostre, przeszywające ukłucie w lewym boku, zatykające oddech. Łapał powietrze, jakby ratował się przed utonięciem.

Ból oczyścił jego umysł, co pozwoliło mu się skupić. Leżał w łóżku otoczonym plastikową bańką. W ścianie znajdowały się dwustronne rękawice, jedyny sposób kontaktowania się ze światem zewnętrznym.

Jego łóżko stało samotnie w małym, pustym pokoju. Z lewej strony, poza zasięgiem wzroku, w powietrzu unosił się biały duch. Przysunął się bliżej i uśmiechnął przez szklany wizjer. Powiedział mu dziwnym, odległym głosem, że wszystko z nim w porządku i że powinien odpocząć.

Nie był to jednak duch, ale kobieta ubrana w biały, kosmiczny kombinezon. Dlaczego miała go na sobie? Dlaczego on sam się tu znalazł?

Jęknął, porównując przebudzenie w tym ciemnym, surrealistycznym świecie z porankami w domu Matty'ego. Czy jeszcze ujrzy kiedyś wschodzące słońce? Wsłuchując się w dobiegające go dźwięki, nie usłyszał skrzypiec dziadka, tylko zgrzytliwy odgłos stojącej przy łóżku pompy i piszczące urządzenia.

Pomimo to poczuł się lepiej. Jego rozbiegane myśli zwolniły. Powoli przypominał sobie fragmenty zdarzeń z lotniska, Alice Prince, amulet, który miała na szyi, upadek. Ale było jeszcze coś, coś znacznie ważniejszego, co musiał sobie przypomnieć.

*Park Nauki White Heat, Palo Alto
Czwartek, 13 listopada, godz. 14.30*

Szmaragdowozielony dżip cherokee zatrzymał się na szczycie wzniesienia z widokiem na Park Nauki i przylegający doń ośrodek Viro-Vector .

Madeline Naylor zlustrowała okolicę przez lornetkę. Żadnych wozów transmisyjnych. To dobrze. Większość stacji telewizyjnych uznała, że centrami walki z zarazą są USAMRIID w Maryland i CDC w Atlancie. Władze nie wyprowadzały ich z błędu. Naylor irytowało tylko, że Pamela Weiss ciągle jeszcze nie ogłosiła rozpoczęcia Spirali Zbrodni, by ludzie mogli przygotować się na to, co nieuchronne.

Sąsiadujący z Viro-Vectorem Park Nauki otoczono kordonem. Głównej bramy pilnowała policja. Nikogo nie wpuszczano ani nie wypuszczano. Nie mogła zatem dostać się do środka tunelem inspekcyjnym, jak początkowo planowała. Nie zmartwiło jej to jednak zbytnio. Przygotowana była i na taką ewentualność. Wiedziała, co zrobić.

Dwie torby na tylnym siedzeniu dżipa zawierały cały potrzebny ekwipunek. Na fotelu obok spoczywał stos wydruków. Z kartki na wierzchu pliku uśmiechała się kobieta. W poprzek zdjęcia biegł napis: „*Baza danych personelu FBI. Ścisłe tajne*”.

Drogą nadjeżdżała czarna furgonetka z zaciemnionymi oknami i dziwnym urządzeniem filtrującym na dachu. Naylor rozpoznała jedną ze specjalnie wyposażonych furgonetek zagrożenia biologicznego, które FBI wykorzystywała do transportu swoich agentów przez obszary skażone. Obserwowała, jak samochód zakręca i wjeżdża przez bramę główną na teren kompleksu. Zatrzymał się przy głównej kopule i wysiadły z niego trzy postacie w czarnych kombinezonach ochronnych. Same kobiety. Według list personelu ośrodka, dostarczonych jej przez Titanę, każdy agent FBI był tutaj kobietą. Chciano unikać ryzyka. Wszystkie nosiły przez cały czas pełne kombinezony – nie po to, by ochronić się przed skażeniem, ale by zapobiec zarażeniu mężczyzn wchodzących w skład zespołu badawczego. W ten sposób agentki miały swobodę poruszania się. Mogły pracować w systemie zmianowym, odwiedzać skażony wirusem świat i wychodzić na zewnątrz.

Idealnie odpowiadało to planom Madeline Naylor.

*Szpital ochrony biologicznej poziomu czwartego.
Viro-Vector Solutions, Palo Alto,
godz. 14.35*

Spoglądając na Luke'a Deckera, Kathy Kerr zapomniała o rozczarowaniu związanym z usuniętym plikiem Alice. Z ulgą dowiedziała się, iż Decker wyszedł ze śpiączki. Mogła się tylko domyślać, jak fatalnie się czuł.

Chciała go uspokoić, że to nie amulet Alice winny był rozprzestrzenieniu się wirusa.

Prawdę powiedziawszy, Kathy nie miała nawet pewności, jak zaraźliwa jest wersja Spirali Zbrodni, którą Alice zaraziła Deckera. Umieszczono go w szpitalu tylko po to, by można było się nim opiekować w sypialni, zająć złamaną ręką i pękniętymi zębami.

Ujrzała, jak leży na łóżku osłoniętym plastikową pokrywą, z głową w bandażach. Wyglądał tak samotnie w tej przezroczystej bańce, pozbawiony kontaktu z ludźmi. Chciała mu pomóc, tak jak on uratował ją z Sanktuarium. Zdała sobie sprawę, że nie chce znów go utracić.

– Cześć, Luke – odezwała się. – Jak się czujesz?

Jego uśmiech kompletnie ją zaskoczył. Zastanawiała się, jakie mu podali środki przeciwbólowe.

– Bywało lepiej – oznajmił pogodnie. Głos miał jeszcze słaby. Musiała wyęczać słuch, aby usłyszeć go mimo nakładek chroniących jej uszy przed dopływem powietrza. Naraz zmarszczył brwi, jakby usiłując sobie coś przypomnieć. – Podejdź bliżej, Kathy. Jest chyba coś, o czym muszę ci powiedzieć.

– Nie martw się – odezwała się uspokajająco. – Z czasem sobie przypomnisz – mówiąc to, usiadła na krześle przy łóżku, włożyła rękę do wnęki zakończonej rękawicą i uściśniła jego dłoń. – Zanim mi coś powiesz, muszę ci wyjaśnić parę rzeczy.

Opowiedziała mu, jak spadł na Alice Prince i stos bagaży. Alice zginęła, jemu udało się przeżyć. Upadek przyplacił tylko złamaną ręką, uszkodzonymi zębami, wstrząsem mózgu i kilkoma malowniczymi siniakami. Potem powiedziała mu o Spirali Zbrodni. O tym, że rozprzestrzeniła się po całym świecie. Że pojawienie się pierwszych ofiar jest tylko kwestią czasu.

Wreszcie doszła do tego, że Prince zaraziła go jakąś wcześniejszą wersją Spirali Zbrodni. Że został odizolowany na wypadek, gdyby okazała się zakaźna, żeby nie zaraził zespołu pracującego nad szczepionką. Zapewniła go, że w jego wieku nic mu nie grozi przed upływem roku. A do tego czasu może uda im się coś wynaleźć.

– Co z Madeline Naylor? – wyszeptał.

Pokręciła głową.

– Nie wiemy, gdzie jest, ale McCloud jest przekonany, że ją złapią.

Decker znów zmarszczył brwi w zamyśleniu, po czym wydał westchnienie pełne ulgi, jakby nagle zrozumiał coś niezwykle ważnego.

– Myślę, że masz szczepionkę – wyszeptał.

– Nie, Luke, nie mam – odparła. Może nie powinna była mu wszystkiego mówić? Przecież dopiero co wyszedł ze sypialni. – Ale w końcu ją zdobędziemy. Na Titanii był plik z danymi antidotum, ale go usunięto.

– Nie, nie, nie ma jej na komputerze.

Tym razem Kathy zmarszczyła brwi, nic z tego nie rozumiejąc.

– No to w takim razie gdzie jest?

Decker odpowiedział zagadkowym uśmiechem i uwolnił swą zdrową rękę z jej uścisku.

– Myślę, że jest tu – oznajmił, wskazując na siebie.

Nagle wszystko stało się dla niego jasne. Patrzył na zdumienie malujące się na twarzy

Kathy. Nim zdołała zadać jakieś pytanie, nie zważając na trudności z oddychaniem, opowiedział jej, w jakich okolicznościach spotkał na lotnisku Alice Prince.

– Dała mi szczepionkę, Kathy. Tak mi powiedziała. Lek był w amulecie. W końcu Alice uświadomiła sobie, że wyrządza ludziom krzywdę. Chciała, bym przeprosił Weiss i zapewnił ją, że jej chrześniakowi nic się nie stanie.

Kiedy skończył opowiadać, Kathy długo jeszcze nie mogła wyjść z szoku. Widział, że bała się uwierzyć. Bała się, że to zbyt piękne, by było prawdziwe.

– Ale skąd wiesz, że nie kłamała? – spytała.

– Po prostu wiem, Kathy. Poza tym, czemu miałyby kłamać? Wiedziała, że za chwilę umrze.

– Ale to wygląda całkiem jak Spirala Zbrodni. Twoje geny już zaczęły murować. Poziom serotoniny podwyższył się, zmienił się poziom testosteronu i katecholaminy... – Tu urwała, jakby coś sobie uświadomiła. – Ale jeśli to antidotum, może działać przeciwnie do Spirali Zbrodni. Być może te wczesne symptomy to...

– Kathy – przerwał jej Decker – nie mam zielonego pojęcia, o czym gadasz. To ty jesteś ekspertem. Czemu nie zarazisz mnie po prostu Spirala Zbrodni i nie zobaczysz, co się stanie? Jeśli mam już wirusa, to gorzej i tak być nie może. Jeśli zaś mam antidotum, możemy dowiedzieć się paru interesujących rzeczy.

Kathy milczała.

– No, Kathy, i tak czuję się tu bezużyteczny. W ten sposób mogę jakoś pomóc. Wyświadcz mi tę przysługę. Podaj mi tego cholernego wirusa i niech to będzie mój wkład w naukę.

*Kalkuta, Indie
Tego samego dnia, godz. 15.11*

Dwóch hinduskich chłopców, pływających na terenie Tollygunge Club, różniło się wiekiem jedynie o dwa lata. Starszy z braci, Babu Anand, miał czternaście lat. Był najmłodszym dojrzałym mężczyzną na pokładzie lotu BA186 z Heathrow. Pływając, kaszłał co chwila.

Cztery dni po zakażeniu wirus Spirali Zbrodni skopiował swoje DNA do komórek płuc i dróg oddechowych. Przedostał się do jąder i mózgu. Każde z tych miejsc stało się teraz ośrodkiem reprodukcji wirusa, powielającym jego DNA.

Młodszy z braci również uległ zarażeniu, jednak nie osiągnął jeszcze dojrzałości płciowej. Wirus zmodyfikuje jego geny, ale nie zagrozi jego życiu.

Jednak dla Spirali Zbrodni starszy z braci był już mężczyzną. Jego życie miało się zakończyć, zanim jeszcze na dobre się zaczęło.

Centrum obliczeniowe Viro-Vector Solutions, Palo Alto
Sobota, 15 listopada, godz. 14.18

Uniosła probówkę w prawej dłoni. Wszystkie dwanaście par oczu ludzi biorących udział w zebraniu w centrum obliczeniowym, w tym pani prezydent, wpatrywało się w nią intensywnie. Kathy wciąż jeszcze pozostały do rozwiązania dwa zasadnicze problemy, ale była zafascynowana tą probówką wypełnioną mętnym płynem, który niósł ratunek ludzkości.

– Jak to działa? – zapytała pani prezydent. Znajdując się w Białym Domu, spoglądała z jednego z czterech monitorów zawieszonych na ścianie centrum obliczeniowego. Todd Sullivan, kierownik jej zespołu, siedział obok niej. Jack Bloom oraz generał Linus Cleaver spoglądali z dwóch innych monitorów. Na czwartym widniała twarz dyrektora McClouda. Wszyscy oni byli w Waszyngtonie.

Reszta zespołu siedziała przy stole konferencyjnym w centrum obliczeniowym. Brakowało tylko Luke'a Deckera.

– Szczepionka działa na dwóch poziomach – zaczęła Kathy. – Najpierw niszczy szkodliwy genotyp dostarczony przez Spirale Zbrodni, potem zastępuje go nowym. – Obróciła się w kierunku wyświetlacza. – Titanio, pokaż hologram. – W tej samej chwili pojawiła się wielokolorowa spirala DNA, obracająca się nad holopadem umieszczonym na końcu stołu. Wiązania stanowiące spiralne schodki rozdzieliły się, jak zamek błyskawiczny złożony z dwóch części podwójnej helisy. Całość połączyła się ponownie przy użyciu krótszego odcinka DNA, zawierającego przeciwne nukleotydy, tworząc dwie spirale. – Podczas podziału komórkowego, DNA w chromosomach pęka i przekształca się w sposób, jaki tu widzieliście – podjęła Kathy. – Każde wiązanie, czyli para nukleotydów, może łączyć się tylko w określonych kombinacjach. Użyty w szczepionce odpowiedni antysens namierza sekwencję materiału genetycznego zmienioną przez Spirale Zbrodni i łączy się z nią. Następnie ją kasuje. – Hologram podzielił się po raz kolejny, tym jednak razem pojawił się nowy fragment i połączył z rozdzieloną sekwencją, skutecznie ją neutralizując. – Po wszystkim wprowadzany jest kolejny odcinek, który rekalkuluje funkcjonowanie genu, tak aby powróciło do bezpiecznego poziomu.

– Wspaniale, ale skąd będziemy wiedzieli, że to działa? – zapytał Bloom. Jego twarz była biała jak kreda, a oczy miał podpuchnięte. – Testowaliście już szczepionkę?

Kathy opowiedziała, jak Decker otrzymał szczepionkę od Alice Prince. Podkreśliła, że głównym motywem zmarłej było uratowanie rodziny Pameli Weiss, a w szczególności jej syna. Słyszac to, pani prezydent pokiwała głową, nie okazując po sobie żadnych emocji.

– Kiedy Luke odzyskał przytomność, opowiedział mi, co się stało. Aby przetestować szczepionkę, którą prawdopodobnie miał we krwi, kazał zarazić się Spirale Zbrodni fazy trzeciej. Tak też uczyniłam.

– I co się stało? – zapytała pani prezydent.

– Przekonajcie się sami. – Kathy podeszła do głównych drzwi centrum obliczeniowego. Wpuściła Deckera, który zajął miejsce obok niej. Na lewym ramieniu miał gips i nieco utykał, ale pozbył się już bandaża z głowy. – Spirala Zbrodni nie działa na Luke’a – wyjaśniła Kathy. – Tak, jak widzieliście na hologramie, wirus został zlikwidowany, ponieważ obecne w jego krwi antidotum rozpoznaje i naprawia każdą zainfekowaną Spiralą Zbrodni komórkę.

W tej chwili wszyscy zgromadzeni w pomieszczeniu zaczęli klaskać. Nawet na twarzy Jacka Blooma pojawił się uśmiech.

– Co robimy dalej? – zapytała Pamela, kiedy aplauz ustał. – Kropla tej substancji nie zbawi świata.

Kathy skinęła głową.

– Ma pani rację. Ale zanim opowiem o metodzie rozprzestrzeniania szczepionki, powinnam panią poinformować, dlaczego sądziliśmy, że Luke został zarażony Spiralą Zbrodni. – Odkasznęła. Czowała, że wolałaby, żeby tego nie mówiła. – Szczepionka została stworzona przez Alice Prince i ma ciekawe efekty uboczne. Faktycznie ratuje umierających z powodu Spirali Zbrodni mężczyzn, ale jednocześnie wpływa na nich tak samo, jak kuracja projektem Sumienie. Dorośli mężczyźni nie wracają już do stanu sprzed zarażenia. Szczepionka trwale modyfikuje ich genomy w sposób praktycznie identyczny, z moją zatwierdzoną przez FDA wersją Sumienia. Poza tym wpływa na ich gamety. W skrócie rzecz ujmując, wszyscy mężczyźni staną się organizmami rekombinowanymi. Będą nosili w sobie obce DNA.

– Co to dokładnie oznacza? – zapytał Todd Sullivan. Odpowiedzi udzielił mu Decker. Mówił spokojnie, ale Kathy czuła, że każde słowo wypowiada z trudem.

– To znaczy, że nie możemy uratować mężczyzn bez nieodwracalnego ich zmienienia. Mężczyźni i chłopcy oraz ich dzieci nie będą już porywczy z natury, agresywni, jak kiedyś. Krótko mówiąc, mężczyźni nigdy nie będą już tacy sami. Dotyczy to także mnie.

W sali zapanowała cisza. Pierwsza odezwała się Pamela Weiss.

– Jak się z tym czujesz, Luke?

– Chyba dobrze. Proszę mi wierzyć, cały czas odczuwam złość, szczególnie teraz. Jednak instynktownie skłaniam się ku mniej gwałtownym rozwiązaniom. Czas pokaże, co to oznacza w praktyce.

– Jakie są inne rozwiązania? – Pamela Weiss zwróciła się do Kathy.

Kathy wymieniła spojrzenia z Sharon Bibb, Allardyce’em oraz innymi zebranymi.

– Myśleliśmy już o tym – odparła. – Sądzimy, że przy odrobinie szczęścia możemy w ciągu kilku miesięcy stworzyć nowy antysens, ale nie wiadomo, czy nie będzie miał innych skutków ubocznych. Możliwe, że nawet gorszych.

– Do tego czasu – dodał Allardyce – stracimy setki milionów mężczyzn. Cokolwiek zrobimy, ludzie zaczną umierać w ciągu najbliższych kilku dni. Musimy pójść na ten kompromis, żeby uratować miliony ludzkich istnień.

– W dodatku – dorzuciła Kathy, trzymając w dłoni probówkę – serum, które otrzymaliśmy z krwi Luke’a, musi zostać wstrzyknięte do krwiobiegu pacjenta. Jeśli je zatwierdzimy, godząc się z efektami ubocznymi, produkcja i rozprowadzenie wystarczającej

jego ilości, pozwalającej zaszczerpić każdego zarażonego, zajmie nam lata. – Spojrzała na Jima Balke'a, który potakiwał głową. – Tak więc jedynym rozwiązaniem tego problemu jest umieszczenie antysensowej szczepionki DNA w genetycznie zmodyfikowanym wirionie, który rozprzestrzeni się w taki sposób, jak choroba. Zespół Sharon właśnie nad tym pracuje.

Kathy rzuciła okiem na Sharon Bibb i zajęła swoje miejsce. Bliźniaki, Bibb i Kathy dyskutowali na temat tego rozwiązania całą noc. Wszyscy doszli do tego samego wniosku. Jeśli nawet użyją obecnej szczepionki i tak będą musieli stworzyć wirion, który nie tylko przenosi się drogą kropelkową ale jest też wystarczająco stabilny, aby przetrwać długi okres w powietrzu. Rozwiązanie to miało jednak dwa słabe punkty. Pierwszy można było obejść dzięki manipulacji genetycznej, co do drugiego potrzebna była pomoc Pameli Weiss.

Bibb wstała i zaczesła do tyłu swoje czarne włosy. Jak inni była blada i zmęczona, jednak głos miała mocny.

– Krótko rzecz ujmując – powiedziała – musimy użyć wiriona bardziej zaraźliwego i stabilnego niż wirion grypy użyty w Spirali Zbrodni. Pozwoli to ludziom Toma oraz siłom powietrznym innych państw na zrzucenie ładunków kasetowych nad głównymi skupiskami ludzkimi. Możemy również użyć tych samych lotniskowych systemów oczyszczania powietrza, które wykorzystywały Prince i Naylor, rozprawdzając Spiralę Zbrodni.

– Macie już ten cudowny wirion Amnestii? – zapytał generał Cleaver.

– Tak sądzimy, ale pozostały dwa problemy do rozwiązania. Po pierwsze, jest śmiertelny zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Musimy mieć pewność, że usunęliśmy całe niebezpieczne DNA wirusa przed zastąpieniem go leczniczym DNA szczepionki. W innym wypadku, nie tylko nie uratujemy mężczyzn, ale zagrozimy również kobietom.

– Dobra, załóżmy, że już udało się pozbawić szczepionkę zabójczych właściwości – uciał Bloom. – Co jest kolejnym problemem?

Bibb odchrząknęła.

– Zamierzamy umieścić szczepionkę w wirusie ospy, jednak, zgodnie z międzynarodowymi postanowieniami, ostatecznie zniszczono go w czerwcu 1999 roku. Ostatnimi próbkami dysponowaliśmy my w CDC i Rosjanie w Kolcowie. – Bibb przerwała i spojrzała porozumiewawczo na panią prezydent. – Tak więc prawdopodobnie nie ma już tego wirusa.

– Prawdopodobnie? – zapytała Weiss. – Jeśli dobrze się orientuję, zniszczyliśmy wszystkie nasze zapasy.

– Oczywiście – skwapliwie potwierdził Bloom. Było jasne, że wie o tych sprawach więcej niż prezydenci. – Pozostaje pytanie, czy Rosjanie zniszczyli swoje. Wielokrotnie przylapywano ich na łamaniu konwencji o zakazie broni biologicznej z 1972 roku. Prezydent Weiss zmarszczyła w zamyśleniu brwi.

– Dobrze. Dziś mam spotkanie z Radą Bezpieczeństwa ONZ i chcę być pewna, że znam wszystkie możliwe opcje. Krótko mówiąc, jeśli chcemy uratować męską populację, musimy zastosować antidotum, które na zawsze zmieni ich DNA, czy im się to podoba czy nie?

Kathy i Bibb skinęły głowami.

– W dodatku – kontynuowała Weiss – musimy mieć wirusa ospy, który zmodyfikujecie

genetycznie tak, aby przynosił antidotum?

– Tak – potwierdziła Bibb.

Weiss odetchnęła.

– No dobra, pomówię o tym z rosyjskim prezydentem.

– Skontaktowaliśmy się już z prezydentem Tabczowem – rzekł Allardyce. – Wy tłumaczyliśmy mu, że chce pani porozmawiać z nim w bardzo ważnej sprawie. – W tym momencie piąty monitor, umieszczony na ścianie centrum obliczeniowego oddzielającego pomieszczenie od chłodni Titanii, ożył. Ukazała się na nim twarz Tabczowa.

– Panie prezydencie Tabczow, mówi prezydent Weiss – zaczęła Pamela. – Orientuje się pan w powadze sytuacji, dlatego darujemy sobie konwenanse. Potrzebujemy pańskiej pomocy w pewnej niecierpiącej zwłoki sprawie. – Weiss nakreśliła pokrótce wszystko to, o czym rozmawiali. Mówiła jasno i dobitnie. Rosyjski prezydent słuchał w skupieniu, a kiedy Pamela Weiss skończyła, na jego twarzy pojawił się półuśmiech.

– A więc chce pani wiedzieć, czy Rosjanie zniszczyli wirusa ospy, jak to wcześniej ustalono? Czy może kłamaliśmy?

– Nie ujęłabym tego tak dosadnie – odparła Weiss z podobnym uśmiechem. – Powiedzmy, że należy zlokalizować każdą pozostałą kolonię wirusa ospy dla dobra całej ludzkości.

Przez chwilę twarz na ekranie zamarła w bezruchu. Potem Tabczow zwrócił się w bok. Rozpoczął ożywioną rozmowę po rosyjsku z niewidocznym na ekranie doradcą. Po pięciu minutach rosyjski prezydent ponownie spojrzął na nich. Kathy czuła, jak serce wali jej w piersi. Była więc jakaś nadzieja. To paradoksalne, iż uciekali się do pomocy straszliwej średniowiecznej plagi, aby pokonać najbardziej zaawansowany technologicznie, genetycznie zmodyfikowany wirus, jaki kiedykolwiek stworzono.

– Bardzo mi przykro – odparł Rosjanin, kręcąc głową. – Pomimo waszych przewidywań naprawdę zniszczyliśmy całą naszą hodowlę. – Kathy widziała, jak wszystkich obecnych opuszcza entuzjazm. – Jednak – ciągnął Tabczow – pewna liczba naszych naukowców, zajmujących się programem badań nad wirusami, przeszła na stronę wroga w późnych latach dziewięćdziesiątych. Skusiły ich pieniądze. Podejrzewamy, że chcieli sprzedać coś więcej niż własną wiedzę. – Tabczow obrócił się ponownie w kierunku swojego niewidocznego doradcy, jakby coś ustalając. – Jest jedna osoba, która może posiadać to, czego szukacie. Teraz wszyscy będziemy tego szukać.

Sutter Street, San Francisco

Niedziela, 16 listopada, godz. 3.00

Lana Bauer zawsze sypiała nago. Teraz spała niczym niemowlę w swoim mieszkanku przy Sutter Street. Po raz pierwszy od wielu tygodni miała cały weekend dla siebie. Wieczorem wyszła na drinka i w rezultacie spiła się.

Śpiąc, śniła o swojej pracy. Ostatnio bywała jeszcze bardziej wyczerpująca niż zwykle. Dziwny przydział. Nie wiedziała dokładnie, o co chodzi, ale widać było, że dzieje się tam coś

ważnego.

Okno przy łóżku zostawiła otwarte. Nocny wiatr wydymał zasłony. Cichy szelest zupełnie jej nie przeszkadzał w śnie. Kiedy więc jakaś postać wspięła się po schodach przeciwpożarowych, otworzyła okno nieco szerzej i weszła do pokoju, Lana Bauer tylko lekko poruszyła się przez sen.

Nie zareagowała nawet wówczas, gdy zatkano jej ręką usta. Obudził ją dopiero dźwięk repetowanego pistoletu.

Otworzyła oczy. Lufa mierzyła jej w oko, usta zakrywała czyjaś ręka. Nad sobą widziała wysoką postać, kryjącą się w cieniu.

– Muszę ci zadać kilka pytań – oznajmiła. – Postaraj się na nie odpowiedzieć.

Dwie godziny później Lana Bauer już nie żyła. Kula wbiła się głęboko w przedni płat jej mózgu.

*Fabryka mleka w proszku Al Manak, Irak
Niedziela, 16 listopada, godz. 7.16*

Świat stanął na głowie. Cywile chronili się przed zainfekowanymi żołnierzami własnej armii. Wrogowie stali się sojusznikami. Wysłannicy śmierci przybywali z eliksirem życia. Jednak Jewgienija Krotowa nie narzekała. Rażno szła długimi, ciemnymi korytarzami fabryki mleka w proszku Al Manak – umieszczonego na północy Bagdadu największego z siedmiu irackich laboratoriów produkujących broń biologiczną.

Niedawny zgon irackiego prezydenta, który padł ofiarą Plagi Pokoju, odsunął od Jewgienii i jej rodziny groźbę egzekucji za niepowstrzymanie zarazy. Jednak ich życie było w niebezpieczeństwie. Ofiary śmiertelne wśród Irakijczyków liczono już w dziesiątkach tysięcy. Kolejni zarażeni, przede wszystkim żołnierze, konali w pośpiesznie tworzonych na pustyni obozach. Środki takie były konieczne. Wydawało się, że również skuteczne. Chyba udało się opanować rozprzestrzenianie choroby.

Teraz jednak Amerykanie skontaktowali się z nowym przywódcą Iraku, oferując fundusze i pomoc w odbudowie kraju w zamian za dostęp do bogatych zasobów Krotowej. Miały im pomóc w walce z chorobą, która ogarnęła już cały świat, przekraczając objęte kwarantanną granice. Przestrzegali, że za kilka dni śmierć zacznie zbierać żniwo iście apokaliptyczne, jeśli nie da się ludziom antidotum.

Schodząc do tajnego laboratorium pod fabryką, Jewgienija Krotowa nie mogła przestać myśleć o ironii losu. Klucz do powstrzymania zagłady spoczywał w jej rękach. Były nim wyniki badań nad śmiertelnością bronią, jakie prowadziła przez ostatnie dziesięć lat.

Wzięła prysznic, włożyła kombinezon ochronny i zeszła w mroczny labirynt betonowych tuneli, gdzie zmagazynowano jej arsenał patogenów. Otworzyła grube na piętnaście centymetrów stalowe drzwi, sprytnie ukryte, by zmylić inspektorów UNSCOM-u i ruszyła kolejnym korytarzem. Minęła duże pomieszczenie z powgniatanymi stalowymi ścianami – podziemny poligon doświadczalny do detonowania głowic z materiałem biologicznym. Wreszcie doszła do końca korytarza.

Znajdowały się tam kolejne stalowe drzwi. Otworzywszy je, znalazła się w pomieszczeniu, w którym zewsząd otaczały ją stojaki z próbkami. Bez wahania podeszła do przeciwległej ściany i sięgnęła na najwyższą półkę. Zdjęty z niej stojak przeniosła na stalowy stół laboratoryjny, zajmujący środek pomieszczenia. Teraz mogła przyjrzeć się z bliska czterem próbkom – jej czterem jeźdźcom apokalipsy.

W pierwszej znajdował się wirus Ebola. W drugiej – jego wzmocniony szczep, stuprocentowo śmiertelny. Trzecia próbka zawierała apokaliptycznego wirusa, którego posiadanie skłoniło irackiego prezydenta do inwazji na Kuwejt, wbrew groźbom Amerykanów. Była to chimera, połączenie wirusa Ebola z innymi zarazkami, które umożliwiały mu przenoszenie się drogą powietrzną. Owa chimera mogła jednak zaistnieć

tylko dzięki zawartości czwartej próbki – wirusowi tak rzadkiemu, że niemal niespotykanemu. To za niego Irakijczycy zapłacili jej fortunę. Teraz zaś okazało się, że Bóg albo diabeł czuwali nad nią, gdy szmuglowała go z Rosji. Przyglądając się wzmocnionemu szczepowi ospy nie mogła się nadziwić, że ta średniowieczna plaga dziesiątkująca ludzkość miała się stać jej wybawieniem.

Oddział zamknięty nr 4, szpital Ballygunge.

Kalkuta, Indie

Tego samego dnia, godz. 23.28

Przed upływem siódmego dnia Spirala Zbrodni na dobre zadomowiła się w komórkach mózgu i jąder Babu Ananda.

Stosunkowo łagodna pierwsza faza rozwoju wirusa trwała bardzo krótko u tego czternastoletniego chłopca. Jego telomery chromosomów oraz gen SRY chromosomu Y natychmiast wywołały ostatni, terminalny etap choroby.

Poziom androgenów wzrósł tak bardzo, że w ciągu kilku godzin na twarzy utworzyły się ropiejące wrzody. Włosy wypadały mu garściami, a głos zachrypnął.

Natychmiast przewieziony do szpitala, rzucał się w konwulsjach na łóżku. Były to fizyczne objawy stanu lękowego, skutku podwyższonego poziomu adrenaliny w organizmie. Pozostałe hormony regulujące pracę mózgu, dopamina i norepinefryna, również osiągnęły ponadnormatywny poziom. Jednocześnie dopływ inhibitora serotoniny był tak szybki, że krew nasyciła się oksydazą monoaminową.

Mózg chłopca zalewany był sprzecznymi informacjami. Próbował sprostać rosnącej stymulacji agresji, jednocześnie miażdżony stalowymi szczękami inhibitora emocji. Szalał na dopalaczach, przy jednocześnie włączonych hamulcach. Rozszarpywany przeciwstawnymi emocjami mózg ogarnęła pożoga – halucynacje, przerażenie, poczucie winy.

Kiedy mózg obrócił niszczycielską falę hormonów przeciw samemu sobie, nastąpił gwałtowny wzrost ciśnienia krwi, znany jako odruch Cushinga. Zwiastował on nieuchronną śmierć. Mózg potrzebował do życia krwi. Kiedy opuchlizna spowodowana zapaleniem zamknęła główne arterie, ciśnienie krwi wzrosło jeszcze bardziej, by mogła ona przedostać się do mózgu. Ciśnienie osiągnęło poziom zabójczy dla organizmu, wywołując serię krwotoków w całym ciele, a w końcu wylew krwi do mózgu. Krwotok z nosa oznaczał zgon.

Od chwili przyjęcia go na oddział, lekarze rządowi rejestrowali tajemnicze symptomy choroby oraz wyniki testów. Nim jeszcze ciało Babu Ananda ostygło, wysłano zaszyfrowany komunikat do wszystkich światowych przywódców.

Faza trzecia Spirali Zbrodni zgarnęła swą pierwszą ofiarę.

A był to dopiero początek.

*Łono. Viro-Vector Solutions, Palo Alto
Niedziela, 16 listopada, godz. 21.17*

Spójrz, Luke. Czyż to nie piękne? – zagadnęła Kathy Kerr. W ciemności panującej w Łonie mikroskop elektronowy rzucał zielonkawą poświatę na szybę jej hełmu.

Decker zajął miejsce Kathy, by przyrzeć się mikroskopijnemu krajobrazowi świata komórek. Nie potrafił jednak dostrzec żadnego piękna w wirasie. Wirion Sumienia, który pokazywała mu wcześniej, wyglądał jak zjawisko optyczne znane jako halo, Spirali Zbrodni – jak skrzyta pętla, natomiast ten wirion projektu Amnestia – jak zdeformowany półksiężyc.

Zgodnie z tym, co mówiła Kathy, oglądany przez niego skomplikowany wirion był hybrydą. W jej skład wchodziło DNA z antidotum w jego ciele oraz wirion ospy otrzymany z Iraku. Starannie ukształtowany, mógł pełnić funkcję szczepionki antysensowej DNA, która była w stanie uratować ludzkość. Ale i tak Decker nie widział w nim nic pięknego.

W przeciągu godziny od rozmowy prezydent Stanów Zjednoczonych z prezydentem Rosji skontaktowano się z Irakiem. Nowy prezydent okazał się rozsądniejszy od poprzedniego. Ze względu na kryzys, jaki dotknął jego kraj, był bardziej ugodowy, ale wykazywał wielką podejrzliwość wobec Amerykanów. Początkowo nie chciał przyznać, że na terenie jego kraju przechowywany jest wirus ospy. Kiedy jednak Pamela Weiss obiecała pomoc w sfinansowaniu odbudowy Iraku i powstrzymaniu epidemii niszczącej kraj, doszli wreszcie do porozumienia.

Prawdziwym objawieniem było jednak to, że Irak przesłał im nową, wzmocnioną odmianę wirusa ospy. Tak idealnie nadawała się na ich użytek, iż Kathy obawiała się, że może być to podstęp. W końcu Krotowa pracowała na rzecz programu zbrojeń biologicznych Iraku.

W zeszłym tygodniu Schlossbergowie położyli podwaliny pod dalsze prace, tak więc kiedy dostarczono już zmodyfikowanego wirusa, Kathy i Sharon Bibb wraz ze swoimi zespołami były w stanie skrócić proces syntezy genów, obudowując sekwencję antysensową genami ospy. Miały teraz pewność, że wszystkie elementy genetyczne znalazły się na swoim miejscu i że każda ze wstawionych sekcji genów zawiera odpowiednie instrukcje dla komórek docelowych. Następnie Jim Balke przygotował pierwszą partię porcji wirionu, przygotowaną do rozprzestrzenienia. Jedną z nich podziwiał właśnie Decker.

– To może się udać – powiedziała stojąca u jego boku Kathy. Jej zmęczona, skryta za maską twarz rozjaśniła się. – Musimy oczywiście sprawdzić, czy działa bezpieczne. A jeśli tak, to możemy powstrzymać Spirale Zbrodni. To wspaniale, Luke. Nie sądzisz?

– Tak, oczywiście.

Mimo wszystko czuł dyskomfort. Przez ostatnich kilka dni próbował pojąć implikacje, jakie niesło ze sobą zastosowanie tego „lekarstwa”. Wciąż czuł gniew na myśl, że zmieniono mu geny. Co prawda nie był dumny z genów Axelmana, ale przecież należały do niego.

Jeszcze nie zdążył do nich przywyknąć, a już genetyka ograbiła go z prawa do pogodzenia się z przeszłością.

– O co ci chodzi, Luke? – zatroskała się obserwująca go bacznie Kathy.

– Niby masz rację, ale jest to rozwiązanie bardzo kontrowersyjne.

– Uratujemy wszystkich mężczyzn.

– Właśnie że nie uratujecie. Mężczyźni, jakich znamy, mimo wszystko wymrą. Uważam, że ci, którzy przeżyją, będą już innymi ludźmi. Może lepszymi, może gorszymi, ale w jakiś sposób innymi. I ja będę inny. Może zresztą już jestem... – Chciałby Kathy zaczęła się z nim sprzeczać, by mógł wyrzucić z siebie wszystko. Ona jednak milczała. Stała tylko, kiwając głową, zgadzając się z jego słowami. – Nie rozumiesz? – ciągnął. – Mimo tego, co sądziły Alice Prince i Madeline Naylor, świat nie może istnieć bez mężczyzn. Owszem, są bardziej agresywni niż kobiety. Popołniają większość zbrodni. Wolą dominować niż negocjować. Niewątpliwie poszukują sensacji i ryzyka. Ale właśnie te popędy sprawiają, że rzucają wyzwania oceanom, galaktykom... i wszystkiemu innemu, od represyjnych ideologii po niesprawiedliwych władców. To mężczyźni, a nie kobiety, wprowadzali zmiany na drodze rozwoju cywilizacji. Projekt Sumienie dla groźnych przestępców to jedno, a pozbawienie mężczyzn właściwej im natury to coś całkiem innego. Przyszłe implikacje mogą być katastrofalne.

– Z pewnością nie tak katastrofalne, jak powstrzymanie się przed robieniem czegokolwiek – zaprotestowała Kathy.

– Oczywiście, ale nie podoba mi się ta cała sytuacja.

– To tylko kompromis – odparła z uśmiechem Kathy. – Wiem o tym. Ale jedno ci powiem, Luke. Wolę cię mieć z kilkoma zmienionymi genami niż nie mieć cię wcale. Poza tym weź pod uwagę jeszcze jedno. Ta zmiana wpłynie na cywilizację tak bardzo, jak nic przed nią. A nie wymyślili jej ani nie wprowadzili mężczyźni. Być może na swój sposób dowodzi to, iż kobiety też potrafią kierować. Kto wie, może to nie oznacza zagłady? Może ludzkość skorzysta na zmianie kierowcy.

Decker wzruszył tylko ramionami.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – stwierdził.

Kathy również miała taką nadzieję. Od uwolnienia wirionu Spirali Zbrodni minął tydzień. Ludzie wkrótce zaczną umierać. Liczba ofiar będzie rosła w coraz szybszym tempie, chyba że rozprzestrzeni się antidotum – nie zważając na ewentualne efekty uboczne.

Naraz z sykiem otworzyły się drzwi Łona. Kathy ujrzała w nich dwie postacie w niebieskich kombinezonach. Rozpoznała Sharon Bibb i generała Toma Allardyce'a.

Podeksycytowany Allardyce zacierał ręce.

– Wszystko ustalone – oznajmił. – Mamy dwudziestu zainfekowanych ochotników. Sami wojskowi. Wszyscy zgodzili się przyjąć szczepionkę Amnestia. Każdemu dano opaskę na przegub z sekwencją DNA i wynikami testów krwi. Do jutra powinniśmy wiedzieć, jakie są rokowania. Rekrutujemy już kobiety do testów. Kiedy tylko będziemy wiedzieli, że szczepionka działa na mężczyzn, przetestujemy ją na ochotniczkach, by mieć pewność, że jest bezpieczna. Jeśli wszystkie próby przebiegną pomyślnie, jutro wieczorem powinniśmy mieć

gotową szczepionkę. Produkować ją będziemy tutaj, w Wielkiej Brytanii, Rosji, Chinach, Iraku, Brazylii i Australii. Czekają tylko na sygnał o pomyślnym ukończeniu testów. Potem każdy z ośrodków otrzyma dane z pełną sekwencją genetyczną szczepionki. Po wyprodukowaniu jej samoloty zrzucają na wszystkie większe skupiska ludności. Dzięki wykorzystaniu prądów powietrznych przyśpieszymy jej rozprzestrzenianie się. Towarzyszyć temu będzie wykorzystanie tuneli bakteriofagowych oczyszczaczy powietrza na każdym większym lotnisku. W następnym tygodniu naloty dywanowe obejmą cały świat. Spirala Zbrodni nie będzie miała gdzie się schować.

– Zatem sekwencję genową szczepionki ujawnicie dopiero wówczas, gdy będziecie mieli pewność, że jest bezpieczna i skuteczna? – upewnił się Decker.

– Oczywiście – przytaknął Allardyce. – Szczepionka może okazać się bezużyteczna albo, co gorsza, śmiertelna. Trzymamy ją więc pod ścisłą kontrolą do czasu, kiedy się upewnimy. – Mówiąc to, podszedł do białego pudełka w kącie Łona, tuż obok genoskopu. Nie miało monitora, jedynie rząd lampek, duży czerwony przycisk i klawiaturę. Wyglądało na niedawno zainstalowane. – To urządzenie do bezpiecznego przekazu danych – wyjaśnił. – Nie da się połączyć się z Titanią ani z żadną siecią, dopóki nie wprowadzi się sześciocyfrowego kodu i nie naciśnie tego czerwonego przycisku. Wtedy przechowywane tutaj dane zostaną przesłane bezpiecznymi łączami do wyznaczonych ośrodków produkcyjnych. Do tej pory urządzenie działa jak sejf. Kuloodporny i zabezpieczony przed hakerami. Są tu teraz nie tylko wszystkie dane, ale i próbki, w tym te wyprodukowane przez Jima Balke'a na poziomie czwartym... oraz w organizmach pacjentów. Tak więc wszystkie dane i materiały dotyczące szczepionki zgromadzono w jednym laboratorium.

– Skoro tak – podsumował z ponurym uśmiechem Decker – módlmy się, by nic im nie zagroziło.

– O to bym się nie martwił. To jedno z najbezpieczniejszych miejsc na Ziemi.

– Powiedział pan, że musimy odczekać, zanim zaczniemy testować szczepionkę na kobietach. Dlaczego? – zapytała Kathy.

Odpowiedzi udzieliła jej Sharon Bibb.

– Ochotniczki trudniej znaleźć. Poza tym, szczerze mówiąc, nie chcemy ryzykować życia kobiet, póki nie będziemy mieć pewności, że Amnestia działa na mężczyzn. Spirala Zbrodni nie wyrządza krzywdy kobietom, ale Amnestia może to uczynić, zwłaszcza jeśli nie osłabiliśmy wystarczająco wirionu ospy dostarczonego nam przez Krotową.

– Ale przecież liczy się każda minuta – zaoponowała Kathy. – Na świecie jest niemal trzysta milionów nastolatków płci męskiej. Najmłodszy z nich umrze w tydzień po zarażeniu. Oznacza to, że tylko patrzeć, jak młodzi mężczyźni zaczynają nam padać jak muchy. Musimy od razu zacząć testy na kobietach. Każda godzina zwłoki to setki tysięcy ofiar.

– Chwileczkę – przerwał jej Allardyce. – Poczekajmy, aż dostaniemy wyniki mężczyzn. Jeśli Amnestia nie zadziała albo jeśli, co gorsza, zacznie zabijać pacjentów, nie ma sensu ryzykować życia kobiet.

Naraz komputer obok sejfu Alice Prince zaczął piszczeć.

– Co się dzieje? – mruknął Allardyce, odwracając się do monitora. Ekran wypełniało

zdjęcie hinduskiego chłopca. Zgodnie z treścią tajnego raportu był on pierwszą odnotowaną ofiarą Spirali Zbrodni. Zmarł nieco ponad godzinę temu. Śmierć zaczęła zbierać swe żniwo. Kathy podjęła decyzję.

Viro-Vector Solutions, Palo Alto
Poniedziałek, 17 listopada, godz. 2.12

Nikt nie niepokoił odzianej w czarny skafander ochronny funkcjonariuszki FBI. Kombinezon uniemożliwił jej skorzystanie z czytnika, więc przy głównej bramie wprowadziła z klawiatury osobisty kod dostępu. Gdy już dostała się na teren kompleksu, nadała swój sygnał wywoławczy. Znała wszystkie hasła, o które pytała centralna ochrona.

O drugiej nad ranem ośrodek był jak wymarły. Kobieta z identyfikatorem „Agent specjalny Lana Bauer” dzięki rozbrzmiewającym w słuchawkach komunikatom знаła miejsce pobytu większości pozostałych agentów. Wiedziała, jak ich unikać. Po drodze do pogrążonej w ciszy kopuły spotkała niewiele osób. Nie zwrócili na nią żadnej uwagi.

Madeline Naylor nie czuła strachu. Wiedziała, że musi wypełnić swoją misję. Zatrzymała się przed kopułą i mocniej ścisnęła torbę. Jakiś naukowiec w białym kitlu właśnie otworzył drzwi, by wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Nie zareagował na jej widok. Jakby ten skafander pozbawiał ją osobowości, czynił niewidzialną. Adres Lany Bauer znalazła w aktach osobowych FBI. Mieszkała sama w San Francisco. Nie było trudno znaleźć jej mieszkanie. Zanim zginęła, powiedziała wszystko, co Naylor chciała wiedzieć o zabezpieczeniach i ochronie.

Między pierwszą w nocy a szóstą rano miejsce to było opustoszałe. Ludzie spali w pomieszczeniach w górnej części kopuły. Strażnicy patrolujący teren polegali na Titanii, która miała podnieść alarm w przypadku wtargnięcia intruza.

Naylor nie chciała jej zabijać, ale nie miała wyboru. Każde inne wyjście pociągało za sobą zbyt duże ryzyko. Wpakowała jej dwie kule w głowę, ciało zawinęła w dywan i wtoczyła pod łóżko. Szybko ją znajdą, ale po dzisiejszej nocy nie będzie miało to znaczenia.

Madeline Naylor znów pomyślała o Luke’u Deckerze i Kathy Kerr. Alice Prince powiedziała jej, że zamierza przekazać Deckerowi szczepionkę. A Kerr będzie wiedziała, jak zrobić z niej użytek. Ta dwójka stanowiła zagrożenie dla jej planu.

Naylor nie wyobrażała sobie, by Kerr mogła powstrzymać Spirale Zbrodni na poziomie globalnym. Potrafi jednak stworzyć szczepionkę, która poważnie ograniczy jej pole rażenia. Jeśli Spirala Zbrodni nie spełni swojego zadania w stu procentach, to cały projekt minie się z celem. Jeżeli pozostaną jakieś złośliwe komórki – to nowotwór odrodzi się. Prędzej czy później.

Szpital poziomu czwartego,
Viro-Vector Solutions

Kathy Kerr spojrzała na zegar na aparaturze przy łóżku. Była godzina druga dwadzieścia pięć. Nie zmrużyła oka. Jej decyzja mogła okazać się fatalnym błędem.

Ponieważ bez wyników badań dwudziestki mężczyzn nie można było nic zrobić, członkowie zespołu skorzystali z okazji i postanowili trochę przespać się w kopule. Gdy wszyscy udali się na spoczynek, Kathy zakradła się do Łona i zaaplikowała sobie próbkę szczepionki Amnestia. Zostawiła przy genoskopie liścik z wyjaśnieniami i zeszła do jednej z izolatek na dole.

Minęły cztery godziny, odkąd wciągnęła do płuc opartą na wirusie ospy szczepionkę. Od tamtego czasu nie ruszyła się spod swojego namiotu. Gdy dotarła do niej wieść o śmierci pierwszej ofiary Spirali Zbrodni, wiedziała, że musi zacząć działać, przetestować szczepionkę na sobie. Jeśli nic się jej nie stanie, a szczepionka zadziała na mężczyzn, uratują setki tysięcy istnień. Nie powiedziała innym o swoich zamiarach, bo próbowaliby ją powstrzymać. Wówczas była głęboko przekonana, że postępuje słusznie i że Amnestia będzie skuteczna.

Teraz wcale nie miała tej pewności.

Przyjrzała się chromowanej opasce na nadgarstku. Małutki czujnik z igłą po wewnętrznej stronie bransolety monitorował skład jej krwi i strukturę DNA. Bransoletka była wyposażona w wyświetlacz ciekłokrystaliczny z dwoma okienkami wielkości tarczy zegarka elektronicznego. Jedno z okienek LCD podawało stan krwi, drugie – genomu. Aktualnie oba były puste. Za dwie lub trzy godziny na wyświetlaczu pojawią się informacje. Okaże się, czy wszystko jest w porządku, czy też wystąpiły komplikacje. Powikłania mogą spowodować natychmiastową śmierć lub długofalowe mutacje genetyczne, które dadzą o sobie znać w jej późniejszym życiu.

Wiedziała, że w innym oddziale szpitala dwudziestu mężczyzn też poddaje się testowi. Nie czuła jednak z nimi żadnej solidarności. I tak groziła im śmierć. Przyjęcie szczepionki Amnestia było dla nich ostatnią deską ratunku. Jej natomiast nic nie groziło. Świetnie zdawała sobie sprawę ze straszliwych komplikacji, jakie mogą wyniknąć, jeśli genetyczna szczepionka wymknie się spod kontroli i zamiesza w jej kodzie DNA. To, co robiła, było słuszne. Była tego pewna, lecz myśl o walce ze zmutowanym szczepem ospy czy jakąś potworną hybrydą tej choroby mroziła jej krew w żyłach. Na myśl o ospie czuła nieodpartą chęć, by podrapać się po twarzy.

Wcześniej nie miała czasu, by pomyśleć o czymś innym niż walka z zarazą. Była nieustannie skupiona na wykonywanym zadaniu i wykorzystywała każdą okazję do drzemki. Teraz jednak nie mogła zasnąć.

Mogła spokojnie pomyśleć o sprawach niezwiązanych z wirusem. Czuła się przytłoczona potwornością tego, co się stało, co wciąż się działo.

Trudno uwierzyć, że nie minęły nawet trzy tygodnie odkąd Madeline Naylor próbowała zamknąć ją w Sanktuarium. Jeśli umrze, kto powiadomi jej rodzinę w Szkocji? Czy będzie to w ogóle miało znaczenie, skoro Spirala Zbrodni przetrzebi planetę? Co zrobi, jeśli przeżyje i szczepionka Amnestia okaże się skuteczna? Ziści się jej sen o Sumieniu na znacznie większą skalę, niż kiedykolwiek marzyła. Co zrobi później?

Kiedy zadawała sobie te pytania i rozmyślała o przyszłości, udawało się jej trzymać na dystans terażniejsze obawy.

Spostrzegła, że drzwi jej izolatki otwierają się i do środka wślizguje się wysoka postać w

skafandrze kosmicznym. Wyteżając wzrok w półmroku, z plastikowego namiotu obserwowała zbliżającą się sylwetkę. Przybysz zatrzymał się na chwilę. Kathy w słabym świetle nie była w stanie dojrzeć twarzy za szybą hełmu. Zesztywniała, gdy postać wyciągnęła rękę do plastikowej ścianki namiotu.

– Przypuszczałem, że zrobisz coś głupiego – powitał ją Decker.

Kathy nie wiedziała, co powiedzieć.

– W każdym razie – ciągnął Decker, siadając na krześle obok namiotu – skoro już to zrobiłaś, to pewnie przyda ci się towarzystwo. Dobrze wiem, jak to jest tkwić tutaj.

Komora dekontaminacyjna, Viro-Vector Solutions, Palo Alto
Dwie godziny później

Sharon Bibb czuła się śmiertelnie zmęczona. Wkładała właśnie niebieski skafander ochronny w komorze dekontaminacyjnej między laboratoriami trzeciego i czwartego poziomu zagrożenia biologicznego. Znajdowały się tam cały szpaler szafek, prysznic, toalety i wieszak ze skafandrami ochronnymi. W końcu pomieszczenia były dwie umywalki, a ścianę zdobił równy rząd butelek z utleniaczami i przeróżnymi wirusobójczymi chemikaliami. Była czwarta nad ranem i wszędzie panowała cisza. Po spotkaniu z Allardyce'em, Kathy Kerr i Lukiem Deckerem udała się do głównej kopuły, by coś przegryźć i na kilka godzin położyć się w jednej z zaimprovizowanych sypialni.

Uzgodniła z Allardyce'em, że dziś o piątej rano sprawdzi, co się dzieje z dwudziestką badanych mężczyzn. Jeśli wyniki będą dobre, natychmiast da mu znać. Po przedstawieniu wyników zespołowi i uzyskaniu zgody pani prezydent będą mogli wprowadzić kod do urządzenia do bezpiecznego przesyłania danych, a następnie wysłać zabezpieczoną sekwencję genową i specyfikacje produkcji wirionu Amnestia do rozsianych po świecie zakładów produkcyjnych. Oprócz niej kod znali tylko Allardyce i Kathy Kerr.

Ziewnęła. Boże, nie była tak zmęczona od czasu pojawienia się kongijskiej Eboli w 1999 roku. Od dwóch tygodni nie widziała też męża i dzieci, którzy zostali w Atlancie. Sama myśl o tym, że Spirala Zbrodni może odebrać jej męża, wprawiała ją w panikę. Szczepionka Amnestia zadziała. Musi zadziałać.

Instynktownie dokładnie obejrzała skafander w poszukiwaniu ewentualnych uszkodzeń. Zatrzymała się przed drzwiami do Gorącej Strefy – centralnej części kompleksu, mieszczącej laboratoria poziomu czwartego i Łono oraz windę prowadzącą do szpitala i kostnicy poziomu czwartego.

Kiedy tylko skończyła wprowadzać sześciocyfrowe hasło i przystawiła oko do zeskanowania przez szybę hełmu, uświadomiła sobie, iż w komorze dekontaminacyjnej oprócz niej jest ktoś jeszcze. Przez nauszники tłumiące hałas systemu wentylacyjnego skafandra ledwie usłyszała za sobą szelest. Zanim zdążyła się odwrócić, poczuła, jak coś twardego wbija jej się w plecy.

– Nie odwracaj się – warknął zimny kobiecy głos z tyłu. – Widziałam, jak wprowadzasz kod, więc do pokonania reszty drogi potrzebuję teraz tylko twego oka. Możesz mnie wprowadzić jako gościa, możesz też odmówić współpracy. W tym drugim wypadku wyjmę ci oko i wejdę do Łona sama. Wybieraj.

Sharon Bibb była zbyt wstrząśnięta, by wydusić z siebie choć słowo. Została wepchnięta przez drzwi do środka. Gorączkowo rozglądała się po laboratoriach za szklanymi ścianami, ale nie widziała nikogo. Wszyscy spali w kopule.

– Dalej – zarządziła kobieta, gdy minęły windy do szpitala i kostnicy.

Madeline Naylor poczuła ulgę. Była już całkiem blisko. Czarny znak ostrzegający przed zagrożeniem biologicznym i duży czerwony napis: „Laboratorium piątego poziomu zagrożenia biologicznego”, umieszczony na szkłe, wydawały się zapraszać ją do środka.

Po dostaniu się na teren Viro-Vectora, Naylor metodycznie zmierzała ku centralnej części kompleksu laboratoriów. Dzięki nasłuchowi radiowemu udało jej się uniknąć innych agentów. Wyglądało na to, że są rozmieszczeni we wszystkich newralgicznych punktach na obwodzie kompleksu. O tej porze żaden nie czuwał w laboratoriach – prawdopodobnie nie chcieli przeszkadzać naukowcom. Najtrudniejsze było jednak przed nią: musiała dostać się do Gorącej Strefy, gdzie znajdowało się Łono. Nie miała kodów dostępu, a poza tym wiązało się to ze skanowaniem tęczówki.

Była tu wiele razy, towarzysząc Alice Prince w drodze do Łona. Korzystając ze znajomości laboratoriów, pokonała słabiej strzeżone zewnętrzne pierścienie kompleksu. Gdy zakradała się z poziomu pierwszego na trzeci, wszystkie laboratoria były wyludnione, a ciszę mącił jedynie szum aparatury i klimatyzatorów. W końcu dotarła do komory dekontaminacyjnej – bramy do Gorącej Strefy. Ukryta za szpalerem szafek czekała cierpliwie, aż ktoś się pojawi i zabierze ją dalej.

Wypadło na doktor Sharon Bibb – takie nazwisko miała wypisane na skafandrze.

– No już – nagliła Naylor, popychając ją w kierunku drzwi Łona. – Otwieraj.

Bibb stała bez ruchu, ale Naylor widziała, że zaczyna ona kierować się instynktem samozachowawczym.

– Już – warknęła, mocno wciskając pistolet w bok Bibb i nie dając jej czasu na myślenie.

Pewnymi ruchami palców Bibb wprowadziła kod na klawiaturze obok drzwi i ustawiła się do skanowania tęczówki. Gdy drzwi rozsunęły się, Naylor spojrzała na zegarek. Za jakąś godzinę zaczną się budzić inni. Musi się pospieszyć, jeśli chce podłożyć ładunek wybuchowy i uciec przed jego zdetonowaniem. Torbę trzymała w lewej ręce. Czuła pokrzepiający ciężar urządzenia ukrytego w środku. Było małe i proste, ale wystarczająco mocne, by zniszczyć jedną ze ścian ze zbrojonego szkła. Titania powinna przejść wtedy do trybu likwidacji – zamknąć całą Gorącą Strefę hermetycznymi, termoodpornymi panelami, odcinając od świata laboratoria poziomu czwartego i piątego wraz ze szpitalem i kostnicą. Wtedy, jeśli z zewnątrz nie wprowadzi się kodu anulującego, w zamkniętej strefie zostanie zrzucony deszcz wirusobójczych chemikaliów, po którym nastąpi sterylizacja ultrafioletem i wreszcie fala ognia o temperaturze trzech tysięcy stopni. Zniszczone zostanie wszystko, co żywe w Gorącej Strefie. Nie przeżyje żaden człowiek, żaden wirus ani szczepionka.

Gdy drzwi Łona otworzyły się na oścież, Naylor wepchnęła Bibb do środka i sama weszła za nią. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła jej się w oczy, było niedawno zainstalowane urządzenie do bezpiecznego przesyłania danych. W biurze często korzystała z podobnego. Używane było do przechowywania danych, zbyt cennych, by ryzykować ich utratę. Rzadko tworzone kopie plików z tego urządzenia. Mogło to oznaczać tylko jedno. Jeśli Kathy Kerr coś osiągnęła, efekty jej pracy nad szczepionką znajdują się właśnie tutaj.

– A teraz – zarządziła, upuszczając torbę na podłogę i przyciskając pistolet do hełmu Bibb – mów, jakie zrobiliście postępy. I gdzie znajdzie Kathy Kerr.

Wtedy właśnie spostrzegła liścik przy genoskopie. Napisany ręką Kathy Kerr, zawierał odpowiedzi na jej wszystkie pytania.

Luke Decker obudził się nagle. Przy samej twarzy miał szkło, a w uszach dziwny hałas. Po chwili dotarło do niego, że jest ubrany w skafander chroniący przed zagrożeniem biologicznym. Zasnął na krześle przy namiocie Kathy.

Spojrzał na zegar na chromowanej aparaturze obok łóżka. Była godzina czwarta czterdzieści siedem. Szybko odwrócił się do Kathy. Miała rozchylone usta i leżała w pozycji embrionalnej, z włosami rozrzuconymi na poduszce. Nie mógł dostrzec bransolety na jej nadgarstku, bo rękę trzymała pod kołdrą.

– Kathy – odezwał się – obudź się!

Otworzyła oczy.

– Jak się czujesz? Co z bransoletą?

Otworzyła szeroko oczy, w jednej chwili całkowicie rozbudzona. Gwałtownie wyciągnęła rękę spod kołdry i odsłoniła bransoletę. Oba wyświetlacze LCD – kontrolki krwi i genomu – były zielone.

– Co to oznacza? – zapytał zdenerwowany Luke.

Kathy popatrzyła na niego z niedowierzaniem na twarzy. Uśmiechnęła się.

– Jestem czyściutka. Nie wiem, czy Amnestia działa, ale na pewno jest bezpieczna.

– W takim razie – zarządził, podnosząc i wręczając jej porzucony skafander – wynośmy się stąd natychmiast.

Kathy Kerr wraz z Lukiem Deckerem wjeżdżała windą na poziom laboratoryjny. Oboje mieli na sobie białe szpitalne kombinezony ochrony biologicznej. Kilka minut wcześniej wpadli do głównego oddziału szpitala, by sprawdzić, jak się miewają mężczy ochotnicy. Wszyscy pogrążeni byli we śnie, jednak ich odczyty genetyczne wskazywały na znaczną poprawę.

Kathy zaczynała wierzyć, że faktycznie uda im się zapobiec kataklizmowi. Spojrzała na Deckera i natychmiast przypomniała sobie, jak siedział z nią zeszłej nocy. Czowała z nim taką więź! Razem odkryli prawdę o Spirali Zbrodni i wbrew wszelkim trudnościom walczyli o jej powstrzymanie. Teraz zaś byli o krok od sukcesu.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, Decker od razu skierował się w lewo, ku drzwiom prowadzącym na poziom piąty, do Łona. Przez panoramiczną szybę Kathy widziała część wnętrza. Na widok postaci w niebieskim skafandrze, pochylającej się nad stołem laboratoryjnym, przyśpieszyła kroku.

– Patrz, Sharon już jest – ucieszyła się. – Chodź, przekazemy jej dobre wieści. Potem damy znać Tomowi i całej reszcie.

Wprowadziła kod dostępu do Łona i zaczekała, aż urządzenie zeskanuje jej tęczówkę. Kiedy drzwi otworzyły się z sykiem, weszła do środka. Decker podążył jej śladem.

Z początku Kathy nie zorientowała się, czemu Sharon Bibb tak dziwnie pochyla się nad genoskopem. Podeszła bliżej. Wtedy ujrzała otwór po pocisku w jej hełmie. Sharon nie żyła. Dosłownie w tej samej chwili dostrzegła postać w czarnym kombinezonie FBI. Klęczała ona tyłem do Kathy, pochylona nad czymś, co wyglądało jak stalowe pudełko, stojące przed lodówkami, zawierającymi najzłośliwsze, najbardziej zabójcze wirusy świata – w tym Ebolę i Marburga.

Oszołomiona Kathy jakby wrosła w ziemię. Czarny hełm wolno odwrócił się w jej kierunku. I choć w ciemnych oczach Madeline Naylor wyczytała zaskoczenie jej widokiem, była dyrektor FBI uśmiechnęła się do niej.

Luke Decker nie od razu zorientował się w sytuacji. Po kilku sekundach dotarło do niego, co widzi. Jakieś osiem metrów przed nim Madeline Naylor pochylała się nad czymś, co wyglądało na bombę. Niecałe cztery metry od niego, za plecami Naylor, stała jej torba. Na niej zaś leżał jej pistolet.

Kathy stała po prawej stronie. Po lewej było urządzenie do bezpiecznego przekazu danych, zawierające wszystkie tak potrzebne informacje o szczepionce Amnestia.

Naylor najwyraźniej rozważała sytuację. Nie wiedziała, czy dokończyć uzbrajanie bomby, czy sięgnąć po broń.

Kathy zdała sobie sprawę z tego, że trzeba natychmiast wysłać informacje, by ich nie

stracić.

Przez długą chwilę nikt nawet nie drgnął. Ze wstrzymanym oddechem przyglądali się sobie nawzajem.

Nagle Decker rzucił się po broń, krzyżąc do Kathy:

– Wysyłaj dane!

Zderzył się z Naylor. Potrącona torba pomknęła po kafelkach, zaś oni z łomotem upadli na podłogę.

Decker jęknął, gdy jego złamana ręka uderzyła w hełm Naylor. Tuż przed sobą miał jej twarz. Wpatrywała się w niego zza szyby pełnymi nienawiści oczyma. Po prawej stronie dostrzegł bombę. Czarna skrzynka, wyposażona w cyfrowy wyświetlacz z czerwonymi cyframi 9:01. Odliczanie zostało rozpoczęte.

Naylor spojrzała na Kathy, która wprowadzała na klawiaturze kod wysyłania danych. Zerwała się na równe nogi i kopnęła złamaną rękę Deckera. Usłyszała trzask pękającej kości. Potworny ból wybuchł rozbłyskiem pod czaszką, paraliżując myśli. Naylor nie traciła czasu. Chwyła Kathy i odciągnęła ją od urządzenia, zanim zdążyła nacisnąć czerwony przycisk wysyłania i przekazać informację do zakładów produkcyjnych na całym świecie.

Decker zagryzł zęby i zdrową ręką sięgnął po bombę. Nie był specem od pirotechniki, jednak nawet krótkie przeszkolenie w tym zakresie, jakie przeszedł, pozwalało mu stwierdzić, że raz ustawiony zegar musiał spowodować wybuch o wyznaczonym czasie. Nic nie mogło go powstrzymać. Należało jak najszybciej stąd uciekać.

Naraz ujrzał glocka Madeline. Broń leżała pod sejfem. Musiała tam wpaść, sunąc po podłodze, gdy zderzyli się ze sobą. Spróbował sięgnąć po pistolet zdrową ręką, ale tylko musnął go palcami i wepchnął jeszcze głębiej. Sięgnął pod innym kątem i tym razem udało mu się wyciągnąć broń. W tym samym momencie usłyszał za plecami brzęk tłuczonego szkła. Gdy obrócił się, by wycelować w Naylor, zrozumiał, że wcale nie będzie to takie proste.

Madeline Naylor zacisnęła dłonie na hełmie Kathy Kerr. Czują, jak ogarnia ją fala wściekłości.

Sharon Bibb nie zdążyła jej wiele powiedzieć przed śmiercią, jednak notka od Kathy Kerr wystarczająco wiele wyjaśniała. Naylor ucieszyła się, że Kathy znajduje się w części szpitalnej. Wybuch bomby zabije ją. Kiedy zaś pod wpływem eksplozji Titania zamknie wejścia i oczyści kompleks, wszystkie elektroniczne i organiczne ślady szczepionki przepadną bez śladu. Rozwiązanie idealne.

Naraz jednak Decker i Kerr pojawili się w Łonie.

Decker był ranny, więc łatwo z nim sobie poradziła, jednak Kathy niemal udało się wysłać recepturę szczepionki gdzieś na zewnątrz. Ale wszystkie dane musiały zostać zniszczone. Nic nie mogło się stąd wydostać. Naylor podjęła decyzję. Skoczyła na Kathy i odepchnęła ją od urządzenia do bezpiecznego przekazu danych.

Kathy opierała się z całych sił, ale Naylor uderzyła jej głową o szklane drzwi jednej z lodówek. Wysypały się stamtąd próbówki, roztrzaskując się o posadzkę i uwalniając w ten sposób wszystkie najgorsze wirusy, od Eboli, poprzez Marburga, po Hantę. Madeline przytrzymała Kathy twarzą w dół, tak że jej głowa znalazła się tuż nad zasłaną szklą

podłogą.

– Rzuć broń, Decker! – krzyknęła. – Albo zerwę jej hełm. Umrze w kilka minut.

– Wszyscy możemy zaraz umrzeć – zauważył Decker z niezwykłym spokojem. Wciąż stał z wycelowanym w nią pistoletem. – Zostało sześć minut, jeśli wierzyć tej twojej bombie. Kathy, wszystko w porządku?

Jednak Kathy, najwyraźniej półprzytomna, nie odezwała się ani słowem. A Naylor trzymała ją przed sobą niczym tarczę.

Naraz przez szklaną ścianę dostrzegła trzy osoby w niebieskich kombinezonach. Biegły korytarzem przez laboratoria poziomu czwartego w kierunku Łona. Naylor zrozumiała, że nie ma wyboru. Zginie. Jednak zanim to się stanie, miejsce to ulegnie zniszczeniu. Ocali program Spirali Zbrodni. Przycisnęła Kathy do siebie, sięgnęła do zamka i zaryglowała drzwi. Teraz można było je otworzyć tylko od środka.

– Decker – oznajmiła – jeśli wykonasz choć jeden ruch w kierunku tej maszyny, zabiję ją.

Decker nie był pewien, czy Kathy zdążyła wprowadzić cały kod do urządzenia do bezpiecznego przekazu danych. A sam nie znał kodu. Wiedział, że jeśli naciśnie czerwony przycisk bez wpisania pełnego kodu, nie zda się to na nic. A Madeline bez wątplenia zabije wówczas Kathy. Należało mieć nadzieję, że Kathy dojdzie do siebie, nim za pięć minut wybuchnie bomba.

Po drugiej stronie szklanej ściany widział Allardyce'a i obu Schlossbergów. Rozpaczliwie stukali palcami w szkło, zaglądając do środka. Może Allardyce mógłby mu jakoś podać kod?

– Sądziłem, że jesteś przeciwna przestępstwom z użyciem siły, Naylor – zauważył – tymczasem zabiłaś już więcej ludzi niż schwytani przeze mnie mordercy. A jeśli Spirala Zbrodni zacznie zbierać swoje żniwo, będziesz odpowiedzialna za więcej morderstw niż wszyscy faceci razem wzięci, zarówno żyjący, jak i zmarli. Cała płęć męska nie wykazała się w zabijaniu skutecznością równą twojej. Przecież to bez sensu! Jedna kobieta, szefowa FBI, morduje wszystkich dorosłych przedstawicieli przeciwnej płci... bo jest przeciwna morderstwom?

– Jak mógłbyś zrozumieć? – wycodziła przez zęby Naylor. – Twój ojciec gwałcił i mordował nastoletnie dziewczęta. Pewnie, że nie widzisz konieczności eliminacji takich, jak ty.

Kathy się poruszyła. Przez szybę jej hełmu widział, jak próbuje skupić wzrok. Jeśli nacisnąłby czerwony przycisk, mógłby uratować dwa i pół miliarda mężczyzn, ale z pewnością zabiłby Kathy. Zresztą i tak musi poczekać, aż ona sama potwierdzi kod.

– Oczywiście, że widzę konieczność ścigania i eliminacji tych spośród nas, którzy zapredali się złu – powiedział. – Całe swe życie temu poświęciłem. Ale nie każdy mężczyzna jest zbrodniarzem. Zbrodniarz to ktoś taki, jak ty.

Naylor, wyraźnie poruszona, poluźniła uścisk, w którym trzymała Kathy.

Decker, wciąż zerkając na Kathy, ciągnął dalej:

– Prawdziwą ironią jest to, że sama należysz do tych drani, przeciw którym występujesz. Sama siebie powinnaś wyeliminować.

Naylor posłała mu jadowity uśmiešek.

– To, co o mnie myślisz, jest już zupełnie bez znaczenia. Za kilka minut to miejsce i wszystko, co się w nim znajduje, ulegnie zniszczeniu. Spirala Zbrodni zatryumfuje. Żałuję jedynie, że nie doświadczę jej dobroczynnego działania. Ale przynajmniej będę wiedziała, że wszystkie twoje działania na nic się zdały.

Nagle odezwała się Kathy:

– Kod wpisany. Naciśnij przycisk.

Decker popatrzył na nią. Potem przeniósł wzrok na Naylor.

– Jeden ruch i ona nie żyje – ostrzegła ponownie.

Naciśnięcie przycisku uratuje życie miliardom mężczyzn. Zabije jednak Kathy. Logicznie rzecz biorąc, wybór był prosty. Jednak Decker w tej chwili zdał sobie sprawę z tego, ile Kathy dla niego znaczy. Zrozumiał, co utraci.

Tłum naukowców za ścianą Łona zamarł. W przerażeniu obserwowali rozgrywającą się na ich oczach scenę.

– Jak mocne jest to szkło? – spytał Decker.

– Bardzo mocne – odparła Kathy.

Nim Naylor zdołała cokolwiek zrobić, Decker wycelował w czerwony przycisk i wystrzelił. Kathy wykorzystała to, by wyrwać się z uścisku Naylor. Rzuciła się do drzwi. Runęła na Deckera. Jej oczy zwęziły się wściekle, głos upodobił do wycia rannej bestii.

– Nie! – wrzasnęła. – Nieee!!!

Decker zdążył zobaczyć zapalające się pod klawiaturą zielone światło, sygnalizujące wysłanie danych. Potem dopadła go Naylor. Skoczyła mu do gardła jak opętana. Obaliła na podłogę i kopniakiem wytrąciła broń z ręki. Z tyłu dobiegł go odgłos odblokowywanych przez Kathy drzwi.

– Luke! Luke! – zawołała.

– Idź! – krzyknął. – Zostaw mnie!

Odpychając Naylor zdrową ręką, podniósł się na kolana. Tuż obok siebie zobaczył bombę. Wyświetlacz pokazywał, że została minuta do wybuchu. Złapał czarne pudełko i kiedy Madeline Naylor znów na niego natarła, walnął nim z całych sił w szybę jej hełmu, rozbijając ją. Podniósł się na równe nogi przy wtórze syku powietrza uciekającego z jej skafandra. Kathy pociągnęła go ku drzwiom.

– Szybko! – krzyknęła. – Bez ciebie się stąd nie ruszę!

Kątem oka dostrzegł, jak Naylor gramoli się z podłogi. Jej oszalałe oczy napuchły już od zanieczyszczonego powietrza. W prawej dłoni dzierżyła odłamek szkła z hełmu, niczym nóż. Musiał dotrzeć do drzwi. Wiedział, że wystarczy mała dziurka w skafandrze, uczyniona tym ostrzem, a czeka go niechybna śmierć. Kathy pozostawiła otwarte drzwi do Łona. Za kilka sekund nastąpi eksplozja. Ostatnim wysiłkiem rzucił się do przodu, popychając Kathy w stronę drzwi. Czekali tam już Allardyce i inni. Pomogli im się wydostać. Decker odwrócił się na moment i zobaczył, jak Naylor po raz ostatni próbuje go dopaść. Jej oczy płonęły nienawiścią. Chybiła o włos, zaś drzwi zamknęły się, miażdżąc jej wyciągniętą rękę.

Madeline nie wierzyła własnym oczom. Siedząc na podłodze Łona, wciągała ze świstem

w płuca zanieczyszczone powietrze i wpatrywała się w zdruzgotaną rękę. Nie obchodziło jej, że zostały już tylko sekundy do wybuchu.

Nie tak miało być. Jej wizja Spirali Zbrodni legła w gruzach. Wielu mężczyzn zginie – może nawet miliony – ale nie wszyscy.

Przeżycie choćby jednego dorosłego mężczyzny niweczyło plany. Eliminacja wszystkich mężczyzn byłaby wielkim dokonaniem, które zapewniałoby przetrwanie gatunku. A zabicie tylko niektórych z nich to nic więcej, jak zwykle morderstwo.

Naraz ogarnął ją żal – nie dlatego, że zabiła tak wielu, ale ponieważ zabiła tak nielicznych.

Słyszając kliknięcie detonatora, krzyknęła zrozpaczona, zrozumiałwszy, że niczego nie zmieniła.

Ale nawet w tym momencie, gdy jej ciało rozerwała eksplozja, zaś Titania odcięła skażoną strefę, oczyszczając ją ze wszystkiego, co żyje, Madeline Naylor myliła się.

Zmieniła przecież wszystko.

Kiedy Decker wypadł z Łona, Allardyce pociągnął go korytarzem ku drzwiom pomieszczenia dekontaminacyjnego. Stalowe drzwi zdawały się otwierać całe wieki. A zamykały się jeszcze dłużej. Kiedy wreszcie się zamknęły, usłyszeli i poczuli wstrząs eksplozji w centrum kompleksu. Titania opuściła ciężkie czarne ekrany ochronne, zasłaniając drzwi, którymi właśnie weszli. Odcięła strefę skażenia, po czym oczyściła ją od środka.

Gdy Kathy dezynfekowała jego skafander sprejem chlorowym pod prysznicem dekontaminacyjnym, Decker widział wciąż wpatrzone w niego oczy Naylor. Nienawisć, jaką w nich ujrzał, miał zapamiętać do końca życia.

*Pentagon. Pokój strategiczny. Arlington, Wirginia
Niedziela, 23 listopada, godz. 11.06*

Pokój strategiczny w Pentagonie był jeszcze większy niż centrum obliczeniowe Viro-Vectora. Zapełniały go rzędy komputerów, przy których siedzieli umundurowani mężczyźni i kobiety. Wszyscy przetwarzali informacje. Ściana frontowa miała ponad piętnaście metrów wysokości i dwa razy tyle szerokości. Całą ją pokrywały ekrany. Środkowy, szeroki na trzy i wysoki na ponad dwa metry, przedstawiał mapę świata.

Inne, mniejsze ekrany prezentowały różne lokalizacje. Z legend pod nimi można było dowiedzieć się, że ukazują amerykańskie bazy lotnicze, zarówno w kraju, jak i za granicą. Nie brakowało obrazów z wiadomościami z różnych stron świata. Reszta ekranów przedstawiała siły lotnicze innych państw, w tym Wielkiej Brytanii, Francji, Izraela, a nawet Iraku. Wszystkie miały do wypełnienia jedną misję.

Od czasu, gdy sześć dni temu szczepionkę Amnestia rozesłano do zakładów produkcyjnych na całym świecie, wszystkie testy i próby przebiegły pomyślnie. Pod kierownictwem generała Allardyce'a wyprodukowano niezbędne antidotum. Armada samolotów na całym świecie czekała tylko na rozkaz, by rozpocząć jej zrzuty.

Trzy dni temu, na zgromadzeniu ONZ w Nowym Jorku, Pamela Weiss przedstawiła przywódcom innych państw wszelkie zagrożenia i korzyści wynikające ze szczepień. Ogłosiła też najnowsze dane statystyczne dotyczące zgonów wywołanych Spiralą Zbrodni. W skali globalnej można już było mówić o milionach ofiar. Cała generacja młodych mężczyzn przestała istnieć. Śmiertelne żniwo nie ominęło żadnego kraju.

Debatowano jeszcze o długoterminowych skutkach ubocznych, wszyscy jednak zgodzili się, iż korzyści przewyższają ryzyko. Po raz pierwszy w historii ONZ każdy bez wyjątku kraj, bez względu na różnice polityczne, religijne czy historyczne, podpisał rezolucję. Porozumienie osiągnięto w rekordowym czasie czternastu minut.

Nie wiadomo było dokładnie, jak wielka jest globalna armada, ale szacowano ją na ponad pół miliona samolotów cywilnych i wojskowych. Była to największa misja bombowców w historii świata. Optymiści przewidywali, że również ostatnia.

Kiedy zrzucono pierwsze bomby lecznicze, mapa na ekranie centralnym eksplodowała czerwonymi punkcikami. Zaczzerwienił się Londyn i Paryż, a po nich inne europejskie miasta. To samo miało miejsce w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, a następnie w Ameryce Południowej i na rozległych terenach Afryki i Azji. W słabo zaludnionych krajach tych punkcików było mniej. Skoncentrowano się na głównych miastach. Jednak z czasem i te plamy czerwieni rozrastały się, coraz bardziej nieregularne, pod wpływem prądów powietrznych. Wkrótce poczęły łączyć się ze sobą, pokrywając czerwonym dywanem niemal cały świat.

Kathy Kerr stała wraz z Lukiem Deckerem z tyłu pokoju, na podwyższeniu dla

obserwatorów i kręciła głową z niedowierzaniem.

Nic już nie będzie takie, jak kiedyś. Czerwień oznaczała zbawienie, ale także rewolucję... a może raczej wywołaną ludzką ręką ewolucję.

Rodzaj ludzki uległ nieodwracalnej zmianie. Zmuszono go do wyewoluowania w nowy gatunek. *Homo sapiens* umarł. Narodził się nowy człowiek.

– Co nam przyniesie przyszłość, Kathy? – zagadnął Decker, wpatrując się w ekran.

Wzięła go za rękę.

– Nie wiem – powiedziała z uśmiechem – ale mam nadzieję, że coś dobrego.

– Ja także – odpowiedział, ściskając jej dłoń.

EPILOG

*San Francisco
Sto lat później, 23 listopada 2108*

Mężczyzna był stary, ale dom, w którym mieszkał – jeszcze starszy. Odłożył skrzypce i przysunął krzesło do otwartych na oścież okien wychodzących na zatokę. Świętowanie zaczęło się na dobre. Nocne niebo rozświetlała feeria fajerwerków. Dzieci pewnie już dołączyły do tłumów gromadzących się przy moście. Też mógł pójść, ale wolał zostać w domu i obserwować niebo.

Wyregulował teleskop, by móc lepiej widzieć. Przez powiększające szkło eksplozje niemal oślepiały intensywnością kolorów. Wydawało się dziwne świętować wybuchami Pax Centennia – stuletni pokój. A mówiono nawet o odgrzebaniu starego uzbrojenia i spaleniu go w wielkich ogniskach, na znak pokoju.

Prostując zdrętwiałe nogi, podniósł się z krzesła i podszedł do stareńkiego fortepianu. Stało na nim wiele zdjęć, jedno wyróżniało się jednak szczególnie. Przedstawiało uśmiechniętą parę z dzieckiem w ramionach. W tle wznosił się stary kościół. Obok przystojna, postawna kobieta. Uśmiechnął się z dumą. Niewiele osób mogło gościć u siebie na chrczinach prezydentów Stanów Zjednoczonych.

Dużo się mówiło tego roku o setnej rocznicy Zmiany. Jednak nie o kosztach. Nie było się czym chwalić. Zmarło osiemnaście milionów młodych mężczyzn. Trzykrotnie więcej niż podczas Holocaustu. Teraz to już dawne dzieje. Wielu członków Rady Światowej wolało mówić o korzyściach. Większość cieszyła się, że dane im było doświadczyć bezprecedensowego ogólnokrajowego pokoju i dobrobytu. Niektórzy jednak narzekali, iż postęp techniczny zwolnił bez katalizatora w postaci wyścigu zbrojeń. Powiadali, że Blake miał rację, kiedy twierdził, że bez konfliktów nie ma postępu.

Jego ojciec, Luke, opowiadał mu historie z tamtego, innego świata. Jak ścigał niezwykle okrutnych mężczyzn. Mówił też o przygodach, o odwadze, o zacnym pragnieniu walki w imię słusznej sprawy. Nawet jego matka, Kathy, mówiła, że czasami trzeba walczyć o to, w co się wierzy.

Wrócił do teleskopu i wycelował go ku dalekim, majestatycznym planetom. Obejrzał Wenus, a potem przeszedł do najbliższej gwiazdy, Proxima Centauri, odległej zaledwie o cztery lata świetlne od Ziemi. Wyobraził sobie, co mógłby zobaczyć mieszkaniec tego układu, gdyby wycelował teleskop w Ziemię: średniej wielkości planetę na peryferiach zwyczajnej galaktyki spiralnej – jednej z wielu miriadów galaktyk.

Jakiś cień przemknął na tle Proxima Centauri. Starczymi ramionami wstrząsnął dreszcz. Oczyma wyobraźni znów przyjrzał się Ziemi z kosmosu. Ujrzał samotną planetę, bogatą w zasoby naturalne.

Spokojną planetę, która wyplenila u siebie agresję.

Ujrzał planetę, która nie wiedziała już, jak się bronić.

PODZIĘKOWANIA

Największe podziękowania należą się mojej żonie, bez której książka nie mogłaby powstać. To ona pomogła mi stworzyć fabułę oraz bohaterów, odrzucając złe pomysły, a rozwijając te dobre. Nawet pod koniec naszej pracy, kiedy sądziłem, iż bezpowrotnie utraciłem cały maszynopis, ona jedna zachowała spokój. I to dzięki niej odzyskałem utracony plik.

Kolejne podziękowania należą się mojemu redaktorowi z Transworld, Billy'emu Scottowi Kerrerowi, który poświęcił mnóstwo czasu i sił, aby w sposób istotny udoskonalić tę historię.

Nieocenione w czasie moich prac nad Kodem zbrodni okazały się następujące źródła: A Mind to Crime autorstwa Anny Moir i Davida Jessela, On Aggression Konrada Lorenza, Virus X doktora Franka Ryana oraz In the Blood Steve'a Jonesa. Za konsultacje naukowe jestem wdzięczny Susan Robinson i Sejalowi Patelowi, którzy pomogli mi wyeliminować bądź zmodyfikować moje zbyt dziwne pomysły. Podziękowania należą się również Betty Cordy, która wytrwale czytała kolejne wersje rękopisu, wspierając mnie i służąc uwagami. Dziękuję Billowi Reince, Simonowi Hoggartowi oraz Richardowi Cordy'emu za ich wkład.

Podziękowania należą się również mojemu wspaniałemu agentowi Patrickowi Walshowi.